



LILIANA FABISIŃSKA

*Zielarnia
nad Sekwaną*

SERIA
Jak pies z kotem

LILIANA FABISIŃSKA

*Zielarnia
nad Sekwaną*

SERIA
Jak pies z kotem

FILIA

Na biurku leży podłużna, seledynowa koperta z moim imieniem, starannie wykaligrafowanym, dokładnie w połowie wysokości.

Niepewnie zaglądam do środka. Bilet lotniczy? Na moje nazwisko?

Czy to możliwe, że nie pamiętam o jakimś zagranicznym zaproszeniu? Paryż? Z całą pewnością nie mam tej wiosny żadnego spotkania w Paryżu...

Podnoszę bilet do oczu, żeby sprawdzić datę wypisaną maczkiem w jednej z rubryk.

Wtedy z koperty wysuwa się arkusik kredowego papieru, na którym skreślono zielonym atramentem kilka zdań.

Od razu rozpoznaję ten charakter pisma i lekko uśmiecham się do siebie.

A więc... Paryż?

CZEŚĆ I

KREMOWA KOPERTA

ROZDZIAŁ 1

POJEDYNEK W DESZCZU

*Bywają dziwacy,
którzy z pokrzyw i mleczów składają bukiety,
lecz gdzież są tacy,
którzy by całowali włosy starej kobiety?*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Starość*

NATALIA

Kiedy stara panna, w wieku bardzo emerytalnym, przywozi sobie nagle

z sanatorium niewidzialnego psa, zwariowanego żeglarza i gadającą papugę, świat unosi brwi ze zdziwienia.

Potem, wraz z upływem kolejnych miesięcy, brwi stopniowo wracają na zwykłe miejsce, a ludzie znowu zajmują się spokojnie swoimi sprawami, zapominając o tym, co jeszcze niedawno tak ich bulwersowało.

Bardzo mi odpowiadała taka sytuacja. Wiktor rozgościł się w Helu na dobre, został zaakceptowany – choć nie bez trudności – w roli mojego kochanka albo konkubenta... Jego papuga Adela – z wielkimi oporami i niechęcią manifestowaną przy każdej okazji – zaczynała się adaptować do nowych warunków, czyli do życia ze mną pod jednym dachem. A mój pies, cudowny przybłęda Maks, sprawiał wrażenie najszcześliwszego kundelka na świecie, który marzy jedynie o tym, by być przy mnie (na co, oczywiście, z radością się godziłam).

Kilka miesięcy po przeprowadzce Wiktora na Półwysep osiągnęliśmy coś na kształt małej, pogodnej stabilizacji. Ludzie znowu mówili mi „dzień dobry” na ulicy, niektórzy nawet uśmiechali się przy tym przyjaźnie. Wiktor zawierał pierwsze znajomości, przecierał w Helu swoje ścieżki, a kilka razy wyszedł nawet pograć w Tawernie Portowej w kanastę z braćmi Borek, którzy natychmiast przyjęli go jak swego, gdy usłyszeli, że jest w tym prawdziwym mistrzem. Zawsze brakowało im czwartego do kart...

Ja, ma się rozumieć, wciąż prowadziłam zakład fotograficzny „Mewa” przy ulicy Wiejskiej. Wiktor także miał swoją firmę, czarterującą jachty – w razie potrzeby razem z załogą. Wymagało to od niego krótszych i dłuższych wyjazdów do Gdańska, do Poznania, do Chorwacji albo do Grecji.

– Nie tęsknisz, kiedy tak znika? – pytała Nina, moja przyjaciółka.

Kręciłam głową, za każdym razem z pełnym przekonaniem.

Nie tęskniłam. Cieszyłam się tymi chwilami, kiedy miałam dom tylko dla siebie. To była idealna sytuacja. Mieć kogoś, kto kocha, troszczy się, piecze rogaliki z konfiturą różaną i zawsze punktualnie o jedenastej przynosi je do „Mewy” razem z gorącą kawą... A jednocześnie zyskać przerwę od tych rogalików i tego kogoś. Wiedząc w dodatku, że nie potrwa ona zbyt długo. Że Wiktor wróci, zanim zdążę naprawdę zatęsknić.

Wracał. Zawsze wracał. Wtedy, w listopadowy szary, deszczowy poranek, pojawił się trochę wcześniej, niż się spodziewałam. Krzątałam się po kuchni w szlafroku, gdy nagle stanął w drzwiach, uśmiechnięty od ucha do ucha, opalony – wręcz nieprzyzwoicie opalony, jak na tę porę roku.

Zatonęłam w jego ramionach, nie zwracając uwagi na wodę płynącą z niedokręconego kranu i talerzyk chwiejący się niebezpiecznie na brzegu blatu.

– Dobrze, że już jesteś – szepnęłam, kiedy zatopił usta w moich włosach.

– Nie mogłem się doczekać – odparł, otaczając mnie ramionami tak mocno, że niemal nie byłam w stanie oddychać.

– Wiktorrrr, skarrrie! Wiktorrrr, Wiktorrr!

Najwyraźniej nie szeptaliśmy dostatecznie cicho. A może Adela usłyszała jego kroki?

Wiedziałam, że nie przestanie się drzeć, dopóki go nie zobaczy.

– Idź, przywitaj się z nią – westchnęłam, wysuwając się z jego objęć. – No idź... Ona też bardzo za tobą tęskniła.

Posłał mi przepaszające spojrzenie, po czym ruszył do pokoju Adeli.

Zanim jednak wszedł do środka, ktoś energicznie zastukał do naszych drzwi.

– Kto to? – Wiktor spojrział na mnie, zaskoczony.

Wzruszyłam ramionami. Nikogo się dzisiaj nie spodziewałam. A na klientów „Mewy” było stanowczo za wcześnie.

– Sprawdź – powiedziałam, zbiegając po schodach do atelier.

Wiktor zatrzymał mnie w połowie drogi, wyraźnie rozbawiony.

– Może ja powinienem to zrobić? – mruknął, całując mnie szybko w policzek, kiedy się mijaliśmy. – Mój strój jest chyba odpowiedniejszy do przyjmowania gości.

Faktycznie, on wciąż miał na sobie dżinsy i sweter, w których przyjechał z berlińskiego lotniska. Ja byłam jeszcze w ciepłym, kraciastym szlafroku... W sięgającym do ziemi szlafroku Wiktora, który tak lubiłam nosić pod jego nieobecność.

– Dzięki – zawołałam i szybko wróciłam na górę, żeby się przebrać. Jeśli to jakiś niecierpliwy klient, który potrzebuje „na wczoraj” zdjęcia do dokumentów, zdecydowanie nie powinnam pozwolić mu czekać. Może spiesz się na autobus?

– Kto przyszedł? – krzyknęłam po chwili, wyciągając z szafy mój szary sweter z mięciutkim golfem z angory. Idealny na taki deszczowy, ponury dzień, jak ten dzisiejszy.

Odpowiedziała mi cisza.

– Wiktor? – Serce skoczyło mi do gardła. Niejasne poczucie katastrofy przysłoniło radość tego uroczego poranka. – Wiktor?!

– Wiktorrrr, skarrrie... – Adela zaczęła głośno trzepać skrzydłami z niecierpliwości.

Pewnie znowu rozchlapie wodę ze swojej miseczki po całym pokoju – pomyślałam, jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie.

A potem rzuciłam mój ukochany golf na podłogę i popędziłam na łeb na szyję po schodach na dół, do drzwi wejściowych. W ciągu kilku sekund próbowałam przygotować się na najgorsze. Na widok złodziei w czarnych pończochach na twarzach plądrujących mój dom albo zakład fotograficzny. Na widok Wiktora leżącego na progu bez życia. Zawał, udar, strzał z broni palnej prosto w czoło... Istniało tyle możliwości!

Żadna z nich jednak nie okazała się prawdziwa.

Drzwi były niedomknięte. Wiktor gdzieś wyszedł. Po co? Z kim?

Otuliłam się ciaśniej szlafrokiem, postawiłam jego szalowy kołnierz jak najwyżej i wyjrzałam na ulicę.

W oknach sąsiednich domów zafalowały firanki, a na piętrze nad sklepem spożywczym mignęła mi łysa jak kolano głowa pana Kazika. Najwyraźniej w powietrzu wisiała jakaś sensacja. Ale jaka?

Zobaczyłam ich dopiero po chwili. Wiktora, w swetrze nasiąkającym deszczem w błyskawicznym tempie, i... drugiego mężczyznę, wyższego od niego o głowę, w eleganckim szarym płaszczu, trzymającego nad sobą czarny parasol i chroniącego pod nim wielki bukiet polnych kwiatów.

Powinien wystawić je na deszcz, na pewno by im nie zaszkodził. – Tak brzmiała moja pierwsza myśl. Drugiej nie było, bo po prostu замуrowało mnie w progu.

Zastygłam w bezruchu, nie mogąc wydusić słowa, a mój mózg nie produkował ani jednej sensownej myśli.

– Przyjechał się oświadczyć – szepnął nagle ktoś po mojej lewej stronie.

– Zjawił się, żeby zabić jego... albo ją – sprostował inny głos, nieco bardziej piskliwy. – Widziałaś? Ma w kieszeni pistolet!

Cofnęłam się lekko, tak żeby nie było mnie widać, ukrytej w cieniu uchylonych drzwi.

A potem zaniosłam się śmiechem.

Czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach naprawdę mógł uwierzyć, że Stefan, mój ukochany, cudowny Stefan, za którego miałam wyjść pięćdziesiąt jeden lat temu, byłby zdolny strzelić do kogokolwiek?

Oczywiście, że nie był.

Na pewno nie. Co za głupi, nedorzeczny, absurdalny pomysł...

Ale w takim razie po co się tu pojawił, tak nagle, w listopadowy poranek? Dlaczego zapukał do moich drzwi właśnie teraz, pięć minut po powrocie Wiktora z podróży? To chyba nie mógł być przypadek? W jakim celu wyciągnął Wiktora na dwór, zamiast wejść do domu i normalnie się z nami przywitać? A teraz stał naprzeciwko niego... Wyprężony, skupiony... Zupełnie, jakby mieli się pojedynkować. Jakby lada chwila miały paść pierwsze strzały.

Gdzieś po prawej stronie gwałtownie otworzyło się okno. Firanki we wszystkich domach falowały jak szalone.

Mieszkańcy Helu znowu mieli dzięki mnie naprawdę nielichą rozrywkę.

– Stefan! Wiktor! Na litość boską, co wy wyprawiacie? – zawołałam, pędząc w kapciach przez błoto w ich kierunku.

Koło mojej nogi, oczywiście, truchtał Maks. Najmądrzejszy pies świata.

Skoczył na Stefana z daleka, uderzając swoimi chudymi łapkami prosto w jego kolana. Ten zachwiał się na nogach, po czym upadł, upuszczając kwiaty

w głęboką kałużę.

– Co ty wyprawiasz? – jęknął, nie wiadomo czy do mnie, czy do psa.

– Maks chciał mnie obronić – wyjaśniłam. – Mnie i... Wiktora. Nie zamierzał przyglądać się spokojnie, jak do niego strzelasz.

– Jak co robisz? – Oczy Stefana stały się nagle wielkie jak spodki.

– Natalia, co ty pleciesz? – Wiktor podszedł do mnie, przemoczony do suchej nitki, delikatnie wziął mnie za łokieć i odprowadził pod daszek, a dokładnie pod wąski występ nad wejściem do zakładu fotograficznego „Mewa”. – Ten pan...

– Stefan Wielowiejski – dokonałam prezentacji, może w nieco niekonwencjonalny sposób, ale przecież lepsza prezentacja taka niż żadna, prawda?

– Pan Wielowiejski – zgodził się Wiktor natychmiast, nieco rozbawiony całą sytuacją. – Dlaczego uważasz, że on chciał mnie zastrzelić?

– Ktoś krzyknął, że będziecie się pojedynkować – wytłumaczyłam zgodnie z prawdą. – I że Stefan ma w kieszeni broń.

Profesor Wielowiejski, teraz już roześmiany od ucha do ucha, wywrócił obie kieszenie eleganckiego płaszcza. W jednej miał kluczyki od samochodu, w drugiej skórzane rękawiczki w kolorze koniaku. Zapewne to one, zwinięte, przypominały z daleka rękojeść pistoletu.

Wiktor z niedowierzaniem kręcił głową, prawie płacząc ze śmiechu. Wymienili ze Stefanem porozumiewawcze spojrzenia, zupełnie jakby znali się od lat.

– To naprawdę trochę tak wyglądało – przerwałam im, sama nie wiedząc, czy mam się śmiać, czy denerwować. – Dwaj rewolwerowcy w strugach deszczu... Z kwiatami i parasolem dla niepoznaki.

– Oraz z próbkami płótna na nowe żagle, pewnie również dla niepoznaki... – Wiktor wydobył z kieszeni dzinsów kilka niedużych, kwadratowych kawałków sztywnego materiału.

– Zrobiłam z siebie idiotkę, prawda? – westchnęłam cicho.

A oni obaj, jak na komendę, wykonali krok do przodu, by objąć mnie albo pogłaskać po włosach.

I obaj zastygli w pół gestu.

Wolałam nie podnosić głowy, żeby nie wiedzieć, w ilu mieszkaniach odsunięto już firanki i uchylono szyby, nie bacząc na pogodę. Byle tylko nie uronić ani jednego słowa...

Dziesięć minut później siedzieliśmy przy kuchennym stole, zaśmiewając się do łez z tego nieporozumienia.

– Chciałem pokazać panu Stefanowi, jak wjechać do nas od drugiej strony, od Steyera, żeby wygodnie zaparkować – wyjaśniał Wiktor. – Uznałem, że lepiej będzie po prostu podejść z nim kawałek, niż tłumaczyć, że musi skręcić w lewo, za

kamieniem w prawo, a potem otworzyć furteczkę, która ma odwrotnie wstawiony zamek...

No jasne. No jasne! Po prostu pokazywał mu drogę. Czy ja oszalałam z tym pojedyńkiem? Zupełnie, jakbym ich nie знаła!

– Co cię tutaj sprowadza? – zapytałam, stawiając przed Stefanem drugi kubek z herbatą. Jedną zdążył już wypić w towarzystwie Wiktora, podczas gdy ja przebierałam się ze szlafroka w dzinsy i malachitową bluzkę. Bo w tej sytuacji straciłam ochotę na mięciutki szary golf. Stefan zawsze najbardziej lubił mnie w odcieniach zieleni.

– Chciałem po prostu... – Speszył się jak sztubak, słysząc moje słowa. Niepewnie poprawił się na krześle, wymieszał dokładnie herbatę, choć nie było w niej ani jednego ziarenka cukru, i wreszcie wyrzucił z siebie jednym tchem: – Chciałem ci zaproponować... Nie, tak właściwie to przyjechałem, żeby prosić... albo błagać, gdyby proszenie nie przyniosło odpowiedniego rezultatu... Chciałem cię błagać, żebyś ze mną wyjechała.

Czy on oszalał?

Miałam Wiktora, psa, mnóstwo pracy w „Mewie” od rana do nocy... Tu, w Helu, było całe moje życie. Nie zamierzałam wszystkiego rzucić dla kogoś, kogo nie widziałam od ponad pół wieku, z jednym małym wyjątkiem, który zakończył się dość tragicznie...

– Żeby wyjechała? – powtórzył Wiktor, patrząc na Stefana z niedowierzaniem. – Czy pan naprawdę uważa, że można tak po prostu...

Stefan znowu się zaczerwienił niczym dzieciak przyłapany na kradzieży jabłek.

Profesor Wielowiejski w takim stanie? On naprawdę musiał zwariować. To było jedyne wyjaśnienie.

– To nie potrwa długo... – zwrócił się do Wiktora. – Chciałbym wyjechać z pańską żoną tylko na dwa... może trzy dni – doprecyzował, jękając się i myśląc, nawet w tym krótkim zdaniu. – Bardzo mi zależy, żeby Natalia była ze mną w Sztokholmie podczas wręczania Nagród Nobla. Ta nagroda należy się w połowie jej. I chciałbym, żeby poznał ją cały świat.

Nie odpowiedzieliśmy ani słowem. Wiktor pewnie wciąż trawił tę propozycję albo czekał, aż ja wyrażę swoje zdanie.

Ja zaś nie wyrażałam zupełnie niczego, bo wciąż brzmiało mi w głowie to, co powiedział na początku: „pańską żoną”. Naprawdę??? Czy naprawdę uważał, że wzięłam z Wiktorem ślub? I przyjechał tu mimo tego?

– Opowiedz nam o wszystkim – poprosiłam łagodnym tonem i nastawiłam raz jeszcze wodę na herbatę.

– Skarrrrrbie! – wrzasnęła Adela zza swoich drzwi.

Stefan poderwał się jak oparzony.

– Spokojnie – uśmiechnęłam się, widząc jego przerażoną minę. – To tylko papuga.

„Tylko” nie było chyba najlepszym słowem, żeby opisać rolę Adeli w naszym życiu. Ale, przynajmniej na razie, nie musiałam wtajemniczać profesora Wielowiejskiego w całą tę historię.

Wiktor nadal w milczeniu wpatrywał się w mężczyznę po drugiej stronie stołu. Może zastanawiał się, czy nie powinien traktować go jak rywala?

Stefan odchylił się na krześle. Jego uwagę przykuły zdjęcia wiszące na ścianie koło kredensu. Mikołaj i dziewczynki zawsze lubili oprawiać ze mną fotografie z plaży, ze spacerów po lesie, z wycieczek do Gdańska albo do Sopotu. Nie zdejmowałam ich, tylko dowieszałam nowe, coraz ciasniej i ciasniej. Ta ściana stała się małą kroniką mojego rodzinnego życia. Scenki bez znaczenia, uśmiechy, których powodów nikt już dziś nie pamięta... Stefan przypatrywał im się uważnie. Jego oczy zasnuł nagły cień.

Nie tak to miało wyglądać.

Miałam zostać jego żoną, zamieszkać w pięknej kamienicy przy krakowskich Plantach, zrobić doktorat, potem habilitację, pracować przez całe życie na Wydziale Biologii, piętro wyżej niż on... Miałam urodzić dwójkę albo trójkę wesółych, pulchniutkich Wielowiejskich.

Stało się inaczej. Wszystko zmieniło się w okamgnieniu w pewien kwietniowy poranek. Stefan nie miał pojęcia, co działo się w moim życiu przez ponad pięćdziesiąt lat. Mógł to zobaczyć dopiero teraz, na tych małych, wyblakłych fotografiach w tanich dębowych ramkach. Zadrżałam, zastanawiając się, czego się na nich dopatrzy...

– Cała trójka twoich bratanków wyjechała już z Helu? – zapytał.

Pokiwałam głową.

– Najstarsza, Basia, nie żyje od prawie dziesięciu lat – westchnęłam. – Umarła w Chicago, dowiedziałam się o jej śmierci dopiero po kilku miesiącach. Nigdy nie poznałam jej męża ani syna, nie mogę zapalić świeczki na jej grobie. Młodsza, Bożenka, mieszka pod Rzeszowem i...

Urwałam. Zrozumiałam, że wcale mnie nie słucha.

Wpatrywał się w inne zdjęcie, wiszące na ścianie koło okna. Tam nie było kilkunastu czy kilkadziesiątu małych fotografii. Była tylko ta jedna, duża, ujęta dodatkowo w passe-partout... Pokazywała świt nad Sekwaną. Oklepany widoczek, jakich wiele... Bukiniści rozkładający swoje stoiska na lewym brzegu. Jakaś barka płynąca nieśpiesznie u ich stóp. Promienie słońca przebijające się przez wiosenne drobne listki. A w samym rogu, tuż przy latarni, niemal niewidoczna męska postać w brązowej kurtce i niedbale zawiązanym szaliku. Gdyby ktoś nie wiedział, że tam jest, pewnie w ogóle by jej nie dostrzegł.

Stefan patrzył właśnie na tego mężczyznę, uchwyconego w moim obiektywie na skraju kadru.

Patrzył na samego siebie sprzed pięćdziesięciu jeden lat.

Drżącymi rękoma zrobiłam śniadanie dla całej naszej trójki. Przy stole panowała cisza ciężka i gęsta tak, że można byłoby pokroić ją nożem.

Podalam konfiturę ze śliwek, którymi w połowie września zapłaciła za zdjęcia ślubne zwariowana para studentów z Katowic. Byli biedni jak myszy kościelne, mieli tylko kilka garści drobniaków i cały bagażnik wypełniony skrzynkami z owocami. Dostali je w prezencie ślubnym od jakiegoś krewnego, właściciela sadu. I ruszyli przez całą Polskę rozklekotanym golfem, z tymi śliwkami, na nową drogę życia. Bo wymarzyli sobie noc poślubną w spiworach na helskiej plaży. „Właśnie tutaj poznaliśmy się dwa lata temu” – powiedziała mi dziewczyna z wielkimi, piwnymi oczami, kiedy załomotali o siódmej rano do mojego atelier. „Czy zrobi nam pani kilka zdjęć?”

Tacy młodzi, szczęśliwi i zakochani. Mieli piach we włosach, zapiaszczone stopy, piach za paznokciami... I były to chyba najpiękniejsze fotografie, jakie wykonałam w ostatnim czasie. Ich miłość i wiara w to, że razem zawojują świat, dosłownie rozsadały każdy kadr.

Uparli się, żeby zostawić mi te śliwki. Przez cztery dni smażyłam powidła na wszystkich palnikach, w największych garach, jakie udało mi się znaleźć. Byłam pewna, że nigdy nie zużyjemy z Wiktorem tego zapasu.

– Dasz mi słoiczek na drogę? – Stefan zanurzył łyżeczkę w ustach i przymknął oczy w zachwycie. – Nie miałem pojęcia, że umiesz smażyć powidła.

Przez pół wieku nauczyłam się wielu rzeczy. Na przykład tego, że czasami najlepiej jest od razu rozmawiać o tym, co najtrudniejsze, zamiast czekać w nieskończoność na właściwy moment.

– Chyba nie miałam jeszcze okazji pogratulować ci tego Nobla – powiedziałam, powstrzymując się od entuzjastycznych okrzyków, które miałam ochotę wydawać już od kilku tygodni, od kiedy dowiedziałam się o nagrodzie. – Naprawdę na to zapracowałeś. Bardzo się cieszę. Bardzo.

Uśmiechnął się, łapiąc moje spojrzenie i przytrzymując je dłużej, niż powinien.

Miałam nadzieję, że Wiktor tego nie zauważył. Nie chciałam mu robić przykrości.

– Wiesz, to naprawdę niesamowite, że nagrodę w dziedzinie medycyny przyznano botanikowi... – mówiłam, mówiłam, mówiłam, za dużo, za szybko, żeby tylko nie zapadła znowu ta kłopotliwa cisza. – Słyszałam w radiu bardzo poważną dyskusję na ten temat, łączyli się nawet z profesorem Graffensonem z Oslo. Powiedział to samo, co wszyscy: że ta decyzja Komitetu Noblowskiego

otwiera nową erę, że badania botaników zaczną wreszcie być powszechnie doceniane i postrzegane jak równoprawne z...

Przerwał mi w pół zdania, zupełnie nie w swoim stylu, pytając prosto z mostu:

– Natalio, pojedziesz ze mną po Nagrodę Nobla?

Widocznie też nauczył się już mówić pewne rzeczy od razu, bez czekania i kluczenia.

Może gdybyśmy byli tacy mądrzy już pięćdziesiąt lat temu, wszystko potoczyłoby się inaczej? Tylko jaki sens miało rozmyślanie teraz, przy moim kuchennym stole, o tym, co by było, gdybyśmy mogli cofnąć czas?

– Natalio, słyszałaś, o co pytałem? – Stefan wpatrywał się we mnie z napięciem.

Wiktor też.

– Ale ja... Co ja miałabym tam robić? – Czułam się bezradna. – To jest jakiś wielki bankiet, prawda? Bal czy kolacja... Uroczysta gala w sukniach balowych i smokingach, tylko dla laureatów... Nie wpuszczą mnie tam, nawet gdybyś chciał.

Potrząsnął głową.

– Oczywiście, że cię wpuszczą i przyjmą z wszelkimi honorami. Pojedziesz jako osoba towarzysząca nobliście, będziesz siedziała przez cały czas obok mnie. Muszę do jutra podać nazwisko organizatorom. Dlatego tu przyjechałem. Żeby cię poprosić... – Nagle odwrócił się do Wiktora i zaczął tłumaczyć mu z pasją: – Ten Nobel to naprawdę zasługa Natalii. Ona mnie dopingowała do pracy, wierzyła we mnie... od samego początku. Ja przecież zajmowałem się wtedy zupełnie czymś innym, ale Natalia była taką wizjonerką! To właśnie w czasie naszych rozmów, w Krakowie i w Paryżu, zrodził się pomysł tych badań, do których wróciłem po latach i które niespodziewanie doprowadziły mnie do Nobla. Notowałem wtedy wszystko, o czym rozmawialiśmy, w małym czarnym zeszyciku. Minęło tyle lat, a pomysły Natalii są wciąż rewolucyjne! Natalio, pamiętasz, jak kiedyś, latem, przyniosłaś z antykwariatu...

Błagam, daruj sobie szczegóły! – wołałam do niego w myślach. – Ani się waż wspomnieć o łóżku... O tym, że te rozmowy odbywały się pod kołdrą, pod kraciastym kocem ze sfilcowanymi frędzlami lub na dywanie, na którym leżeliśmy nago w upalny dzień w promieniach popołudniowego słońca.

Stefan przełknął ślinę i spojrzał na mnie tak, jakbym znowu wylegiwała się leniwie obok niego, z podręcznikiem botaniki pod głową, na tym lekko spłowiałym dywanie na stacji u pani Wieniawy-Lubeckiej. Nie miałam cienia wątpliwości, że też sobie przypominał tamte chwile, gdy moja gospodyni wyjechała na całe trzy dni na pogrzeb jakiejś ciotki pod Lublinem, a Dorota – moja współflokatorka – obiecała nie wracać z biblioteki przed dziewiątą wieczorem.

Nie mów ani słowa więcej! – zaklinałam go wzrokiem. – Nie rób przykrości

Wiktorowi, on naprawdę w niczym nie zawinił!

– Pójdę rozpakować bagażnik... – Wiktor podniósł się zza stołu i ruszył w kierunku schodów. – A potem zabiorę Makska na plażę, niech trochę pobiega... A państwo załatwicie w tym czasie spokojnie swoje sprawy.

– Ale... Wiktor! – Poderwałam się również i pobiegłam za nim. – Słuchaj, nie chciałabym, żeby to wyglądało, jakbym...

Jakbym co? Jakbym knuła coś za jego plecami? Chciała go zdradzić? Już podjęła decyzję, że pojedę do tego Sztokholmu bez względu na jego opinię? Nie bardzo wiedziałam, jak powinno brzmieć dokończenie tego zdania.

– Wszystko jest w porządku... – Wiktor przytulił mnie na moment i cmoknął leciutko w czoło. Jak starszy brat, nie jak kochanek. – Wszystko rozumiem, naprawdę. Porozmawiaj z panem profesorem, a ja... Ja muszę lecieć. Maks wyraźnie potrzebuje spaceru.

No i poleciał.

Z jakiegoś powodu bardzo mi się to wszystko nie podobało.

– Głupio wyszło – jęknął Stefan, gdy za Wiktoorem zamknęły się drzwi. – Nie chciałem stawiać go w niezręcznej sytuacji.

Tak, jak nauczyła mnie tego Nina, policzyłam spokojnie od jednego do dziesięciu. A potem na odwrót: od dziesięciu do zera. Żeby tylko na niego nie wrzasnąć.

Pomogło umiarkowanie.

– Nie mogłeś zadzwonić? Jakoś mnie uprzedzić? – Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. – Zrobiliśmy z Wiktora idiotę! On naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Wolałabym, żebyś...

– Nie miałem zamiaru upokarzać twego męża.

– Nie jest moim mężem – mruknęłam.

– No to twojego chłopaka.

Chłopaka? To brzmiało jak kpina. Jak obelga.

Nie miewałam chłopaków już od pół wieku.

– Chodziło mi tylko o ciebie. – Delikatnie położył dłonie na moich ramionach. – Bardzo mi zależy, żebyś tam ze mną była. Naprawdę uważam, że to także twoja nagroda, Natalio.

ROZDZIAŁ 2

NIETYPOWA SESJA

Ale popatrz... popatrz

Jak się kołysze i błyska

Wielkim ogniem... słoneczną iskrą

Nasze ognisko...

I nasz kot jest bardzo piękny z tym bursztynowym okiem

Andrzej Bursa, Nasze ognisko

NATALIA

Tydzień później listonosz przyniósł kopertę zaadresowaną na moje nazwisko. Bardzo elegancką kremową kopertę ze złoceniami.

W środku było zaproszenie na galę i wszelkie wytyczne: jak należy się ubrać, kiedy wejść na salę, gdzie usiąść... Jak spędzić czas między wręczeniem nagród a bankietem... Jak przywitać się z królem, a jak z jego córką, następczynią tronu.

Stefan naprawdę podał moje nazwisko i adres Komitetowi Noblowskiemu!

– Pojedziesz? – podpytywała Nina, kiedy siedziałyśmy przy kominku w jej małym domku przy samej plaży.

Uciekała ze swojego warszawskiego biura w każdej wolnej chwili, twierdząc, że właśnie tutaj, na Półwyspie, najlepiej jej się pracuje nad nowymi projektami... Jej siostry też coraz częściej wpadały do sąsiednich domków. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, że kupiły te trzy śmieszne, kolorowe chatki. I z miejsca zabrały się za budowanie czwartej na wolnym skrawku działki. Tak, żeby każda z siostrzyczek Drop miała swoje własne miejsce na Czarcim Cyplu.

Bardzo się z tego cieszyłam. Lubiałam mieć je tak blisko.

– Pojedziesz? – Nina odstawiła energicznie kubek na niski stolik z surowego drewna. Tak energicznie, że kilka kropli herbaty wyskoczyło w powietrze tylko po to, by zaraz opaść na lśniącą, kremową kopertę.

– Boże, przepraszam! – Zaczęła wycierać plamy palcami, a potem chusteczką.

Potrząsnęłam głową.

– Nie przejmuj się. To przecież nic cennego, tylko koperta.

– Koperta z Komitetu Noblowskiego! – Nina wariowała, machała kopertą w powietrzu, żeby jak najszybciej ją osuszyć, oglądała pod światło każde przebarwienie. – Natalia, wiesz, ile osób w Polsce dostało do tej pory takie koperty? To jest coś, czego nie da się kupić za żadne pieniądze!

Najwyraźniej naprawdę jej to imponowało.

Nie mogłam tego zrozumieć.

– Ninka, spokojnie. To nie mój Nobel. Zapraszają mnie jako osobę towarzyszącą. Nie ma się czym ekscytować.

Patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Natalia, proszę cię. To jest Nagroda Nobla! Nie rozdanie dyplomów uznania od starosty powiatu w konkursie na najładniej udekorowany parapet. To są Noble! Jakies miliony, tryliony dolarów! Największy dowód uznania, jaki można sobie wyobrazić. Media z całego świata, król, królowa, czerwony dywan. Natalia, ty przecież musisz tam jechać.

Nie umiałam jej tego wytłumaczyć. To nie był mój Nobel i nie moja wielka gala. Nie chciałam stąpać po czerwonym dywanie jako osoba towarzysząca ani

ściskać ręki królowi, stojąc krok za Stefanem.

Kiedyś, przed bardzo wielu laty, oczyma wyobraźni widziałam siebie podczas takiej wielkiej gali, w sukni do samej ziemi, w misternym naszyjniku zamówionym specjalnie na tę okazję.

To nie musiał być Nobel. Wystarczyłaby mi w zupełności nagroda ministra za najlepszą w Polsce pracę doktorską z dziedziny biologii... Albo drobne wyróżnienie na jakimś międzynarodowym kongresie botanicznym.

Nie obroniłam doktoratu i nie dostałam żadnej nagrody. Poza tą dla najlepszej cici, narysowaną przez Bożenkę i Mikołaja.

I to załatwiało sprawę. Skoro to nie był mój Nobel, nie widziałam naprawdę żadnego powodu, żeby lecieć do Szwecji.

Dwa dni później listonosz przyniósł kolejną kopertę. Tym razem z biletem na samolot do Sztokholmu na dziewiątego grudnia.

Gala miała się odbyć dziesiątego.

Wiktor stał w progu, oparty o framugę, i obserwował mnie uważnie, kiedy otwierałam tę przesyłkę.

– Polecisz? – zapytał zupełnie tak samo, jak pytała mnie Nina.

A ja, tak samo jak u niej przy kominku, pokręciłam głową.

To nie była moja gala. Nie miałam tam naprawdę nic do roboty.

– Profesor Wielowiejski będzie rozczarowany... – Wiktor chciał chyba, żebym jakoś mu wytłumaczyła swoją decyzję.

Nie miałam siły.

To zaproszenie, oczywiście, było bardzo miłe. Tak jak i fakt, że Stefan jechał do mnie z Krakowa, przez całą Polskę, z bukietem polnych kwiatów ozdobionych liśćmi młodego mniszka. Skąd on wziął taki mniszek w listopadzie?

To była jego nagroda i jego wielka chwila. Powinien być tam z Dorotą... ze swoją żoną.

Ale Dorota nie żyła. Czy naprawdę byłam właściwą osobą, żeby ją zastąpić? Po wszystkim, co się stało? Uznałam, że nie. Nie chciałam robić sensacji, odwracać uwagi mediów. Na pewno szybko by sobie przypomniały nagłą śmierć pani Wielowiejskiej i moją rolę w wyjaśnianiu tej sprawy. Zaczęłyby grzebać w naszych życiorysach, doszukiwać się sensacji w romansie sprzed pięćdziesięciu lat.

To po prostu nie miało sensu.

Czekam, aż zmienisz zdanie! – SMS-ował Stefan jeszcze dwa dni przed wylotem.

Nie odpowiedziałam.

– Wiem, że zrezygnowałaś ze względu na mnie... – Wiktor przytulał mnie do siebie mocniej i częściej niż kiedykolwiek wcześniej.

To nie było tak. On nie miał z tą decyzją nic wspólnego. Gdybym uznała, że powinnam tam być, nawet Wiktor nie zdołałby mnie powstrzymać. Ale chyba nie było powodów, żebym musiała wyznawać mu teraz prawdę?

Niech myśli, że zostałam w Polsce z jego powodu. Jeżeli może mu to poprawić humor...

Dziesiątego grudnia Wiktor wyszedł z domu, kiedy jeszcze spałam.

Zwykle słyszałam, jak się krząta po kuchni, czułam w półśnie cudowny zapach kawy. Czasami wymykał się z Maksem na długi spacer po lesie, a w drodze powrotnej kupował ciepłe bułki. Budziło mnie skrzypnięcie trzeciego schodka pod jego stopą. Schodząc, pilnował, żeby stanąć na nim lekko, koniecznie z prawej strony. Wchodząc po spacerze na górę, kompletnie już o tym nie pamiętał.

A może skrzypiał specjalnie, żebym nie wystraszyła się szorstkiego, psiego języka, który pięć sekund później przejedzie mi radośnie po policzku?

– Maks, kochany! – Dziesiątego grudnia otworzyłam oczy zaskoczona. Uśmiechnięty pies opierał na moim łóżku swoje chude nóżki i merdał jak szalony cienkim ogonkiem. Ale schodek nie skrzypnął, a w powietrzu nie unosił się zapach ani świeżo parzonej kawy ze szczyptą cynamonu, ani chrupiących bułeczek, na których lekko topiło się masło.

– Wiktor? – Podniosłam się na łokciu, tknięta nagłym, niejasnym jeszcze niepokojem.

Odpowiedziała mi cisza. Tylko rudy kocur sąsiadów miauczał za oknem jak szalony, tak jak każdego poranka.

– Wiktor?! – powtórzyłam, zrywając się z łóżka. Wyobraźnia błyskawicznie podsunęła mi wizję wypadku na rondzie. Wbrew pozorom pieszych w nadmorskich kurortach potracono najczęściej późną jesienią i zimą, pod nieobecność turystów. Kierowcy mieli wrażenie, że są tu całkiem sami i nie obowiązują ich żadne przepisy.

Moja przyjaciółka, Nina, pewnie umarłaby ze śmiechu, słysząc, że ktoś taki jak ja nagle tęskni za przepisami. „Natalio, jesteś piratką drogową” – powtarzała mi często z przyganą w głosie.

Ale przecież Wiktor nie chodził z Maksem do lasu przez rondo. Przechodził przez jezdnię na wysokości Żeromskiego. Nie było tam niebezpiecznych zakrętów, samochody pędzące Steyera było widać doskonale, z obu stron.

A więc... może to nie wypadek? Może Wiktor zasnął po prostu na plaży albo w lesie? Nie. Maks na pewno przybiegłby do mnie po pomoc. Był najmądrzejszym psem, jakiego spotkałam w życiu. Ale, na litość boską, nawet taki geniusz jak on nie potrafił chyba otwierać drzwi zamkniętych na oba zamki?!

Podniosłam się z łóżka i zajrzałam do kuchni.

Nikogo.

Dotknęłam czajnika. Był zimny jak kamień, a to oznaczało, że Wiktor nie parzył tego dnia kawy ani dla mnie, ani dla siebie. Nie zalewał też herbaty.

Czy mógłby wyjść z domu bez śniadania? To naprawdę nigdy mu się nie zdarzało.

– Wiktor! – zawołałam w pustkę.

– Wiktorrrrr, skarrrie!

No tak, na Adelę mogłam liczyć w każdej sytuacji. Trzepała skrzydłami jak szalona.

– Wiktor zaraz wróci – powiedziałam zrezygnowanym tonem, wchodząc do jej pokoju.

– Wiktorrr?

– Wrrrróci – zapewniłam ją najbardziej papuzim tonem, na jaki było mnie stać.

A potem podałam jej orzecha, sobie zaparzyłam kawę – oczywiście bez cynamonu, znaku firmowego Wiktora – po czym zesłam na dół, do „Mewy”. Byłam umówiona na sesję z maturzystką z Pucka. A miała to być naprawdę nietypowa sesja.

Zamówienie przyszło mailem, jeszcze w listopadzie:

Szanowna Pani, potrzebuję pięciu lub sześciu bardzo brzydkich zdjęć. Zależy mi zwłaszcza na fatalnych ujęciach mojego brzucha, twarzy i zębów. Rozstępy, krzywizny, pryszcze, zmarszczki. Cokolwiek uda się Pani wyciągnąć ze mnie okropnego. Moim życiowym marzeniem jest udział w telewizyjnych metamorfozach, a tam przyjmują tylko ludzi z naprawdę poważnymi problemami. Mam nadzieję, że podejmie się Pani tego wyzwania.

Zapowiadało się doprawdy bardzo interesująco...

Przez cały rano wydzwaniałam do Wiktora co pięć minut. Nie odpowiadał.

Pod domem nie było jego samochodu. Na podjeździe zamiast auta siedział tylko ten naburmuszony bursztynowy kot, który od kilku tygodni błąkał się po okolicy, gardząc jednak życzliwym kici-kici i jedzeniem wystawianym regularnie na próg przez moich sąsiadów.

Czy to możliwe, że zapomniałam o jakimś spotkaniu, na które wybierał się Wiktor?

A może poprzedniego dnia zrobiłam mu jakąś przykrość i w ogóle nie zwróciłam na to uwagi?

Fotografując piękne, białe zęby puckiej maturzystki, doświetlone nienaturalnie żółtym światłem, raz po raz wybierałam numer jego komórki,

jednocześnie nerwowo analizując każdą chwilę z ostatniego wieczoru... południa... potem poranka...

Kadrując jej płaski, jędrny brzuch od góry, tak żeby wydawał się choć odrobinę pofałdowany i okrągły, cofałam się w myślach coraz dalej. O dzień, dwa, tydzień...

– Przyniosę inny obiektyw, proszę momentik poczekać – rzuciłam nagle i popędziłam na górę.

Było jeszcze jedno miejsce, w które nie zajrzałam... Rano życie toczyło się w kuchni i w sypialni. Na relaks na kanapie lub wygodnym fotelu przy oknie przychodził czas dopiero po zmroku.

Ale może...?

W dużym pokoju, przed telewizorem, zobaczyłam na stoliku bukiet róż, butelkę różowego wina i jeden kieliszek. Oraz talerzyk z rogalikami z konfiturą. Moimi ulubionymi rogalikami, pieczonymi przez Wiktora regularnie, przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Obok leżał liścik:

Wypisałem Ci programy, na których możesz obejrzeć transmisję ze Sztokholmu. Polskie kanały nie pokażą jej w całości, ale masz kilka alternatyw. Wygląda na to, że uroczystość wręczania nagród najlepiej będzie obejrzeć w telewizji niemieckiej, a na bankiet przerzucić się na kanał włoski albo francuski.

Wrócę dziś bardzo późno, mam kilka spraw do załatwienia w Gdańsku i Sopocie. Gdybym miał zostać tutaj na noc, wyślę SMS.

Twój W.

PS Wstaw wino do lodówki, schłodzone naprawdę smakuje lepiej.

Kochany Wiktor.

Uznał, że powinnam spędzić ten wieczór sam na sam ze Stefanem. I wiedział, że zaprotestuję, kiedy mi powie, że wychodzi, żebym w spokoju obejrzała uroczystość.

Kochany Wiktor. Pomyślał o wszystkim, nawet o moim ulubionym winie... A potem usunął się w cień.

– Proszę pani, ktoś do pani przyszedł! – Głos maturzystki przywołał mnie błyskawicznie do rzeczywistości.

Jak mogłam zapomnieć, że siedzi tam i czeka, w dodatku z brzuchem na wierzchu?

– Momencik! Już wracam! – Złapałam długi obiektyw, którego oczywiście wcale nie potrzebowałam, i ruszyłam po schodach na dół.

W drzwiach „Mewy” stał zaróżowiony od mrozu Mikołaj, z wielką walizką w dłoni.

– Przepraszam, ciociu, że tak bez uprzedzenia.

Swoim zwyczajem podniósł mnie do góry i zakręcił się w kółko. Machałam nogami i śmiałam się jak zawsze, kiedy to robił.

Nasz mały rytuał, który zaczął się w dniu, gdy przybiegł do domu po ustnej maturze z polskiego, wołając: „Zdałem, zdałem!”. Wciąż pamiętałam zapach papierosów, które palił wtedy z kolegami na znak, że są już dorośli. W tamtych dniach często pachniał dymem, nie tylko papierosowym. Przez całe wakacje niemal co wieczór palili ogniska i śpiewali do białego rana jakieś zwariowane piosenki... To było bodaj jego najszcześniejsze lato...

– Czy możemy skończyć? – Maturzystka przeciągnęła się na welurowej sofce, wystawiając nogę w stronę Mikołaja. Najwyraźniej nagle przestało jej zależeć, by wyglądać grubo i niechlujnie.

ROZDZIAŁ 3

OKRA I TOPINAMBUR

Chorągiewka na dachu śpiewa.

Pierwszej gwiazdy wypełza pajak.

Latarnie w czarnych drzewach,

kołyszących się,

mrugają.

Józef Czechowicz, *Ulica Szeroka*

NATALIA

Mikołaj zawsze wnosił do domu tyle uśmiechu i młodości!

Fakt, że od poprzedniej wizyty nieco posiwiiał na skroniach, a w kącikach oczu dostrzegłam całkiem wyraźne kurze łapki, wcale tego nie zmieniał.

– Usiądź, ciociu – zarządził, otwierając swoją walizkę. – Przywiozłem masę pomysłów i trochę przypraw z ostatniej podróży, zaraz zrobię dla nas pyszny obiad. Wiktor mówił, że się przepracowujesz... Naprawdę bardzo się o ciebie martwi.

– Wiktor? – Nie miałam pojęcia, że kiedykolwiek ze sobą rozmawiali, nie licząc, oczywiście, ostatniej wizyty Mikołaja na Półwyspie. Wtedy Wiktor mieszkał tu już od kilku tygodni. Polubili się od pierwszego wejrzenia, chodzili z Maksem na długie spacery plażą, oglądali stare zdjęcia, wspólnie zrobili też porządek w pawlaczu, gdzie nie zaglądałam od ćwierć wieku.

Ale mimo wszystko nie przypuszczałam, że od tamtej pory utrzymują ze sobą kontakt.

– Dzwonię czasami do Wiktora, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz – wyjaśnił Mikołaj. – Ty nigdy nie mówisz prawdy, zawsze udajesz, że wszystko jest w porządku. Wolę więc zapytać kogoś, komu też na tobie zależy...

– Knujecie za moimi plecami? – Z niedowierzaniem pokręciłam głową, ale w gruncie rzeczy zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Dwaj najważniejsi mężczyźni w moim życiu naprawdę się o mnie troszczyli.

– Usiądź, ciociu, tutaj, przy mnie. – Postawił mi krzesło na środku kuchni. – Będziesz mi opowiadać, co ostatnio robiłaś, a ja przygotuję dla nas coś pysznego. Tylko dla nas dwojga, prawda? Wiktor nie zmienił planów? Wróci dopiero przed północą, tak? Albo jutro rano, jeżeli ostatnie spotkanie trochę mu się przeciągnie...

Mój dobry humor nagle gdzieś się ulotnił.

Wiktor opowiedział mu o swoich zamiarach, a przede mną wcale się nie zdekonspirował?

Mikołaj, mimo że stał przy kuchence tyłem do mnie, od razu zorientował się, że nie jestem zachwycona tym, co usłyszałam.

– Podpytywałem go trochę o wasze najbliższe plany, nie zdradzając ani słóweczkiem, że niebawem wybieram się do Polski – wyjaśnił. – Chciałem zrobić ci niespodziankę, ale bałem się, że Wiktor zaraz się wygada i wszystko zepsuje. Albo że gdzieś wyjedziesz, a ja pocałuję klamkę. Wiem, że jeździsz teraz co kilka tygodni na uczelnię, do Krakowa... Niesamowite, że tak szybko skończyłaś pisać ten doktorat i niebawem będziesz go bronić. Podobno zebrałaś fantastyczne opinie recenzentów, nawet z zagranicznych uczelni...

Wiktor naprawdę wszystko mu opowiedział!

– Kiedy usłyszałem, że będziesz dziś sama przez cały dzień, po prostu musiałem przyjechać... – Mikołaj przesłał mi najpiękniejszy ze swoich uśmiechów. – Nie mogłem przegapić okazji, żeby pobyć z moją ukochaną

cioteczka sam na sam.

Nagle znowu poczułam, że nad mój dom nadciągają czarne chmury.

– Nie lubisz Wiktora? – zapytałam ze ściśniętym sercem.

– Uwielbiam go! – Mikołaj odłożył marchewkę, którą właśnie obierał, i ukucnął przy krześle, żeby zająrzeć mi w oczy. – Jak mógłbym nie lubić kogoś, kto dosłownie nosi cię na rękach? Kogoś, przy kim rozkwitłaś i zamieniłaś się w młodą dziewczynę? Nie byłaś taka nawet wtedy, kiedy miałem siedem czy osiem lat. Wiktor najwyraźniej potrafi cofać czas. A poza tym to świetny facet! Ma poczucie humoru, pasję, jest inteligentny, no i te jego bajeczne jachty... Nie mogłem sobie wymarzyć lepszego wujcia na stare lata!

– Wujcia? – roześmiałam się z ulgą i zmierzwiłam mu włosy jak wtedy, kiedy był mały i wracał ze szkoły spóźniony o godzinę, umorusany, z podartymi spodniami i rozbitym kolanem.

I wtedy, i teraz potrafił mnie rozbroić tym swoim uśmiechem.

Dlaczego z Basią i Bożenką nie szło mi tak łatwo? Zawsze miałam wrażenie, że stoi między nami wysoki mur, przez który nie potrafię się przedrzeć.

– Dzwoniłem wczoraj do Bożeny, chciałem też ją odwiedzić. – Znowu czytał mi w myślach. A może raczej ja jemu? – Pomyślałem nawet, że pojechalibyśmy razem, ty i ja. Nie widzieliśmy się przecież od wieków. No ale moja siostrzyczka uznała, że możemy poczekać do przyszłego roku. Nie ma teraz czasu, planuje remont łazienki...

Wiedział, tak samo jak ja, że to wymówka. Jedna z całej długiej listy wymówek Bożeny...

Było mu przykro. Mnie też. Ale co mogliśmy jeszcze zrobić?

Znowu zmierzwiłam mu włosy. Nie umiałam powiedzieć niczego mądrego.

To był naprawdę wspaniały dzień.

Nie myślałam już dłużej ani o Basi i Bożence, ani o Wiktorze, który tak mnie wystraszył rano swoim zniknięciem.

Zjedliśmy przy kuchennym stole cieniutkie placki chapati usmażone przez Mikołaja błyskawicznie według przepisu, który przywiózł z Indii czy Pakistanu. Nagarnialiśmy nimi z głębokiego talerza gęsty, aromatyczny sos z mięsem i mnóstwem warzyw, które wyciągał z walizki jak magik z kapelusza.

– Nie musiałeś przywozić marchewki i ziemniaków – roześmiałam się na widok tych zapasów. – Może już nie pamiętasz, ale mamy w Helu kilka sklepów spożywczych i naprawdę da się tu kupić niezłe jarzyny.

– Okrę i topinambur też? – Mikołaj pokręcił głową z niedowierzaniem. – W takim razie faktycznie wiele się tutaj zmieniło...

– Punkt dla ciebie – przyznałam. – Nigdy nie widziałam na półwyspie okry...

Po obiedzie dyskretnie spojrzałam na zegarek. Nie chciałam na razie wspominać ani słowem o transmisji ze Sztokholmu. Postanowiłam powiedzieć w ostatniej chwili, że Nobla odbiera kolega z wydziału... znajomy sprzed lat... i że chciałbym na chwilę usiąść przed telewizorem.

W końcu o Stefanie trąbiono od kilku dni we wszystkich serwisach informacyjnych. Nagroda Nobla dla Polaka nie zdarza się przecież codziennie. A jeśli jeszcze spotkało się tego Polaka osobiście, choćby i pół wieku temu, to chyba można obejrzyć fragment transmisji z uroczystości, nie wzbudzając żadnych podejrzeń?

Miałam nadzieję, że Mikołaj nie zada zbyt wielu pytań. I że uda mi się ukryć emocje... Emocje, których trochę się obawiałam.

Na razie jednak po prostu poszliśmy z Maksem na długi spacer przez las i wydmy, aż na Czarcu Cypel. Jak zwykle miałam w kieszeni klucze, skorzystałam więc z okazji, żeby sprawdzić, czy w trzech małych domkach nie wydarzyło się nic niepokojącego. Zimą Nina i jej siostry wpadały do Helu trochę rzadziej, chociaż zgodnie twierdziły, że na pewno przyjadą na Boże Narodzenie. Nina regularnie przysyłała mi też kopie najnowszych uzgodnień z architektem, który budował czwarty domeczek, przyklejony do trzech pozostałych. Miałam kontrolować, czy prace przebiegają zgodnie z planem. Na razie z ziemi wyłaniał się tylko fundament, ale wiosną wszystko miało ruszyć z kopyta i zostać w pełni urządzone najpóźniej w połowie czerwca. Budynki z prefabrykatów dawały ogromne możliwości...

– Ładnie tu... – Mikołaj rozglądał się wokół, wyraźnie zaskoczony. – Biegałem przez cypel z chłopakami do bunkrów, paliłem na wydmy pierwsze papierosy... Ale nigdy nie przypuszczałem, że ktoś dostanie pozwolenie na budowę na działce przy samej plaży. W dodatku bez drogi dojazdowej. Jak tej twojej Ninie udało się taka sztuka?

Pokręciłam głową.

Nina nie załatwiała żadnych pozwoleń ani innych dokumentów. Kupiła gotowe, urządzone domki – i ziemię z zezwoleniem na wybudowanie jeszcze jednego, podobnego do pozostałych. Drogi wyznaczać nie zamierzała. Fakt, że na Czarcu Cypel nie da się wjechać samochodem, wyjątkowo jej się podobał. Przyjeżdżała tu przecież po ciszę, spokój i skupienie nad najtrudniejszymi projektami.

– Ktoś, kto postawił te kolorowe chatki, bardzo chciał pozostać anonimowy – wyjaśniłam. – Wynajmowanie domku odbywało się przez pośrednika, który nie miał pojęcia, dla kogo pracuje. Sprzedaż też wzięła na siebie jakaś agencja z Gdyni, zobowiązana do pełnej dyskrecji.

– Ciekawa sprawa. – Oczywiście Mikołaja błysnęły żywiej, kiedy o tym usłyszał. W liceum chciał zostać dziennikarzem i chyba wciąż gdzieś tam tliła się jeszcze ta

jego reporterska pasja.

Otworzyłam drzwi i zajrzałam do domku w kolorze limonki. Puszysty kasztanowy sweter Niny wciąż wisiał na oparciu kanapy, tak jakby wyszła dosłownie na chwilę. W powietrzu unosił się delikatny zapach jej perfum.

Mikołaj też go wyczuł, bo uśmiechnął się z aprobatą.

Może ten pomysł, który zaświtał mi w głowie w Ciechocinku, nie był taki głupi? Może faktycznie stworzyliby z Niną całkiem dobraną parę?

– Wracamy do domu na kawę i ciacho? – zaproponował. – Albo nie, mam lepszy pomysł. Zajrzyjmy do Cafe Classic, przywitać się z panią Tereską. Ciekawe, czy wciąż ma w karcie tę cudowną gęstą czekoladę na gorąco.

– Jeśli nie ma, na pewno zrobi ją specjalnie dla ciebie – uśmiechnęłam się, starannie zamykając środkowy domek na klucz. – Poczekaj jeszcze momencik, zajrzę do pozostałych dwóch. Ostatnio chwycił mróz, lepiej sprawdzić, czy nie pękła jakaś rura...

Przerwa na gęstą, aksamitną czekoladę (Mikołaja) i nieprzyzwoicie wręcz pyszną pomarańczowo-czekoladową kawę Borgia (oczywiście moją) w kawiarni na Wiejskiej przeciągnęła się do wieczora. Zerknęłam dwa razy na zegarek i wreszcie ostatecznie pożegnałam się z planem oglądania transmisji ze Sztokholmu.

Może to i lepiej, że tak się stało? – myślałam, próbując jednocześnie nie stracić wątku w opowieści Mikołaja o kłopotach z chińskim bankiem. Zobaczę to w Internecie za kilka godzin. Zamknę się z komputerem w pokoju i nie będę musiała powstrzymywać łez ani panować nad drżeniem rąk. Nikt nie odczyta z mojej twarzy więcej, niż bym chciała.

Po wyjściu ostatnich klientów właścicielka kawiarni usiadła z nami w głębokim fotelu i słuchała z uwagą opowieści Mikołaja o dalekich podróżach i pracy dla rządów egzotycznych krajów, próbujących przestawić swoją gospodarkę na nieco nowocześniejsze tory.

– To dokąd wybierasz się teraz? – zapytała pani Teresa, patrząc na niego zza okularów w ciemnej oprawce.

Mikołaj potrząsnął głową.

– Chcę się trochę uniezależnić od polityków, spróbować czegoś zupełnie nowego. Na razie w Londynie, a potem może w Polsce?

To dopiero była dla mnie niespodzianka! Spędziliśmy razem tyle godzin, rozmawialiśmy o drobiazgach bez żadnego znaczenia, a on nie zająknął się ani słowem o swoich planach!

Nie zdążyłam jednak skomentować tego w żaden sposób, bo nagle drzwi kawiarenki otworzyły się gwałtownie i do środka, wraz z mroźnym powietrzem, wpadła zdyszana Agata, żona naszego helskiego aptekarza.

– Wiedziałam, że tu panią znajdę! – krzyknęła triumfalnie. – Może by pani zlitowała się nad sąsiadami i wreszcie poszła do siebie? Proszę rozgonić tych

dziennikarzy! Spać nie dają, w okna świecą tymi swoimi lampami...

– Jakich dziennikarzy? – Kompletnie nie rozumiałam, o czym mówi.

– Jak to jakich? – Teraz to Agata patrzyła na mnie jak na wariatkę. – Niech pani nie udaje takiej skromnej. Od kilku godzin szuka pani cała Polska. Ten profesor... No, ten co dostał Nobla, wie pani, Staromiejski?

– Wielowiejski – poprawiłam ją cicho, wbijając paznokcie w oparcie fotela.
– Profesor Stefan Wielowiejski...

– No właśnie, Wielowiejski – zgodziła się natychmiast. – On przecież tak pięknie o pani mówił przy odbieraniu nagrody! Wszyscy chcą wiedzieć, kim pani jest... Dziennikarz z „Kuriera” obiecał mi nawet sto złotych, jeśli panią znajdę i przyprowadzę do niego, zanim porozmawia pani z jakąś inną redakcją. W telewizji w kółko pokazują to jego przemówienie ze Sztokholmu...

ROZDZIAŁ 4

SKUTKI UBOCZNE DIETY PUDEŁKOWEJ

ten kot nie lubi

gdy mu głaskać metafizyczne futro

pod włos

on zjadł już wszystkie światy

Halina Poświatowska, ***

NINA

Nie musiałam nawet zaglądać do kalendarza. Doskonale wiedziałam, że nie

mam gdzie wcisnąć tego wyjazdu!

Liczba spotkań, które musiałabym odwołać... Liczba dokumentów, których nie przeczytałabym, nie podpisała, nie stworzyła, gdybym chciała tam polecieć, była niewyobrażalna.

– Kto wpadł na ten durny pomysł?! – ryknęłam do słuchawki.

Odpowiedziała mi cisza.

– Kto?!

– Pani siostra – wyszeptała przerażonym głosem moja nowa asystentka. Trzecia w tym miesiącu.

Nie zawracałam sobie głowy zapamiętywaniem jej imienia. I tak wiedziałam, że długo nie zagrzeje tu miejsca.

Żeby pracować w SIS-4, nawet jako nocny portier, trzeba było mieć dość szczególny zestaw umiejętności i cech charakteru. Kreatywność Thomasa Edisona, skórę nosorożca, elastyczność umysłu równą gibkości ciała Nadii Comănesci...

Nie, nie pamiętam występów Nadii na olimpiadach. Skończyła karierę, zanim odkryłam, jaką frajdą może być oglądanie transmisji zawodów gimnastycznych... Mój ojciec jednak podkochiwał się w niej jeszcze długo po ślubie z mamą. Brali go akurat w czasie olimpiady w Montrealu.

Tata oszalał dla tej drobinki wyginającej się we wszystkie strony, jakby nie miała ani jednej kosteczki. Próbował nawet namówić mamę, żeby pierworodną córkę (czyli mnie) nazwać Nadia, na cześć rumuńskiej piękności. Bez skutku. Choć właściwie sama nie wiem, czy naprawdę lepiej byłoby być Nadią niż Antoniną. Zwłaszcza w czasach PRL-u, gdy za rosyjskobrzmiące imię było się w szkole skazanym na ostracyzm.

A więc... No tak, elastyczność Nadii Comănesci była w SIS-4 niezbędna. Tak jak i poczucie humoru, stuprocentowa dyspozycyjność i gotowość przyjazdu do firmy nawet w środku Wigilii u teściów albo własnego wesela... Zdecydowanie też przydawała się odporność na ciosy godna Andrzeja Gołoty... Może wystarczy tych sportowców? Gołota to zresztą nie najlepszy przykład. Ale zestaw naprawdę był dość specyficzny... Żeby pracować w SIS-4, trzeba było mieć wszystkie te cechy. Żeby zostać moją asystentką, należało dołożyć do nich jeszcze jedną, najważniejszą: być sobowtórem Lutki.

Tylko ona, najspokojniejsza i najodporniejsza z moich młodszych sióstr, potrafiła sobie poradzić z burzami przetaczającymi się nieustannie przez biuro. Nie rozstawiała się ze smartfonem ani w łóżku, ani pod prysznicem, ani na premierowej gali w teatrze. Galę oglądała, oczywiście, wyłącznie z powodów zawodowych. Bo Ludwika Drop nie miała życia prywatnego. Wszystkie jej myśli pochłaniała firma. Pod tym względem była nawet lepsza ode mnie. Znała na pamięć nie tylko nazwiska wszystkich – byłych, obecnych i potencjalnych – współpracowników, kontrahentów, dostawców... Ona pamiętała też imiona ich żon, dzieci, psów,

kotów oraz chomików. Jak i daty urodzin, imienin i rocznic ślubu. Wiedziała, czym się interesują, o czym marzą, gdzie spędzali ostatnie wakacje, a także dokąd zamierzają wyjechać w przyszłym roku. I robiła z tej wiedzy doskonały użytek.

A przede wszystkim rozumiała mnie jak chyba nikt inny. Wiedziała, kiedy zejść mi z drogi, a kiedy usiąść w fotelu w moim gabinecie i nie ruszać się z niego dopóty, dopóki nie podpiszę czegoś, przed czym migąłem się przez dwa tygodnie. Znała moje najmroczniejsze sekrety, najsłabsze strony, największe lęki. Była przy mnie w najgorszych chwilach w życiu.

Co mnie podkusiło, żeby zmusić ją do kierowania firmą razem ze mną i z Czarną Mańką? SIS-4 nie potrzebowała trzech prezesów... Za to ja rozpaczliwie potrzebowałam Lutki w poprzedniej roli. W roli asystentki.

– Lutka... Pani Ludwika – poprawiłam się szybko – kazała zamówić ten bilet?

– Nie.

– Mańka? – Pociemniało mi przed oczami. Najstarsza z moich młodszych siostr miała niezwykły talent do wyprowadzania mnie z równowagi. – Powinnam była od razu się domyślić. Tylko ona mogła wymyślić coś tak głupiego, jak tygodniowy wyjazd do Paryża. Akurat teraz, kiedy rusza nasza nowa fabryka i startujemy w trzech przetargach. Zaraz jej powiem, co o tym myślę!

– To nie pani Maria zleciła mi zakup tego biletu... – Asystentka, sądząc z tonu głosu, zamierzała uwolnić mnie od konieczności wręczania jej wypowiedzenia i zejść z własnej woli na zawał serca.

Niestety, wyglądało na to, że będę jej w tej ostatniej drodze towarzyszyć. Poczułam, że coś uciska mnie w piersiach i nie mogę złapać oddechu.

Skoro biletu nie zamówiła ani Lutka, ani Mańka, to... To było absolutnie nieprawdopodobne, ale dysponowałam już tylko jedną młodszą siostrą.

Siostrą, która zdecydowanie nie chciała się wtrącać w sprawy SIS-4 i prędzej odgryzłaby sobie język, niż wydała polecenie mojej asystentce.

– Kostka? – jęknęłam z niedowierzaniem.

Dziewczyna po drugiej stronie telefonu przełknęła głośno ślinę.

– Tak. Pani Konstancja Drop poinformowała mnie, że formalnie także zasiada w zarządzie SIS-4, zatem posiada wszelkie uprawnienia do zamawiania biletów.

Formalnie Kostka, gdyby tylko chciała, mogłaby nawet wyczarterować dla naszej firmy myśliwiec albo prom pasażerski z dwoma basenami i pełnowymiarową halą do siatkówki na najniższym pokładzie. Ale nieformalnie moja najmłodsza siostra wzdragała się nawet przed zamówieniem pizzy na rachunek firmy.

– Mogę odzyskać osiemdziesiąt pięć procent ceny tego biletu – zapewniła mnie szybko asystentka. – Albo przebukować go na inny termin, całkowicie

bezpłatnie. To elastyczna taryfa, w dodatku mamy z tym agentem lotniczym wyjątkowo korzystną umowę...

Wiedziałam wszystko o tej umowie. Negocjowałam ją osobiście, trzy dni po tym, jak założyłyśmy SIS-4 przy butelce wina. A potem renegecjowałam przynajmniej pięciokrotnie, zanim uznałam, że jest już dostatecznie dobrze skonstruowana, by bezpiecznie oddelegować do kontaktów z agentem naszego Sebastiana. Oczywiście, wszystkie uzgodnienia i większe zamówienia ciągle musiały się odbywać pod moim nadzorem.

– Mogę natychmiast wysłać prośbę o anulowanie biletu... – Bezimienna dziewczyna dwoiła się i troiła. Okropnie działało mi to na nerwy.

– Pani Kasiu... – zaryzykowałam. W końcu Katarzyna to chyba jedno z najpopularniejszych imion.

– Jestem Paulina – westchnęła.

No jasne. Kasie dominowały wśród moich rówieśniczek, a nawet wśród dzisiejszych pięćdziesięciolatek. W gronie studentek i świeżo upieczonych absolwentek pełno było za to Julek, Paulinek, Dominik i Natalek.

Nagle wpadłam na genialny pomysł. W ułamku sekundy postanowiłam, że odtąd wszystkie kolejne asystentki będą miały na imię tak samo. Dajmy na to... Natalia. Ładne imię. I wyjątkowo dobrze mi się kojarzy. Zastrzegę w agencji, żeby przysyłali mi same Natalie. Tym sposobem będę miała z głowy przynajmniej ten jeden problem.

– Pani Natalio – spróbowałam więc jeszcze raz, zastanawiając się nieustannie, co strzeliło Kostce do głowy z tym biletem.

– Mam na imię Paulina – szepnęła, wystraszona już nie na żarty.

– Przepraszam za pomyłkę. I proszę jutro odebrać wypowiedzenie w kadrach.

– Ale za co? Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam? Pani siostra ma przecież wszelkie uprawnienia członka zarządu, sprawdziłam to cztery razy, zanim zarezerwowałam bilet.

– Oczywiście, że ma – przytaknęłam. – Ale pani jest... to znaczy, była... moją osobistą asystentką. I wszelkie prośby, polecenia czy zamówienia od innych osób powinna pani niezwłocznie konsultować ze mną.

– Nawet te od pani siostr?

Słyszałam, że przelyka łyzy. Wciąż jednak walczyła. Była to pierwsza rzecz, która naprawdę mi się w niej spodobała.

– Zwłaszcza te od moich siostr – potwierdziłam. – Proszę zapamiętać to raz na zawsze.

– Czy to... – W jej głosie pojawiła się nutka nadziei. – Czy to znaczy, że mam szansę? Że nie muszę odchodzić z tej pracy? Naprawdę bardzo przepraszam i jeśli mogłabym jakoś...

Zastanowiłam się przez moment.

Wszystkie asystentki przysyłane przez agencję były tak samo beznadziejne. Co za różnica, czy zostawię tę, czy przyjmę kolejną i znowu będę ją uczyła wszystkiego od początku?

– Cóż, tak. Dam pani jeszcze jedną szansę... – westchnęłam ciężko.

– Dziękuję! Naprawdę, bardzo dziękuję...

Bałam się, że zaraz wpadnie do mojego gabinetu i obsypie mnie pocałunkami.

– Chwileczkę – ostudziłam jej zapał. – Jest jeden warunek.

Zamilkła.

Słyszałam w słuchawce szybki, płytki oddech. Czułam, że jest na skraju hysterii. Normalnie nawet by mnie to rozbawiło, ale nie miałam dziś czasu na historię asystentek. Wyjaśniłam więc prosto z mostu:

– Może pani zostać, pod warunkiem że nie będzie się pani upierać przy tej Paulinie. Będę mówić do pani „Natalio”, dobrze?

– Słucham? – roześmiała się niepewnie. – Natalio? Tak, dobrze. Oczywiście. Nie powinnam chyba pytać, dlaczego właśnie „Natalio”, prawda?

– Nie powinna pani – mruknęłam. – Ale odpowiem mimo wszystko. Mam dwa powody. Po pierwsze, bardzo lubię to imię. Znam naprawdę wyjątkową Natalię. Gdy tylko o niej myślę, uśmiecham się i łagodnieję, więc chyba warto się poświęcić.

– A po drugie?

– Po drugie? No cóż. Tak ma na imię pani następczyni. Asystentka, która zajmie to miejsce po pani odejściu...

Lutka i Mańka przysięgały zgodnie, że o niczym nie wiedziały.

– Dostałyśmy takie same bilety – wyjaśniła mi Lutka krótko. – Nie mam pojęcia, co Kostka wykombinowała z tym Paryżem. To do niej zupełnie niepodobne...

– Ona chyba upadła na głowę! – Czarną burzę włosów na głowie Mańki ledwo było widać zza góry segregatorów, piętrzącej się na jej biurku. – Nie ma mowy, nigdzie nie lecę, dopóki nie powie dokładnie, o co chodzi.

Kostka jednak nie zamierzała ułatwić nam sprawy.

Nie odbierała telefonów i nie odpowiadała na nasze SMS-y aż do późnego wieczora. Odezwała się dopiero, kiedy wychodziłyśmy z firmy po wyjątkowo wyczerpującej telekonferencji z naszym najbliższym współpracownikiem zza oceanu, zabójczo przystojnym Hamishem.

– Dzwoniła pani Konstancja Drop – oświadczyła recepcjonistka, ziewając potężnie. Nie zwracałam sobie głowy zapamiętywaniem jej imienia. Recepcjonistki w SIS-4, szczególnie te ziewające, zmieniały się jeszcze częściej

niż moje osobiste asystentki.

– Dzwoniła i już? – zapytała Lutka, walcząc z narastającą irytacją.

– I już – potwierdziła dziewczyna, nie bardzo rozumiejąc pytanie.

– A mówiła coś? Zostawiła może jakąś wiadomość? – podpowiedziałam, najprzejmiej jak mogłam.

– Aaa, o to chodzi. – Jej pomalowane wiśniowym błyszczkiem usta momentalnie rozciągnęły się w uśmiechu. – Tak, oczywiście. Zapisałam wszystko dokładnie, żeby nie zapomnieć.

Spuściła głowę i zajęła się przeszukiwaniem kartek i karteczek najróżniejszych kolorów i kształtów, którymi zasypany był jej pulpit.

Postanowiłam policzyć do dziesięciu, żeby nie wysłać jej od razu do kadr po świadectwo pracy.

Potem od dziesięciu do jednego.

Powinam ją zwolnić i złożyć reklamację w agencji. Była beznadziejna, tak jak osiem poprzednich, które nam przysłali. Czas poszukać nowej agencji. Bo na dawanie ogłoszenia i przesłuchiwanie setki kandydatek żadna z nas nie miała czasu. Przynajmniej nie w tym kwartale.

Dziewczyna coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo przerzucała kolejne sterty karteczek.

Zdecydowanie powinam ją zwolnić jeszcze dzisiaj. Natychmiast.

Ale przecież bardzo chciałam się dowiedzieć, jaką informację zostawiła nam Kostka. Zacisnęłam więc dłonie na brzegu blatu dla interesantów, próbując wytrzymać jeszcze chwilę.

– O, mam! – Wiśniowy uśmiech rozciągał się teraz niemal od ucha do ucha. Podała mi wymięty skrawek papieru, wyrwany z jednego z bloczków z logo SIS-4. Pierwszym, co zobaczyłam, była wielka tłusta plama w górnym rogu. Zaraz potem poraziła mnie sama notatka:

Przyjeście do mnie wszystkie trzy od razu po pracy w sprawie paryża. Kostka

Chciałam policzyć szybko jeszcze raz, do przodu i do tyłu, żeby się uspokoić.

Nie doliczyłam nawet do trzech.

– Proszę się spakować – wysapałam. – Świadectwo pracy będzie do odbioru jutro od dziesiątej. Oczywiście w kadrach, nie u mnie. Mnie proszę nie zawracać już głowy, bez względu na okoliczności.

– Ale... Ja przecież nic nie zrobiłam! – Cała twarz dziewczyny była teraz wiśniowa. Kąciki ust drgały ostrzegawczo, tak jak i jej podbródek.

Za dużo podobnych scen miałam za sobą, żeby mogło mnie wzruszyć kilka łez.

– Uprzedzając pani pytanie o referencje – rzuciłam, zapinając płaszcz – to chętnie je wystawimy, kiedy przestaniesz pani jeść na stanowisku pracy i nauczy się pisać poprawnie po polsku. Notatki z błędami ortograficznymi po prostu panią dyskredytują.

– Może ma zaświadczenie o dysleksji? – szepnęła Lutka nieco teatralnym szeptem. – Upewnij się, proszę, bo inaczej ściągniemy sobie na głowę sąd pracy.

– Z rozkoszą pójde do sądu – wtrąciła się Mańka, wracając do swojego zwyczajnego, bojowego nastroju. – I rozniosę tam w pył każdego, kto zechce mi wmówić, że takie orzeczenie wystarczy, żeby agencja wepchnęła nam recepcjonistkę, która ośmiesza firmę w oczach gości. Myślę, że powinniśmy wystąpić o małe odszkodowanie. Co wy na to? Jesteśmy jednym z najlepszych klientów, wciąż pośredniczą w znajdowaniu dla nas pracowników. Jakies trzydzieści tysięcy? Muszą zapłacić za takie zaniedbanie...

– Trzydzieści tysięcy euro? – upewniłam się.

Mańka, zadowolona, pokiwała głową.

Recepcjonistka drżącymi rękami pakowała swoje rzeczy do plastikowego worka. Jednego z tych, które sprzątaczką wkładała co rano do kosza na śmieci pod jej pulpitem.

– Pospieszmy się... – Lutka kątem oka sprawdziła godzinę na ekraniku swojej komórki. – Mam nadzieję, że Kostka ma coś do jedzenia. Umieram z głodu, nie jadłam dzisiaj nawet śniadania...

W domu Kostki można było znaleźć siedemnaście rodzajów karmy dla kotów, kotek karmiących, kocich niemowląt, seniorów i alergików. Była też karma lekkostrawna, dla rekonwalescentów po operacjach... Jak głośił napis na opakowaniu, do nabycia wyłącznie w gabinetach lekarzy weterynarii. Ale kromki chleba, jogurtu, plasterka wędliny ani woreczka suchego makaronu Kostka po prostu nie posiadała.

– Jestem na diecie pudełkowej – oświadczyła, kiedy z niedowierzaniem przeszukiwałyśmy jej lodówkę i kuchenne szafki. – Zjadłam już dzisiaj pięć posiłków. Kolejne znajdę na wycieraczce dopiero jutro przed szóstą rano.

– Po co ci dieta? – Mańka zmierzyła naszą najmłodszą siostrę krytycznym spojrzeniem. Konstancja Drop od urodzenia była chuda jak patyk. A teraz wyglądała chyba szczuplej niż kiedykolwiek. Jej nieśmiertelne czarne dżinsy w rozmiarze XXS niemal zsuwały się z chłopiących bioder. – Naprawdę uważasz, że ważysz za dużo?

Dolna warga Kostki zadrżała ostrzegawczo.

No tak, jasne. Już się zaczęło. Czarna Mańka była mistrzynią w doprowadzaniu Kostki do łez. Zresztą, nie było to trudne. Nasza najmłodsza siostra płakała z byle powodu. Przy piosenkach smutnych, nostalgicznych i przy

tych wesołych, bo „przecież radość jest taka wzruszająca”. Przy filmach, trailerach filmów, reklamach płatków śniadaniowych („Naprawdę nie wzrusza was widok szczęśliwej rodziny pochylającej się nad miseczkami pełnymi miodowych kółeczek pływających w mleku?”) i płynu do nabłyszczania kafelków („Popatrzcie tylko, jacy ci chłopcy są wdzięczni matce za blask bijący z podłogi!”), butów, twarożków i nawozów rolniczych. Naprawdę, nawozów! Wolałam nie pytać, dlaczego.

Tym razem jednak, o dziwo, zebrała się w sobie i nie wybuchła płaczem.

Zacisnęła usta, po czym spojrzała hardo w oczy Mańce. Hardo jak na możliwości Kostki, oczywiście. Hardo jak mysz siedząca w kącie i czekająca, aż opadnie na nią bezlitosna kocia łapa.

– Masz anoreksję? – zapytała Lutka. – Matko Boska, jak my mogliśmy wcześniej tego nie zauważyć?

– Anorektyczki rzadko jedzą pięć dobrze zbilansowanych posiłków dziennie – prychnęła Kostka, pokazując plastikowe pojemniczki ustawione na blacie w równym rzędzie. – Nie upadłam na głowę i nie próbuję schudnąć. Po prostu mam trzy duże mioty jednocześnie. Moje czempionki okociły się w odstępie tygodnia. Jedna z komplikacjami. Dwie inne miały ruję i miauczały przez całą noc. Nie miałam czasu spać, jeść, iść pod prysznic. Uznałam, że jedynym wyjściem jest outsourcing. Do opieki nad kociakami wpadają ludzie z fundacji, pani Hania zagląda do mnie dwa razy dziennie, żeby trochę posprzątać... No i przesłam na pudełka, żeby uratować się przed śmiercią głodową. Tym sposobem odpada mi nie tylko przygotowywanie posiłków, ale i zmywanie.

– Mogłaś je outsourcować zmywarce do naczyń! – Mańka nie byłaby sobą, gdyby przegapiła okazję do wbicia małej szpileczki. – Nie pomyślałaś o tym? Zmywarka to bardzo przydatne urządzenie...

Kostka, owszem, miała zmywarkę w domu, ale używała jej właściwie wyłącznie do mycia kocich misek oraz czyszczenia zabawek i kocyków dla kotów. Podobno sprawdzała się w tym znacznie lepiej niż pralka. Talerze i kubki myła ręcznie, żeby się zrelaksować.

Dopóki znajdowała czas na jakikolwiek relaks.

Kostka przyciągnęła do kuchni taboret i wspinała się do kolejnych szafek, wiszących pod sufitem.

– Jeśli macie ochotę coś poskubać, powinnam gdzieś mieć paczkę ekspandowanego amarantusa. Na pewno zaraz go znajdę...

Nie miałam ochoty niczego skubać! Chciałam jeść! Lutka i Mańka też umierały z głodu po tej telekonferencji z Hamishem.

Mogliśmy w sumie zamówić sushi albo nawet pizzę... Nie byłam jednak pewna, jak długo zostaniemy w mieszkaniu naszej najmłodszej siostry. Kłótnia w sprawie Paryża powinna przecież potrwać tylko chwilę...

Spojrzałam pytająco na Mańkę, największą awanturnicę z całej naszej

czwórki. Spodziewałam się, że napadnie na Kostkę jeszcze w drzwiach i zrówna ją z ziemią za ten idiotyczny pomysł z wyjazdem.

Mańka jednak zacisnęła usta i uniosła podbródek w moją stronę. Jak zawsze, kiedy chciała powiedzieć: „Załatwisz to lepiej niż ja. Bierz się do roboty”.

Nie musiała mi tego powtarzać dwa razy. Otworzyłam usta, żeby wykrzyczeć, co sędzę o rodzinnej wycieczce do Paryża, którą dla nas zaplanowała... Kostka nie dała mi jednak dojść do słowa.

– Wiem, że jesteście wściekle. Ale to naprawdę bardzo ważne – powiedziała powoli. – Musimy tam lecieć wszystkie cztery. Inaczej nic z tego nie będzie. Zaufajcie mi, proszę... To może być jeden z największych kontraktów w historii SIS-4.

– Nigdy nie wtrącałaś się w sprawy firmy – jęknęła Lutka z niedowierzaniem.

– Tym bardziej musicie mi zaufać. Ten jeden raz.

– Zdradź nam choć kilka szczegółów. Pokaż jakieś zdjęcia, raporty, ofertę... cokolwiek... – Mańka nareszcie odzyskała głos. – Nie możemy jechać w ciemno. Musimy się jakoś przygotować. Nie przejmuj się firm z marszu, bez porządnej analizy. Nie wiemy, czy w ogóle chcemy mieć tę fabrykę w swoim portfolio.

– Chcecie. To znaczy... chcemy. Jestem tego absolutnie pewna... – Kostka wylaamywała sobie palce, jak zwykle, kiedy się denerwowała.

Nie mogłam na to patrzeć.

Byłam gotowa kupić jej fabrykę kapeluszy, mebli... albo największą piekarnię we Francji. Nieważne, czy wpasuje się w profil SIS-4 i ile na tym stracimy. Od czasu do czasu mogłyśmy sobie pozwolić na drobne fanaberie. I jeśli to miała być cena za zainteresowanie Kostki firmą, za jej przychodzenie do naszego biura, przynajmniej od czasu do czasu, naprawdę z chęcią bym ją zapłaciła.

Nie rozumiałam tylko jednego. Dlaczego musialiśmy tam lecieć wszystkie cztery?

– Ale właściwie po co mamy tam lecieć w komplecie? – zapytała cicho Lutka, jak zwykle czytając mi w myślach. – Wystarczyłaby chyba sama Ninka albo Mańka... albo ja.

– Albo ty – uśmiechnęłam się do Kostki zachęcająco. – Na pewno zdołasz załatwić to sama. Możemy dać ci zresztą kogoś do pomocy. Agnieszkę, Szczepana, Sebastiana... Oni pracują w SIS-4 od lat, doskonale wiedzą, jak daleko mogą się posunąć w negocjacjach, na jakie ustępstwa sobie pozwolić. Nie będziesz musiała nic mówić.

Nasza najmłodsza siostra zaplotła palce w dziwaczny paragraf, jakby nie miała w nich ani jednej kości, i potrząsnęła burzą wściekle rudych loczków okalających jej głowę jak promyki jakiegoś zwariowanego słońca.

– Musimy pojawić się tam wszystkie – oświadczyła. – Taki jest warunek sprzedającego. Chce poznać cały zarząd, zanim podejmie decyzję, albo nici z umowy. W tej sprawie, jestem pewna, nie pójdzie na żadne ustępstwa.

Milczałyśmy przez chwilę, kręcąc się nerwowo na wielkich, przykrytych kraciastymi kocami kanapach. Wolałam nie myśleć o wszystkich kocich włosach, które przyczepiały się właśnie do mojej najlepszej czarnej garsonki. Powinnam przebrać się w jakiś łach, choćby stary dres Kostki, a garsonkę od razu, w drodze do domu, podrzucić do pralni ekspresowej. O ile będzie jeszcze czynna...

– Zamówię sushi – westchnęła Mańka, sięgając po telefon.

A więc jednak nie zdążę do pralni...

Oczekiwanie na dostawę sushi ciągnęło się w nieskończoność.

Po raz pierwszy od lat (A może w ogóle po raz pierwszy w życiu?) nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia.

Kostka pozostawała głucha na wszelkie argumenty. Powtórzyła osiem razy, że musimy jechać wszystkie, po czym poszła do drugiego pokoju, by nakarmić trzy mioty małych kociaków.

– Twój Pompon pewnie też jest głodny – mruknęła Lutka bez specjalnego zainteresowania. Chciała chyba po prostu zapęłnić czymś ciszę. – Powinnaś do niego wracać.

– Pompon czuje się lepiej niż my. Jest najedzony, wysiusiany, był na dwóch albo trzech spacerach, trenował łapanie frisbee przynajmniej przez kwadrans.

Dwie pary oczu, jedna zielona, a jedna czarna jak węgielki, zwróciły się zgodnie w moją stronę z tym samym wyrazem zdumienia.

– Jak to? – zapytała w końcu Lutka. – Przecież wyrzuciłaś z hukiem tamtą wyprowadzaczkę?

– Wyprowadzaczka to za mało przy moim trybie życia. Wynajęłam Pomponowi nianię z prawdziwego zdarzenia – uśmiechnęłam się pod nosem, widząc ich miny. – A właściwie niańka. Jaki jest rodzaj męski od „nianki”? Nianiek? Głupio brzmi, nie?

– Opiekun – podsunęła Czarna Mańka spacerując po pokoju w kółko, coraz szybszym krokiem, jak ryś albo lew na wybiegu w zoo. – Seksowny ten twój opiekun? Kiedy mi go przedstawisz?

Najstarsza z moich młodszych sióstr była nie tylko niezwykle wybuchowa, ale też bardzo kochliwa. Przez jej łóżko nieustannie przechodzili sąsiedzi, koledzy ze studiów, kurierzy, dostawcy pizzy... A z każdym wiązała wielkie nadzieje... przynajmniej przez pierwszy kwadrans. Nie zdziwiła się więc, kiedy zakładając firmę, kazałam jej od razu podpisać zobowiązanie, że nie będzie sypiać z pracownikami ani kontrahentami. Cały czas miałam ją na oku. Sama zaproponowała, że odejdzie z SIS-4, jeśli złamię ten zapis... Miałam nadzieję, że

nigdy nie będzie zmuszona tego zrobić.

Odmawiałam zatrudniania nawet tych, z którymi sypiała dawno temu. Jedynym wyjątkiem był Gustaw Grotowski, genialny prawnik o wyglądzie niechlujnego hipisa. Spędziła w jego łóżku cały drugi rok studiów i przysięgała, że od tamtej pory kontaktuje się z nim wyłącznie służbowo.

Grotowski był mi naprawdę potrzebny i Mańka to rozumiała. Nie mogła sobie pozwolić na chwilę słabości. Nie w towarzystwie obwieszzonego wisiorkami Gucia.

W końcu firma to firma. Nie ma tu miejsca na amory. Zwolniłam już kilka par i nigdy nie miałam wątpliwości, czy naprawdę powinnam to robić. Powinnam i robiłam. Bez chwili wahania. Wcześniej czy później doszłoby do konfliktu interesów. Albo przepływu między zakochanymi takich informacji, które absolutnie przepłynąć nie powinny.

Ludzie wiedzieli doskonale, że takie mamy zasady, i zgadzali się na nie, podejmując pracę. Zakochując się w koleżance z działu, musieli złożyć wypowiedzenie albo... zmienić obiekt westchnień. Nie istniały żadne wyjątki. Dla Mańki też nie. Romans jednej z prezesek z prawnikiem obsługującym nasze kontrakty, z inżynierem z linii produkcyjnej, ochroniarzem, klientem, z kimkolwiek związanym z SIS-4, mógłby być dla naszej rodzinnej firmy śmiertelnie groźny. Nie zamierzałam ryzykować. I miałam nadzieję, że Mańka naprawdę to rozumie.

– Więc co z tym opiekunem Pompona? – powtórzyła, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Spodoba mi się? Jak myślisz?

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. Zamierzała podrywać nawet mojego znalezionego z takim trudem Daniela?

– Nie masz wstydu – westchnęłam.

A ona przytaknęła mi radośnie.

Dostawca sushi okazał się dziewczyną, w dodatku w ciąży.

Ciężarne blondynki szczęśliwie nie mieściły się w obszarze zainteresowań Czarnej Mańki.

Za to sushi zdecydowanie mieściło się w obszarze zainteresowań kotów. Zarówno tych rasowych dziwaków zwanych ragdollami, jak i dachowców, przygarniętych przez Kostkę gdzieś na śmietniku albo wyciągniętych spod kół samochodu. Dachowce mieszkaly w dawnej garderobie, starannie ukrywane przed klientami przychodzącymi po wybitnie rodowodowe ragdolle. Zwykle nie zostawały tam długo.

Kostka była tylko opiekunem tymczasowym dla najtrudniejszych przypadków. Odkarmiała, odrobaczała, uczyła ufać człowiekowi i znajdowała miejsce, w którym mogły zamieszkać na stałe. Bardzo pilnowała, żeby nie opuszczały garderoby i nie pokazywały się klientom prestiżowej hodowli. Hodowla

zarabiała przecież na utrzymanie kilku większych domów tymczasowych i całej fundacji pomagającej bezdomnym zwierzętom. Musiała więc zachować nieposzlakowaną opinię i sprzedawać najdrożej w kraju te dziwne koty, które nie umieją wysuwać pazurów i skakać na meble. Dachowce mogły być najwyżej dwa. Żeby nie wymknęły się spod kontroli.

Tym razem, wyjątkowo, było ich pięć. Pięć wygłodniałych, chudych, przegowanych kotów o dzikim wzroku, próbujących odebrać nam sushi.

Ragdolle, łagodne i bezwolne jak szmaciane lalki, też nagle poczuły zew natury. Otoczyły nas ze wszystkich stron. Siedem, osiem, dziewięć... Przy dziesiątym przestałam liczyć i zaczęłam chronić swój plastikowy pojemniczek.

– Nie dajesz im jeść? – zapytała Lutka, wymachując wielkiemu szaremu kocurowi pałeczkami przed samym nosem.

Kostka puknęła się w czoło.

– A jak myślisz? Dostają najlepszą suchą karmę, dopasowaną idealnie do ich potrzeb. Ale jednak nie jest to sashimi ani california maki z krewetką tygrysią.

– Chyba tuńczyk i ryba maślana pasują im bardziej niż krewetka w tempurze. – Lutka ciągle uprawiała szermierkę pałeczkową, rezultaty jednak, przynajmniej na razie, były dość wątpliwe. Nigiri z sandaczem i hosomaki z macką ośmiornicy udało jej się uchronić przed kocimi zębiskami, ale sos sojowy rozlał się malowniczą plamą na beżowym dywanie Kostki.

– Nic się nie stało, naprawdę... – Kostka próbowała robić dobrą minę do złej gry. – Zaraz je pozamykam. Nie mam pojęcia, co im odbiło, normalnie wcale tu nie wchodzi.

– Surowa ryba działa nawet na ragdolle – westchnęłam, unosząc swoje pudełko ponad głowę, żeby nie padło łupem zwinnej kotki z wyjątkowo puszystym ogonem o dziwnym marcepanowym kolorze. Spojrzała na mnie z odrazą i zeszła niezdarnie na ziemię.

– Nie, tylko nie to! Vanessa, uważaj, nie możesz się poplamić! – Kostka rzuciła się jak puma i złapała kocicę centymetr od sojowej plamy. – O, Boże, nie chcę nawet myśleć, co by było, gdybym puściła ją na wystawę w takim stanie. To moja najcenniejsza czempionka, mam już zapisy na listę rezerwową na jej dwa kolejne mioty...

Mioty urażonej Vanessy średnio mnie obchodziły.

– Pozamykaj te swoje czempionki i porozmawiajmy wreszcie o Paryżu – zaproponowałam. Miałam już dość tej zabawy w, nomen omen, kotka i myszkę.

Kostka spojrzała w okno, jakby tam szukała inspiracji, a potem uniosła podbródek, wyprostowała plecy i – ciągle z Vanessą w ramionach – wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Nigdy was o nic nie prosiłam. Nigdy nie wtrącałam się w sprawy firmy. Przeciwnie, trzymałam się od nich jak najdalej. Ale to jest coś szczególnego.

Dlatego bardzo chcę, żebyście zobaczyły na własne oczy fabrykę, którą możemy przejąć. Nie umiem wam jej opisać, nie potrafię przedstawić analizy przewidywanych kosztów ani stopy zysku rocznego z kapitału rezerwowego.

– Nie ma takiego pojęcia: „stopa zysku rocznego z kapitału rezerwowego” – wtrąciła się Mańka, rzucając znowu pioruny z oczu. – Ten kapitał tworzy się z zysku i można go przeznaczyć na pokrycie strat, więc sam żadnego zysku przynosić nie jest w stanie. To po prostu nie do wiary, że ciągle tego nie pojmujesz...

ZUPA Z RAKÓW

fontanny, luvry, kotki,

tryb życia nader słodki.

– A Sekwana zielona...

Konstanty Ildelfons Gałczyński,

Rozmowy z diabłem z Notre-Dame

NINA

– Nie wierzę, że naprawdę to robimy – jęknęłam, rzucając na łóżko teczkę

pełną dokumentów.

Wynajęliśmy największy dostępny apartament i zabraliśmy do Paryża połowę biura. A i tak nieustannie towarzyszyło mi przecucie katastrofy. Nigdy nie zostawialiśmy firmy jednocześnie, wszystkie trzy. Kiedy wyjeżdżałam, na miejscu była Mańka albo Lutka... A najczęściej obydwie. Ogarniały sytuację i raportowały mi każdy szczegół przynajmniej dwa razy dziennie.

Oczywiście, byliśmy nieustannie podpięte do firmowej sieci, monitorowałyśmy wszystkie rozmowy, negocjacje, przelewy, faktury. Miałyśmy oko na każdą z naszych fabryk i nawet nie poinformowałyśmy dyrektorów o wyjeździe. Kontaktowałyśmy się z nimi na początku i na końcu dnia pracy, jak zwykle.

Agnieszka, Szczepan i Sebastian przysięgli nam uroczyście, że nie wyciszą telefonów ani na sekundę. Cały czas byliśmy z nimi w kontakcie.

Ale i tak tysiące spraw mogły się zawalić pod naszą nieobecność.

– Dobrze, że zdążyłam wypchnąć w weekend wszystkie kociaki do nowych właścicieli – westchnęła Kostka, otwierając walizkę.

O nie, nie zamierzałam się martwić jeszcze jej ragdollami o szklanym, przezroczystym wzroku bez cienia emocji! Brudne, zdziczałe dachowce miały w oczach sto razy więcej uczuć niż te rodowodowe kulki puchu!

O Pompona, na szczęście, też martwić się nie musiałam. Wyjechał do Natalii na helskie wakacje, choć pora roku nie była na to najlepsza, zwłaszcza dla mojej przyjaciółki. Na pewno musiała nieustannie wycierać mu z błota łapy, brzuch i całą resztę kudłatego ciała.

Natalia jednak zapewniała, że nie powinnam niczym się przejmować. I że naprawdę bardzo się cieszy, że mój czarny potwór odwiedzi ją i Maksa.

Nie miałam czasu rozmyślać, czy mówi szczerze. Po prostu zapakowałam miski, suchą karmę, zabawki, posłanie i ulubiony kocyk – a potem wysłałam Szczepana z misją specjalną na Półwysep.

Nie znoszę wykorzystywać pracowników do załatwiania prywatnych spraw. Nie było jednak innego wyjścia. Jeżeli chciałam przygotować firmę na cały tydzień bez naszej trójki, spakować walizkę i zdążyć na samolot do Paryża, nie mogłam jechać do Natalii i z powrotem. Szczepan robił to dla SIS-4, nie dla mnie.

Wiedziałam, że to doskonale rozumie. On, Sebastian i Agnieszka byli z nami od początku. Mogłyśmy im zaufać w każdej sprawie.

Teoretycznie więc nie musiałam się o nic martwić. Ani o Pompona, ani o firmę, która została na ten tydzień w naprawdę dobrych rękach.

A jednak umierałam z niepokoju.

– Powiesz nam teraz, po co tak naprawdę tutaj przyjechałyśmy? – poprosiłam Kostkę. – Co to za niezwykła, cudowna firma, którą koniecznie musimy mieć w portfolio SIS-4?

– Jutro – odpowiedziała podejrzenie twardym tonem. – Wszystkiego dowiecie się jutro. Dziś chciałabym zjeść z wami paryską kolację...

Kolacja faktycznie była bardzo paryska.

– To na pewno jest restauracja? Nie pomyliłaś adresu? – zapytała Czarna Mańka, nieufnie patrząc na witrynę, w której wystawiono wyłącznie stare, niebieskie syfony. – Nakarmią nas tu wodą mineralną? Kostka, litości, ta dieta pudełkowa rzuciła ci się chyba na mózg...

Kostka nie powiedziała ani słowa, tylko popchnęła drzwi z szybą zakrytą prostą, białą zasłoneczką bez żadnych zdobień. Wymieniłam z Mańką i z Lutką zrezygnowane spojrzenia. Pozostawienie wyboru restauracji Kostce zwykle kończyło się katastrofą. Trudno, najwyżej w drodze powrotnej kupimy pizzę na wynos albo zamówimy z hotelowego menu coś do pokoju.

Nie doceniłyśmy Kostki. Nie przypuszczałyśmy, że za witryną z syfonami kryje się jedna z paryskich świątyń smaku. Bistro Benoit, założone w 1912 roku. Prawdziwa legenda wyróżniona gwiazdką Michelin.

– Nie miałam pojęcia, że to będzie aż taka kolacja! – westchnęła Lutka z rozkoszą, zanurzając łyżkę w gęstej zupie rakowej. – Nigdy nie wydawałaś się koneserką.

– Bo nią nie jestem – roześmiała się najmłodsza z moich siostr, wyraźnie zadowolona z wrażenia, jakie na nas zrobiła swoją niespodzianką. A potem nagle spoważniała, przełknęła ślinę i dodała cicho: – Po prostu pomyślałam, że... No wiecie, w końcu to Paryż. Miasto, o którym słuchałyśmy co wieczór zamiast bajek na dobranoc. Cholerne miasto światła i miłości. Pomyślałam, że skoro już tu razem jesteśmy, musimy dostarczyć sobie szczególnych przeżyć. Niech każda chwila będzie idealna. Zemścijmy się na Paryżu za to, że zabrał nam matkę i normalne dzieciństwo. Pokażmy mu, że nie rozpaczamy... I że jesteśmy kobietami sukcesu.

Zastygłyśmy w bezruchu, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

Kostka nigdy nie wygłaszała podobnych przemówień. I zawsze miała w dupie bycie kobietą sukcesu. Obchodziło ją jedynie ratowanie kotów. Za sukces poczytywała sobie każdego zapchlonego dachowca, którego udawało jej się odkarmić i dla którego znajdowała nowy dom.

Najwyraźniej nie wiedziałam o niej wszystkiego.

– Za kobiety sukcesu! – Mańka opanowała się pierwsza i uniosła w górę swój kieliszek. – Za siostrzyczki Drop, które zawsze i ze wszystkim dadzą sobie radę.

– Nawet z Paryżem – powiedziała głucho Lutka.

– Nawet z Paryżem – potwierdziłyśmy we trzy zgodnym chórem.

– Czy coś nie tak? Zupa nie przypadła paniom do gustu? – Kelner pochylił się z troską nad naszym stolikiem.

Najwyraźniej w restauracjach z gwiazdką Michelin należy przede wszystkim jeść. A nie wygłaszać przemowy, pozwalając wystygnać niebiańskiej kremowej zupie rakowej, przybranej odrobiną szczypiorku.

O świcie zbudziła mnie Mańka miotająca się między łazienką, salonem a swoją sypialnią. Trzaskała drzwiami, zapalała, to znów gasiła światło...

– Czegoś szukasz? – zapytałam, kiedy przebiegała koło mojego pokoju.

Nie odpowiedziała. Zatrzasnęła drzwi do łazienki, po czym odkręciła wodę.

Przetarłam oczy i poczłapałam do naszego saloniku. Lutka i Kostka już tam były, półprzytomne i rozczochrane, podobnie jak ja.

– Zatrula się czymś – mruknęła Lutka, owijając się ciasniej szlafrokiem i wypijając duszkiem butelkę wody Perrier.

Jakby na potwierdzenie jej słów Mańka wypadła z łazienki i popędziła prosto do swojego pokoju. Drzwi, popchnięte przez nią kolanem, niemal wyskoczyły z futryny.

– Zaraz nas wyrzucą z tego hotelu – jęknęła Kostka.

– Nie będzie tak źle, ściany są przecież dźwiękochłonne... – Lutka próbowała właśnie odkręcić drugą butelkę wody. Na razie bez skutku.

– Skąd wiesz, że są dźwiękochłonne? – spojrzałam na nią uważnie. – Przecież nie ty rezerwowałeś dla nas ten apartament...

– W każdym pięciogwiazdkowym hotelu pokoje powinny być porządnie wyciszone. – Lutka wreszcie uporała się z nakrętką i opadła na kanapę. – A ty powinnaś najlepiej o tym wiedzieć...

Może i faktycznie były wyciszone. Ale nawet ściany grubości metra nie zdołałyby chyba zagłuszyć potężnego hałasu, jaki rozległ się nagle z sypialni Maryśki.

– Co ona wyprawia? – jęknęła Kostka, podnosząc się z kanapy.

– Nie wchodźcie tutaj! – ryknęła Mańka. – Słyszycie? Idźcie sobie! Idźcie na śniadanie i dajcie mi chwilę odpocząć.

Spojrzałyśmy na siebie bezradnie.

– Coś ci chyba spadło? – zapytała niewinnie Lutka, próbując zajrzeć do środka przez szparę pod drzwiami. Dziurki od klucza niestety w nich nie było.

– Nie. Tak. Nic takiego. Wazonik i... telewizor.

Telewizor?!?

– Mańka, otwórz – prosiłyśmy. – Pomożemy ci tam posprzątać.

Cisza.

– Mańka, trzeba zawiadomić recepcję...

Znowu bez odpowiedzi.

– Na pewno nic ci nie jest? – zawołałam głośniejszym głosem do zamkniętych drzwi.

– Idźcie sobie – powtórzyła Czarna Mańka, dziwnie dysząc.

A więc zeszliśmy do restauracji. Maria Teresa Drop, jak zwykle, postawiła na swoim.

Gdy wróciliśmy ze śniadania, Mańka wyglądała odrobinę lepiej. Na jej bladych policzkach pojawiły się lekkie rumieńce. Zdołała nawet spiąć włosy. Leżała w szlafroku na stercie poduszek z przymkniętymi oczami.

Pod naszą nieobecność w pokoju najwyraźniej zjawiała się sprzątaczką, gdyż zniknęły najdrobniejsze ślady porannej katastrofy. Szlafrok Czarnej Mańki też był nieskazitelnie czysty – a więc nowy.

– Mamy dla ciebie bułkę... – Kostka troskliwie dotknęła jej czoła. – A lekarz powinien przyjść mniej więcej za godzinę.

– Wezwiałaś lekarza? – zapytałam.

– No pewnie. Ktoś przecież musi ją zbadać i jak najszybciej postawić na nogi. Dzisiejsze spotkanie przełożę jakoś na jutro. Ale dłużej przeciągać sprawy już się chyba nie uda...

Spojrzałam na Kostkę z szacunkiem, chyba po raz pierwszy w życiu. Zamiast chlipać i histeryzować przy łóżku Maryśki, ona myśli o tym, że interes życia przejdzie nam koło nosa. No, no, no... Może jeszcze będą z niej ludzie?

Byłam coraz bardziej ciekawa, cóż to za niezwykła, cudowna firma, którą koniecznie chce kupić.

– Nie siedźcie tak przy mnie, bo zwariuję. – Głos Mańki, cichszy i słabszy niż zwykle, nie był ani trochę mniej zirytowany. – Idźcie, proszę. Zdrzemnę się... Poczekam na lekarza.

Szybko wymieniłam porozumiewawcze spojrzenia z Lutką i Kostką.

Moim zdaniem nie potrzebowała żadnego lekarza. Nie była umierająca, tylko zwyczajnie się struła. Chyba raczej winem, które piłyśmy po powrocie do hotelu, niż tą boską zupą rakową z gwiazdką Michelin... Zupę jadłyśmy wszystkie. Wina też niby żadna z nas sobie nie odmówiła, ale Mańka nie odmówiła jakby bardziej niż nasza trójka. Teraz musiała to odpokutować. A babcia Krysia zawsze powtarzała, że w takim przypadku sen i głodówka to najlepsze lekarstwo.

No ale jednak, na wszelki wypadek, nie powinnyśmy raczej zostawiać jej całkiem samej.

Żadna z nas nigdy nie nauczyła się francuskiego, na przekór mamie. Angielski, niemiecki, hiszpański, włoski, rosyjski i portugalski... We cztery opanowałyśmy chyba wszystkie główne europejskie języki – oprócz francuskiego. W hotelu wszyscy mówili po angielsku, ale jak Mańka się dogada z wezwanym lekarzem, jeżeli nie będzie znał obcych języków?

Nie pomyślałam wtedy, że nie pomożemy jej w tej sprawie... Bo przecież także i my nie zdołamy się porozumieć z paryskim doktorem, niewładającym żadnym językiem poza swoim własnym. Nie przyszło mi to do głowy. Po prostu

stwierdziłam, że nasza siostra nie może zostać sama w hotelu. Lutka i Kostka najwyraźniej uważały tak samo.

– Posiedzę z tobą – zaproponowała Kostka szybko. – Załatwię kilka telefonów, spróbuję przesunąć zaplanowane spotkania...

– Posiedzimy wszystkie – sprostowałam. – Skoro nie będziemy dziś zwiedzać fabryki... Może pokażesz nam dokumenty i opowiesz wreszcie, o co chodzi?

– Nie teraz! – Mańka złapała się za głowę i gwałtownie opadła na poduszki. – Nie skupię się na liczbach, a nie chciałabym, żeby cokolwiek mnie ominęło. Poczekajmy z tym, aż dojdę do siebie.

Wymieniłam z Lutką niepewne spojrzenia.

I nagle podjęłam decyzję.

– Chodźmy. Słyszysz, Lutka? Po prostu chodźmy na spacer. Kostka zadzwoni, gdzie trzeba... Mańka trochę się zdrzemnie. Po co mamy tu tkwić?

Wszystkie trzy spojrzały na mnie zaskoczone. Nawet Mańka, przed chwilą już prawie przysypiająca, podniosła się na łokciu.

– Chcesz iść na spacer? Tak zwyczajnie, dla przyjemności? – zapytała. – Nie żartujesz?

Nie żartowałam, naprawdę. Byłam w Paryżu pierwszy raz w życiu. Moje siostry też. Nienawidziłyśmy tego miasta, tak samo jak języka. Wszystkiemu winna była oczywiście nasza mamusia monarchistka, zakochana w kolejnych Ludwikach i ich żonkach... Nadająca nam te cholerne, królewskie imiona. Antonina, Maria Teresa, Ludwika, Konstancja...

Każda z nas – no, może oprócz Mańki – miała w szkole po prostu przesrane. Kostka przez pierwszy tydzień próbowała wmawiać koleżankom, że tak naprawdę ma na imię Justyna, tyle tylko, że ich wychowawczynie cierpi na wadę wymowy... i właśnie dlatego dziewczynki słyszą przy odczytywaniu listy obecności jakieś dłuższe i dziwniejsze imię.

Paryż kojarzył nam się z życiowymi upokorzeniami. I z najokropniejszymi zachowaniami naszej matki. Od jej wizyty w Paryżu zaczęło się przecież to całe szaleństwo...

Ale mnie od pewnego czasu kojarzył się jeszcze z czymś innym. Z Natalią i najszcześniejszymi chwilami w jej życiu. W ramionach Stefana w małym pensjonacie nad Sekwaną... Opowiadała o nich z takim żarem, z takim blaskiem w oczach, mimo że minęło już pięćdziesiąt lat.

Czułam, że może mi się udać... Jeżeli tylko spojrzę pod odpowiednim kątem. Że naprawdę może mi się udać dostrzec w tym mieście to samo, co urzekło moją przyjaciółkę.

Musiałam tylko wyjść z doskonale wygłuszonego, sterylonego, pięciogwiazdkowego hotelu i dać się ponieść rytmowi Paryża.

Przymknęłam oczy, wspominając opowieści Natalii. Dwadzieścia czy trzydzieści mostów, każdy ze swoją historią. Małeńkie cukiernie, strome zaułki Montmartre'u, uliczni malarze... No i muzea, pełne największych dzieł sztuki.

– Idziemy? – powtórzyłam, wpatrując się w zaskoczoną Lutkę.

– Tak, tak... Oczywiście, że tak – roześmiała się z niedowierzaniem. – Ale komórkę chyba weźmiesz ze sobą?

– Co za pytanie! Oczywiście, że wezmę. Muszę mieć kontakt ze Szczepkiem, napisać do Hamisha w sprawie siódmego punktu tej nowej umowy z Ukrainą, dowiedzieć się od Agnieszki, czy kontener dla Meksyku udało się uwolnić wreszcie z cła, i wypchnąć go w dalszą drogę...

– Całe szczęście – westchnęła Lutka nieco teatralnie. – Już się bałam, że będziesz zaznawać paryskich uroków bez kontaktu ze światem. Gdybyś rzeczywiście chciała to zrobić, chyba wezwałabym jeszcze jednego lekarza, tym razem dla ciebie, nie dla Mańki...

– Te naleśniki to był naprawdę świetny pomysł! – Dziewięć czy dziesięć godzin później spojrzałam na Lutkę z podziwem. – Dużo lepszy niż wczorajsza kolacja z gwiazdkami Michelin. I to był... Wiesz, to był naprawdę fantastyczny dzień. Dziękuję, siostrzyczko.

Lutka stanęła na środku ulicy, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem.

– Podziękowałaś mi? Chyba po raz pierwszy w życiu!

– Na pewno nie. Ja przecież... – Rozpaczliwie przeszukiwałam nasze wspólne wspomnienia. – Na pewno dziękowałam ci wiele razy. Byłaś moją asystentką, ratowałaś mi tyłek... Musiałam ci za to dziękować.

Pokręciła głową z tym swoim smutnym uśmiechem. Nie znosiłam, kiedy uśmiechała się w taki sposób!

– Ten kontrakt z Japończykami... Budynek, który cudem znalazłaś na fabrykę pod Białymstokiem, dosłownie pięć minut przed złożeniem wniosku o tę bajeczną unijną dotację... Ciągłe awantury z urzędami celnymi, z których tylko ty jedna potrafisz wyjść zwycięsko... Musiałam ci za to dziękować tysiące razy.

Rude sprężynki na jej głowie, trochę ciemniejsze i dłuższe od moich, podskoczyły znowu w lewo i w prawo, a usta po raz kolejny rozciągnęły się w melancholijnym grymasie.

Nie dziękowałam.

Cholera ciężka, naprawdę za nic jej nie dziękowałam. I w sumie, może miałam rację? To przecież nasza wspólna firma... Każdej z nas powinno zależeć tak samo na jej sukcesach i wcale nie musiałyśmy sobie dziękować.

Ale, z drugiej strony, podczas gdy ja siedziałam sobie wygodnie w gabinecie z cudownym widokiem na Stare Miasto, Lutka brała na siebie kontakty z najtrudniejszymi klientami, bieganie w deszcz, mróz, wichurę po placach budowy

naszych kolejnych fabryk, inwektywy, którymi obrzucał ją systematycznie kierownik urzędu celnego przy wschodniej granicy...

Nawet teraz, kiedy formalnie nie była już asystentką, tylko jedną z prezesek, wciąż wykonywała całą czarną robotę.

Zdecydowanie powinnam częściej jej dziękować.

Wyciągnęłam ręce, żeby ją przytulić. Szukałam w głowie odpowiednich słów. Szukałam... o sekundę za długo.

– Rusz się, Ninka, bo zamarzniemy... – Lutka owinęła się ciasniej cudownym, kaszmirowym szalem we wszystkich odcieniach fioletu, który Mańka przywiozła jej z Indii.

Odpowiedni moment na wyrażenie uczuć minął bezpowrotnie. Moja młodsza siostra zatupała niecierpliwie po nierównym bruku, po czym pociągnęła mnie za rękę w stronę hotelu.

Ruszyłam za nią, czując się jeszcze gorzej niż przed chwilą. Do mojej listy win i zaniechań doszedł właśnie jeszcze jeden punkt: nigdy nie przywoziłam dziewczynom niczego z wyjazdów, ani prywatnych, ani służbowych. Pracownikom kupiłam raz czy dwa na lotnisku jakieś czekoladki czy pudełko obrzydliwie słodkich tureckich galaretek. Siostronom prezentów bez okazji nie dawałam, bo i po co.

Z okazji zresztą też niespecjalnie. Na Gwiazdkę już dawno przestałyśmy się obdarowywać. To był mój pomysł. Wpadłam na niego, kiedy rozkręcałyśmy SIS-4 i na wszystko brakowało czasu i pieniędzy. Przysięgłabym, że Lutka i Mańka przyjęły tę propozycję z ulgą. Tylko Kostka czuła się jakby trochę rozczarowana. Ona wciąż zachowywała się jak dzieciak, który cieszy się ubieraniem choinki i wypatruje na niebie pierwszej gwiazdki. Oczywiście w towarzystwie kotów, bo my zwykle przyjeżdżamy na Wigilię dopiero po osiemnastej. Dzięki różnicy czasu mogliśmy traktować ten dzień jak każdy inny, skupiając się na kontraktach z Kanadą i Stanami.

Strefy czasowe to niezły wynalazek. Pozwalają kończyć Boże Narodzenie nieco wcześniej i niemal nie robić przerw w Nowy Rok. Była przecież nie tylko Ameryka, ale i Australia. I mimo że na razie na antypodach sprzedawałyśmy niewiele, to już niebawem zamierzałam to zmienić. Choćby po to, żeby nie tracić wolnych dni i zajmować się właśnie australijskim i nowozelandzkim rynkiem wtedy, kiedy cała Europa świętuje sobie w najlepsze.

Właściwie mogliśmy rozkręcić kilka kontaktów już teraz, nie czekając na powrót do Polski.

Przyspieszyłam, zamierzając jak najszybciej usiąść do pracy. Mijałyśmy właśnie małą, uroczą fontannę z tłuściutkim amorkiem. Od hotelu dzieliło nas już tylko sto, może sto pięćdziesiąt metrów.

– Lutka, jak się tylko rozbierzesz, poszukaj namiarów na tę Annette z Nowej

Zelandii – powiedziałam jednym tchem, żeby nie zapomnieć. – Pamiętasz, oni byli bardzo zainteresowani naszymi...

Nie zdążyłam dokończyć zdania.

Usłyszałam przerażający ryk silnika i jakaś postać w ciemnej kurtce pojawiła się tuż obok nas, niemal ocierając się o moje biodro. Po czym równie szybko zniknęła.

– Boże, nic ci nie jest? – Lutka złapała mnie za ramiona, próbując zajrzeć mi w oczy. – Byłam pewna, że zmiecie cię z chodnika.

– Wszystko w porządku... – Przywołałam na twarz coś na kształt uśmiechu, choć nogi miałam jak z waty. Z największym trudem panowałam nad trzęsącymi się kolanami. – Co za idiota! Wyglądało to tak, jakby specjalnie chciał we mnie wjechać!

Po policzku potoczyła mi się łza. Jedna, potem druga...

– Wytrzymaj się, bo wyglądasz jak panda z tym rozmazanym tuszem... – Lutka niezdarnie objęła mnie ramieniem.

Posłusznie sięgnęłam do torebki.

– Nie mam torebki! – wrzasnęłam tak, że jakaś para zatrzymała się, żeby na nas popatrzeć. – Okradł mnie! Słyszysz? Wyrwał mi torebkę! A ja nawet nie zauważyłam!

– Może gdzieś spadła? Na pewno tylko zsunęła ci się z ramienia, kiedy cię popchnął? Spokojnie, spokojnie... – Lutka rozglądała się po chodniku, usiłując zachować zimną krew. Torebki jednak nie było. Bez cienia wątpliwości. Zauważyłybyśmy ją od razu. Była czerwona, rzuciła się w oczy. Najwyraźniej ułatwiłam temu złodziejaskowi działanie.

– Kurwa, naprawdę ją ukradł! – Lutka zmieniła się w okamgnieniu z oazy spokoju w prawdziwą pustynną burzę. – Kurwa, na środku ulicy! Wśród ludzi! W biały dzień!

– Już prawie wieczór – poprawiłam ją, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Stałyśmy na zatłoczonej ulicy, rozświetlonej witrynami sklepów, pełnej straganów z warzywami... Pewnie jednej z najbezpieczniejszych w tym mieście.

– *Police, police!* – Moja siostra wrzeszczała jak syrena alarmowa. – Gdzie jest jakiś żandarm? Podobno po zamachach terrorystycznych jest ich pełno, na każdym rogu. *Police, do cholery! Polizei! Polizia! Carabinieri!*

– Poczekaj – westchnęłam, próbując szybko zebrać myśli. – Nie miałam tam chyba nic cennego. Chusteczki, paczkę tych pysznych ośmiokątnych cukierków miętowych z Vichy, poleconych przez staruszkę w sklepiku koło muzeum d'Orsay, no i mapę Paryża, którą złapałam na recepcji, wychodząc z hotelu.

– A portfel? Karty? Dokumenty?

– Portfel mam w kieszeni spodni. Wsadziłam go tam, kiedy wchodziłyśmy do Luwru... – klepnęłam lekko w lewe biodro, bojąc się odpiąć guziki płaszcza.

Kto wie, czy wariat na skuterze nie zrobi jeszcze jednej rundki. – Najcenniejsza była sama torebka... Ale, tak właściwie wcale jej nie lubiłam. Pasowała jedynie do tych szpilek, które przywiozłam z Mediolanu, pamiętasz? Szpilki już dawno się zniszczyły... i zostałam, jak głupia, z samą czerwoną torebką.

– Nie chcesz tego zgłosić na policję? – Lutka zajrzała mi głęboko w oczy. – Jesteś pewna? Pozwolisz, żeby to uszło mu na sucho?

Pokiwałam głową.

– I tak mu ujdzie. Nie będą ścigać drobnego złodziejaska. A my tylko stracimy wieczór, szukając komisariatu i czekając, aż ktoś przyjmie od nas zeznania. Masz pojęcie, ile policja ma roboty w centrum Paryża? Będziemy tam sterczeć do północy. Prawdę mówiąc, mam lepsze pomysły na spędzenie wieczoru w towarzystwie moich sióstr.

– Tak, wiem – jęknęła Lutka. – Nawiązywanie kontaktów handlowych z Australią i Nową Zelandią. Szykuje się cudowny, paryski wieczór.

– Kontakty? A, tak, tak... Ale najpierw wolałabym napić się z wami dobrego francuskiego wina. Tylko może, na wszelki wypadek, Mańce tym razem rozcieńczymy je lekko wodą?

ROZDZIAŁ 6

DWA MAŁE OTWORKI

Leżą na świeżych kurhanach

Uszka i denka i dzbany.

Niczego mi proszę pana

Tak nie żal jak porcelany.

Czesław Miłosz, *Piosenka o porcelanie*

NINA

– Nie wspominajmy im o tej kradzieży – poprosiłam Lutkę w hotelowej

windzie. – Nie chcę ich denerwować. Mańka kiepsko się czuje, a Kostka wpadnie w histerię na samą myśl o złodzieju i nie zmruży oka przez pół nocy...

– Nie doceniasz Kostki – mruknęła Lutka, unikając mojego wzroku. – Nie powinniśmy tego ukrywać. To przecież może być ważne...

– Dlaczego ma być ważne? – Nie rozumiałam. – Jakiś nastolatek na skuterze nie wpadnie raczej do pięciogwiazdkowego hotelu w poszukiwaniu portfela, którego nie znalazł w torbie...

– Nie o to chodzi – powiedziała Lutka niemal szeptem.

– A więc... O co chodzi? – Natychmiast zaczęłam się denerwować, znacznie bardziej niż na ulicy, tuż po zetknięciu ze złodziejaszkiem. – To nie ma chyba nic wspólnego z fabryką, którą chcemy kupić?

– Raczej nie... – Lutka z uwagą wpatrywała się w lustro zajmujące całą ścianę windy i strzepywała z policzka niewidoczny pyłek.

– Hej, co ty kombinujesz? Wiesz coś więcej o tej cudownej transakcji, dla której Kostka ściągnęła nas do Paryża?

– Nic nie wiem – wycedziła, znowu dziwnie cicho.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że się na to nie nabiorę. Nawet się nie starała, żeby zabrzmiało to przekonująco. Miałam już pewność, że była wtajemniczona we wszystko, co knuła nasza najmłodsza siostra. I coś czułam, że nie bardzo mi się to spodoba.

– Chcę wiedzieć, co to za fabryka – oświadczyłam, zagrządzając jej drogę, kiedy drzwi windy wreszcie się otworzyły. – Powiedz mi. I to teraz.

– Porozmawiamy w pokoju. Nina, nie wygłupiaj się, przepuść mnie. Ninka... Ludzie patrzą...

Cholera, na korytarzu stało czterech czy pięciu mężczyzn w czarnych płaszczach. Biznesmeni, pewnie w drodze na służbową kolację. Patrzyli na nas z uprzejmymi uśmiechami politowania.

Szybko wyszłam z windy i minęłam ich ze spuszczonym wzrokiem.

Rodzinną awantura musiała jednak poczekać jeszcze krótką chwilę.

– Czy dowiem się wreszcie, co knujecie? – zapytałam od progu, gdy tylko weszłyśmy do naszego apartamentu.

– Może lepiej by było zapytać na początek, czy Marysia lepiej się czuje? – podsunęła szeptem Lutka.

A potem obie, dokładnie w tym samym momencie, zobaczyłyśmy policjanta.

– Co on tutaj robi? – jęknęłam z niedowierzaniem. – Jakim cudem pojawił się tak szybko?

– Jak to szybko? – Mańka, najwyraźniej już w świetnej formie, spacerowała po pokoju, rozjuszona jak byk. – Czekałyśmy na niego dwie godziny! Wyobrażasz sobie? Sto dwadzieścia cholernych minut!

Coś się tu nie zgadzało.

Dwie godziny temu ja i Lutka robiłyśmy sobie zdjęcie w Luwrze, pod Nike z Samotraki. Nie miałyśmy pojęcia, że jakiś gnojek wyrwie mi torebkę. Gnojek zresztą też pewnie jeszcze nie wiedział, że zrobi to akurat przy tej fontannie, właśnie wtedy, kiedy będziemy tamtędy przechodziły.

– Co się stało? – Lutka najwyraźniej wpadła na to samo. – Co się tu stało podczas naszej nieobecności?

– Cholera, dzwonię do was cały czas, ale nie odbieracie!

– Wyciszyłyśmy telefony, wchodząc do Luwru – przypomniałam sobie, wyciągając komórkę z prawej kieszeni dzinsów. W lewej wciąż tkwiła portmonetka. – I oczywiście całkiem zapomniałyśmy, że potem trzeba...

Chyba naprawdę nadmiernie się zrelaksowałam. Nigdy, absolutnie nigdy jeszcze nie zapominałam o włączeniu dzwonka w moim smartfonie! Muszę przecież mieć kontakt z firmą o każdej porze i w każdych okolicznościach.

– Co się tu stało? – powtórzyła Lutka, przechodząc na angielski. – Dlaczego wezwaliśmy policję?

– Nikogo nie wzywałyśmy – wyjaśniła Kostka, też po angielsku. – Nie miałyśmy o niczym pojęcia. Maria poczuła się lepiej, więc zeszłyśmy na dół, żeby coś zjeść. Nagle, w połowie posiłku, poproszono nas do recepcji. Okazało się, że ktoś... Ktoś... – Głos jej się załamał, szybko jednak zebrała się w sobie i dokończyła opowieść: – Okazało się, że strzelano do naszego okna.

– Co takiego? – Miałam wrażenie, że nagle przestałam rozumieć w tym języku. – Po co ktoś miałby strzelać do hotelowego okna?

– Mówiąc precyzyjnie, oddano dwa strzały w okno pani sypialni. – Policjant odwrócił się w moją stronę. – Zajmuje pani ten pokój po lewej, tak? Ten z półokrągłym oknem?

Pokiwałam głową, zbyt zszokowana, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Policjant nie wyglądał na szaleńca. Nie przypominał ani trochę zwariowanego żandarma z filmów z Louisem de Funèsem. Wydawał się bardzo poważny i skupiony na ustalaniu faktów.

Strzały? W szybę mojej sypialni? Wciąż nie mieściło mi się to w głowie.

– Zawiadomiły nas osoby z sąsiedniego apartamentu. Usłyszały hałas – odpowiedział na pytanie, którego jeszcze nie zadałam. Nie sformułowałam go nawet w myślach, wciąż otepiała i próbująca jakoś poskładać sobie to wszystko w logiczną całość.

– Kto mógłby chcieć mnie zabić? – wyszeptalam w końcu z wysiłkiem. – Ja przecież nikogo tu nie znam, jestem po raz pierwszy w Paryżu...

– No właśnie. W jakim celu panie przyjechały? – Policjant zaczął w skupieniu zapisywać coś w szarym notesie na grubej, metalowej spirali. – Czy to podróż prywatna, czy służbowa?

– Prywatna – odparła szybko Kostka.
– Służbowa – odpowiedziałam w tym samym momencie.
– Całkowicie prywatna... – Lutka i Mańka poparły Kostkę, starannie omijając mnie wzrokiem.

Robiło się ciekawie. Policjant też chyba to zauważył, bo przysunął sobie krzesło i wygodnie się na nim rozsiadł, nie pytając nawet, czy może.

– A więc? – uniósł brwi, przesuając powoli spojrzeniem po naszych twarzach. – Są tu panie służbowo czy prywatnie?

– Służbowo – jęknęła Kostka. – Jesteśmy właścicielkami firmy. Dosyć dużej firmy, międzynarodowej. Może pan szybko znaleźć ją w sieci. To znaczy, tak naprawdę firmą zajmują się moje siostry, ja angażuję się w te sprawy raczej sporadycznie. Tym razem jednak postanowiłam to zmienić, naprawdę w drodze wyjątku. Znalazłam przypadkiem ofertę sprzedaży pewnej fabryki i zapragnęłam włączyć ją do naszego portfolio. Przekonałam siostry, żeby wybrały się ze mną.

– Fabryka znajduje się w Paryżu? – Policjant, nie wiadomo dlaczego, zwrócił się z tym pytaniem do mnie.

Kiepsko trafił. Nie miałam pojęcia, gdzie ona jest, co produkuje, i dlaczego tak naprawdę mamy w nią zainwestować!

– Pod Paryżem – wyjaśniła Kostka, nie czekając, aż się odezwę. – To nie ma raczej nic wspólnego ze strzałami w nasze okno. Myślę, że to był przypadek... Głupia zabawa kilku dzieciaków... Ta fabryka nikogo chyba specjalnie nie interesuje. Nie produkuje tak naprawdę niczego godnego uwagi.

Świetnie! Coraz lepiej! Kupimy sobie zakładzik, który wypuszcza hurtowe ilości gniotów. Naprawdę byłam ciekawa, co ona wymyśliła!

– Czy mógłbym poznać więcej szczegółów? – Policjantowi wyraźnie kończyła się już cierpliwość. Mnie też.

– Proszę... – Kostka sięgnęła do szuflady i podała mu grubą, niebieską teczkę. – Tutaj znajdzie pan wszystkie dokumenty po francusku, angielsku i polsku. Oraz kilka, dodatkowo, w języku bułgarskim i tureckim.

Gliniarz otworzył papierową teczkę i zagłębił się w lekturze.

Usiłowałam zająrzeć mu przez ramię, ale niestety bez skutku.

Zajrzałam za to w jego twarz. Błąkał się po niej dziwny uśmiešek.

– Czym zajmuje się koncern, którym panie kierują? – zapytał po chwili.

– Wszystkim – wytłumaczyła Mańka, może zbyt skrótowo. – Głównie produktami medycznymi i paramedycznymi, ale tak naprawdę działamy w kilku branżach i ciągle się rozwijamy.

– Fabryka kocięj karmy pomoże w tym rozwoju? – Gliniarz nie spuszczał ze mnie wzroku, kiedy to mówił. – Uważa pani, że to jest wyjątkowo cenny produkt, którego nie da się wytwarzać w waszym kraju?

– Fabryka kocięj karmy? – powtórzyłam, zapominając o jego obecności. –

Kostka, czy to prawda? Przyjechałyśmy tu wszystkie cztery w gorącym dla firmy okresie tylko po to, że przejąć fabryczkę kocich chrupek?

– Nie chodzi tylko o chrupki. – Podbródek Kostki, oczywiście, zaczął drzeć ostrzegawczo.

Ani trochę mnie to teraz nie interesowało.

– Dziewczyny, czy wy to słyszałyście? – wrzasnęłam. – Wydajemy fortunę na ten hotel i zostawiamy firmę na cały tydzień po to, żeby przejąć jakąś fabryczkę karmy dla psów, kotów, a może i dla królików albo świnek morskich?

– Świnki morskie zmieniły nazwę. To już są kawie, a nie świnki – wtrąciła się Lutka, nie wiadomo po co. Chyba nie przypuszczała, że załagodzi sytuację, opowiadając jakieś bzdury o przechrzczonych świnkach?

– Fabrykę karmy i żwirku do kuwet – uzupełniła Kostka drżącym głosem.

Policjant słuchał uważnie naszej dyskusji, choć przecież nie rozumiał po polsku ani słowa.

– Przepraszam, jeśli coś niewłaściwie interpretuję... Przyjechała pani do Paryża, żeby kupić firmę, i nawet nie zainteresowała się pani, jaka to firma?

– Żadna z nas nie wiedziała... – Postanowiłam robić dobrą minę do złej gry, a sprawy z Kostką załatwić, kiedy zostaniemy już same. – To była propozycja mojej siostry Konstancji... Uznała, że warto przyjechać i zobaczyć tę fabrykę, a my jej zaufałyśmy.

– Każda z nas może podjąć jednoosobowo taką decyzję – włączyła się Lutka. – To nic niezwykłego. I z pewnością nasze sprawy firmowe nie mają nic wspólnego ze strzałami w hotelowe okno.

Policjant mierzył się z nią przez moment wzrokiem, a potem wstał i poszedł do mojej sypialni. Ruszyłam za nim.

Przy oknie krzątał się inny mężczyzna, w cywilnym ubraniu. Obok niego dostrzegłam metalową walizkę pełną kopert, woreczków, pędzelków i plastikowych pojemniczków. Znałam już ten ekwipunek – w polskiej wersji niskobudżetowej – z Ciechocinka. Tam walizeczek było nawet więcej, w końcu znalazłyśmy z Natalią prawdziwego nieboszczyka... Dziury w szybie nie wymagały obecności całej ekipy.

Dziury... W pierwszej chwili w ogóle ich nie zauważyłam. To były dwa małe otworki, mniej więcej na wysokości metra. Od każdego z nich rozchodziły się promieniście drobne pęknięcia.

Policjant podszedł do technika, coś mu szepnął, po czym wyszedł z mojej sypialni.

– Za pięć minut skończymy i nie będziemy pań więcej niepokoić. Przynajmniej na razie – oświadczył. – Dyrekcja hotelu już szykuje nowy apartament...

O nie! Zdecydowanie nie miałam ochoty się teraz pakować i przenosić na

inne piętro!

– To były strzały z... Jak to się nazywa? – Gliniarz zmarszczył brwi, szukając właściwego słowa po angielsku. – Z broni powietrznej?

– Pneumatycznej? – podsunęła Mańka.

Z ulgą pokiwał głową.

– Wiatrówka – mruknęłam po polsku. – Dzieci strzelały do ptaków z okna albo z dachu. A my dostałyśmy rykoszetem. Nie ma się czym martwić.

Dziesięć minut później technik oświadczył, że zakończył pracę, i obydwaj bezszelestnie opuścili nasz apartament. Oczywiście, najpierw musiałyśmy im obiecać, że zadzwonimy, jeżeli tylko coś sobie przypomnimy.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć do moich sióstr, w drzwiach stanął dyrektor hotelu z dwoma pracownikami w bordowych uniformach.

– Bardzo nam przykro z powodu tego incydentu – oświadczył nienaganną angielszczyzną, kłaniając się w pas. – Za kwadrans przeniesiemy panie do innego apartamentu. Już przygotowujemy nasz penthouse. Albert i Vincent pomogą spakować paniom wszystkie rzeczy.

– Woląłybyśmy zostać tutaj – powiedziałam stanowczo. I, nie czekając na reakcję dziewczyn, zaproponowałam: – Przeprowadzę się do salonu. Kanapa wydaje się bardzo wygodna. Wystarczy zabezpieczyć okno kawałkiem dykty i zamknąć moją sypialnię. Nie ma przecież deszczu ani mrozu... A to tylko dwie maleńkie dziurki.

– Ale... Ale... – Dyrektor najwyraźniej nie był przygotowany na takie rozwiązanie. – Dopiero jutro będziemy mogli wstawić nową szybę. Nie możemy pani narażać...

– Będzie mi dobrze, naprawdę... – Próbowałam uśmiechać się beztrąsko i wciąż nie patrzyłam w stronę moich sióstr. Wiedziałam... Właściwie czułam, że to im się nie spodobało, ale było mi wszystko jedno, zdecydowanie nie miałam ochoty na przeprowadzkę. – Jutro wszystkie wychodzimy na cały dzień, będzie więc można spokojnie wymienić okno...

Dyrektor stał z opuszczonymi rękami, niepewny, co powinien zrobić.

– Dziękujemy, naprawdę – powiedziałam jeszcze bardziej zdecydowanym tonem. – Poprosimy tylko o kawałek dykty...

Mężczyzna westchnął ciężko, po czym wycofał się na korytarz. Pracownicy w bordo bezszelestnie wyszli za nim.

– Upadłaś na głowę? Dlaczego nie chciałaś się przenieść do ich cudownego penthouse'a? – zapytała Mańka, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Zignorowałam ją i natychmiast rzuciłam się na Kostkę.

– To jakiś żart? Fabryka chrupek dla kotów? To nie nasza branża! Nie zainwestuję ani złotówki w żarcie dla zwierząt. Nie chcę wchodzić w ten segment,

rozumiesz? Co ci w ogóle przyszło do głowy?

Kostka patrzyła przed siebie, oczy miała coraz bardziej mokre, policzki i broda drżały jej rozpaczliwie...

– Oszalałaś? – Nie zamierzałam jej odpuszczać. – Musiałaś naprawdę zwariować, żeby nas tu ściągnąć, wszystkie trzy...

– Daj jej spokój... – Lutka, jak zwykle, stanęła w jej obronie. – Idź lepiej, spakuj swoje rzeczy, bo zaraz przyjdzie ktoś z dyktą i zamknie twoją sypialnię na głucho...

Miała rację, oczywiście. Nikt nie potrafił zachować chłodnego umysłu bez względu na sytuację tak jak Lutka.

– Porozmawiamy za chwilę – mruknęłam, wchodząc do sypialni.

Te dziury w szybie, przedtem niemal niewidoczne, teraz, gdy pokój opustoszał, patrzyły na mnie wyzywająco. Poczulałam na plecach zimny dreszcz.

To przecież musiała być pomyłka.

To była pomyłka, na pewno. Dlaczego ktoś miałby strzelać w okna czterech Polek, które przyjechały do Paryża w sprawie idiotycznej fabryki karmy dla zwierząt i żwirku do kuwet?

Wyjęłam z szafy wieszaki z moimi bluzkami, spodniami i marynarkami... i z jedną jedyną wieczorową sukienką, którą zabrałam na wszelki wypadek. Raczej mi się nie przyda przy przejmowaniu fabryki kocich chrupek! Zresztą, przy jakim przejmowaniu! Ja przecież w ogóle nie zamierzam oglądać tej fabryki!

Wpadłam z wieszakami do salonu, rzuciłam je na kanapę i zawołałam:

– Wracamy jutro do Polski. To był najgłupszy wyjazd w naszym życiu.

Odpowiedziała mi cisza.

Trzy pary oczu wpatrywały się we mnie jakoś dziwnie. Jakby coś...

– Coś knujecie? Co wy... – Podejrzenie, które zaczęło się lęgnąć w mojej głowie, nie chciało przejść mi przez usta. – Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Czy ktoś miał powód, żeby do nas strzelać?

Nie patrzyły mi w oczy. Nie wymieniły porozumiewawczych spojrzeń. Wszystkie trzy wbiły wzrok w podłogę. Pięciogwiazdkowy wzorek na miękkiej wykładzinie był najwyraźniej bardzo zajmujący.

Lodowate dreszcze przebiegały mi po plecach w tę i z powrotem.

– Do jasnej cholery, czy mogę wreszcie się dowiedzieć, co się tutaj dzieje?!

Cisza.

Cisza.

Cholerna, głucha cisza, przerywana tylko spazmatycznym pochlipywaniem Kostki.

– Musimy jej powiedzieć – wyszeptała rozdzierająco. – Nie zniosę tego już ani chwili dłużej.

– Musimy... – Lutka wstała z kanapy i podeszła do okna z cudownym

widokiem na miasto. W oddali wyraźnie jaśniały światłami trzy albo cztery mosty przerzucone przez Sekwanę. Między nimi można było nawet wypatrzeć sylwetkę wieży Eiffla. Lutka nie chciała jednak podziwiać panoramy Paryża. Szybko zaciągnęła grube zasłony i wyrzuciła z siebie na jednym oddechu: – Nie zdążyliśmy wam powiedzieć, ale ktoś wyrwał Ninie torebkę na ulicy, kilkadziesiąt metrów od hotelu. To przecież nie mógł być przypadek.

– Cholera, cholera... Jakim cudem tak szybko nas namierzili? – Mańka ukryła twarz w dłoniach.

Co się tutaj działo?!

– Chcę usłyszeć prawdę.

Znały ten mój ton. Wiedziały, że nie żartuję. Wreszcie oderwały wzrok od wykładziny i zaczęły mówić.

Pierwsza zebrała się Lutka.

– Nie powiedziałyśmy ci wszystkiego...

Eureka, naprawdę... Jakbym tego nie rozumiała! Wiedziałam, że czegoś nie wiem. I chciałam wreszcie usłyszeć, czego...

– Nie chodzi o żadną głupią fabrykę trocin czy żwirków do kocich kuwet – mruknęła Mańka, siadając bliżej mnie.

– Żwirki i trociny wcale nie są głupie – zaprotestowała Kostka, pociągając nosem. – Zwłaszcza te... ekologiczne, biodegradowalne... Byłoby nieźle w to wejść, naprawdę. Ale – wzięła głęboki oddech – na razie tego nie planujemy.

Zaraz, zaraz, jak to nie planujemy?! Kompletnie tego nie rozumiałam. Przecież przyjechałyśmy tu przejąć tę idiotyczną fabrykę!

– Masz dokumenty... Grubą teczkę... Przed chwilą pokazywałaś ją policjantowi... Gdzie ona jest? – Wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju. – Gruba, niebieska teczka... Kostka, gdzie jest ta cholerna teczka? W niej jest przecież cała dokumentacja... Oferta sprzedaży, wycena, wyniki audytu...

Lutka wydobyła z szuflady niebieską teczkę i pomachała mi nią przed nosem.

– Mówisz o tym? To tylko przykrywka. Miałyśmy ci tym zamydlić oczy, w razie gdybyś nie dała się dłużej zwodzić tajnym planem Kostki.

Miałyśmy?! Jak to „miałyśmy”?!

– Uknułyście ten wyjazd we trzy? – zapytałam z niedowierzaniem.

Zgodnie pokiwały głowami.

– I nie chodziło wcale o włączenie do portfolio SIS-4 tej idiotycznej fabryki?

Znowu pokiwały, jeszcze szybciej niż poprzednio.

Ale ja ciągle nic z tego nie rozumiałam.

– Po co? Po co to wszystko? Cholerne koszty, pięciogwiazdkowy hotel, zostawienie firmy w najgorszym momencie na cały tydzień bez choćby jednej prezeski...

Nie mogłam sobie wyobrazić żadnego powodu, żeby zrobić coś tak głupiego.
– Maks – wyrzuciła z siebie w końcu Mańka, a jej policzki przybrały najciemniejszy odcień purpury.

– Co Maks? – zapytałam ze ściśniętym gardłem.

– Chodziło o Maksa. O zemstę za to, co ci zrobił... Co zrobił nam wszystkim i naszej firmie.

Maks... Cholera jasna, znowu Maks. Miałam nadzieję, że to już przeszłość. Że po tym, co wywinął, będzie miał dość przyzwoitości, żeby już nigdy nie pojawić się w moim życiu.

– Skontaktował się z wami? Zaprosił was do Paryża? – Nie rozumiałam.

Maks był swego czasu moim narzeczonym. Gdy zamiast przed ołtarz trafiłam do szpitala, wziął nogi za pas, wyjechał w naszą wspólną podróż poślubną – mimo że nie było żadnego ślubu... Oczywiście, pojechał w zupełnie innym towarzystwie. Nie ze mną. Właściwie do dziś nie miałam pewności, kto tak naprawdę z nim wtedy podróżował.

Nie reagował na wiadomości na poczcie głosowej, nie odpowiadał na maile ani SMS-y.

A potem nagle się odezwał – ale tylko po to, żeby odebrać mi największe kontrakty. Oraz – gdyby zdołał zrealizować niecny plan do końca – przejąć moją firmę, mieszkanie i wszystko, co miałam.

Na szczęście udało mu się tylko częściowo.

I teraz, kiedy nareszcie trochę doszłam do siebie po informacji, że tak naprawdę chyba nigdy mnie nie kochał, że zależało mu wyłącznie na SIS-4 i jej sekretach, nagle on znowu się pojawia?

Czy to się nigdy nie skończy?!

– Maks jest w Paryżu? – zapytałam, próbując powstrzymać łzy. – Rozmawialiście z nim? To on zaproponował to spotkanie?

– Nie, nie... – Lutka zamachała gwałtownie rękami. – To wszystko nie tak. Pozwól nam opowiedzieć po kolei, dobrze?

– I nie krzycz, choćbyś bardzo chciała – dodała Kostka. – Obiecay, że nie będziesz wrzeszczeć! Inaczej niczego ci nie wyjaśnimy...

To była najbardziej nieprawdopodobna i idiotyczna historia, jaką zdarzyło mi się słyszeć.

Nie miałam jednak cienia wątpliwości, że mówią prawdę.

– Po tym, jak podpisał się do twojego komputera i przejął nasze know how, nasze najlepsze kontrakty... Po tym, jak skopiował ofertę SIS-4, nad którą siedziałas przez sześć tygodni, poprzysięgłyśmy zemstę – mówiła Mańka. – Pamiętasz? U ciebie w domu, przy butelce wina...

Owszem, pamiętałam. Nie traktowałam jednak tego poważnie, nawet wtedy.

A przecież byłam naprawdę wściekła.

– Nasz przyjazd tutaj jest częścią tej zemsty? – upewniłam się słabym głosem.

Pokiwały głowami. Zgodnie, miarowo, jak złote kotki na wystawach azjatyckich sklepów. Chociaż nie... Te kotki, maneki-neko, machają przecież łapkami, nie głowami. Lewą łapką, żeby przywołać klientów, albo prawą – w celu zapewnienia szczęścia i dobrobytu. Tym większego, im wyżej kot unosi łapkę.

– Co kiwa główką? – mruknęłam zdenerwowana. Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Słucham? – Kostka spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Taka figurka kiwająca rytmicznie główką... – Najwyraźniej skupiłam się na tym szczególe, kompletnie bez znaczenia, tylko po to, żeby dać sobie odrobinę czasu na przyswojenie tego, co powiedziały. Żeby natychmiast nie zwariować.

– Piesek? Taki piesek, jakiego miał wujek Heniek za szybą swojego samochodu? – podsunęła życzliwie Lutka.

Potrząsnęłam włosami. Nie. Nie chodziło o welurowego pieska.

– Aniołki! – Przypomniałam sobie nagle te figurki siedzące przy szopce, którą oglądałyśmy co roku z babcią Krysią. – Niebieskie aniołki, kiwające blond główkami, kiedy wrzucałyśmy pieniążki!

– O co ci chodzi? – Mańka znowu, oczywiście, była na mnie wściekła. Ona jest wściekła zawsze i na wszystkich, ale na mnie jakby odrobinę bardziej niż na resztę świata. Wciąż nie wiem do końca, dlaczego.

Z trudem oderwałam się od aniołków i wróciłam do Maksa.

– On mieszka teraz w Paryżu? – zapytałam.

Wzruszyły ramionami.

– W Paryżu, we Wrocławiu, w Nowym Jorku, w Johannesburgu – mruknęła Mańka. – Nielatwo było go namierzyć. Prowadzi interesy na całym świecie i ciągle się przeprowadza. Wygląda na to, że ten facet nie tylko nam ukradł pomysły i sprzątnął sprzed nosa najlepsze kontrakty. Hamish dotarł do ludzi z Bratysławy, którzy przez niego musieli zamknąć firmę zatrudniającą ponad tysiąc osób. Istniejącą od stu dwudziestu lat!

– Hamish? – Pokręciłam z niedowierzaniem głową. – Hamish też maczał w tej zemście palce?

– Maks oszukał go tak samo, jak nas – przypomniała mi Lutka. – A Hamish nie należy do tych, którzy dają się spokojnie okradać...

No dobrze, a więc byliśmy my, nasz kanadyjski milioner, jacyś ludzie z Bratysławy... Wszyscy mieliśmy powód, żeby zemścić się na moim byłym narzeczonym. Ale ich w Paryżu chyba nie było? Nie planowaliśmy przecież zbiorowej zemsty rodem z *Morderstwa w Orient Expressie*?

– Hamish czeka na sygnał dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Mańka

oczywiście czytała mi w myślach. Odpowiedziała na pytanie, którego nie zdążyłam jeszcze zadać, jak tyle razy przedtem. – W razie potrzeby przyleci i nas wesprze.

– Chyba nie będzie już takiej potrzeby – westchnęła Kostka. – Zachowywałyśmy wszelkie zasady ostrożności, a jednak Maks natychmiast przejrzał nasz plan...

I właśnie tego wątku wciąż jeszcze nie ogarniałam.

Musiałam więc wysłuchać ich historii porządnie, od początku do końca.

– Będę zadawać pytania, a wy odpowiadajcie, najkrócej jak się da – oznajmiłam. I od razu zaczęłam swoją listę pytań: – Czy Maks posiada jakieś firmy w Paryżu?

– Nie. Jeszcze nie – odpowiedziała Lutka, otwierając swój laptop. – Ale próbuje właśnie zrobić interes życia i przejąć najstarszą i największą fabrykę tekstyliów medycznych. Firmę z trzystuletnią tradycją. Oczywiście poza oficjalnym przetargiem.

– Ostro gra... – Chyba w moim głosie, choć naprawdę nie miałam takich intencji, pojawiła się nuta podziwu. Szybko przywołałam się do porządku i zadałam kolejne pytanie: – Chciałyście zrobić to, co on zrobił nam? Przechwycić dokumentację i zaoferować to samo, tylko o dziesięć procent taniej?

– To by było za proste – uśmiechnęła się Mańka. – I zbyt uprzejme... Chciałyśmy pozbawić go wszystkiego. Zainkasować całą kwotę jako ta fabryka. Pozwól, że nie zdradzimy ci na razie żadnych szczegółów. Stworzyłyśmy naprawdę szatański plan.

Czy one żartowały?

Powiodłam wzrokiem po trzech drobnych, wąskich twarzach.

Nie wyglądały na specjalnie rozbawione.

Naprawdę stawiały wszystko na jedną kartę. Były gotowe stracić fortunę. Przeprowadzić całą tę akcję jak kamikadze, nie bacząc na koszty. Tu nie chodziło już o biznes, tylko o zemstę.

– Wykorzystał cię, okłamał, zakpił z twoich uczuć – powiedziała cicho Kostka, znowu badając wzrokiem wzorki na dywanie. – To nie mogło ująć mu na sucho.

– Wymyśliłyście wspólnie ten wyjazd? Od początku knułyście we trzy... I wspólnie ustaliłyście, że nie powiecie mi prawdy, tylko wytypujecie Kostkę, żeby wyskoczyła z tym biletem zamówionym za moimi plecami?

Zaczerwieniły się, wszystkie trzy. Kostka najbardziej.

Kąciki ust znowu jej drżały.

Naprawdę nie lubię jej dręczyć... Jest takim łatwym celem. Zawsze gotowa do płaczu, bezbronna, wrażliwa nawet na krzywe spojrzenie. Tym razem jednak nie miałam skrupułów.

– Uznałyście, że nie odmówię biednej, głupiutkiej Kostuchnie, skoro raz

w życiu oderwała się od zapchlonych kotów i zainteresowała naszą firmą? Że pojedę choćby na koniec świata, jeżeli tylko dzięki temu najmłodsza Dropianka w końcu zajmie się SIS-4 razem z nami? Niestety, miałyście rację. Zrobiłabym wszystko, żeby Kostka pracowała razem z nami, tak jak kiedyś, na początku... Dałam się nabrać. Gładko poszło, prawda? Wcale się nie upierałam na przeglądaniu dokumentów... Po prostu wsiadłam do tego samolotu!

Kostka nie powstrzymywała już łez. Płakała głośno, pociągając nosem, z głową opartą o dekoracyjną witrynę w rogu pokoju.

Było mi głupio tylko przez sekundę. No, może półtorej. W końcu sama się w to wpakowała. I jeszcze udawała, że jest mózgiem całej operacji.

– Miałam dla ciebie wszystkie dokumenty... Na wszelki wypadek – chlipnęła rozziewając. – Ta fabryka to była przykrywka... Żeby czymś cię zająć, jeżeli się uprzesz. Ale wiesz, nie wybierałam jej na oślep. Chciałam, żeby to było coś naprawdę dobrego i chyba mi się udało. Ten żwirek do kuwet jest w stu procentach biodegradowalny, ma naturalny skład, nie uczula kotów, nie wywołuje raka... Mogłabyś to jeszcze przemyśleć.

Nie chciałam myśleć o żadnym żwirku.

Chciałam usłyszeć do końca tę historię.

I wyjaśnić coś jeszcze, jak najszybciej.

Odwrociłam się w stronę Mańki.

– Ten twój cały poranny atak... Strułaś się, mdlałaś, miałaś biegunkę i zawroty głowy... To też było udawane?

Czarna Mańka przytaknęła, nerwowo przelękając ślinę.

– Musiałam zostać z Kostką na kilka godzin sama... Chciałyśmy zajrzeć w dwa czy trzy miejsca, spotkać się z paroma osobami przed jutrzejszą godziną zero. Uznałyśmy, że najlepiej będzie udawać zatrucie. Z biegunką i wymiotami nie wyciągniesz mnie przecież z hotelu...

– A telewizor? Czy ty naprawdę specjalnie rozbiłaś telewizor w pięciogwiazdkowym hotelu, żeby mnie przekonać, że źle się czujesz?

– To była spontaniczna akcja. Wpadłam na ten pomysł, kiedy zobaczyłam wystający spod dywanu kabel. Nieźle wyszło, prawda? Miałam zamiar rozbić tylko porcelanowy wazonik, żeby narobić trochę hałasu. Ale, prawdę mówiąc, nagle zrobiło się żal tego głupiego wazonika. Naprawdę był wyjątkowo ładny. Telewizor nie wzbudził we mnie aż takich ciepłych uczuć.

– Zrzuciłaś więc telewizor?

Pokiwała głową.

– Na szczęście to nie my będziemy płacić odszkodowanie hotelowi, ale on nam... Bo tego kabla nie powinno być na podłodze. Żałuję tylko, że nie przesunęłam wazonika nieco dalej. Ten cholerny telewizor poleciał trochę krzywo i rozbił go w drobny mak.

Nie wiedziałam, czy mam zacząć się śmiać, czy może raczej płakać.

Tkwiałam w jakimś cholernym matrixie! Od kilku dni wszystko wokół mnie było nieprzerwanym, wielkim przedstawieniem, odgrywanym przez sztab ludzi dla jednego widza. Czyli dla mnie.

– Zadaliście sobie strasznie dużo trudu – westchnęłam z niedowierzaniem. – Hamish, Seba i Szczepan, Agnieszka... Naprawdę było warto?

Znowu pokiwały głowami jak trzy gliniane aniołki, siedzące na schodku u stóp betlejemskiej stajenki, w kościele niedaleko domu babci Krysi.

– Inaczej nigdy byś tu nie przyjechała – szepnęła Mańka z tymi swoimi ponurymi błyskami w oczach. – Nie chciałaś się mścić na Maksie, wołałaś o nim zapomnieć. Do wyjazdu mógł cię skusić tylko nowy, wspaniały interes. No i Kostka angażująca się nagle w sprawy firmy...

Niestety, moje siostrzyczki znały mnie lepiej niż ja sama. Bezbłędnie wyczuwały moje słabe strony – i umiały je wykorzystać.

Coś jednak w tym całym misternym planie poszło nie tak...

– Najwyraźniej nie tylko my śledziłyśmy Maksa – westchnęła Lutka. – On także obserwował każdy nasz krok. I kiedy zorientował się, że lecimy do Paryża, dodał szybko dwa do dwóch...

– I strzelił nam w okno? Żeby nas ostrzec? – roześmiałam się, nerwowo pocierając czoło. – A przedtem wyrwał mi torebkę na ulicy?

– No właśnie, o co chodzi z tą torebką?

No tak, oczywiście. Mańka i Kostka nie miały pojęcia o tym, co się stało pod hotelem.

Opowiedziałyśmy im wszystko w trzech zdaniach. Niewiele tego było. Wyrostek na skuterze i torebka, w której na szczęście nie miałam nic cennego.

– Albo próbuje nas zastraszyć, albo wy badać, co planujemy i ile wiemy... – chlipnęła Kostka.

Sama nie wiedziałam, co byłoby gorsze.

– Wracajmy do Polski. Jak najszybciej – poprosiłam.

Zanim zdążyły mi odpowiedzieć, do drzwi zapukał uprzejmy mężczyzna w czarnym kombinezonie z logo hotelu na piersi. W rękę trzymał zieloną, metalową skrzynkę z narzędziami. Nie mówił po angielsku, od razu jednak zrozumiałam, po co przyszedł. Tuż za nim stał kolejny Pierre czy Vincent z wielkim kawałkiem pleksi w rękę.

Zabezpieczenie okna w mojej sypialni zajęło tylko chwilę.

Czekając, aż skończą, zaczęłam rozwieszać zabrane stamtąd ubrania w szafie w sypialni Kostki. Była największa – i niemal pusta. Kostka przecież nosiła w kółko czarne dzinsy, szare koszulki i ogromne, porozciągane swetrzyska. Oprócz trzech niemal identycznych par spodni, pięciu T-shirtów i jednego swetra w jej szafie znalazłam tylko granatowy garnitur (Nie miałam pojęcia, że w ogóle ma coś

równie eleganckiego!), białą koszulę i bajeczną, miodową sukienkę. Wyjątkowo się postarała, żeby zemścić się na Maksie, naprawdę...

Dotknęłam jedwabnego cudeńka i pomyślałam, że mogłybyśmy jednak zostać w Paryżu o jeden wieczór dłużej.

Iść do opery albo do teatru. Pochodzić spokojnie po Luwrze, zobaczyć lilie Moneta w Oranżerii.

Szkoda, żeby te nasze kiecki wróciły do Warszawy nienoszone.

Moja, szafirowa, z głębokim dekoltem, też była przecież całkiem niezła. I nie zakładałam jej od wieków...

Wróciłam do saloniku akurat, kiedy mężczyzna w czarnym uniformie odkładał na stół moją spinkę do włosów.

Gestem dał do zrozumienia, że przenieśli z sypialni dokładnie wszystko, po czym szybko zamknął i opieczętował drzwi.

Podziękowałam, nerwowo szukając po kieszeniach jakichś drobnych.

Niepotrzebnie.

Nie wyciągnął ręki, nie zatrzymał się w oczekiwaniu na napiwek.

Po prostu bezszelestnie wyszedł na korytarz.

Drugi, który przyniósł płytę do zasłonięcia szyby, wysunął się z pokoju zaraz za nim.

Przynajmniej to jedno miałyśmy już z głowy.

Mańka krążyła po swojej sypialni z komórką przy uchu. Mówiła przyciszonym głosem po angielsku. Niewiele do mnie docierało przez uchylone drzwi, ale ze wszystkich *fuck* i *shit* mogłam bez trudu wywnioskować, że nie jest zachwycona.

– No to, kurwa, pozamiatane. Maks wycofał ofertę – warknęła, wracając do saloniku. – Zwija się z Paryża. Rozpracował nas.

– W takim razie my też możemy się zwijać. Wyszło na twoje, Ninka. Jedziemy do domu – westchnęła Lutka. – Zaraz przebukuję bilety na jutro.

Wzięłam głęboki oddech.

Nie byłam pewna, czy spodoba im się mój pomysł. Sama nie do końca rozumiałam, dlaczego nagle zmieniłam zdanie. Czyżby naprawdę tylko z powodu sukienek, które tu przywiozłyśmy? A może po prostu chciałam spędzić z dziewczynami trochę więcej czasu, z dala od siedziby SIS-4? Te godziny, kiedy snułam się z Lutką po muzeach i zaułkach między kamienicami, były naprawdę niezwykle.

– Zostańmy dwadzieścia cztery godziny dłużej. Skoro już tu jesteśmy... Przejdźmy się po mieście, idźmy do jakiegoś muzeum, do opery, na naleśniki. Żebyście wy wiedziały, jakie dziś jadłam z Lutką naleśniki...

Staralam się, by mój głos brzmiał przekonująco.

Ale tak naprawdę nie chodziło tylko o operę albo teatr... Ani nawet o to,

żeby pobyć chwilę dłużej z moimi siostrami. Chodziło o Maksa. Oczywiście, w całej tej cholernej sprawie nieustannie chodziło o Maksa.

Czułam, że muszę się z nim zobaczyć. Spojrzeć mu w oczy i zapytać, dlaczego postanowił mnie zniszczyć. I czy od samego początku nasz związek był dla niego tylko grą o duże pieniądze.

Nigdy nie usłyszałam ich odpowiedzi. Nie dowiedziałam się, czy uwierzyły choćby w jedno moje słowo. Bo nagle ktoś załomotał do drzwi.

Stał za nimi mężczyzna w bordowym uniformie, z wielkim kawałkiem drewnianej płyty.

– Przysłano mnie, żeby zabezpieczyć okno w zajmowanym przez panie apartamencie. Oczywiście jutro z samego rana szklarz wymieni szybę na nową, już podaliśmy mu wymiary – powiedział nienaganną angielszczyzną.

– Dziękujemy bardzo – uśmiechnęłam się nerwowo. Miałam już dość tych wszystkich Francuzów pojawiających się w drzwiach naszego pokoju! – Musiało zajść nieporozumienie... Pana kolega już zabezpieczył tę szybę bardzo starannie kilka minut temu. Przykro mi, że facygował się pan niepotrzebnie. Do widzenia.

Jak widać, w hotelach pięciogwiazdkowych też miewają bałagan.

W trzygwiazdkowym nikt nie przyszedłby przez tydzień, żeby coś naprawić. Tutaj, dla odmiany, przejęli się aż za bardzo.

– Pewnie się boją, że ich pozwiemy do sądu – zachichotała Mańka, nareszcie rozluźniona. – Najpierw ten telewizor, który mógł mnie zabić, spadając, a potem strzały w okno. Sama na miejscu dyrektora z nerwów nie zmrużyłabym oka!

Jej dobry humor wydał mi się nieco podejrzanym.

I chyba nie tylko ja zwróciłam na to uwagę.

– Hej, Mańka... – Lutka podniosła się z kanapy i wzięła ją za ramiona. – Tam nie było żadnego wystającego kabla, prawda?

– Był albo go nie było... Co to za różnica? – Mańka wściekła się na dobre i wyszła do sypialni, trzaskając drzwiami.

No dobra, tajemnica kabla musiała trochę poczekać.

Na razie szukałam sposobu, aby przekonać moje siostry do pozostania w Paryżu dzień dłużej... I do powiedzenia mi, gdzie mogę znaleźć Maksa.

Najdroższa N.

Czy wolno mi jeszcze tak się do Ciebie zwracać?

Jesteś rozżalona, smutna, zła. I nie chcesz mnie już więcej widzieć. Wiem, że nie. Wykrzyczałaś mi to prosto w twarz tamtego okropnego poranka.

Wszystko poszło nie tak, jak powinno.

Powinnaś się tego dowiedzieć w zupełnie inny sposób.

Nie mogę prosić, żebyś spróbowała mnie zrozumieć. Ani – tym bardziej – żebyś wybaczyła.

Tego, co się stało, nie sposób wybaczyć.

Ale czy wiesz, jak trudno było ukrywać przed Tobą prawdę przez tyle czasu?

Patrzeć Ci w oczy i udawać, że to wszystko zupełnie mnie nie dotyczy?

Że wiem tylko tyle, ile Ty...

Nie proszę o wybaczenie ani o zrozumienie.

Pewnie nigdy nie wyślę tego listu. Ale muszę go pisać. Mówić do Ciebie, jak zawsze.

Bo nie wiem, jak mam żyć, nie mając Cię przy sobie.

Nie umiem nawet płakać. Nad sobą, nad Tobą... Czekam na łzy. Może nadejdą i przyniosą ulgę.

Tylko na to mogę teraz liczyć. Na chwilę ulgi. Na kilka godzin snu, nieprzerywanego koszmarami.

Śpij spokojnie, moja N.

Mam nadzieję, że księżyc nad Twoim domem świeci dziś równie mocno jak ten tutaj, za mym oknem. I że oświetla Ci drogę... dokądkolwiek dziś idziesz.

ROZDZIAŁ 7

PIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ MINUT

*Na rue de l'Echiquier czarnoksiężka Girard,
w saloniku strojnym w malowane osty,
opowiada po cichu to, o czym chciałbyś zapomnieć.
Zna cię lepiej od siostry rodzonej.*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Czarownicy Paryża*

NINA

– Nie możemy jej podać adresu tego kutasa. – Szept Lutki dobiegł do moich

uszu mniej więcej o drugiej w nocy.

Nabrały się na prostą sztuczkę.

Tak prostą, że niemal nie mogłam uwierzyć, że naprawdę zadziałała.

Ukradkiem włączyłam w moim smartfonie dyktafon... Używam go czasami, chcąc coś zanotować w windzie albo za kierownicą... Potrafię uruchomić go jednym palcem... Tak więc zrobiłam to, a potem położyłam telefon wysoko, na półce w saloniku – i poszłam do łazienki.

Narobiłam niezłego hałasu, śpiewając, puszczając wodę do wanny i chlapiąc głośno jak oszalała kaczka.

Nie było wątpliwości, że nie słyszę ani jednego słowa padającego w salonie.

I miałam nadzieję, że moje siostrzyczki nie zmarnują nadarzającej się okazji.

Odczekałam, aż zasną. Na wszelki wypadek dużo dłużej niż wynikałoby z miarowych oddechów dobiegających z sypialni Kostki i Lutki oraz z pochrapywania, wydawanego oczywiście przez Mańkę i jej krzywą przegrodę nosową.

Wreszcie, o drugiej w nocy, podniosłam się z kanapy, wzięłam komórkę z półki i ostrożnie, na palcach, poszłam z nią do łazienki.

A potem, siedząc na krawędzi wanny, przez dziesięć minut słuchałam rozmów o jedzeniu, temperaturze powietrza i prognozie pogody na jutro oraz o tym, co mogłybyśmy obejrzeć w teatrze.

Wreszcie, kiedy już byłam bliska skasowania całego nagrania i powrotu na kanapę, padło zdanie, na które czekałam.

– Nie możemy jej podać adresu tego kutasa.

Od razu rozpoznałam głos Lutki. Oczami wyobraźni widziałam, jak zerka przez ramię, czy aby nie otwieram drzwi i nie wychodzę z łazienki.

– Powiemy jej, że wyjechał – odparła Mańka.

– Nie uwierzy.

– Jasne, że uwierzy... Po co miałby siedzieć w Paryżu po tym wszystkim?

Nie ma tu już nic do roboty. Przynajmniej Ninka tak myśli... Nie wie, na szczęście, że według informatorów Hamisha Maks ma na oku jeszcze trzy inne francuskie fabryki, a jedna z nich mogłaby po doinwestowaniu konkurować bezpośrednio z naszym ukraińskim zakładem...

Musiałam na moment zatrzymać odtwarzacz. Wziąć głęboki oddech, by słuchać tego dalej.

– Niczego jej nie powiemy. Musimy trzymać wspólny front. – Mańka, oczywiście, rządziła młodszymi siostrami. Jak to ona. A one pewnie kiwały zgodnie głowami... Trzy cholerne, gliniane aniołki Drop! – Pamiętajcie: Maks wyjechał. Wiemy to na pewno. Hamish podesłał tu kogoś, kto go obserwował...

– Trzeba uprzedzić Hamisha... – Lutka chyba pisała coś na laptopie do naszego Kanadyjczyka. Cichutkie, miarowe stukanie trwało jednak tylko chwilę.

Siedem słów, może osiem...

Mogłabym odgadnąć, co napisała.

Albo zajrzeć do jej komputera i po prostu to przeczytać.

O ile nie zmieniła hasła, próbując trzymać mnie z dala od tej ich intrygi.

– Dobra, już wprowadziłam go w temat – powiedziała z ulgą po krótkiej chwili. – Ninka niczego się nie dowie. Musimy tylko dobrze schować pomarańczową teczkę. W niej są przecież wszystkie adresy. I fabryki, i jego mieszkania przy Luwrze...

– Właściwie mogłybyśmy wszystko spalić – podsunęła Kostka, trochę bez sensu. Kominka w apartamencie przecież nie było, a zapach spalenizny w pokoju raczej by mnie nie uspokoił...

Niczego jednak nie paliły. Jedna z nich wstała, zaszurała, najwyraźniej chowając gdzieś teczkę.

A potem Mańka i Kostka zaczęły wypytywać Lutkę o kradzież torebki. Ta powtarzała im siedem razy to samo: że nic nie widziałyśmy, że nie poznałyśmy tego człowieka, nie mignęła nam nawet jego twarz...

I właśnie wtedy, gdy Lutka relacjonowała wszystko po raz siódmy, skrzypnęły drzwi łazienki i rozległ się mój głos:

– Otworzymy wreszcie to wino?

Wyglądało na to, że nie dowiem się już niczego więcej... Mogłam tylko odsłuchać jeszcze raz kluczowy fragment nagrania. I jeszcze raz... i jeszcze...

Wyteżyłam słuch. Sprawdziłam na zegarku, ile czasu minęło od wstania z kanapy do tego niezidentyfikowanego dźwięku otwierania jakiegoś mebla albo walizki...

Dziewięć sekund.

Ile kroków można zrobić w dziewięć sekund?

Postanowiłam to zmierzyć, spacerując z zegarkiem w ręku po łazience.

Jedenaście. Może dwanaście. Jeżeli wiedziała od razu, dokąd idzie, jeżeli nie wahała się ani chwili...

Próbowałam odtworzyć w pamięci, gdzie siedziała cała trójka wtedy, kiedy znikalam w łazience.

Lutka zajmowała miejsce najbliżej okna... Kostka przycupnęła na krześle... A więc to na pewno nie była Kostka. Wyraźnie słyszałam przecież skrzypnięcie kanapy.

Lutka spod okna... albo Mańka od strony stolika...

Gdzie mogły dojść w dziewięć sekund?!

Na palcach wyszłam z łazienki i, przyświecając sobie komórką, spacerowałam po pokoju. Nie mogłam jednocześnie świecić na podłogę i patrzeć, kiedy minie dziewięć sekund. Liczyłam więc pod nosem. Raz, dwa, trzy... osiem, dziewięć.

Stop.

Okno. Bez parapetu ani żadnego schowka. Bez kaloryfera, za który można by było coś wrzucić. Drzwi na taras nie otwierały, usłyszałam to na nagraniu.

A więc w drugą stronę. Ściana.

W trzecią. Drzwi do mojej sypialni, zabezpieczone taśmą przez faceta w czarnym kombinezonie.

W czwartą. Kolejna ściana. I wiszący na niej obraz. Ukryły tę teczkę za reprodukcją Renoira???

Ostrożnie odchyliłam brzeg obrazu od ściany, przekonana, że zaraz runie na ziemię, robiąc hałas jak telewizor zwalony przez Mańkę z samego rana.

Nie runął. Nie było za nim żadnego schowka, niczego nie przylepiono do ściany. Czysta tapeta mieniła się w świetle mojej komórki delikatnym złotem i różem.

Cholera. Gdzie one mogły to wsadzić?

Wyłączyłam latarkę, żeby nie wyładować telefonu, i opadłam bezradnie na moją kanapę.

Chrząknęła cichutko. Nie zaskrzypiała, nie jęknęła, ale właśnie chrząknęła. Tak samo jak na nagraniu!

Już wiedziałam, gdzie są dokumenty. Ostrożnie, powoli uniosłam w górę materac. Między nim a stelażem leżała pomarańczowa teczka.

Miałam przespać na niej całą noc!

Pod latarnią jest zawsze najciemniej – powiedziałyby zapewne Natalia.

Zatęskniłam nagle za nią i za jej powiedzonkami na każdą okazję. Za spokojem i poczuciem humoru. Ciekawe, co by mi doradziła, wiedząc, że wybieram się w odwiedziny do Maksa? Nie mogłam zadzwonić w środku nocy, żeby o to zapytać. Zresztą ona przecież od dawna mówiła mi, że nie warto uciekać. Że powinnam stanąć z nim twarzą w twarz i wyjaśnić wszystko do końca. Bo dopiero kiedy wyjaśni się niedopowiedzenia, kłamstwa i żale, można pójść dalej.

A więc... pójdę dalej. Natalia byłaby ze mnie dumna.

Wymknęłam się z hotelu jeszcze przed świtem, w szpilkach i płaszczu założonym na pizamę. Na szczęście był dostatecznie długi, by ukryć nogawki w żółte kwiatki, kończące się tuż nad kolanami. Nie mogłam przecież wejść do pokoju Kostki po swoje dzinsy i koszulkę, schowane tymczasowo w jej wielkiej szafie. Natychmiast by się obudziła i spróbowała mnie powstrzymać, zalewając się łzami, jak to ona.

– Proszę wezwać dla mnie taksówkę. Najszybciej, jak się da – rzuciłam do recepcjonisty zduszonym szeptem, choć moje siostry spały w najlepsze jednaściana pięter wyżej i z całą pewnością nie mogły mnie teraz słyszeć.

Krytycznie przyjrzałam się swemu odbiciu w hotelowym lustrze.

Gołe łydki w granatowych szpilkach wyglądały może nieco dziwacznie, zwłaszcza w taki lodowaty poranek... Postanowiłam się jednak tym nie przejmować. To był Paryż, czyż nie? W Paryżu wszystko jest dozwolone. Brak rajstop i piżama mogły uchodzić za przejaw niebanalnego stylu.

Właściwie byłam nawet zadowolona z tego stroju. Przesądzał sprawę. Choćby Maks stanął na rzęsach, żebym mu dała jeszcze jedną szansę... Choćby się na mnie rzucił i obsypał pocałunkami i tak nie pójdę z nim do łóżka. Ani do restauracji. Nie rozepnę ani jednego guzika. Zdecydowanie nie mogłam mu się pokazać, po tych długich miesiącach upokorzeń, w piżamie w żółte kwiateczki, w dodatku z urwaną haftką przy dekolcie.

Zresztą nawet gdybym miała na sobie sukienkę od Prady albo Chanel i tak nie poszłabym z nim do łóżka.

Nie wymykałam się z hotelu po to, żeby się z nim pogodzić.

Miałam zupełnie inne, mniej pokojowe zamiary.

– Pani taksówka już czeka. – Recepcjonista z szerokim uśmiechem wskazał mi boczne drzwi hotelu.

Dokładnie pięćdziesiąt sześć minut później byłam już z powrotem w naszym apartamencie na jedenastym piętrze.

Drzwi do trzech sypialni wciąż pozostawały lekko przyknięte, a rozłożona kanapa w saloniku czekała na mnie tak, jak ją zostawiłam. Ostrożnie ściągnęłam szpilki i wskoczyłam pod kołdrę.

Piżama w żółte kwiatki znów była na właściwym miejscu.

Moje siostry nigdy nie zgadną, że pojechałam załatwić sprawy z Maksym ostatecznie i nieodwracalnie.

To był naprawdę doskonały dzień. Nie bawiłyśmy się tak dobrze od dzieciństwa. Właściwie nie robiłyśmy nic wielkiego. Nie miałyśmy żadnego planu, żadnych obowiązkowych punktów programu, wybranych muzeów i zabytków klasy zero. Jedyne miejsce, które koniecznie chciałyśmy odwiedzić, była kawiarnia Le Procope, kilka kroków od bulwaru Saint Germain.

Poszłyśmy tam na złość mamie i jej rojalistycznym przekonaniom. Nie mogła, rzecz jasna, nas tu zobaczyć... A jednak miło było wyobrazić sobie, jak się wścieka. Jak robi się biała jak kreda, a potem purpurowa ze złości na wiadomość, że tu byłyśmy.

– Kawiarnia rewolucjonistów – mruzczała z rozkoszy Lutka, siadając na pikowanej kanapie w kolorze koniaku. – Robespierre, Danton, Marat... Jesteśmy tu, gdzie oni! To byłoby straszliwe rozczarowanie dla naszej mamusi!

– Stolik Woltera! – pisnęła Kostka, bardzo rozemocjonowana. – Wyobrażacie sobie? On naprawdę przy nim pracował!

Wypiłyśmy kawę, po czym ruszyłyśmy dalej, zachwycone psikusem, który

zrobiłyśmy rodzinnej historii... miłości do monarchii, wysranej z mlekiem matki.

– Czuję się, jakby duch Robespierre’a krążył gdzieś tam, nad moją głową – oświadczyła Mańka.

Skoro wywarło to takie wrażenie nawet na niej, to chyba naprawdę warto było spędzić kilka chwil w tej Le Procope. Kawę mieli, trzeba przyznać, całkiem przyzwoitą... Kir Royal w roli aperitifów też sprawdził się niezłe – właściwie w kieliszku mogłoby być cokolwiek, grunt, że miało w nazwie „Royal”...

Roześmiane i bardzo zadowolone z siebie snułyśmy się potem przez całe popołudnie po mieście, bez planu, bez celu... Z mapą w kieszeni, ot tak, na wszelki wypadek. Dawaliśmy się porwać paryskim zaułkom, przechodziłyśmy z jednej strony Sekwany na drugą kolejnymi mostami. Zaglądałyśmy do sklepów, do galerii, podskakiwałyśmy, żeby zerknąć przez okno do mieszkanca, z którego wydobywał się słodki, waniliowy aromat jakiegoś deseru...

Kostka nawet pozwoliła sobie powróżyć, chyba pierwszy raz w życiu, kiedy jakaś szarlatanka, napotkana w uliczce na tyłach zaniedbanego teatru, naciągnęła ją z zaskoczenia na tarota.

– Przynajmniej nie było drogo – chichotała Lutka. – Ubiłaś niezły interes, moja Konstancjo. Dwa euro za obietnicę tańca na dwóch weselach i letniego domku na egzotycznej plaży...

– O weselach nic nie wiem, ale Czarci Cypel od biedy może uchodzić za egzotyczną plażę. – Kostka, nareszcie uśmiechnięta od ucha do ucha, zrobiła zęza i pokazała jej język. – Kiedy czwarty domek będzie już gotowy, zamknę się w nim ze stadem kotów!

– Ze stadem kotów... no i z nami, moja droga! – Mańka objęła ją ramieniem i razem zatoczyły się lekko w drzwiach hotelowej windy.

Naprawdę opłacało się zostać w Paryżu dwadzieścia cztery godziny dłużej, nie tylko ze względu na Maksa.

– Największa atrakcja dopiero przed nami! – Lutka zerknęła na zegarek i wyciągnęła z kieszeni klucz. To znaczy, oczywiście, kartę magnetyczną. Klucze w takich hotelach raczej wyszły już z mody. – Nigdy nie przypuszczałam, że pójdziemy do paryskiej opery. W Warszawie byłam ostatnio na *Dziadku do orzechów*, chyba w piątej klasie... Słuchajcie... Dlaczego my właściwie idziemy do tej opery? Która z was wpadła na ten głupi pomysł?

Spojrzałyśmy na siebie niepewnie.

Dlaczego do opery?

Nie miałam pojęcia, naprawdę. Ale zdecydowanie musiałyśmy się pospieszyć. Opera w żadnym kraju nie lubi chyba spóźnialskich widzów... A przecież trzeba było jeszcze się przebrać i trochę umalować...

– Ktoś tu był? – Mańka stanęła na środku apartamentu jak pies tropiący i rozglądała się podejrzliwie dookoła.

Wskazałam palcem na drzwi do mojej sypialni.

Były szeroko otwarte. W oknie lśniła nowa szyba, a na biurczku zobaczyłyśmy bukiet kwiatów i butelkę wina, oczywiście z bilecikiem od dyrekcji:

*Proszę przyjąć najszczerze przeprosiny za wszelkie niedogodności...
Wyrażamy ubolewanie... Będziemy zachwyceni, mogąc spełnić Pani życzenia...
Z wyrazami najgłębszego szacunku...*

Bła, bła, bła...

Z ulgą przeniosłam wszystkie ubrania z szafy Kostki z powrotem na swoje miejsce.

Ktoś mógłby uznać, że nie oplaca się tego robić. W końcu jutro i tak się spakujemy i wrócimy do domu. Ja jednak od dzieciństwa nie znosiłam dzielenia z siostrami szaf, biurka, zabawek, ubrań. Namówiona przez Natalię obejrzałam niedawno *Przeminęło z wiatrem*. Najbardziej utkwiała mi w pamięci scena kończąca pierwszą część, gdy Scarlett dźwiga się z kolan, unosi w górę garść spalonej czerwonej ziemi i mówi: „Bóg mi świadkiem, przeżyję ten koszmar. A kiedy się skończy, już nigdy nie będę głodna”.

Przez całe dzieciństwo mówiłam coś podobnego. Że kiedy dorosnę, będę bogata i już nigdy nie będę musiała szukać swojej najlepszej bluzki na półkach młodszych sióstr.

Dotrzymałam słowa. Jestem bogata i mam własną szafę. Nawet w hotelu. Nawet na jedną noc.

– Ech, Ninka... – Lutka roześmiała się, widząc, jak rozwieszam starannie kolejne części garderoby. – Nie minęła ci jeszcze ta obsesja na punkcie własnej szafy?

Nie uznałam za stosowne jej odpowiedzieć.

Każda z nas miała swoje dziwactwa wyniesione z rodzinnego domu. Jak choćby niechęć do wszystkiego, co francuskie. A teraz co? Jesteśmy w Paryżu, wszystkie cztery, i naprawdę nieźle się bawimy.

Idziemy do paryskiej opery... Kto by przypuszczał, że kiedyś tam trafimy!
I to razem!

ROZDZIAŁ 8

NIESPODZIEWANA WIZYTA

Chciałem już zamknąć dzień na klucz,

Jak doczytaną księgę,

Owinąć się czarną ciszą.

I zasnąć na potęgę.

Leopold Staff, *Chciałem już zamknąć dzień...*

NINA

Telefon Lutki zawył o szóstej rano, wyrywając nas z głębokiego snu.

– Nie mogłaś wyciszyć go na noc? – mruknęłam w kierunku jej sypialni, przewracając się na drugi bok.

Lutka wypadła z pokoju i złapała komórkę leżącą na stole w saloniku.

– Cholera jasna, to Hamish – syknęła zdziwiona. – Pora jest, jak dla niego, raczej nietypowa.

W Kanadzie wybijała chyba właśnie północ.

Co niecierpiącego zwłoki mogło wydarzyć się o północy z soboty na niedzielę? Podniosłam się na łóżku i obserwowałam przez szparę w drzwiach całą scenę.

Lutka stała z komórką przy uchu na środku pokoju i robiła się coraz bledsza. Słuchała w skupieniu przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała drżącym głosem:

– Nie denerwuj się. Przekładamy lot i czekamy na ciebie... – I rzuciła telefon na stół.

Wyglądało na to, że już sobie nie pośpimy.

Weszłam do salonu w tej samej chwili, co Mańka i Kostka.

Lutka drżącymi rękami zawiązywała pasek swojego szlafroka.

– Nie mam pojęcia, co mu się stało – oświadczyła, nie czekając na nasze pytania. – Jeszcze dzisiaj ma lot do Paryża. Prosił, żebyśmy się stąd nie ruszały, bo musi się pilnie z nami spotkać.

W poniedziałkowe popołudnie Hamish wpadł jak burza do restauracji. Nie przywitał się, nie posłał żadnego ze swoich obłądnych uśmiechów. W ogóle nie spojrzał w naszą stronę. Usiadł, nie zdejmując płaszcza, i rzucił na stół kopertę, z której wysypały się zdjęcia.

– Co to jest? Kto... – W pierwszej chwili nie rozumiałam, na co właściwie patrzę.

Odbitki były niezbyt ostre, najwyraźniej widać było białe, ozdobne litery na szybie, przez którą zrobiono zdjęcia:

Bistrot Vivienne.

Ta nazwa kompletnie nic mi nie mówiła.

Za szybą siedziała para. Łysawy mężczyzna z poważną nadwagą, ubrany w szary garnitur i ruda kobieta w turkusowym swetrze z wielkim golfem.

To był mój sweter. Włosy też mogły być moje.

Ale nie znałam tego człowieka. I nigdy nie byłam w Bistrot Vivienne.

– Która to? – syknął takim tonem, że aż zadrzałam. Nigdy się tak nie odzywał. Był chyba największym dżentelmenem w całej Kanadzie! Nie całował wprawdzie kobiet w rękę, ale pozostałe maniery miał jak bohaterowie przedwojennych filmów!

Każda z nas wzięła po jednej odbitce.

Czy to możliwe, że nie poznał, która z nas jest na zdjęciach? Owszem,

wszystkie jesteście szczupłe i wszystkie, poza Mańką, rude, ale naprawdę nie wyglądamy jak bliźniaczki!

Różnimy się oczami, wykrojem ust, mamy inne figury... Kostka nie ma biustu ani bioder, jest chudzielcem, na którym wiszą nawet obcisłe dzinsy ze streczem w rozmiarze XXS. Mańka chełpi się tymi swoimi bajecznymi piersiami w kształcie jabłek i tyłkiem jak milion dolców. A Lutka i ja mieścimy się gdzieś pośrodku między nimi, tyle że ona jest ode mnie i od Mańki niższa prawie o głowę. No i jej włosy nie mają koloru ognia, jak włosy Kostki, ani miedzi – jak moje. Przypominają odcieniem raczej skórę dojrzałej mandarynki. No i są naprawdę długie, sięgają jej do talii... Nie upina ich wysoko, tak jak ja, prawie na czubku głowy. Nosi je rozpuszczone albo wiąże w węzeł na karku...

Kobieta na zdjęciu była widoczna z tyłu... Można było jedynie zobaczyć jej szyję wysuwającą się z turkusowego golfu, jedno ucho i kawałek drugiego... Miała miedziane włosy upięte wysoko metalową klamrą, spod której we wszystkie strony wymykały się rude sprężynki. Z jej uszu zwisały wielkie, cygańskie kółka. Moje kółka, bez cienia wątpliwości...

– To przecież Nina – oświadczyła Mańka szybko, niemal nie patrząc na zdjęcie.

– Nina – potwierdziła Lutka.

Kostka wzięła do ręki wszystkie odbitki po kolei.

– Bardzo niewyraźne – powiedziała z niezadowoleniem. – Cała ostrość poszła w szybę. Ale to Ninka, nie mam żadnych wątpliwości.

Cztery pary oczu patrzyły na mnie zdumione.

– To ty? – zapytał Hamish.

– Tak... Chyba tak... – Poczulałam, że coś dławi mnie w gardle. – To mój sweter... i moje włosy... I moje kolczyki... Ale ja nigdy w życiu nie byłam w tym bistro i nie mam pojęcia, kim jest ten facet!

Miałam wrażenie, że znalazłam się w jakimś absurdalnym filmie. Albo w grze komputerowej. Tyle że ja nigdy nie grałam w żadne gry i kompletnie nie znałam zasad.

Może więc po prostu zwariowałam?

To wydawało się, niestety, najbardziej prawdopodobne.

Mańka była chyba tego samego zdania.

– Nie poznajesz go? – Patrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Naprawdę nie wiesz, kim jest człowiek, z którym piłaś absynt?

Absynt? Faktycznie, na stole stały dwie szklanki pełne zielonego płynu. Miałam wrażenie, że absynt pije się raczej na kieliszki, a nie na szklanki... Ale co ja właściwie wiem o paryskich zwyczajach? Z całą pewnością jednak nie piłam absyntu, służbowo ani prywatnie. Nigdy w życiu. I niewątpliwie nie siadałam do stołu w restauracji w skórkowych rękawiczkach, tak jak na tym zdjęciu...

– Powinłam go znać? – zapytałam ostrożnie, odrywając się od rozmyślań o absyncie.

– No raczej – mruknęła Mańka. – Skoro z nim siedziałaś przy jednym stole...

– Nie widziałaś go na jakichś zdjęciach w sieci? Nie wpadłaś na niego na żadnych targach? – Lutka też wyglądała na zaskoczoną. – To przecież sam Hans Hanson!

Szlag by to trafił! Hans Hanson? Główny konkurent Hamisha na kanadyjskim rynku. Człowiek, który grał wyjątkowo nieczysto i robił mu nieustannie przeróżne świństwka. Zwykle Hamishowi udawało się zachować spokój. Filozoficznie stwierdzał, że taki jest świat biznesu i nie da się nic na to poradzić. Ale ostatni numer Hansona nawet jego wyprowadził z równowagi.

Hans Hanson przejął podstępem ponad setkę pracowników Hamisha. Obiecując złote góry, wyciągnął ich dosłownie z dnia na dzień z największej fabryki Hamisha. A miesiąc później zwolnił wszystkich też z dnia na dzień, bez wyjaśnienia, bez dotrzymania warunków umowy... Zrobił to tylko po to, żeby Hamish nie mógł dostarczyć na czas wyjątkowo ważnej partii towaru na prestiżowe targi w Tokio.

Zwyczajny skurwiel, prawie jak Maks.

Jeżeli był ktoś, kogo Hamish naprawdę szczerze nienawidził, to właśnie Hans Hanson.

Człowiek niemal mityczny, spędzający długie miesiące w swoim zamczku w szwajcarskich Alpach. Jego pojawienie się w pobliżu jakiejś firmy lub fabryki niemal zawsze zwiastowało poważne kłopoty.

– Czy to zdjęcie zrobiono w Paryżu? – zapytałam, chyba niezbyt bystrze.

Moje siostry i Hamish spojrzeli na mnie z politowaniem.

– Może to ty powinnaś nam powiedzieć? – syknęła w końcu Mańka.

Może i tak. Ale naprawdę nie miałam pojęcia!

Skupiłam się na zdjęciach. Przeglądałam je raz za razem, unosiłam do oczu, żeby złapać choć trochę ostrości.

To musiałam być ja. I to nie dawniej niż cztery dni temu. To wtedy po raz pierwszy założyłam ten sweter z wielkim golfem. Kupiłam go już dawno, przymierzyłam, po czym odłożyłam do szafy. Dopiero lecąc do Paryża, wcisnęłam go do walizki i założyłam od razu, pierwszego dnia, na kolację z gwiazdką Michelin.

Ale przecież, do cholery, na tych zdjęciach nie siedziałam w jasnej, przytulnej sali restauracji Benoit. A ten facet na pewno nie był żadną z moich sióstr, które mi wtedy towarzyszyły.

Nie znałam go. W życiu nie stałam z nim twarzą w twarz.

I nie spotkałam się z nim w żadnym cholernym bistro.

Boże, czy to możliwe, że zwariowałam? Tak nagle, między przystawką a daniem głównym, którego ciągle nie zamówiliśmy?

Czy można zwariować i nie mieć żadnych widocznych symptomów... poza tym, że nie rozpoznaje się grubasa w szarości i samej siebie, siedzącej z nim twarzą w twarz nad szklanką absyntu?

– Powiesz mi, co z nim robiłaś? – Hamish wpatrywał się we mnie z takim nieznośnym rozczarowaniem i bólem na twarzy... – Wciągnął cię w kolejny spiszek przeciwko mnie? Zamierzacie do spółki przejąć którąś z moich fabryk?

– Co ty opowiadasz! – pokręciłam głową, próbując się roześmiać, ale śmiech ugrzązł mi w gardle. – Nie znam tego człowieka. Nie rozpoznaję tego bistro. Nie byłam tam, musicie mi uwierzyć. Nie mogłam przecież tam pójść i kompletnie niczego nie pamiętać. Nie mogłam, prawda?

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, tylko Kostka z wahaniem wzięła mnie za rękę.

Zaczęłam przerzucać fotografie, wpatrywać się w nie, szukać czegokolwiek, co naprowadziłoby mnie na jakiś trop. Czułam, że to tam jest... Że przegapiłam coś bardzo ważnego.

Patrzyłam znowu i znowu... Niemal w nieskończoność.

Bez skutku.

Po tym spotkaniu włóczyłyśmy się po mieście we cztery aż do nocy, bez końca gubiąc się w domysłach.

– Wierzycie mi? – pytałam raz za razem, a one przytakiwały, że tak, oczywiście, że moje słowo jest dla nich ważniejsze od jakichkolwiek fotografii.

Nie byłam pewna, ile w tym prawdy.

Kostka... Tak, ona chyba faktycznie mi wierzyła. Ale to nie było szczególne osiągnięcie. Kostka wierzyła wszystkim, bez względu na okoliczności. Wciąż musiałyśmy mieć ją na oku, żeby nie dała się nabrać sprzedawcom drogiej garnków albo oszustom stosującym zmodyfikowaną (dla potrzeb młodszego odbiorcy) wersję wyłudzeń „na wnuczka”. Była kompletnie pozbawiona instynktu samozachowawczego. Zero podejrzliwości, zero nieufności. Wierzyła w każde moje słowo – tak jak w każde inne słowo wypowiedziane w jej obecności.

Lutka, jak to ona, próbowała analizować wszystko na zimno. Jeszcze w restauracji wyjęła notes, żeby zapisać wszystkie rozwiązania, które przyjdą jej do głowy. Na razie lista nie była zbyt długa, składała się z jednego punktu: Ninka – amnezja.

Mańka natomiast była wściekła, czyli, tak samo jak nasze młodsze siostry, reagowała w najbardziej typowy dla siebie sposób.

– Miałyśmy dziś wracać do domu! Ile razy można przebukowywać bilety? Mam na jutro zaplanowane trzy spotkania, muszę je teraz szybko odwołać... – piekliła się, miotając iskry z oczu.

Wszystkie wiedziałyśmy jednak, że nie możemy opuścić Paryża, dopóki nie rozwiążemy zagadki tych dziwnych zdjęć.

Długi spacer sprawił, że poczułyśmy się głodne. Nie chciałyśmy jednak iść do kolejnej restauracji i tam rozmawiać przyciszonym głosem, zderzając się łokciami z ludźmi przy sąsiednim stoliku.

Odwiedziłyśmy więc mały sklepik, czynny chyba przez całą dobę, trzy przecznice od hotelu. Kupiłyśmy dwie butelki wina, bagietkę i kilka miękkich serów. Miałyśmy zamiar urządzić sobie w naszym apartamencie prawdziwą burzę mózgow. Opracować plan doskonały, potem solidnie się wyspać – i od razu, rankiem, ostro ruszyć do działania.

– Ale wiecie, że do naszego apartamentu, tak jak do wszystkich innych pokoi, absolutnie nie można wnosić własnego jedzenia? – powiedziała Mańka, dosłownie w ostatniej chwili.

Jak mogłyśmy o tym zapomnieć?!

Schowałyśmy się w cieniu, w bramie z widokiem na nasz hotel, i nagle zeszło z nas całe napięcie związane z tajemniczymi zdjęciami i w pełni uzasadnionymi pretensjami Hamisha. Próby ukrycia bagietki w torebce wielkości pocztówki skutecznie oderwały nasze myśli od problemów. Chichotałyśmy jak nastolatki, zastanawiając się, jak przemycić te zakupy do hotelu.

Sery schować było łatwo, każda z nas włożyła jeden do swojej torebki. Każda, oprócz Mańki, której torebka była tak mała, że z trudem mieściła szminkę i chusteczki. Ale od czego są kieszenie?

GORZEJ było z butelkami, no i z bułką długości metra. Po kilku próbach w ciemnej bramie jedna butelka trafiła pod kurtkę Kostki, druga – w obszerny rękaw Mańki, a bagietka znalazła schronienie pod moim płaszczem.

– Tylko rób małe kroki i nie podnoś kolan! – szeptała mi Lutka. – Bo zmiądzysz tę biedną bułkę. Albo złamiesz ją na pół...

– To jeszcze nie byłoby najgorsze – odpowiadała Kostka, nareszcie roześmiana i zrelaksowana. – Ale gdyby bagietka wyskoczyła nagle, akurat kiedy będziesz defilowała przed recepcją, spod płaszcza prosto na podłogę...

– Albo wysunęła się przez szparę między guzikami jak wielki wyprężony fiut... – podchwyciła Mańka. Oczywiście, jej wszystko kojarzy się z jednym. Nawet niewinna bułka...

Śmiałyśmy się jak wariatki, na przekór tej całej absurdalnej sytuacji. Chichotałyśmy i rechotałyśmy, zupełnie tak, jakbyśmy już opróżniły te dwie butelki wina. Boże, kiedy ostatnio tak po prostu śmiałyśmy się razem, wszystkie cztery? Postanowiłam, że tego wieczoru powiem im, jak wiele dla mnie znaczą. Chyba nie mówiłam o tym zbyt często. Właściwie... Prawdopodobnie nigdy o tym nie mówiłam. A więc powiem, gdy tylko wejdziemy do pokoju.

Nie zdążyłam.

Na naszym piętrze, przy drzwiach windy, czekało dwóch policjantów.

– *Mademoiselle Drop?* – zapytali, patrząc na nas nieco zdezorientowani.

– *Yes...* Tak. *Oui* – odpowiedziałyśmy wszystkie cztery.

– *Mademoiselle Antoinette Drop?* – sprecyzowali.

Antoinette... To chyba byłam ja? Ale dlaczego mnie szukali? Wnoszenie jedzenia do hotelu było niezgodne z regulaminem, ale, na litość boską, dyrekcja nie wezwwała przecież z tego powodu policji? Musiałaby to być policja latająca... Armia cholernych Batmanów! Inaczej nie dotarliby chyba na jedenaste piętro hotelu w kilkadziesiąt sekund od wezwania?

– Jestem Antonina Drop – przedstawiłam się. – Ale zaszła chyba jakaś pomyłka? W czym mogę panom pomóc?

– Nie ma mowy o pomyłce – oświadczył niższy z policjantów nienagannym angielskim. – Chcielibyśmy z panią porozmawiać o panu Maksymilianie Lizaku.

– Łysaku – poprawiłam go odruchowo.

I zaraz zagotowałam się ze złości.

Cholera ciężka, Maks? Maks doniósł na mnie na policję?! Co mógł wymyślić tym razem? W co usiłował mnie zrobić?

– Pójdzie pani z nami – powiedział wyższy z gliniarzy, też doskonałą angielszczyzną.

– Nie idź sama – syknęła Mańka. – Kończyłam prawo, powiem im, że jestem twoim adwokatem.

– Nie potrzebuję adwokata. Wszystko szybko wyjaśnię i zaraz wrócę... Nie mam przecież nic do powiedzenia. Poczekać na mnie przynajmniej z drugą butelką.

– Ninka, nie idź sama... – Kostka złapała mnie za rękę.

Nie chciałam brać ze sobą Mańki. I opowiadać przy niej o tym, że poszłam do Makska... Ani tym bardziej wyjaśniać, po co to zrobiłam. Wolałam załatwić wszystko sama.

– Szybko wrócę – szepnęłam, po czym zrobiłam krok w stronę policjantów.

I oczywiście, szlag by to trafił, zapomniałam o bagietce. Wysunęła się w stronę gliniarzy spod niedopiętego, rozchylonego lekko płaszcza. Nie jak dumny fiut z rojeń Mańki, lecz jak smętna, oklapła fujarka.

Gliniarze odskoczyli jak oparzeni. Ten niższy sięgnął nawet do kieszeni, pewnie po broń. Potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, że to bułka... zwykła, niegroźna, pognieciona bułka.

Szybko podałam ją Kostce i podreptałam za mężczyznami w mundurach.

Naprawdę byłam pewna, że wrócę lada chwila, zanim dziewczyny otworzą drugą butelkę wina.

ROZDZIAŁ 9

Z PŁYTOTEKI DZIADUNIA

Czoło chore przyciskam

Do drewnianej framugi,

Noc w Paryżu – paryska,

Sen się zbliża – niedługi.

Jan Brzechwa, *Paryż*

NINA

Komisariat w Paryżu nie różnił się zbytnio od tych w Ciechocinku czy

w Warszawie. Swoją drogą, to nie do wiary, ile odwiedziłam komisariatów przez ostatni rok! Od dnia, w którym poznałam Natalię, ciągle spotykałam policjantów. Zawsze miało to coś wspólnego z nią... Z nią i z którymiś zwłokami.

Ale tym razem nikt nie umarł. Tylko pewien dupek próbował mnie zrobić w jakąś aferę. Musiałam dowiedzieć się, w jaką. A potem wrócić do hotelu i błyskawicznie opracować z dziewczynami nowy plan.

Czy to możliwe, że te zdjęcia z Bistrot Vivienne... Że w nich też maczał palce mój dawny narzeczony? To było chyba jedyne logiczne wyjaśnienie.

Powinłam jak najszybciej opowiedzieć policjantom o tej sprawie. A może oni przyszli do mnie właśnie z powodu nieostrych fotografii z Hansem Hansonem? Chyba, na litość boską, Hamish nie złożył doniesienia, że uprawiam szpiegostwo gospodarcze? Boże, nie zrobiłby przecież czegoś takiego. Nawet jeśli naprawdę był bardzo, bardzo wściekły...

– Czy chce pani skorzystać z pomocy tłumacza? – zapytał niższy z gliniarzy. Kiedy mówił po angielsku, przypominał trochę głupiutkiego Kubusia Puchatka z kreskówki. Trudno mi było zachować powagę.

– Rozumie pani, co mówię? – Wbił we mnie świdrujące, ciemne spojrzenie.

Pokiwałam głową.

– Chce pani tłumacza, tak? – upewnił się drugi.

– Nie, nie... – Znowu chciało mi się śmiać. Co za durne nieporozumienie. – Kiwałam głową na znak, że rozumiem pana kolegę. Nie dlatego, że chcę tłumacza. Myślę, że doskonale sobie bez niego poradzimy. Panowie mówią świetnie po angielsku... Ja też używam na co dzień tego języka.

Nie umieli ukryć zadowolenia z powodu pochwały. Uśmiechnęli się pod nosem, a potem nagle spoważniali, jak na komendę. Jakby przypomnieli sobie, po co mnie tu ściągnęli.

– Maksymilian Bogumił Łysak. – Podsunęli mi kartkę z danymi Maksa, żeby upewnić się, że mówimy o tej samej osobie. – Zna pani to imię i nazwisko?

– Oczywiście, że tak. – Wzięłam głęboki oddech, po czym wyrzuciłam z siebie jak z karabinu: – Nie mam pojęcia, co on wymyślił, ale skoro tu jestem, to na pewno coś oryginalnego. Informuję więc od razu, zanim zaczną mi panowie zadawać pytania, że nie mam z tym draniem nic wspólnego. Owszem, był kiedyś moim narzeczonym...

– Chwileczkę... – Wyższy z gliniarzy próbował mi przerwać, nie dałam mu jednak dość do słowa.

– Mieliśmy wziąć ślub, ale wskutek nieszczęśliwego wypadku trafiłam do szpitala kilkanaście godzin przed ceremonią. Wówczas pan Łysak zniknął, a ja dowiedziałam się, że cała nasza znajomość była jednym wielkim kłamstwem. Maksymilian Łysak wykradał mi receptury produktów, bazy danych, namiary na klientów, projekty... Chciał się ze mną ożenić tylko po to, żeby przejąć połowę

udziałów w mojej firmie! Pół roku po naszym rozstaniu podpiął się do mojego komputera, żeby przechwycić dokumentację największego projektu, nad jakim wówczas pracowałam, skopiować ją słowo w słowo, obniżyć nieco ceny i przejąć kontrakt mojego życia... Jest skurwysynem i nie zaskoczy mnie nic, co mi panowie powiedzą. Spodziewam się po nim wszystkiego najgorszego.

– Nienawidzi go pani? – Kubuś Puchatek w przyciasnym mundurze spojrzął mi uważnie w oczy.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie nazwałabym tego nienawiścią. Jestem raczej okropnie, cholernie rozczarowana. Swego czasu naprawdę mu ufałam...

– Chciałaby pani zemścić się na panu Maksymilianie? – Ten drugi, wyższy, też zmierzył się ze mną spojrzeniem.

Roześmiałam się, słysząc te słowa... i ten ton!

– Fantazjowałam o zemście – przyznałam szczerze. – Moje siostry też. Nawet nasz główny kontrahent, pan Hamish McLaren z Kanady, chciał się włączyć w projekt pod kryptonimem: „Niech nas dupek popamięta nas na zawsze”. Ale oczywiście skończyło się na gadaniu. Jesteśmy zbyt zajęci, żeby zajmować się zemstą na jakimś nędznym fiutku.

– Nędznym fiutku? – Puchatek uniósł swoje krótkie, gęste brwi tak, że wydawały się niemal pionowe. – Ma pani ciekawy arsenał określeń...

– Co zrobił tym razem? – Chciałam nareszcie przejść do sedna sprawy. – Jeżeli o cokolwiek mnie podejrzewacie... Jeśli są jakieś ciemne sprawy, w które waszym zdaniem jestem zamieszana, to wiedzcie, że pan Łysak maczał w tym palce! Powinniście przesłuchiwać jego, a nie mnie. A jeżeli dotarły do panów jakieś zdjęcia, to...

Nie zdążyłam dokończyć.

Jeden z policjantów, bez słowa, położył na stole zdjęcie.

Moje zdjęcie, zrobione przedwczoraj, na progu kamienicy Maksa.

– Skąd to macie? – Wpatrywałam się ze zdumieniem w nieostrą fotografię.

Oczywiście nie raczyli udzielić mi odpowiedzi.

Położyli obok jeszcze trzy inne zdjęcia, bardzo podobne do poprzedniego. Zrobione jedno po drugim.

– Czy poznaje pani te osoby? – zapytał oficjalnie wyższy z gliniarzy.

Chciałam odpowiedzieć coś dowcipnego. Ale co? Że to Donald Trump i Hilary Clinton? Flip i Flap? Kleopatra i Marek Antoniusz? Żadna z tych odpowiedzi nie wydała mi się dostatecznie zabawna, pokiwałam więc tylko głową i mruknęłam po prostu:

– To ja i Maks. To znaczy Maksymilian Łysak.

– Bez żadnych wątpliwości? – Puchatek pochylił się nad stołem, przewiercając mnie na wylot czarnymi oczkami.

Nawet gdybym próbowała cokolwiek ukryć, już bym pękła pod tym spojrzeniem i wyznała mu prawdę, zalewając się łzami.

Nie miałam jednak niczego do ukrycia.

Byłam za to coraz bardziej zirytowana.

– Spotkanie miało miejsce przedwczoraj około godziny szóstej czterdzieści rano – postanowiłam powiedzieć im wszystko, jak najdokładniej. Może wtedy zakończą tę szopkę i po prostu odwieżą mnie radiowozem do hotelu? – Zadzwoiłam domofonem do Maksa i obudziłam go, co chyba widać, szczególnie na tym powiększeniu. Nie wpuścił mnie do mieszkania, zszedł na dół i rozmawialiśmy przez pięć minut przy wejściu na klatkę schodową. Może nawet krócej. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Żeby się uspokoić, poszłam do małego baru na rogu na poranną kawę. Powinnam jeszcze mieć w torebce wizytówkę tej knajpki...

– Jest pani pewna, że te zdjęcia wykonano podczas tego właśnie spotkania? – Kubuś nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Jestem pewna. – Hurra, udało mi się nie wybuchnąć i odpowiedzieć rzeczowo na jego pytanie.

– Ale na zdjęciu nie widać twarzy... Są rozmazane... – Wyglądał, jakby trafił właśnie szóstkę w totka. Jak kocur, który złapał wyjątkowo tłustą mysz i popił śmietanką z kozuszką. – Nie może pani mieć pewności, czy to naprawdę było przedwczoraj, wczoraj, czy może rok albo dwa temu...

– Rok albo dwa lata temu nie byłam w Paryżu. Nie miałam tego płaszcza, kupionego miesiąc przed wyjazdem – westchnęłam, zmęczona tą rozmową. – Twarzy może zbyt dobrze nie widać, ale płaszcz i owszem. Maks widział go po raz pierwszy i zapewne nie pamięta już nawet, jakiego był koloru... Ale ja na podstawie płaszcza i gołych łydek, które dokładnie widać na ostatnim ujęciu, stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że to było przedwczoraj rano.

– A to? – Na stół trafiły kolejne fotografie.

Znowu byłam na nich ja, w tym samym zielonym, kloszowanym płaszczu... ale jakaś inna.

Ja? Nie ja?

Na pierwszym zdjęciu całowałam się z Maksem w wąskim zaułku. Na drugim wchodziłam do jakiegoś mieszkania. Te wymyślne okucia... Ta przekrzywiona dziewiątka na drzwiach... Przedwczoraj naciskałam dziewiątkę na domofonie, ale...

Cholera, nie doszło do takich scen. Nie wpuścił mnie nawet na klatkę schodową! Pokłóciliśmy się od razu, na dzień dobry. Miotaliśmy ogień z oczu, i to naprawdę nie były ognie namiętności!

– Nie rozumiem – jęknęłam, podnosząc pierwszą fotografię do światła i uważnie jej się przyglądając. – Naprawdę nie rozumiem. Nie całowałam się

z Maksem od roku... A wtedy nie miałam tego płaszcza. Ktoś manipuluje rzeczywistością i chyba wiem, kto... To nie są jedyne zdjęcia, które mają mnie pokazać w złym świetle. Naprawdę pora z nim poważnie porozmawiać i skończyć z całą tą szopką!

Mężczyźni patrzyli na mnie jak na ufoludka.

– Podzieli się pani z nami swoimi przypuszczeniami? – zapytał w końcu Puchatek.

– To przecież oczywiste – prychnęłam. – Maks. Cholerny Maks. To znaczy pan Maksymilian Łysak. W coś usiłuje mnie zrobić. I z jakiegoś powodu, nie wiem z jakiego i w jaki sposób, postanowił udawać, że znowu łączy nas coś więcej... Zapytajcie go, proszę, o co chodzi.

– Zapytalibyśmy z przyjemnością. – Wyższy z policjantów uśmiechnął się dziwnym, niewesołym uśmiechem. Po raz pierwszy stwierdziłam, że wygląda na zmęczonego. – Kłopot w tym, że pan Maksymilian Łysak nie żyje. I była pani prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Nagle przestałam rozumieć po angielsku.

Docierały do mnie pojedyncze słowa, ale nie było w nich żadnego sensu.

Jak to: nie żyje? Wtedy, rano, naprawdę nic mu nie dolegało. Wyglądał żywo, młodo i zdrowo. Pomyślałam nawet: „W ogóle się nie starzejesz, skurwysynu”. Jakby posiadał jakiś eliksir młodości.

A teraz co? Umarł, tak po prostu?

Akurat teraz? Tuż po naszym spotkaniu?

Nie, niemożliwe. Musiałam coś źle zrozumieć. Nie było innego wytłumaczenia.

– Został zamordowany – sprecyzował Puchatek, bardzo powoli. – Dlatego musieliśmy zaprosić panią na komisariat.

Dopiero potem dowiedziałam się, że pod drzwiami naszego apartamentu czekało kolejnych dwóch policjantów.

Weszli do środka razem z dziewczynami i zabezpieczyli moje rzeczy. Ubrania, buty, kosmetyki i komputer. Zabrali mój laptop! I wszystkie supertajne dokumenty, zapisane na jego dysku!

Wiele razy próbowałam potem uporządkować w głowie wspomnienia z kolejnych dwóch dni. Bez skutku. Traciłam poczucie czasu, zapadałam w krótkie, męczące drzemki, przerywane kolejnymi przesłuchaniami.

– To jakaś idiotyczna pomyłka – powtarzałam zmieniającym się jak w kalejdoskopie policjantom.

Nadzieja, że potraktują te słowa poważnie, była coraz słabsza.

Ciągle pokazywali mi zdjęcia, pytając raz po raz o spotkanie, którego nie

było.

Jak miałam im to wyjaśnić? Sama przecież nie miałam pojęcia, w jaki sposób można by wytłumaczyć ten pocałunek i jego ramiona ciasno oplatające moje plecy w zaułku między domami.

Czy to możliwe, że oszalałam i kompletnie nie pamiętam, że się pogodziliśmy? Czy mogłam wymazać z pamięci całe spotkanie?

A właściwie dwa spotkania: z Maksem i z tym dupkiem Hansonem... To drugie, oczywiście, było teraz mniej istotne. Hansona, miejmy nadzieję, nikt nie zamordował.

Ale przecież te dwie sprawy musiało coś łączyć! Nie codziennie człowiek natyka się na swoje własne zdjęcia zrobione w sytuacjach, których nigdy nie było...

Może stał za tym właśnie Hanson? Kto wie, co sobie roił w swoim skurwysyńskim umyśle? Może wykorzystywał mnie, żeby po raz kolejny pokrzyżować szyki Hamishowi?

A do tego jeszcze kradzież torebki koło fontanny z rozkosznym amorkiem... i dwie dziurki w szybie mojej sypialni. Przedtem upierałam się, że to przypadek, że jakieś dzieciaki strzelały z wiatrówki dla zabawy z dachu sąsiedniego budynku, że torebkę wyrwał mi drobny złodziejasek na motorze, znalazłam się po prostu w złym miejscu, w złej chwili... Teraz wszystko łączyło się w mojej głowie w jeden koszmarny ciąg. Tyle tylko, że nie było w tym ciągu żadnego sensu. To wszystko po prostu nie mogło się wydarzyć.

– Muszę zobaczyć się z adwokatem. Albo z psychiatrą – oświadczyłam pod wieczór.

Na prośbę o psychiatrę nie zareagowali. Pojawił się za to adwokat. Mecenas Yann Girard. Znudzony, niewyspany, naburmuszony, za to z fantazyjnie zawiązanym szalikiem.

– Czy mówi pan po angielsku? – zapytałam niepewnie.

– Całuję twoją dłoń, madame... – oświadczył na dzień dobry, nie robiąc żadnego ruchu w kierunku moich rąk. – Angielski nie jest nam potrzebny. Mój dziadek był Polak, radzimy sobie po polsku, prawda? Trochę brakuje słowa, ale sobie radzimy.

– Radzimy sobie – przytaknęłam grzecznie.

A on, może z wdzięczności, zaintonował znowu, tym razem z melodią:

– Całuję twoją dłoń, madame, śniąc, że to usta twe...

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że braki w polszczyźnie adwokat łąta w dość specyficzny sposób: cytatami ze starych przebojów. Pewnie z płytki dziadunia Polaka...

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będzie je wplatał w rozmowę regularnie, w losowo wybranych momentach, za każdym razem wprawiając mnie w najgłębsze

osłupienie.

– Proszę opowiadać mi wszystko szczerze jak na spowiedzi – zażądał. – Pani wbiła nóż w serce panu Maksymilianu?

– Panu Maksymilianu nie – zaprotestowałam natychmiast. – To znaczy, w ogóle nikomu nie wbijałam żadnego noża!

I nagle dotarło do mnie, co on tak naprawdę powiedział.

– Maksa zakłuto na śmierć? – Podniosłam się z krzesła i zaraz znowu na nie opadłam, nie mogąc ogarnąć tego, co usłyszałam. – Zasztyletowano? To znaczy... Chce pan powiedzieć, że ktoś naprawdę zabił Maksa nożem? Ale... Ale gdzie? Kiedy? Jak...

Adwokat z uwagą wpatrywał się w sufit. Nie było mnie, nie było Maksa, nie było żadnego tematu. Tylko szary sufit nad moim krzesłem.

– On źle panią potraktował, tak?

– Tak. – Nie było sensu zaprzeczać. – Bardzo źle. Wszystko na ten temat już pan chyba wyczytał w aktach.

– Nie wszystko... – Pokręcił głową, cmokając z dezaprobatą. – W aktach nie ma ani jedno słowo o tym, co pani mu.

– Co ja mu? – powtórzyłam, nerwowo szukając w myślach, co to może oznaczać.

– Co pani mu. – Pokiwał głową, wyraźnie zastanawiając się, jak mógłby to ująć w inny sposób. Przewrócił oczami, wywinął dolną wargę i wreszcie wypalił, zadowolony z siebie: – W reakcji mu? Co pani mu w reakcji swej?

O, matko, z najwyższym trudem udało mi się zachować powagę i odpowiedzieć:

– Ja właściwie nic... Zupełnie nic.

– Reakcji nic? Naprawdę? Pokusy nie było, żeby reakcji mieć?

– Owszem, pokusy było, i to całkiem sporo – odparłam szybko. To było naprawdę zaraźliwe. Skoncentrowałam się i spróbowałam jeszcze raz, modląc się w duchu, żeby nie uznał, że sobie z niego żartuję. Jeszcze mi tylko brakowało obrażonego adwokata! – Po tym wszystkim, co Maks mi zrobił, chętnie powiedziałabym mu, co o nim myślę, ale nie miałam jak się z nim skontaktować. Zniknął. Przeprowadził się, zmienił numer telefonu... Włożył dużo wysiłku w to, żebym go nie znalazła. Dopiero tutaj, w Paryżu, dzięki moim siostronom udało mi się go odszukać i zamienić z nim kilka słów.

– Słów o czym?

Nie znalazłam dobrej odpowiedzi. Nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym. Właściwie, w ogóle nie rozmawialiśmy. Nie chciał mnie wpuścić do mieszkania, obrócił wszystko w żart, po czym szybko zamknął drzwi. A ja wypiliśmy kawę i taksówką wróciłam do hotelu...

– O czym rozmowa była? – Adwokat nie rezygnował. – Pani mówi

normalnie po polsku, nie szuka prostych słowa. Ja zapewnić, ja zrozumieć mogę wszystko.

Wzruszyłam ramionami. To przecież nie była kwestia języka.

– Nie było właściwie żadnej rozmowy.

– Czyli co? – Nie rozumiał. – Katuj, tratuj, ja przebaczę wszystko ci jak bratu?

– Słucham?! – Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że piosenki sprzed kilkudziesięciu lat stanowią żelazny repertuar pana mecenasa.

– Dręcz mnie, męcz mnie ręcznie, smagaj, poniewieraj, steraj, truj?

– Kabaret Starszych Panów – uśmiechnęłam się z ulgą, rozpoznając jedną z ulubionych melodii babci Krysi.

Nie odpowiedział mi uśmiechem.

– Pani pozwoliła na takie trakty? Na podłogi wszelakie? I wybaczyła mu jak bratu?

– Nie mam brata. Ale siostram na pewno bym nie pozwoliła. – Nie byłam pewna, czy to, co mówię, brzmi choć trochę po polsku. Czułam, że zaraz zwariuję, jeśli będę się skupiać na dobieraniu słów, dbając równocześnie o zachowanie powagi. A przecież sytuacja robiła się dramatyczna. Ktoś zadźgał Maksa, a policja naprawdę uważała, że zrobiłam to ja.

Sama bym tak uważała...

Te zdjęcia w jego ramionach... Fakt, że przyjechałam do Paryża z niejasnego do końca powodu, poszłam odwiedzić swojego eks o świcie, ukrywając to nawet przed Mańką, Lutką i Kostką, a kilkanaście czy może kilkadziesiąt godzin później on nie żył... Niewiele chyba było osób na świcie, które miały tak dobry powód do zemsty, jak ja.

– Chciałabym porozmawiać z siostrami – westchnęłam, patrząc adwokatowi w oczy.

Pokręcił głową.

– Na razie niewolnik.

– Słucham?!

– Niewolnik. Zakaz. Embargo na kontakt wszelki.

A... Nie wolno. Żeby uniknąć... Jak to się nazywało? Żeby uniknąć ryzyka mataczenia?

No trudno, będę musiała poradzić sobie bez nich. I sama jakoś rozwiązać sprawę spotkania, którego nie było.

– Mogę zobaczyć raz jeszcze te zdjęcia?

Mecenas Girard wyszedł, zrezygnowany, chyba po dwóch godzinach.

– Wrócę jutro – obiecał, stojąc już w drzwiach. – Może pani przypomina wtedy coś?

Wtedy to będę przypominać najwyżej chłodne zwłoki – pomyślałam ponuro, ale nie podzieliłam się z nim tym żarciem. Pewnie zaraz chciałby się dowiedzieć, co mam na myśli...

Nie miałam nic na myśli. Kompletnie nic. Miałam za to mętlik w głowie i chciałam zostać przez chwilę sama.

Adwokat zatrzymał się w progu i spojrzał na mnie uważnie.

– Proszę spać – powiedział na odchodne. – Sen dobry na smutki.

Niemal czekałam, aż zaintonuje: *Aaa, kotki dwa* albo *Ach śpij, kochanie*. To chyba była mniej więcej epoka jego dziadka?

Tym razem oszczędził mi jednak atrakcji muzycznych, skinął głową i w końcu zamknął za sobą drzwi.

Złapałam leżącą na stoliku kartkę i obgryziony ołówek. Zawsze łatwiej mi było się skupić, kiedy rozrysowywałam różne warianty danej sprawy. Może i teraz uda mi się do czegoś dojść, jeśli tylko odpowiednio to sobie naszkicuję?

Znowu straciłam poczucie czasu. Bazgrałam strzałki od jednego imienia do drugiego. Tworzyłam oś czasu, po czym zaraz ją zamazywałam.

– Nic się nie zgadza – jęknęłam, mnąc kartkę w palcach. – To nie ma sensu, po prostu nie ma sensu...

Rozprostowałam papier i zaczęłam wypisywać wszystko, czym musi zająć się adwokat:

1. Taksówkarz – sprawdzić, o której wsiadłam, o której wróciłam, ile minut czekał pod domem Maksa. Może coś pamięta, coś zauważył?

2. Recepcjoniści w hotelu – kiedy wchodziłam, wychodziłam, ile razy, w jakim stroju?

3. Monitoring w hotelu – chyba tam jest? Trzeba mnie na nim odszukać!

4. Sprawa strzału w moje okno – czy śledztwo dało jakieś efekty? Sprawdzić!

5. ... ???

Coś jeszcze chodziło mi po głowie. Jakiś punkt piąty, ale teraz nie mogłam go sobie przypomnieć. Uciekał, chociaż tak bardzo próbowałam sobie uświadomić, czego dotyczył.

– Proszę już spać. – Jasnowłosa policjantka bezszelestnie wsunęła się do pokoju i podała mi ręcznik. – Rano wszystko zobaczy pani w innym świetle.

Gówno prawda!

Rano wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak w nocy. A może nawet gorzej?

Bo przypomniałam sobie punkt piąty.

Pompon.

Punkt piąty brzmiał po prostu: „Pompon”.

Obiecałam Natalii, że odbiorę go punktualnie. Miała jechać do Krakowa na ostatnie spotkanie z promotorem przed obroną doktoratu. To było jedno z tych superważnych, absolutnie nieprzekładalnych spotkań. Maks (Dlaczego nie oprotestowałam tego imienia wtedy, w Ciechocinku???), pies idealny, zawsze z nią podróżował. Pompon jednak, mimo zadziwiających postępów, które robił, ciągle był głupiutkim szczeniakiem, więc nie nadawał się do przemierzania całej Polski podrasowanym małym fiatem w kolorze wściekłej pomarańczy.

Koniecznien trzeba go było zabrać z Helu i odstawić do Warszawy.

Musiałam skontaktować się z Lutką. Albo z którąkolwiek z moich sióstr.

Albo z Sebastianem, Szczepanem, Agą... Nawet z jedną z durnych recepcjonistek zmieniających się jak w kalejdoskopie. Chyba między jednym ziewnięciem a drugim potrafiły zapisać prostą wiadomość?

Walnęłam pięścią w drzwi.

Wiedziałam już, oczywiście, że jeden przysługujący po aresztowaniu telefon to bujda, rodem z amerykańskich filmów. Chociaż, kto wie? Warunki w paryskiej celi były naprawdę niemal luksusowe. Może w sprawie telefonów też mieli tu zupełnie inne zwyczaje niż w Polsce?

Byłoby mi to naprawdę na rękę!

Ale nawet jeśli nie dadzą mi do nikogo zadzwonić, to chyba nie mogą tego zabronić mojemu adwokatowi? Zbiera informacje i może rozmawiać z kim chce!

Cholera, dlaczego jeszcze go tu nie było? Miał przecież przyjść z samego rana!

– Muszę się widzieć z adwokatem! – ryknęłam, uderzając w drzwi obydwoma pięściami. – Muszę jak najszybciej z nim porozmawiać!

Adwokat nie pokazał się aż do wieczora.

Pokazała się za to jasnowłosa policjantka ze stosem zdjęć.

– Proszę wskazać osoby, które pani zna – powiedziała, kładąc kolejne fotografie na stole.

Przerzuciłam je najpierw szybko... potem wolniej... i jeszcze raz, dla pewności.

– Niestety, żadna z tych twarzy z niczym mi się nie kojarzy... – Czułam się niemal winna, że nie potrafię jej pomóc.

Przyjrzała mi się uważnie, zapytała dwa razy, czy jestem pewna, po czym wyszła.

Znowu siedziałam sama i czułam, że zaraz oszaleję. Liczyłam do dziesięciu. Nie pomogło.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co naprawdę się stało? – zawołałam w stronę zamkniętych na głucho drzwi.

Oczywiście bez odpowiedzi.

– Może bym wam pomogła, gdybyście normalnie ze mną porozmawiali? – spróbowałam jeszcze raz.

Bez skutku.

Znowu zaczęłam walić pięściami w drzwi, chociaż doskonale wiedziałam, że to może się skończyć dodatkowymi problemami. Już to przeżyłam w Warszawie, po śmierci Doroty, byłej przyjaciółki Natalii. Awanturowanie się naprawdę nie było mądrym posunięciem, a jednak nie mogłam się powstrzymać.

– Muszę zadzwonić! Koniecznie muszę zadzwonić do Polski!

Cisza. Cholerna, koszmarna, złowroga cisza.

Próbowałam się uspokoić i zebrać myśli. Maks nie żył. Zadźgano go nożem. Policja była przekonana, że to moja sprawka. Mieli zdjęcia, na których tuliłam się do Maksa... tutaj, w Paryżu, w moim zielonym płaszczu... Choć wcale tego nie pamiętałam. Istniały też inne zdjęcia. Zdjęcia z nieznanym mi Hansonem, wykonane w Bistrot Vivienne, w którym z pewnością nigdy mnie nie było.

No i, oczywiście, były strzały w moje okno, których na razie, niestety, nie potrafiłam połączyć z niczym w żaden sensowny sposób.

Powinam więc bardziej się skupić i rozwiązać sprawę tych fotografii. Tymczasem mnie, choć to idiotyczne, najbardziej w tej chwili obchodził fakt, że Natalia siedzi w swoim helskim domku z moim psem... Choć musi pilnie wyjechać do Krakowa.

Zupełnie jakby to był teraz największy z moich problemów!

Był. Cholera, naprawdę był.

Natalia była moją przyjaciółką. Czekala na ten doktorat przez pięćdziesiąt lat. Nie mogła tego zawalić. Nie przeze mnie.

Drzwi otworzyły się znowu.

– Wpłacono kaucję. Za dziesięć minut będzie tu pani adwokat.

– Słucham? Czy to znaczy, że jestem wolna?

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście.

– Wolna to... Hmm, trochę za duże słowo... – Policjantka podsunęła mi papier, zadrukowany maczkiem od góry do dołu. – Oto warunki zwolnienia. Musi pani przestrzegać tych zasad. Po pierwsze, zatrzymujemy pani komputer i telefon. Po drugie, do odwołania absolutnie nie wolno pani opuszczać Paryża...

Najdroższa N.!

Nie wiem, jak zacząć. A jeśli zdołam zacząć, to czy kiedykolwiek zbiorę się na odwagę, by wysłać ten list? Piszę go po raz piąty... A może szósty... Poprzednie kartki wylądowały już w koszu, a ja siedzę i mozolnie składam te pierwsze zdania, wciąż od nowa.

Wiem, że nie możesz mi wybaczyć. Ani nawet zrozumieć tego, co się stało. Ja też nie rozumiem i nie potrafię sobie wybaczyć.

Zawsze mówiłaś, że mam lekkie pióro. Wróżyłaś mi nawet karierę pisarską.

Teraz sama widzisz, że to bzdura. Nie potrafię sklecić nawet prostego listu.

Od czego zacząć? Od przeprosin? Wyjaśnień?

Przecież wiesz już dosyć... Wiesz prawie wszystko. Nigdy nie zapomnę wyrazu Twojej twarzy, kiedy poznałaś prawdę.

Wtedy dotarło do mnie, że muszę wyjechać. Zniknąć z Twojego życia na zawsze. Że nawet miasto tak wielkie, jak Warszawa, Londyn albo Nowy Jork, byłoby za małe, żeby pomieścić mnie i Ciebie. Nasze ścieżki przecięłyby się wcześniej czy później. Nieoczekiwane spotkanie w sklepie czy na ulicy, spojrzenie zza szyby samochodu... To tylko rozjątrzyłoby na nowo nasze rany.

Dlatego znikam. Tak będzie najlepiej, dla Ciebie i dla mnie.

Choć i Tobie, i mnie trudno w to dzisiaj uwierzyć.

ROZDZIAŁ 10

NIEWINNA FILIŻANKA KAWY

Gdy wróci noc, znów pójdę sam
na pusty plac przed Notre-Dame
i cień mój pomknie za mną tam
z wielką walizką rozpaczy.

Konstanty Ildelfons Gałczyński,

Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich

NATALIA

Nie stałbym tutaj przed Państwem, gdyby nie pewna kobieta, która zawsze była lepszym biologiem niż ja... Zdolniejszym, pilniejszym, bardziej kreatywnym... To dzięki niej zacząłem poważnie myśleć o badaniach, które doprowadziły mnie dziś do Sztokholmu. Minęło pięćdziesiąt lat od dnia, kiedy siedzieliśmy razem przy krzywym krakowskim biurku, zatopieni w książkach.

Spotkałem potem na swej drodze wielu wspaniałych ludzi. Wizjonerów, wielkich naukowców... Zawdzięczam im bardzo dużo. A jednak to bez tej jednej drobnej kobiety, Natalii Burskiej, nie byłoby mnie tutaj.

Mam świadomość, że gdyby życie potoczyło się inaczej, dzisiaj to ona mogłaby odbierać swoją Nagrodę Nobla, a ja oklaskiwałbym ją, siedząc w pierwszym rzędzie. Natalia jest jednak nie tylko wspaniałym biologiem, ale też, tak po prostu, dobrym człowiekiem. Dlatego kiedy była potrzebna swojej rodzinie, nie wahała się ani chwili. Zostawiła botanikę i wielkie marzenia, żeby wychować trójkę swoich bratanków na dzielnych, mądrych ludzi. Nie ma jej dziś tutaj razem z nami. Jest bardzo skromna, nie chciała stawać w świetle reflektorów, choć błagałem i tłumaczyłem, że powinna mi towarzyszyć. Zdecydowała inaczej. Ja jednak, choćby symbolicznie, muszę dziś oddać jej hołd. Natalio, to także Twój medal i Twoja nagroda. Wszystko, czego dokonałem, zdarzyło się dzięki Tobie.

To przemówienie Stefana zacytowały wszystkie gazety i wszystkie serwisy informacyjne. Przedrukowały je poważne tygodniki, do upadłego odtwarzały stacje radiowe, te poważne, i te całkiem rozrywkowe.

Grupka dziennikarzy przed moimi drzwiami wtedy, dziesiątego grudnia, to było tylko preludium do zdarzeń kolejnych tygodni.

Fotograf wyskoczył zza drzewa na ścieżkę, którą szłam na spacer z Maksem.

– Synu, nie mogłeś po prostu przyjść i poprosić mnie o zapozowanie do zdjęcia? – zapytałam, kiedy już udało mi się nie dostać zawału i uspokoić oddech... oraz psa.

Nie odpowiedział. Nacisnął spust migawki, najwyraźniej w trybie zdjęć sportowych, co najmniej dziesięć klatek na sekundę, a potem uśmiechnął się głupio i zniknął.

Po nim pojawili się kolejni. Próbowali zaglądać przez okno, wpadali do „Mewy” pod pretekstem zrobienia zdjęć do paszportu, czaili się między domami, śledzili mnie uparcie, kiedy spacerowałam z psem po lesie...

A potem zaczęły się artykuły. Najpierw w szmatławcach, później – także w poważnych tygodnikach:

Romeo i Julia z Wydziału Biologii

Miłość na miarę Nobla

Zacząło się w Krakowie, skończyło w Sztokholmie

Muza Noblisty i jej proste życie

Głupkowate tytuły bardziej mnie śmieszyły niż irytowały. Nikt zdrowy na umyśle nie mógł chyba traktować bzdur tego typu naprawdę serio.

Do pielgrzymek przychodzących pod mój dom i nosów przyklejonych do szyby też jakoś się przyzwyczaiłam. Po prostu szczelniej zaciągałam zasłony i staranniej malowałam usta, gdy miałam zamiar wyjść z domu. Byłam pewna, że to nie potrwa długo, że muszę po prostu przetrzymać tę falę zainteresowania. Za tydzień albo dwa pojawi się przecież kolejny obiekt i wszystko ucichnie, a potem wróci do normy.

Tak naprawdę najmocniej irytowali mnie oni: Wiktor i Stefan. Każdy z nich na swój sposób wpędzał mnie w poczucie winy.

Wiktor nie wspominał ani słowem o tym Noblu, ognistym przemówieniu Stefana i dziennikarzach. Czasami tylko zostawiał mi na biurku gazetę otwartą, niby przypadkiem, na jednym z tych idiotycznych tytułów. Ale kiedy usiłowałam coś na ten temat powiedzieć, skomentować, choćby żartem, udawał, że nic się nie dzieje.

Znikał jednak coraz częściej z domu. Wyjeżdżał to do Gdańska, to do Poznania, do Warszawy, potem znów do Chorwacji. Nie wiadomo po co, bo przecież zima nie sprzyja czarterowaniu jachtów. Nie udawał zresztą nawet, że je czarteruje. Po prostu wyjeżdżał.

Kiedy był w domu, też zachowywał się inaczej niż zwykle. Nic wielkiego, nic oczywistego... Po prostu nie obejmował mnie już tak często. Nie całował namiętnie, nie pieścił przez sen mojej piersi. Nie przychodził też do „Mewy” w środku dnia, tylko po to, żeby ze mną posiedzieć. A w jego oczach czaił się strach, którego nie umiałam wypędzić. Nie pozwalał mi nawet zbliżyć się do tego strachu, udając, że nie ma problemu. Nie mogłam się do niego dostać, choć próbowałam niemal codziennie.

Stefan z kolei dobijał się do mnie nieustannie. Dzwonił, pisał maile i SMS-y. I w każdym z nich prosił o spotkanie. A kiedy nie reagowałam, dostawałam od razu kolejną wiadomość:

Kompletnie nie rozumiem, dlaczego mi odmawiasz. Nie proszę Cię o rękę ani o to, żebyś uciekła ze mną do Ameryki czy Australii. Proszę Cię tylko o wypicie ze mną kawy. Kawa nie może być chyba niebezpieczna?

Byłam innego zdania. Widziałam w moim życiu wiele kłopotów, które zaczynały się od zwykłej filiżanki kawy. I stanowczo chciałam ich uniknąć.

NINA

Mecenas Girard nie odzywał się w samochodzie ani słowem. W windzie jadącej z podziemnego parkingu na jedenaste piętro też milczał, unikając mojego wzroku. Dopiero kiedy weszliśmy do apartamentu, uniósł brwi, zaskoczony.

– Duży mieszkanek – mruknął.

– Duży – potwierdziłam.

Nie zamierzałam mu się tłumaczyć. Nikogo nie okradaliśmy, miałyśmy prawo wynająć nie tylko apartament z czterema sypialniami, ale i cały hotel – jeśli tylko przysłaby nam na to ochota.

– Dziewczyny, jestem! – zawołałam.

I w tym samym momencie zobaczyłam, że w apartamencie jest całkiem pusto. Na sofach w salonie nie leżały żadne swetry, papiery, po stoliku nie poniewierały się kolczyki Mańki i jej bransoletki, które zdejmowała zawsze zaraz po wejściu do domu.

Zajrzałam do jej sypialni. Zniknęła walizka, wszystkie ubrania, komputer...

W pokoju Lutki – to samo.

Do Kostki właściwie nie musiałam już wchodzić. Wiedziałam, że wyjechały.

Ale dlaczego beze mnie? Naprawdę nie mogły poczekać głupich czterdziestu ośmiu godzin?!

– Pani jutro przeniesie się do mniejszy pokój chyba? – zasugerował mecenas.

– Szkoda płacić za taki duży sama?

Znowu nie odpowiedziałam. Naprawdę nie zamierzałam omawiać z nim stanu swoich finansów. To przecież nie miało nic wspólnego ze śmiercią Maksa!

– Nie będzie dobry pokazywać szuranie – powiedział troskliwym tonem.

– Szuranie?

– Szuranie pieniędzmi.

A... szastanie pieniędzmi, jasne. Lepiej nimi nie szastać, żeby nie wkurzyć sędziego i prokuratora? Bo mogą uznać, że jestem zbyt bogata, żeby zasłużyć na uniewinnienie? Litości, Francja to przecież nie jakiś komunistyczny trzeci świat, tylko kolebka demokracji! Chociaż, z drugiej strony, Marii Antoninie ścięli głowę właśnie za to, że pławiła się w luksusach.

No, może nie tylko za to...

– Zakazy dla pani jasne są? – upewnił się adwokat, machając w powietrzu kartką zapisaną dużymi, czerwonymi literami. – Wypisane tu na wszelki wypadek w bardzo skrócie, prosto i szybko.

Z grzeczności zerknęłam na kawałek papieru.

Nagłówek, podkreślony trzy razy, wołał: NIE WOLNO STANOWCZO!!!

Pod nim wymienione były wszystkie zakazy:

- *Polska nie, pociąg nie, samolot nie. Paryż tak.*
- *Siostry nie, firma nie. Nie dzwonić, nie kontaktować na inny sposób też.*

• *Nos nie.*

– Nos? – Przyzwyczaiałam się już trochę do specyficznego języka mojego adwokata, ale nos? Nie miałam pojęcia, co to mogło znaczyć.

– Nos... – pokiwał głową. – Nie używać nos.

Znaki zapytania w moich oczach rosły z każdą chwilą. Zauważył to i spróbował jeszcze raz, na migi. Głośno pociągał nosem, kręcąc się po pokoju.

– Zapachy? Nie wąchać? Nie niuchać? Nie węszyć! – Wreszcie dotarło do mnie, co próbuje mi przekazać. – Mam nie węszyć w sprawie śmierci Maksa. Zostawić tę sprawę policji, tak?

Pokiwał głową, bardzo zadowolony.

– Inaczej znowu kratki. Na długo.

Na kratki nie miałam najmniejszej ochoty.

Na kartce był jeszcze jeden punkt: *Codziennie obowiązek wizyta policja.*

– Będą przychodzić do mnie? Czy ja do nich? – zapytałam. I zaraz zauważyłam adres komisariatu, zapisany drobnymi literkami na samym dole.

Miałam się w nim stawiać co dwadzieścia cztery godziny? W porządku, to i tak wydawało się znacznie mniej upierdliwe niż fakt, że zatrzymali mój komputer z całą dokumentacją SIS-4 i zabronili mi kontaktów z firmą!

Adwokat obiecał, że załatwi sprawę Pompona z Mańką i Lutką, po czym wyszedł. A ja natychmiast rzuciłam się do telefonu.

Numery do moich sióstr i na centralę naszego biura miałam na szczęście wyryte w pamięci.

Mańka nie odbierała.

Lutka i Kostka też nie.

Zanim zdążyłam wybrać numer firmowy, telefon na hotelowym stoliku zabrzączał, tuż pod moimi palcami.

– Halo?

– Łamie pani zakaza.

O nie, Girard?!

– Skąd pan wie, że łamie?

Nie odpowiedział. Oznajmił tylko beznamiętnie:

– Lepiej nie łamie, naprawdę. Złamie jeszcze raz i musi powracać do kraty, bo połamane warunki zwolnienia.

– Tak. Dobrze, przepraszam.

Rozłączyłam się, kipiąc ze złości. Oni naprawdę kontrolowali moje rozmowy!

Telefon zabrzączał jeszcze raz.

– I z domeczek też lepiej nie dzwonić – ostrzegł mnie uprzejmie Girard.

- Z domeczek? – Nie byłam pewna, co może mieć na myśli.
- Domeczek telefoniczny – uściślił.
- Oczywiście, rozumiem – westchnęłam, zastanawiając się jednocześnie gorączkowo, czy na ulicach Paryża stoją jeszcze budki telefoniczne. Nie zauważyłam żadnej podczas moich spacerów, ale to oczywiście nie oznaczało, że ich tam nie ma.
- Wszystko kontrolowane. Niech pani ominie pokusa, bo inaczej...
- Tak, wiem. Powrót za kratki za złamanie warunków zwolnienia za kaucją – jęknęłam. – Proszę się nie martwić. Nie będę już próbowała.

Nie wiem, jak ja przeżyłam ten wieczór i noc. Kipiałam ze złości. Dosłownie się gotowałam. Jakim prawem ktoś zatrzymuje mnie w tym mieście? Akurat teraz, kiedy w firmie tyle się dzieje i naprawdę jestem tam niezbędna? Jakim prawem kontroluje moje rozmowy?

Apartament wydawał się faktycznie stanowczo za duży dla mnie jednej. Nie było sensu w nim tkwić i wydawać fortuny za każdą kolejną dobę.

Rano, w drodze do restauracji, zatrzymałam się przy recepcji.

– Chciałabym przenieść się do mniejszego pokoju – oświadczyłam, starając się, żeby mój głos brzmiał bardzo pogodnie i spokojnie. – Z nieokreśloną na razie datą wymeldowania... Nie mam pojęcia, jak długo będę musiała zostać w Paryżu. Pewne sprawy zatrzymały mnie dłużej, niż się spodziewałam.

Dziewczyna za kontuarem przesłała mi czarujący, pięciogwiazdkowy uśmiech i obiecała, że wszystkim się zajmie. A ja w tym czasie mogę spokojnie iść na śniadanie.

Nie czułam smaku. Po pięciu minutach nie pamiętałam nawet, co zjadłam. Z ulgą wróciłam do apartamentu. Zastałam tam na stoliku kolejny bukiet, butelkę wina i bilecik od dyrektora hotelu.

Będzie dla nas zaszczytem gościć Panią w tym apartamencie bezpłatnie przez najbliższe dwa tygodnie. Mamy nadzieję, że w ten sposób uda nam się choćby w niewielkiej części zrekompensować przykrości, których doświadczyła Pani razem z Siostrami w naszym hotelu.

Najwyraźniej naprawdę bardzo się bali, że wytoczymy im sprawę o te strzały w okno mojej sypialni albo o źle zamocowany (ich zdaniem!) telewizor, zrzucony przez Mańkę pierwszego poranka...

No cóż, w takim razie pomieszkam jeszcze trochę w tym podniebnym Wersalu. Przynajmniej nie będę musiała przenosić wszystkich ubrań na inne piętro...

Na komisariat zawiozła mnie taksówka, wrócić postanowiłam jednak pieszo. I tak nie miałam nic do roboty... Kolejny policjant znowu zadawał mi przez godzinę te same pytania. Najpierw o spotkanie z Makssem w drzwiach jego kamienicy nieopodal Luwru. Potem o zdjęcia w jego objęciach. Aż wreszcie o to, po co tak naprawdę przyjechałyśmy do Paryża wszystkie cztery. Wyjaśnienie, że sprowadziła nas tu chęć zemsty, niestety udaremnionej przez Maksa, chyba nie postawiłoby mnie w dobrym świetle, trzymałam się więc wersji o fabryce kocich chrupek i durnego żwirku do kuwet. I miałam nadzieję, że moje siostry też się przy niej upierają w rozmowach z policją czy prawnikami.

– Mogę już iść? – zapytałam z niedowierzaniem, kiedy policjant oświadczył, że to wszystko, przynajmniej na dziś.

– Proszę stawić się jutro, o tej samej porze – mruknął, składając papiery.

Wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie, już bez wahania:

– Bardzo bym chciała odzyskać komputer i komórkę. Nie mam zamiaru prowadzić własnego śledztwa. Chodzi tylko o firmę. Jestem prezesem i każdy dzień mojej nieobecności stanowi poważny problem...

– Pani firma ma problem, faktycznie. Poważny problem – powiedział to takim tonem, że aż po plecach przeszły mi dreszcze. – Wygląda na to, że SIS-4 znajduje się w samym centrum wydarzeń objętych śledztwem. Firma mogła stanowić motyw działania zarówno pana Maksymiliana, jak i pani oraz pani sióstr.

– Śledztwo obejmuje też moją firmę? – Z wrażenia prawie nie mogłam złapać oddechu. – Ktoś zadźgał Maksa... Skurwiela, który mnie okradł i chciał odebrać mi wszystko, co stworzyłam... A wy zajmujecie się badaniem tego, czy płacimy w terminie podatki i rachunki za telefon?

Po twarzy gliniarza błąkał się uśmiezek. Zupełnie, jakby od początku zamierzał wyprowadzić mnie z równowagi, a teraz właśnie mu się to udało.

– Zapewniam, że nie interesują nas zaległości podatkowe – oświadczył zadowolony z siebie.

– Nie mamy żadnych zaległości! – Zacisnęłam dłonie w pięści, powoli tracąc nad sobą panowanie. – SIS-4 nie ma nic wspólnego ze śmiercią Maksymiliana Łysaka!

– Jest pani pewna? – Znowu ten cholerny drwiący uśmiezek.

Podniosłam się z krzesła i zaczęłam zakładać płaszcz. Ta rozmowa naprawdę nie miała sensu.

– Nie odda mi pan laptopa?

Pokręcił głową.

– Ani komórki?

Pokręcił jeszcze raz.

– I radzę pani nie dzwonić już do żadnej z pani sióstr ani do nikogo ze współpracowników. Próby prowadzenia śledztwa na własną rękę mogą

skutkować...

– Powrotem za kratki – dokończyłam za niego. – Tak, wiem. Uprzejmie dziękuję za przypomnienie. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Szłam przed siebie, raz po raz odtwarzając w głowie rozmowę z policjantem. Nawet nie zauważyłam, że poruszam się coraz szybciej, jakbym chciała wytupać z siebie całą wściekłość.

Ciekawe, czy puszczam parę z dziurek w nosie jak rozjuszony nosorożec w kreskówce? – mruknęłam do siebie i zatrzymałam się przed pierwszą lepszą wystawą. Nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem. Wyglądało na to, że chodziłam po tej wyspie w kółko, miotając się między komisariatem policji a pełnym turystów placym przed katedrą Notre Dame.

Skupiona na własnych myślach, na moment straciłam orientację. Na wyspę Cité prowadzi chyba pięć mostów. Czy pójdę w prawo, czy w lewo, trafię w końcu na jeden z nich. Ale w którą stronę powinnam skręcić, żeby znaleźć się na odpowiednim brzegu Sekwany? A potem dojść do hotelu?

Sięgnęłam machinalnie do torebki, chcąc włączyć lokalizację w smartfonie, i zaraz cofnęłam rękę. Nie było w niej komórki. Leżała w policyjnym sejfie, pewnie już całkowicie rozładowana. Ciągle nie mogłam się przyzwycząić do tego, że jej nie mam.

Musiałam sama określić swoje położenie i znaleźć drogę powrotną. Jeżeli uda mi się wypatrzyć między budynkami najmniejszy choćby fragment Notre Dame, będę uratowana. Na tym placu przed katedrą byłyśmy we cztery pierwszego wieczoru, kiedy postanowiłyśmy zrobić sobie mały spacer po kolacji w restauracji Benoit. Przechodziłam też przez niego w czasie spaceru z Lutką... I potem, kiedy wracałyśmy wszystkie razem z kawiarni Le Procope. Na pewno kiedy stanę twarzą do wejścia, nad którym wyrzeźbiono Sąd Ostateczny, i do wszystkich krzywych gargulców, zdołam odgadnąć, w którą stronę powinnam się kierować, żeby dojść do hotelu.

Odwróciłam wzrok od witryny w poszukiwaniu potężnych, kamiennych wież... i zaraz z powrotem spojrzałam na wystawę. Dopiero teraz dotarło do mnie, w co tak naprawdę wpatrywałam się z napięciem od dłuższej chwili.

Wszystkie te pojemniki, pudełka i woreczki piętujące się na półkach i stojakach... Tłum ludzi w środku... Napis na szybie...

Nagle przestało mnie obchodzić, czy wejdę na most z właściwej strony... I ile czasu zajmie mi droga do hotelu.

Usiadłam na zimnym, mokrym krawężniku i zalałam się łzami. Płakałam ze strachu, z żalu... Nad sobą, moimi siostrami, nad tym cholernym Paryżem, którego unikałyśmy przez całe życie – jak się okazało, całkowicie słusznie. Łkałam nawet nad Maksem, który był skurwysynem, ale – mimo wszystko – nie zasłużył na taką śmierć.

Głupi mały sklepik sprawił, że kompletnie się rozkleiłam.

Nie miałam pojęcia, jak długo tam siedziałam. Nie czułam, kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu.

Oprzytomniałam dopiero, słysząc wypowiedziane w różnych językach pytanie: „Co pani jest? Czy mam zadzwonić po lekarza?”.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam mężczyznę z burzą jasnych, niemal białych włosów, wpatrującego się we mnie z niepokojem oczami w kolorze fiołków.

Nigdy w życiu nie widziałam takich oczu...

– Chyba potrzebuje pani dobrej, mocnej kawy – powiedział po angielsku, pomagając mi wstać z krawężnika. – Kawa pomaga spojrzeć inaczej na wiele spraw...

CZEŚĆ II

RÓŻOWA KOPERTA

ROZDZIAŁ 11

TO CO ZWYKLE

Oto już splywa na platan

I wodą snuje się świetlistą

Liliowy welon. Znad Sekwany

Mgła się podnosi. Patrz, artysto!

Jan Lechoń, *Do malarza*

NATALIA

– Jesteś jeszcze w Paryżu? – zapytałam.

Odpowiedziała mi cisza.

Naprawdę nie rozumiałam tej sytuacji. Nina powinna wrócić do Polski ponad tydzień temu. Zamiast niej pojawiła się Ludwika z bardzo dziwną miną, zabrała Pompona, po czym odjechała do Warszawy, nie częstując się nawet herbatą. Na wszystkie pytania odpowiadała zdawkowo, uciekając wzrokiem i tłumacząc, że Nina sama mi opowie, co się stało, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Próbowałam dzwonić na komórkę Niny, ale od razu włączała się poczta głosowa.

Raz wybrałam numer firmowy – usłyszałam tak wymijającą odpowiedź antypatycznej recepcjonistki, że nie telefonowałam ponownie. Uznałam, że wcześniej czy później Nina na pewno się odezwie i wszystko mi wyjaśni.

Ale zamiast Niny pojawił się kurier z różową kopertą i biletem do Paryża wystawionym na moje nazwisko.

A dwie godziny później wreszcie usłyszałam głos Niny w moim telefonie. Dzwoniła z nieznanego mi, zagranicznego numeru, a nie ze swojej komórki.

– Wytłumaczysz mi, co się dzieje? – spróbowałam jeszcze raz, z nieco innej beczki. – Bardzo się o ciebie martwiłam. Co się stało?

Nina po drugiej stronie słuchawki głośno przełknęła ślinę. A potem wyszeptała:

– Przyleć, błagam. Tylko na dwie noce. Chciałabym, żebyś się z kimś spotkała.

Przyznam, że odebrało mi mowę.

Spodziewałam się jakiejś mrocznej historii, węszyłam wielką tajemnicę między enigmatycznymi odpowiedziami Ludwika a jej ponurą miną... Tymczasem chodziło o miłość!

Najwyraźniej magia Paryża zadziałała nawet na Ninę! Przeboleła wreszcie tego dupka Maksa i zakochała się w jakimś żabojadzie.

– Poznałaś kogoś? – uśmiechnęłam się do słuchawki.

Odpowiedziała mi cisza.

Nie poganiałam jej, czekałam. Ona chyba też... Ale w końcu jeszcze raz głośno przełknęła ślinę, po czym potwierdziła:

– Tak, poznałam. Ale nie chcę wcale...

– Dobrze, dobrze. Możemy o tym nie mówić – zgodziłam się natychmiast.

– Przyjedziesz? Proszę... – Znałam ją doskonale. Wiedziałam, kiedy naprawdę na coś jej zależy. Tym razem zależało jej wyjątkowo. Słowo „proszę” w słowniku pani prezes, Antoniny Drop, podlegało ścisłej reglamentacji. Używała go tylko w stanie najwyższej konieczności.

Teraz najwyraźniej miałyśmy do czynienia z taką sytuacją.

Ten Francuz musiał być fantastycznym facetem. O ile to był Francuz. W końcu w Paryżu mogła spotkać dowolnego obcokrajowca.

Zanim zdążyłam o to zapytać, powtórzyła:

– Przyleć, proszę. Mam tu niezły pokoik z widokiem na Sekwanę.

– Ale...

– Natalia, bardzo cię proszę. Widziałaś bilet? Jest otwarty. Możesz go zmienić, dopasować sobie loty tak, żebyś nie musiała zamykać „Mewy” na dłużej niż kilka godzin. Może wyjedziesz z Helu w sobotę po pracy? Skończysz godzinę wcześniej niż zwykle. A wrócisz w poniedziałek przed południem, żeby żaden klient nie musiał pocałować klamki. A może mogłabyś wylecieć z Gdańska już w piątek rano? W piątek masz lot z przesiadką, bardzo dogodną, na lotnisko Orly...

– Mogłabym wywiesić kartkę – zgodziłam się szybko. – Ale jest większy problem, czyli Maks. No i Adela. Nie mam pojęcia, kiedy wróci Wiktor. Pojechał znów do Poznania, szykuje się już ze współnikiem do otwarcia sezonu w Chorwacji, remontuje jeden z jachtów...

Ostatnio właściwie ciągle nie było go w domu, a ja nie miałam pewności, ile jest prawdy w tych opowieściach o licznych obowiązkach. Nie musiałam jednak dzielić się z Niną swoimi wątpliwościami akurat teraz, kiedy wreszcie się ze mną skontaktowała.

Nina mówiła dalej:

– Zadzwoń do niego, proszę. Na pewno może poprzekładać swoje spotkania. Powiedz mu, że ci zależy, że to sprawa życia lub śmierci. To przecież rozsądny facet, tylko wyjaśnij mu, że chodzi o coś wyjątkowego. Natalia, proszę... – Nina wyczerpywała właśnie miesięczny limit używania słowa „proszę”. A może nawet kwartalny? – Bardzo cię proszę. To ważne. I nie da się opowiedzieć przez telefon. Naprawdę musisz kogoś poznać...

– Przyjadę – westchnęłam. – Ale nie pogniewasz się, jeśli zabukuję ten bilet tak, żeby spędzić w Paryżu tylko jedną noc? Nie wiem, jakie plany ma Wiktor, a Adela naprawdę kiepsko znosi samotność...

NINA

Dlaczego nie wpadłam wcześniej na to, żeby ją tu ściągnąć!? Spotkanie ze starszą panią prowadzącą na Półwyspie Helskim zakład fotograficzny nie było przecież złamaniem warunków zwolnienia za kaucją! Nawet adwokat nie miał co do tego żadnych wątpliwości!

– Ta przyjaciółka nie jest prawna? – upewnił się tylko.

Pokręciłam głową.

– Z całą pewnością nie jest prawnikiem, policjantem, detektywem...

Przy tym ostatnim słowie lekko zadrżał mi głos. Znałam ją od niespełna roku. W tym czasie Natalia rozwiązała dwie zagadki kryminalne, z którymi nie mogła sobie poradzić nawet policja. Słowo „detektyw” właściwie całkiem do niej pasowało... Ale mecenas Yves Girard na szczęście nie miał o tym pojęcia.

Sam znalazł w Internecie numer zakładu „Mewa” i asystował mi przy kupowaniu biletu na samolot i zamawianiu kuriera.

Bo przecież, jako osoba wyjęta spod prawa, nie mogłam swobodnie korzystać nawet z własnej karty kredytowej.

– To znaczy teoria pozwala swobodnie w zasadzie, ale praktyka mówi, że ostrożnie z tym. Policja nie lubi żadna niespodzianka. Wie pani, jak to jest. Życie trudne, życie żmudne, życie nudne – żaden bal.

– Słucham? – Znowu zaskoczył mnie nagłą obecnością Starszych Panów w naszej konwersacji.

Szczęśliwie bez linii melodycznej.

– Żaden bal, absolutnie – zapewniłam go szybko. – Nie planuję niespodzianek, nie zamierzam przeprowadzać tajnych transakcji.

Chciałam po prostu kupić sobie czasami kawę albo lampkę wina... I, oczywiście, bilet do Paryża dla Natalii. W klasie biznes. Warunki zwolnienia za kaucją na szczęście mi tego nie zabraniały.

NATALIA

– Dlaczego ja nie wpadłam od razu na to, żeby po ciebie zadzwonić? – powtarzała Nina raz po raz, niemal tańcząc wokół mnie ze szczęścia.

Wyglądała niezwykle radośnie – szczególnie jak na osobę, której grozi dożywotnie więzienie.

Opowiedziała mi o wszystkim już w drodze z lotniska. Trzy albo cztery razy. Za pierwszym nie zrozumiałam zupełnie, co się tak naprawdę wydarzyło.

– Jesteś podejrzana o zabójstwo. Maks nie żyje, tak? – Dotarło do mnie tylko tyle. – Ale skąd on się wziął w Paryżu? Wiedziałaś, że tu jest? Ten nagły przyjazd w sprawie fabryki, którą znalazła Kostka... Czy to miało coś wspólnego z twoim byłym?

Westchnęła. Wyjęła z torebki plik odbitek, a potem zrelacjonowała mi wszystko jeszcze raz.

Nieco wolniej i trochę dokładniej.

Z rosnącym zdumieniem słuchałam o szalonym planie trzech sióstr Drop, chcących dokonać wyrafinowanej zemsty i przejąć wszystkie pieniądze, które Maks miał zapłacić za fabrykę tekstyliów medycznych. Najstarszą we Francji, a może i w Europie.

Należało mu się. Prawdopodobnie ta kwota i tak nie pokryłaby wszystkich strat, które poniosła Nina wskutek jego matactw. Gdyby udało im się wprowadzić ten pomysł w życie, sama chętnie bym im pogratulowała. Tym bardziej że zamierzały przekazać wszystko na cele charytatywne. Na jakies cudowne, nowoczesne schronisko dla bezdomnych psów i kotów.

– To był oczywiście pomysł Kostki... – Nina z irytacją przewróciła oczyma.

– Oczywiście.

Uśmiechnęłam się na myśl o tej nieśmiałej, rudowłosej dziewczynie o wielkich oczach. Bardzo spodobało mi się to, do czego Konstancja Drop stawiała się zdolna w imię siostrzanej miłości i... miłości do zwierząt.

Cały plan jednak najwyraźniej spalił na panewce. Maksymilian przejrzał ich zamiary, dowiedział się, że przyleciały do Paryża i... No właśnie, tu zaczynało się najtrudniejsze.

– Chyba po prostu próbował was zastraszyć – myślałam głośno, kiedy taksówka utknęła w porannym korku na bulwarze Saint-Germain.

Trochę trudno mi było analizować tę całą skomplikowaną historię i jednocześnie patrzeć na miasto, które opuściłam nagle ponad pół wieku temu. Brzmiało to kiczowato, ale naprawdę moje serce rozpadło się tamtego ranka na milion kawałków.

Bałam się tego powrotu do Paryża... Obawiałam się duchów przeszłości. Upartych wspomnień atakujących ze wszystkich stron.

Taksówka przebijała się wąskimi uliczkami w stronę rzeki.

W oddali widziałam już most. Nie pamiętałam jego nazwy, wciąż jednak czułam zapach świeżej bagietki, którą kupiliśmy w starej piekarni po jednej stronie Sekwany, a zjedliśmy, siedząc na ławce, już na drugim brzegu.

To właśnie na tym moście, z bagietką pod pachą, Stefan wręczył mi konwalie. Nie miałam pojęcia, kiedy je kupił i za ile. Liczyliśmy przecież w tej podróży każdy grosz! Ale on zawsze, co roku, od wczesnej wiosny aż do czerwca nieustannie dawał mi konwalie, bez żadnej okazji, niemal każdego dnia. I nie zamierzał zaniedbywać tego zwyczaju także w Paryżu... Bez względu na wszystko, choćby miał żywić się przez ten wydatek suchą bułką do końca pobytu. Tego dnia zrobił mi mnóstwo zdjęć z tym bukietem, nieostrym, kiepsko skadrowanym...

Wciąż przechowywałam je w szufladzie sekretarzyka, zamknięte na klucz. Ukryte przed Wiktorem... i przede mną samą. Tylko raz czy dwa przez pół wieku znalazłam w sobie odwagę, żeby przekręcić kluczyk i znowu je obejrzeć.

– Źle się czujesz? – Nina patrzyła na mnie z wyraźnym niepokojem. Czyżbym nagle zbladła, zanurzona w szczęśliwych wspomnieniach?

Szybko wróciłam do rzeczywistości. To był słoneczny, paryski poranek, tak podobny do tego sprzed lat... To był ten most... i ten sam zapach ciepłych bagietek.

Ale ja musiałam zająć się teraz Niną, a nie własnym sercem, złamanym dawno temu. Najwyższy czas, żeby oprzytomnieć i spróbować poukładać sobie w głowie te wszystkie puzzle, które rozsypała przede mną Nina... Poszukać jakiegoś porządku, według którego należałoby je ułożyć...

Wyciągnęłam z torebki notatnik i pióro i szybko zapisałam wszystko, co się wydarzyło:

- *strzały w okno,*
- *kradzież torebki,*
- *zdjęcia z Maksem z prawdziwego spotkania,*
- *zdjęcia z Maksem ze spotkania, którego Nina nie pamięta,*
- *zdjęcia ze Svensonem...*

– Ze Svensonem, tak? – upewniłam się. – Piłaś to wino w Vivienne ze Svensonem?

– Absynt. Z Hansonem – poprawiła mnie, zaciskając nerwowo lewą dłoń na brzegu płaszcza.

A więc, jeszcze raz:

- *zdjęcia z Hansonem,*
- *śmierć Maksa.*

I to chyba wszystko.

O którym z punktów mogłyśmy najłatwiej się czegoś dowiedzieć? Wahałam się tylko przez moment.

– Wie pan, gdzie jest Bistrot Vivienne? – zapytałam po angielsku, niepewna, czy mnie zrozumie. A nawet jeśli zrozumie, to czy raczy mi odpowiedzieć. O niechęci Francuzów do języków obcych krążyły przecież legendy.

Taksówkarz jednak niechęci nie przejawiał. Natychmiast pokiwał głową i wyjaśnił:

– W Galerii Vivienne, oczywiście.

– W galerii? W galerii sztuki?

Kierowca roześmiał się głośno, wyraźnie rozbawiony.

– W zabytkowym pasażu. Jednym z najslawniejszych. Na takie pasaże mówi się czasami „galeria”. Nie znają panie tego określenia?

– Czy to daleko stąd? – Nina nareszcie trochę się ożywiła.

– Pięć, może siedem minut – odparł kierowca, po raz kolejny skręcając w jakiś zaułek, żeby ominąć korki. – Całkiem blisko hotelu, do którego chciały panie jechać.

– Świetnie – postanowiłam, nie konsultując się z Niną. – Zmieniamy plany. Proszę zawieźć nas do Vivienne.

– Mam tam na panie poczekać?

– Nie, nie trzeba – uśmiechnęłam się, myśląc o mojej malutkiej walizeczce, przesuwanej się na każdym zakręcie w ogromnym bagażniku taksówki. – Wrócimy do hotelu pieszo, kiedy wszystko tam załatwimy. Nie mam pojęcia, ile czasu nam to zajmie.

NINA

Nie rozumiałam. Kompletnie nie rozumiałam samej siebie. Jak mogłam na to nie wpaść? Powinnam iść do Vivienne już pierwszego dnia i po prostu zapytać.

No właśnie.

– O co my chcemy ich zapytać? – Spojrzałam niepewnie na Natalię.

– Chcemy, żeby nam powiedzieli, czy cię pamiętają – odpowiedziała bez wahania. – Jeżeli tak... Jeżeli naprawdę tam byłaś, bez żadnych wątpliwości, musimy rozważyć wersję z narkotykami, pigułką gwałtu, hipnozą czy inną metodą, która mogła czasowo pozbawić cię pamięci.

– A jeżeli mnie nie pamiętają?

– To jeszcze nie musi nic znaczyć – przyznała po chwili milczenia. – Tam pewnie bywa dużo ludzi, kelnerzy pracują na zmiany. Być może trzeba im będzie zostawić te zdjęcia i wrócić jutro albo pojutrze, żeby obejrzeni je wszyscy pracownicy.

– A jeżeli żaden z nich mnie nie rozpozna?

Natalia zamyśliła się, znowu zapisała coś maczkiem w swoim zielonym notesiku, a potem wypaliła:

– Wtedy będziemy musiały rozważyć wersję z fotomontażem...

Taksówkarz zostawił nas przy wejściu do wąskiego pasażu krytego szklanym dachem.

– Bistro jest na drugim końcu – wyjaśnił, wyciągając małą walizeczką Natalii z bagażnika.

Szybko zapłaciłam i podziękowałam.

Przez ostatni tydzień snułam się po mieście bez celu i sensu, odmierzając czas codziennymi spotkaniami z policją i telefonami Girarda. Miałam wrażenie, że utknęli z tym śledztwem w martwym punkcie i nie potrafią zdecydować, co ze mną zrobić. Pewnie niedługo całkiem zapomnę, że tu jestem, i spędzę w Paryżu resztę życia, z zakazem kontaktów z rodzonymi siostrami i z własną firmą. Gdyby nie Fabien, który pojawił się nieoczekiwanie i stawał na głowie, żeby wywołać na mojej twarzy uśmiech, chyba bym oszalała.

Teraz jednak nagle życie nabrało tempa, jak zwykle przy Natalii. Ledwie pojawiła się we Francji, już miałyśmy plan, a ja znowu zaczęłam się spieszyć.

Ciągnęłam jej małą walizeczkę po pięknej mozaice w złote koła, zapewne bardzo cennej i zabytkowej, między butikami z najnowszymi kolekcjami ubrań z najwyższej półki. Minęłyśmy uroczy sklepik z drobiazgami do domu, pracownię optyka z oprawkami wielkich projektantów, upchniętymi w dziwacznym, eklektycznym wnętrzu. Księgarenkę ukrytą w cieniu, tuż przy schodkach, działającą, jak głosił szyld, nieprzerwanie od roku 1826. Niewiele brakowało,

a straciłabym na posadzkę cały stojak ze starymi pocztówkami, wysunięty przed drzwiami.

I wreszcie zobaczyłyśmy Bistrot Vivienne. Dużą, jasną, o tej porze niemal pustą restaurację, do której prowadziły dwa wejścia, jedno bezpośrednio z ulicy, a drugie – od strony Galerii.

Na ścianach wisiały wielkie, kryształowe lustra w ciemnych ramach.

Odbijał się w nich z różnych stron delikatny napis wykaligrafowany na szybie. Bez cienia wątpliwości był identyczny jak na zdjęciach.

Od razu dostrzegłam przez okno stolik, przy którym – jeśli wierzyć zdjęciom – miałam siedzieć z Hansonem. Okrągły, inny niż pozostałe.

Natalia też na niego patrzyła.

Bez słowa odsuwała się i zbliżała do ściany, przykucała, usiadła nawet na moment na jednym z krzeseł wystawionych przed bistro.

– Fotograf musiał siedzieć mniej więcej tutaj. – Wskazała mi po chwili mały stoliczek przed restauracją, przy wejściu do przeszklonego pasażu. – Jeżeli był z drugą osobą, która delikatnie go zasłoniła, pochylając się nad talerzem czy filiżanką kawy, obsługa mogła w ogóle nie zauważyć aparatu.

– Może to były zdjęcia z komórki? – podsunęłam.

Pokręciła głową.

– Sam smartfon, nawet najlepszy, raczej by nie podołał takiemu powiększeniu... Chociaż, z drugiej strony, są nakładki. Obiektywy teleskopowe do komórek, kompaktowe i dyskretne. Poza tym nie wiemy, jak wyglądał pierwotny kadr. Mógł być znacznie szerszy... Tak, oczywiście. Te zdjęcia mogły zostać po prostu wycięte z szerokiego planu.

Prawdopodobnie miała rację. Znała się przecież doskonale na robieniu zdjęć.

Tylko... co z tego wynikało?

– I co teraz? Zapytamy ich, czy mnie znają? – Patrzyłam na nią niepewnie.

Znów pokręciła głową, po czym poprowadziła mnie do środka, do okrągłego stolika.

– Usiądź wygodnie i spróbuj zamówić to, co zwykle.

– To co zwykle? – powtórzyłam to po polsku i po angielsku, a Natalia pokiwała głową, wyraźnie zadowolona.

– Dokładnie... To co zwykle. I zobaczymy, co się wydarzy. A w międzyczasie, zanim pojawi się kelner, opowiedz mi trochę o tym mężczyźnie, z powodu którego ściągnęłaś mnie do Paryża.

Mężczyźnie? Przez moment nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

A potem zaczęłam się śmiać.

– Nie ściągnęłam cię tu przez mężczyznę.

– Jak to nie? Wspominałaś przecież, że chcesz, żebym go poznała.

– Wcale nie!

– Jak to nie? – powtórzyła, podnosząc głos o kilka tonów. Kelner, który już się do nas zbliżał, bezszelestnie cofnął się za kontuar. – Powiedziałaś przecież wyraźnie, że bardzo ci zależy, żebym z kimś się spotkała.

– No właśnie! „Z kimś”, a nie „z nim”! Próbowałam ci nawet wyjaśnić, że nie chodzi o faceta, ale mnie nie słuchałaś.

Natalia milczała dłuższą chwilę, wpatrując się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

Jasnowłosy kelner z wąsikami à la Salvadore Dali wykorzystał ten moment, żeby podejść i zapytać, co nam podać.

– To samo, co zwykle – powiedziałam. A widząc jego zdziwiony wzrok, doprecyzowałam: – To samo, co ostatnio, kiedy tu byłam. Chyba w zeszłym tygodniu?

Pokiwał głową, po czym odplynał bezszelestnie za kontuar.

Byłam bardzo ciekawa, co się teraz zdarzy.

– Nie poznałaś więc w Paryżu żadnego mężczyzny? – Jasne oczy Natalii przewiercały mnie na wylot.

Westchnęłam ciężko.

– Poznałam, ale...

Chyba tylko dobre maniery powstrzymały ją przed odtąnczeniem na środku restauracji dzikiego tańca radości.

– Wiedziałam! – szepnęła triumfalnie.

Zupełnie, jakby było się z czego cieszyć.

– Jest bardzo przystojny, bogaty, elegancki. I chyba się zakochał. Ale nic z tego nie będzie, bo to bufon, snob i dupek – wyrzuciłam z siebie jednym tchem. – Zapomnij o nim, tak jak ja. Jest już trochę nieaktualny...

ROZDZIAŁ 12

BRZUCH PARYŻA

Wszystko stygnie: zupka z muszek na wieczornej rosie,

Sześć komarów nadziewanych w konwaliowym sosie,

Motyl z różną, przyprawiony gęstym cieniem z lasku,

A na deser – tort z wietrzyka w księżycowym blasku.

Julian Tuwim, *Spóźniony słowik*

NATALIA

Kelner z zabawnym wąsikami postawił na stole dwie wysokie szklanki pełne

zielonego płynu i dwie filiżanki mocnej, czarnej kawy.

– Strasznie dużo tego absyntu – powiedziała Nina, stukając palcem w jedną ze szklanek. – Zawsze podajecie takie wielkie porcje?

– Gdyby pani wypila tyle absyntu, chyba musiałbym zadzwonić po pogotowie – roześmiał się kelner. – To przecież nie żaden alkohol, tylko diablo menthe.

– Diablo menthe? – Obie wytrzeszczyłyśmy oczy, słysząc tę nazwę.

– Oczywiście. Lemoniada z syropem miętowym... Tak jak poprzednio.

– Oczywiście – Nina uśmiechnęła się niepewnie. – Dokładnie tak samo, jak poprzednio.

Kelner zniknął, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. W oczekiwaniu, aż pojawi się znowu w polu widzenia, postanowiłam ustalić, co to była za historia z tym adoratorem Niny... I z jej przekonaniem, że już z nim skończyła. Czy to miało coś wspólnego z Maksem lub z jego śmiercią?

– Był miły, przystojny, zakochany, a ty plujesz jadem, kiedy o nim mówisz. A więc... Co ci zrobił? – Nie rozumiałam.

Milczała przez moment, po czym wreszcie wyrzuciła z siebie szybko:

– Chciał mnie karmić.

Karmić?

Wyobrażenia podsunęła mi natychmiast potworne sceny. Widziałam kiedyś reportaż o mężczyznach, którzy okazują swoim wybrankom uczucie, dosłownie wpychając w nie koszarne ilości jedzenia. Kobiety tyją, leżą z tymi wałkami tłuszczu rozlewającymi się po kanapie, mają trudności z przemieszczaniem się nawet po mieszkaniu. A oni łapią wiatr w żagle i pchają w nie jeszcze więcej. Feedersi? Tak się chyba nazywają ci, którzy karmią partnerki bez umiaru i bez opamiętania.

Czy to możliwe, że Nina trafiła w Paryżu na kogoś takiego?

– Nie zauważyłam, żebyś przybrałaś na wadze – zaczęłam ostrożnie.

– No pewnie, że nie – prychnęła. – W towarzystwie Fabiena prędzej umarłabym z głodu, niż utyła choćby o pięć deko.

– Małe porcje? – Przypomniałam sobie, co podawano na kolacji w czasie konferencji na Sorbonie. To miały być typowe paryskie dania. Zupa z rzeżuchy, purée z zielonego groszku... A każda porcja wielkości naparstka. Siedzieliśmy przy eleganckim stole przez trzy godziny, a potem – jeszcze przed deserem – wymknęliśmy się ze Stefanem z restauracji i pobiegliśmy do hotelu. To była jedna z tych naszych szalonych, namiętnych, bezsennych nocy nad Sekwaną. Od pozostałych różniła się tylko tym, że o czwartej czy piątej nad ranem obydwójce poczuliśmy się nagle strasznie głodni. Zerwaliśmy się więc z łóżka, zarzuciliśmy na siebie, co mieliśmy pod ręką, i popędziliśmy do Hal.

Objadaliśmy się gorącą zupą, potrącani przez sprzedawców rozkładających

na swoich stoiskach lśniące warzywa i owoce, wieszających w równych rzędach wielkie gicze cielęce, skubiących indyki, gęsi, kuropatwy...

– *Kosze pełne połyskujących sino ryb, słoneczne sery, kolorowe warzywa i owoce... Parskanie koni, porykiwanie osłów, pokrzykiwanie woźniców, śpiewne nawoływanie sprzedających, przekleństwa tragarzy, zapach pietruszki, czosnku, pachnące Prowansją liście laurowe i tymianek* – wyrecytowałam półgłosem.

– Słucham? – Nina patrzyła na mnie, jakbym nagle straciła rozum. – Gdzie ty widzisz osły?

Nie widziałam żadnych osłów. Ani teraz, ani pół wieku temu, gdy w promieniach wschodzącego słońca wybiegaliśmy z Hal i objęci ciasno spacerowaliśmy wzdłuż Sekwany, przechodząc kolejnymi mostami to na lewą, to znów na prawą stronę rzeki.

Na placyku pod Notre Dame nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Gołębie kąpały się w fontannie pod naszymi stopami, a my zawróciliśmy, żeby pokręcić się trochę wśród sprzedawców rozstawiających donice na targu kwiatowym, kilka kroków od katedry.

– Halo? Osły? Naprawdę widziałas osły? – powtórzyła Nina, wrywając mnie ze wspomnień.

Chyba się martwiła o stan mojego umysłu.

Potrząsnęłam głową.

– Nie widziałam żadnych osłów. To cytat z Emila Zoli. Koniecznie powinnaś przeczytać *Brzuch Paryża*. To niesamowita książka o Halach Baltarda... Największym, najstarszym, najślawniejszym targu Europy. Czytałam tę powieść chyba z dziesięć razy, znam na pamięć całe akapity.

Boże, co ja wyprawiałam? Miałyśmy do rozwiązania zagadkę morderstwa... zagadkę, w której Nina, z niewiadomych bliżej przyczyn, grała rolę głównej podejrzanej. Powinnam skupić się na tej sprawie, a nie opowiadać o Halach.

Kelner jednak na razie gdzieś zniknął, a Nina najwyraźniej bardzo chciała się odprężyć rozmową o czymś kompletnie niezwiązanym z Makssem.

– Gdzie są te Hale? – zapytała Nina. – Dziwne, że Fabien nie zmusił mnie do spacerowania po nich całymi godzinami.

No dobrze, skoro naprawdę chciała o tym mówić...

Rozejrzałam się dookoła. Naszego kelnera ciągle nie było w zasięgu wzroku. Wróciłam więc myślą do Hal.

– Już ich nie ma – wyjaśniłam krótko. – Zostały zamknięte i zburzone, cztery albo pięć lat po moim pobycie w Paryżu.

Zmarszczyłam brwi.

To było wiosną, tuż przed rocznicą śmierci mojego brata i ojca... W 1969 roku? Może w 1970? Marika już wtedy wyjechała, bez słowa pożegnania, mama nie żyła, bratowa mieszkała w zakładzie franciszkanek, tym samym, do którego

trafiła „tylko na chwilę” tuż po narodzinach Mikołaja... A sam Mikołaj? Czy chodził już wtedy do szkoły? Nie, na pewno nie. Byliśmy w domu tylko we dwoje, bo dziewczynki pojechały na wycieczkę do Gdańska, chyba z drużyną harcerską. Włączyłam telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, i zamarłam na widok wielkiej przeprowadzki Hal z serca Paryża do jakiegoś miasteczka kilkadziesiąt kilometrów dalej. Jak ono się nazywało? Rungis? Chyba tak...

To była rozsądna decyzja. Oczywiście. Naprawdę najrozsądniejsza. Cała okolica Hal śmierdziała podobno gnijącymi resztkami jedzenia. Najbardziej w sierpniu, kiedy w upale rozkładały się niesprzedane w ciągu dnia melony. Ruch w centrum miasta był sparaliżowany przez wiele godzin dziennie... A jednak paryżanie kochali swoje hale i protestowali przeciw ich wyburzeniu.

Zdaje się, że nawet zbierali podpisy pod petycją, już kiedy jedliśmy tę zupę...

Od decyzji o przeniesieniu targowiska do dnia przeprowadzki minęło przecież siedem lat...

– Zazdroszczę ci, że zdążyłaś je odwiedzić – westchnęła Nina. – Chociaż... Chwilowo naprawdę nie mam ochoty myśleć o jedzeniu. Zwłaszcza o tym francuskim.

No oczywiście, ten karmiciel-psyhopata, którego chciała mi przedstawić! Myślałam, że lecę do Francji, żeby go poznać, ale najwyraźniej cała sprawa była już całkowicie nieaktualna. W dodatku Nina tak naprawdę sprowadziła mnie tutaj w sprawie morderstwa, a nie romansu z zabojadą.

Chyba że jednak ten cały Fabien miał coś wspólnego ze śmiercią Maksa. To przecież było całkiem prawdopodobne!

Wiedziałam tak mało... Poruszałam się w opowieściach Niny całkowicie po omacku, a ona nie ułatwiała mi sprawy. Skoro więc chciała mówić o Fabienie, pozostawało mi tylko słuchać, przynajmniej do chwili, kiedy kelner znowu pojawił się przy naszym stole.

– Co on ci zrobił? – zapytałam, próbując zajrzeć jej w oczy. Skutecznie jednak umknęła przed moim spojrzeniem pod swoją gęstwinę rudych, opadających na twarz loczków.

Coraz bardziej prawdopodobna wydawała mi się ta myśl, że tajemniczy Francuz miał coś wspólnego z Maksem i całą tą sprawą, w którą wplątała się tutaj Nina... I że to przez niego musiała teraz tkwić w Paryżu, nie wiadomo dokładnie, po co i jak długo.

NINA

Jak miałam jej to wyjaśnić? Fabien był przecież wspaniały. Każda dziewczyna marzy o takim mężczyźnie jak on.

Zachowywał się jak amant filmowy. Szarmancko i... bardzo po parysku. Nie

minęły dwadzieścia cztery godziny od naszego pierwszego spotkania, a on już wyznawał mi miłość. „Szaleję za tobą. Zrobię wszystko, żebyśmy byli razem” – powtarzał, kalecząc angielski w ten swój uroczy sposób.

Pozwalałam na to, by choć na chwilę zapomnieć o śledztwie i całym koszmarze, który zatrzymał mnie w Paryżu. Zawsze byłam ostrożna w związkach z facetami. Pozwalałam im rozwijać się powoli, miałam milion zasad, których się trzymałam. Byłam pewna, że ta ostrożność uchroni mnie przed kłopotami.

I co? I trafiłam na Maksa. Wyprowadził w pole mnie, moje zasady i moje siostry. Zgodnie uznały, że jest uroczy i świetnie nadaje się na męża.

Z Fabieniem postanowiłam więc zrobić inaczej. Rzuciłam się na głęboką wodę. Bez badania gruntu i spotykania się przez pierwszy rok wyłącznie w miejscach publicznych, z jedną z sióstr w roli przyzwoitki.

Ostatni rok był koszmarem, zakończonym w paryskim hotelu w sposób, którego nie wymyśliłby nawet Stephen King. Musiałam to odreagować, a cudowny, szarmancki Francuz doskonale się do tego nadawał. Tym bardziej że po raz pierwszy w życiu naprawdę nie miałam niczego do roboty. No, może poza próbami odkrycia, kto wrobił mnie w morderstwo.

Ale tego akurat absolutnie nie wolno mi było robić.

Miałam więc całe dni dla Fabiena. Mogłam spokojnie pozwolić, by nosił mnie na rękach i snuł plany na resztę życia. Przez chwilę nawet traktowałam te jego opowieści poważnie...

Pokazywał mi miasto, jakiego nie widzą turyści. Był świetnym przewodnikiem. Spacerował ze mną przez cały ten dziwny tydzień malowniczymi uliczkami, komplementował z prędkością karabinu maszynowego i od rana do nocy obsypywał mnie... Nie, nie kwiatami. On obsypywał mnie jedzeniem.

– Gdziekolwiek szliśmy... Nieważne, czy to było muzeum, sklep, czy długi spacer brzegiem rzeki, zawsze rozmowa zaczynała się od tego, gdzie i co zjemy – tłumaczyłam Natalii, chyba ciut chaotycznie. Wiedziałam jednak, że i tak wyłuska z mojej opowieści to, co najważniejsze. – Wszystkie jego plany kręciły się wokół jedzenia.

– We Francji to chyba całkiem normalne – uśmiechnęła się Natalia. Najwyraźniej uznała, że szukam dziury w całym i koniecznie chcę się do czegoś u Fabiena przyczepić.

Nie chciałam, naprawdę! Byłam zachwycona tym, że maszerujemy przez całe miasto, żeby wypić jedyną, wyjątkową, najlepszą kawę w Paryżu. Że koniecznie muszę nastawić budzik i być pod hotelem już o siódmej tylko po to, żeby kupić najlepsze pomidory na straganie przy rue Montorgueil. (A może tam, przy rue Montorgueil kupowaliśmy sery z Korsyki, a po lśniące, leżące w wysokich piramidach pomidory musieliśmy jechać na rue Poncelet?) Wszystkie te uliczki,

wypełnione kolorowymi daszkami, pod którymi rozkładali swoje towary straganiarze, zlewały się w mojej głowie w jedną całość.

Tego samego dnia, po kawie i zakupach na straganie z warzywami, podróżowaliśmy zatłoczonym metrem, z trzema czy czterema przesiadkami, żeby zdobyć apelacyjne omułki de Bouchot z zatoki Mont Saint-Michel. Apelacyjne! Gdybym nie poznała Fabiena, nigdy nie dowiedziałabym się pewnie, jak wielką moc mają te trzy literki: AOC. *Appellation d'Origine contrôlée*! Prawie jak gwiazdki Michelin. Niejeden byłby gotów zabić za ten mały znaczek na swoich serach, wędlinach, winach.

„Mamy nawet apelacyjną paszę” – mówił Fabien z dumą.

Odnosiłam wrażenie, że użył niewłaściwego słowa. „Co macie?”

„Paszę” – potwierdził. – „Dla zwierząt. Siano, z Crau w delcie Rodanu. Absolutnie doskonałe siano AOC”.

Przez tych kilka dni jadłam jeszcze apelacyjny miód sosnowy z Wogezów, niezliczoną ilość serów AOC popijanych kolejnymi winami i cydrami z tym oznaczeniem.

– Nie lubisz produktów najwyższej jakości? – Natalia patrzyła na mnie rozbawiona znad swojego kieliszka. – Zniechęciło cię do niego zamiłowanie do serów i omułek z górnej półki?

Jak ja jej miałam to wytłumaczyć?

Wiedziała przecież, że sama robię wyprawy na bazarek na Ursynowie po cielęcinę albo wysyłam po nią taksówkarza, jeśli akurat mam masę pracy. Na Hel zawsze przyjeżdżałam z kilkoma butelkami wina, bo nie miałam gwarancji, że na Półwyspie uda mi się kupić dokładnie to, co lubię.

U Fabiena nie irytowało mnie zamiłowanie do produktów z apelacją, lecz... hmm, natężenie tego zamiłowania – o ile takie określenie w ogóle miało choć cień sensu.

– To nie było zamiłowanie, lecz obsesja – wreszcie znalazłam odpowiednie słowa. – Ale próbowałam ją zaakceptować i polubić, naprawdę. Nie zniechęciły mnie nawet normandzkie flaczki, których musiałam skosztować.

– Apelacyjne? – Natalia wyraźnie sobie ze mnie kpiła.

– Nie apelacyjne... – zacisnęłam usta. – Ale bardzo tradycyjne. Jadane tysiąc lat temu, za Wilhelma Zdobywcy. Ja dostałam takie według nieco nowszego przepisu. Chyba z XVI wieku. Objasniono mi z najdrobniejszymi szczegółami, że podroby, z których się je gotuje, powinny pochodzić od przeżuwaczy. Najlepiej, by była to mieszanka żołądków bydła rogatego z dodatkiem giczy cielęcej. A całość, po wymieszaniu z jabłkami i warzywami, przykrywa się tłuszczem z nerek wołowych.

– Brzmi dość upojnie, szczególnie ten tłuszcz. – Uśmiech nie schodził Natalii z ust.

Postanowiłam wreszcie go zetrzeć.

– Dziadek Fabiena pochodził z Normandii. Spróbowałam kilkunastu przysmaków. Wszystkie, oprócz omułek, zawierały podroby. Oni mają świra na punkcie podrobów! Słyszałaś kiedyś o andouillette? O kielbaskach z jelit i żołądków? Musiałam przetestować pięć rodzajów i wypowiedzieć się szczegółowo o każdym z nich!

Chciałam opowiedzieć jej jeszcze, jak natychmiast oświadczono mi, że to dopiero początek, bo niemal każde francuskie miasteczko ma własny przepis na andouillette, własne święto tego boskiego przysmaku, z pewnością będę więc miała szansę skosztować jeszcze niejednego rodzaju, podróżując po kraju. W razie gdyby Fabiena nie było obok, miałam szukać, oczywiście, rarytasów ze znakiem AAAAA. To oznacza, że producent należy do stowarzyszenia amatorów autentycznej andouillette.

Nie zdążyłam jednak opowiedzieć tego wszystkiego Natalii. Odeszła nagle od stolika tylko po to, żeby zamienić kilka słów z jakimś kelnerem, który pojawił się kilka sekund wcześniej za wysokim kontuarem.

– Ten nasz ma przerwę – jęknęła. – Wróci za dziesięć minut. Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Mów dalej. Naprawdę mam uwierzyć, że zostawiłaś Fabiena z powodu kielbasy z mielonych żołądków?

Zwykle nie były wcale mielone, przynajmniej w tych frykasach, które miałam wątpliwą przyjemność próbować. Były drobno siekane, a nawet – w jednym przypadku – ostrożnie gniecione metalowym tłuczkiem. Wiedziałam jednak, że Natalia nie chce dyskutować o podrobach. Darowałam jej więc detale o konsystencji andouillette i wyjaśniłam:

– Nie dałam się pokonać żołądkom i jelitom. Nie zniechęciło mnie menu złożone wyłącznie ze ślimaków, w knajpie o nazwie, oczywiście, L'Escargot, działającej chyba od 1832 roku... Nawet nóżka wieprzowa z Sainte-Menehould nie zdołała mnie wykończyć. A jest to naprawdę nóżka jedyna w swoim rodzaju.

Natalia spojrzała na mnie z ukosa.

– Jak mniemam, zaraz uraczysz mnie szczegółami?

Chyba nie miała już ochoty ich słuchać. Sama nie miałam ochoty.

Co najmniej od pół godziny, zamiast prowadzić śledztwo i maglować kelnera, mówiłam tylko o jedzeniu! Zupełnie jakbym powoli zamieniała się w Fabiena oszalałego na punkcie przepisów sprzed kilkuset lat. Musiałam jednak podzielić się z nią tym wszystkim, żeby zrozumiała, co się stało. Dlaczego tak świetnie zapowiadająca się znajomość rozleciała się w proch po tygodniu.

– *Pieds de porc à la Sainte-Menehould* – mruknęłam świeżo opanowaną francuszczyzną. – Przepis z Szampanii, podobno XV-wieczny. Cudowna Szampania, stamtąd pochodzi mamusia Fabiena.

– Słyszę w twoim głosie coś na kształt przekąsu... – Natalia znowu obrzuciła

mnie uważnym spojrzeniem.

– Przekąsu? – prychnęłam. – Ależ skąd! Jakże mogłabym mieć coś przeciwko tej wspaniałej kobiecie i przepisom, które przywiozła do Paryża z rodzinnego domu. Pieds de porc, cholerna nóżka zapiekana w winie, którą Fabien postanowił przyrządzić specjalnie dla mnie... Jak mogłabym nie docenić jego wysiłku?

– To nie przekąs... – Natalia ostatecznie przyznała mi rację. – To coś na kształt furii. Czy on naprawdę tak cię dotknął nóżką z Szampanii?

– Nóżkami. Trzema – sprecyzowałam. – Zapytał, czy chcę, żeby mi je ugotował. Zgodziłam się, nie przypuszczając, że zajmie to okrągłe czterdzieści osiem godzin. Odwołał kolację z kontrahentem, oddał koledze bilety do kina, zrobił ze mnie pośmiewisko przed adwokatem... Wszystko po to, żeby dopilnować niezmiernie cudownej nóżki!

– Była tego warta? – Natalia najwyraźniej dobrze się bawiła moim kosztem.

Prychnęłam po raz kolejny.

– Być może... Jeśli ktoś lubi jeść kości.

– Kości? – W oczach Natalii pojawiły się znaki zapytania.

Pokiwałam głową.

– Te nóżki gotuje się w całości, z kośćmi i skórą. Tak długo, aż te kości zmiękną. I potem zjada się wszystko razem. Zdaniem Fabiena kości są absolutnie niewyczuwalne. A to, co chrzęściło mi w zębach, to na pewno była cebulka albo bułka tarta. Akurat! Bułka! On naprawdę miał mnie za idiotkę.

Natalia nie uśmiechała się już od ucha do ucha.

– Przettrzymałaś tę nóżkę? – zapytała ze współczuciem.

– Przettrzymałam. Przełknęłam z trudem dwa kęsy, próbując nie myśleć o kościach. Ślimaki też zjadłam. I te z serem pleśniowym, i te z masłem truflowym... Tylko ślimaka z foie gras nie spróbowałam. Przysięgłam sobie wieki temu, że nie tknę foie gras i nie przyłożę ręki do tuczenia tych biednych gęsi i kaczek...

Znów odbiegałam od tematu.

Natalia zasługiwała na to, żeby usłyszeć, jak się to wszystko skończyło.

– Poległam dopiero na konfiturze porzeczkowej z Bar-le-Duc – wyrzuciłam z siebie z ulgą. – Przysłała mi ją matka Fabiena, w dowód sympatii. W dodatku tę z białych, a nie z czerwonych owoców, znacznie rzadszą i cenniejszą. A ja nie wykazałam wystarczającego entuzjazmu. Słyszałaś kiedyś o Bar-le-Duc?

– Nie... – Natalia bezradnie pokręciła głową. – A powinnam?

Według Francuzów każdy powinien słyszeć o Bar-le-Duc. Absolutnie każdy.

I o porzeczkach, drylowanych ręcznie, gęsim piórem. Bo tylko w ten sposób można usunąć z każdego owocu najmniejszą nawet pesteczkę, nie zostawiając na skórcie niemal żadnego śladu.

„Zajęcie medytacyjne” – tak chyba nazwał Fabien to siedzenie z piórkiem w dłoni nad miedzianym naczyniem całymi godzinami. Był zdumiony, że nie mam pojęcia o istnieniu tych konfitur.

Do ich miłośników należeli przecież Alfred Hitchcock, Victor Hugo i... Kurczę, już zapomniałam. Churchill? Chyba tak. Jak mogłam przeżyć prawie czterdzieści lat, nie wiedząc, że istnieją, i nie marząc o tym, żeby ich skosztować?

„Zauważyłaś zapewne, że mama zdobyła konfiturę z białych porzeczek?” – powiedział, przewiercając mnie wzrokiem. Nie byłam pewna, czy akcent położył na słowo „zdobyła”, czy raczej na „białych”. Odpowiedziałam więc ostrożnie: „Zapewne trudno ją zdobyć...”.

„Oczywiście, że trudno!” – Prawie podskakiwał z emocji. – „W ciągu roku produkuje się tylko kilka tysięcy małych słoiczeków tej konfitury. Czasami sześć tysięcy, czasami zaledwie cztery... Z tego dwie trzecie to konfitury z porzeczek czerwonej, a tylko jedna trzecia – z białej. A więc mama wystarała się dla ciebie o coś, co jest właściwie nie do zdobycia. Mam nadzieję, że to docenisz”.

Doceniłam, oczywiście. Wysłałam SMS z podziękowaniami i przez cały wieczór powtarzałam, że jestem zaskoczona i wzruszona. Ale to, najwyraźniej, nie wystarczyło.

– Skosztowałaś tego przysmaku? – zapytała Natalia.

I oczywiście trafiła tym pytaniem w samo sedno.

– Skosztowałam – mruknęłam. – Ale chyba nie tak, jak powinnam. Po prostu zrobiłam sobie z nim kanapkę. I, jak się okazało, niedostatecznie wyraziłam swój zachwyt.

Fabien był wstrząśnięty, widząc, jak rozsmarowuję na grubej pajdzie bułki trzy pełne łyżki dżemu. Zdołał jednak tego nie skomentować. Patrzył tylko z nadzieją, że osiągnę stan nirwany, natychmiast gdy moje kubki smakowe zetkną się z konfiturą.

Nic takiego nie nastąpiło. Szczerze mówiąc, chyba nawet odrobinę się skrzywiłam. Porzeczek były cierpkie i smakowały czymś, czego do dziś nie udało mi się zidentyfikować.

„Nie rozumiesz francuskiej duszy” – jęknął, uciekając wzrokiem na boki.

I to był chyba początek końca czegoś, co miało całkiem niezłe zadatki na wielką miłość.

ROZDZIAŁ 13

NAGŁE WIDMO FILOKSERY

*Po co tu wracać po latach
i jak znieść tę równowagę piękna
to szerokie niebo które na swoich barkach trzymają
szacowne kamienice Wyspy Świętego Ludwika*

Julia Hartwig, *Listopad*

NATALIA

Naszego kelnera wciąż nie było. Zaczynałam się niecierpliwić i coraz

częściej zerkać na zegarek. Ile może trwać taka przerwa?

Chciałam nawet spróbować szczęścia z młodszym od niego brunetem, obsługującym stoliki pod ścianą. Może też widział wtedy Ninę i coś zapamiętał? Historia jej intensywnej, nieoczekiwanej znajomości z Fabienem – i z kuchnią francuską – była jednak tak wciągająca i zabawna, że dałam się jej porwać jeszcze na chwilę i nie ruszyłam się z miejsca, żeby dopaść ciemnowłosego kelnera w drodze do kuchni, gdzie nie mogliby mnie usłyszeć inni klienci. I właśnie wtedy, kiedy Nina dojrzała do fatalnej konfitury, nasz kelner pojawił się znowu na sali – i skierował natychmiast do naszego stolika.

– Podać coś jeszcze? – zapytał uprzejmie, zginając się w pół.

– Czy poznaje pan tę panią? – rzuciłam, wpatrując się w jego twarz.

Nie spieszył się ani nie robił wrażenia szczególnie zdziwionego.

– Nie – odpowiedział po prostu, z lekkim uśmiechem. – Czy mogę zaproponować coś jeszcze? Nasz szef kuchni poleca dzisiaj burgundzkie winniczki z masłem truflowym, organiczne różowe krewetki z Madagaskaru lub, jeśli wolą panie coś bardziej sycącego, wołowinę apelacyjną z krów charolaise, mniej popularnych od legendarnej rasy limousine, ale pod wieloma względami przewyższających...

Nie dałam mu dokończyć.

– Podał pan diabolo menthe i kawę. Skąd pan wiedział, że to właśnie zamawiała ostatnio?

Roześmiał się, potrząsając swoją długą jasną grzywką.

– Zadzwońm do kolegów z drugiej zmiany.

– To u państwa stała praktyka? – Byłam, przyznając, nieco zaskoczona.

Pokiwał głową tak energicznie, że niemal czekałam, aż jeden z jego blond włosów poszybuję w kierunku mojej filizanki. To chyba nie było profesjonalne...

– Szczycimy się tym, że nasi klienci pozostają nam wierni przez całe dekady. Przyprawdzają swoje dzieci i wnuki, a potem one odwiedzają nas regularnie, przez kolejne dziesięciolecia. Musimy więc znać ich upodobania. Ulubiony stolik, drink z lodem czy bez lodu, mleko do kawy mniej lub może bardziej spienione... Wszystko ma znaczenie. Staramy się pamiętać nie tylko, co jedzą, ale też kim są ich żony, kochanki, partnerzy biznesowi, ulubieni politycy i piłkarze...

– Cyborgi. Jak Lutka – westchnęła z zachwytem Nina. A potem zapytała rzeczowo: – Prowadzicie notatki?

Chłopak znowu pomachał nam przed nosem swoją blond grzywą.

Zaczynało mnie to powoli irytować... Chciałam mu nawet zwrócić uwagę, ale kompletnie zapomniałam, jak jest po angielsku „grzywka”. W czasie studiów na pewno to wiedziałam, konwersatoria językowe na Wydziale Biologii były w latach sześćdziesiątych słynne na cały Kraków. Niestety, od tamtej pory minęło naprawdę dużo czasu. A ja ostatnio czytałam po angielsku wyłącznie o gotyckim malarstwie

tablicowym oraz roślinach namalowanych i wyrzeźbionych przez Wita Stwosza na ołtarzu mariackim. Czyli o tym, co wiązało się bezpośrednio z moim doktoratem. O jasnych grzywkach nie było tam, oczywiście, ani słowa.

Pamiętałam za to doskonale słowo „zeszyt”.

– Ten rząd zeszytów na półce nad ekspresem do kawy.... – Skinęłam brodą w stronę baru. – Tam zapisujecie informacje o klientach?

Uśmiechnął się, trochę speszony, a potem pokiwał głową.

– Wystarczy zjawić się u was raz, żeby trafić do takiego zeszytu? Zapisujecie nawet turystów, którzy prawdopodobnie nie wrócą nigdy więcej?

Chłopak zamyślił się na moment, jakby nie był pewny, czy nie jesteśmy szpiegami z konkurencyjnej restauracji. Najwyraźniej jednak uznał nas za niegroźne, może dzięki tej walizce i faktowi, że nie umiałyśmy mówić po francusku.

– Na turystów mamy specjalne zeszyty – wyjaśnił, zniżając głos do szeptu, a potem zwrócił się do Niny, odrobinę weselszym tonem. – Ale pani nie wyglądała na turystkę. No i była tu pani więcej niż raz...

– Więcej niż raz? – Nina podniosła na niego spłoszone oczy.

Kelner też się chyba wystraszył. Przystawał rozumieć nasze intencje i wyraźnie mu się to nie podobało.

– Pani nie przychodziła nigdy na mojej zmianie... Mogę się mylić... Ale z tego, co wiem, gościła u nas pani przynajmniej trzy razy, dzień po dniu...

– To nam wystarczy. – Nina najwyraźniej miała już dosyć. To wszystko chyba stanowczo ją przerastało. Spojrzała nieufnie na swoją szklanę z zielonym płynem, po czym wychyliła go duszkiem, otrząsnęła się, zupełnie jakby piła czystą wódkę, i energicznie podniosła się z krzesła.

Ja jednak miałam jeszcze jedno pytanie:

– Na której zmianie pracuje dziś kelner, który wtedy obsługiwał moją córkę?

NINA

– Dlaczego powiedziałaś, że jestem twoją córką? – szepnęłam, kiedy wyszłyśmy na ulicę.

Natalia chyba mnie nie usłyszała. Za drzwiami Galerii Vivienne nagle z każdej strony zaatakował nas hałas. Pisk klaksonów, skrzyp hamulców, stukanie obcasów paryskich urzędniczek wybiegających właśnie ze swoich biur na lunch. Zerknęłam na zegarek. No tak, dwunasta. Dobrze, że zdążyłyśmy do tego bistro, jeszcze zanim wygłodniali pracownicy okolicznych firm zajęli tam wszystkie stoliki. W takim zamieszaniu kelner na pewno nie miałby czasu na rozmowę.

– Dlaczego powiedziałaś, że jestem twoją córką? – powtórzyłam ciut głośniejsze.

Natalia roześmiała się głośno tym swoim zaraźliwym, perlistym śmiechem.

– Właściwie mogłabyś być chyba moją wnuczką... Ale najpierw przyszła mi do głowy córka. Kiedy mówię „koleżanka”, ludzie patrzą na nas bardzo podejrzliwie, nie zauważyłaś tego? Jakby uważali posiadanie koleżanki młodszej o czterdzieści lat za coś bardzo nagannego, a przynajmniej dziwnego i dwuznacznego moralnie. Widziałaś minę taksówkarza? Nieważne, czy to Warszawa, Ciechocinek, Hel, czy Paryż, ludzie powinni przyjaźnić się z kimś w swoim wieku.

Nigdy o tym nie myślałam. Wiek Natalii zawsze wydawał mi się pomyłką. Miała młode imię. Była dziewczyną dużo młodszą i odważniejszą ode mnie, zamkniętą w ciele starszej pani. Ciele zresztą całkiem niezłym, jak na jej lata oczywiście.

– Pozwolisz, że cię adoptuję na tych kilka paryskich dni? – uśmiechnęła się szelmowsko, jak to ona. – Ułatwi nam to wiele spraw, możesz mi wierzyć. Ludzie bez trudu zaufają starszce i troszczącej się o nią córce... Zwłaszcza jeśli okrasimy to łzawą historyjką o tym, że chcesz spełnić moje wielkie marzenie i pokazać mi, zanim umrę, najpiękniejsze miasto świata. Otworzą przed nami serca, wpuszczą do swych domów... Dwóm wariatkom łamiącym konwenanse nie poszłoby to tak łatwo.

– Będziemy ładować się ludziom do domów? – przeraziłam się nie na żarty. Natalia nie odpowiedziała.

Dodałam więc, całkowicie szczerze:

– Z przyjemnością zostanę twoją córką. Nie tylko na kilka dni...

Jak wyglądałoby moje życie, gdybym miała taką matkę jak ona? Przez krótką chwilę pozwoliłam swojej wyobraźni poszaleć. To była naprawdę bardzo miła wizja. Pełna śmiechu, szalonych podróży i dań gotowanych razem w słonecznej kuchni na piętrze, nad atelier „Mewa”.

Na moment poczułam nawet wzruszenie. A zaraz po nim przejmujący smutek, kiedy porównałam te chwile podsuwane przez wyobraźnię z prawdziwymi wspomnieniami z dzieciństwa.

Tylko dlaczego pomyślałam właśnie o kuchni w helskim domu Natalii? Najwyraźniej spotkania z Fabieniem całkiem namieszały mi w głowie.

– Czy ty w ogóle lubisz gotować? – zapytałam, rozglądając się niepewnie po ulicy. Nie miałam pojęcia, w którą stronę powinnyśmy skręcić, żeby trafić do hotelu. Cholera, jak bardzo brakowało mi mojej komórki z mapami, nawigacją i całą wiedzą o Paryżu, zebraną przez lata w Internecie!

– W lewo – powiedziała Natalia, odgadując moje myśli i uchylając się od odpowiedzi na pytanie, które zadałam przed chwilą.

– Jak to w lewo? Skąd wiesz? – Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Nie zapominaj, moja droga, że byłam kiedyś w Paryżu. Poza tym studiowałam mapę, jeszcze w domu. Pamiętam, że rue des Petits Champs

przechodzi przy pomniku Ludwika XIV w rue Étienne Marcel. A potem jeden skręt i już, od naszego hotelu dzieli nas dosłownie kilka kroków. Uwierz mi, musimy skręcić w lewo...

NATALIA

Raczej nie bywam w hotelach pięciogwiazdkowych. Nawet gdyby było mnie na to stać, nie chciałabym chyba mieszkać w takiej szklanej wieży, odcięta od realnego świata szpalerem portierów i konsjerżów w mundurach z lampasami. Wolałabym wynająć mały pokój w pensjonacie, gdzie właściciele każdego ranka zapraszają gości do swojego stołu i opowiadają o tym, co warto zwiedzić w okolicy.

Rozumiem jednak, że perspektywa zmienia się diametralnie, kiedy robi się interesy na całym świecie i hotele przez większą część roku muszą zastępować człowiekowi dom. Nie ma się ochoty na żadne rozmowy z serdecznymi gospodarzami przytulnego hoteliku. Szuka się wygody, spokoju, powiększającego lusterka do robienia makijażu i prysznic, w którym o każdej porze doby jest gorąca woda i odpowiednie ciśnienie, pozwalające po prostu bez problemu umyć głowę.

Zamierzałam więc podejść do tego, co zobaczę w hotelu, z pełną otwartością i życzliwością. Nina była naprawdę bardzo miła, rezerwując mi pokój w takim miejscu. Przyjemnie będzie, po raz pierwszy – i pewnie jedyny – w życiu popławić się przez moment w luksusach.

Nie spodziewałam się jednak, że to będą aż takie luksusy. I że mieszkanie, które razem zajmiemy, będzie miało wielkość Stadionu Narodowego.

Odkryłam tam cztery sypialnie, każdą z biurkiem, telewizorem, fotelem, sofką, na której można poczytać... Z każdej z nich drzwi prowadziły do salonu z pełnowymiarowym stołem, dwiema wielkimi kanapami i biblioteczką wypełnioną książkami w większości języków europejskich. Była też, a jakże, gigantyczna łazienka z jacuzzi i kabiną prysznicową z kilkoma dyszami do hydromasażu. Oraz...

– Co to jest? – zapytałam, stojąc w progu.

– To? Generator pary. Możesz sobie urządzać w kabinie saunę. Masz ochotę? Trzeba to chyba włączyć kilka minut wcześniej...

Nie miałam ochoty. Chciałam tylko rozpakować walizkę, wziąć szybki prysznic, zupełnie zwyczajny, bez dysz i generatorów, a potem usiąść wreszcie nad kartką papieru, zapisać na niej wszystko, co wiemy, i spróbować wypatrzyć między tymi zapiskami jakieś wyjaśnienie.

NINA

Natalia siedziała w hotelowym szlafroku, za dużym na nią o dwa rozmiary,

pochylona nad swoim zielonym notesikiem. Jej pióro przesunęło się błyskawicznie po papierze, zapełniając kolejne strony niemal nieczytelnymi drobnymi literkami.

Dopiero po dłuższej chwili oderwała się od pisania i oświadczyła z zadowoleniem:

– Mamy plan.

– Naprawdę? Podzielisz się ze mną swoimi przemyśleniami?

Nie odpowiedziała. Otworzyła tylko lodówkę i wyciągnęła z niej białe wino.

– Chyba nigdy jeszcze nie widziałam cię otwierającej butelkę – uśmiechnęłam się, widząc, jak sprawnie wkręca korkociąg.

Sobie nalęła tylko odrobinę, za to w moim kieliszku wino sięgało do samej krawędzi. Kilka kropli spadło nawet na podłogę, kiedy próbowałam podnieść go do ust.

– Zamierzasz mnie upić?

– Ależ skąd! Potrzebuję twojej współpracy. Chcę cię tylko nieco zrelaksować...

Posłusznie – i z wielką przyjemnością – zrobiłam to, o co prosiła.

Fabien sprawił, że inaczej patrzyłam teraz na wino. Wystarczyło kilka dni, żebym za każdym razem, kiedy pojawiała się przede mną butelka, zaczynała analizować wszystko, co zapisano na etykiecie. Oglądałam wino pod światło, oceniając głębokość barwy i refleksy... Poruszałam kieliszkiem, żeby je dotlenić i w pełni poczuć cały bukiet... Nauczyłam się nawet jednocześnie wciągać powietrze i płukać usta odrobiną wina, co na początku wydawało mi się skomplikowane – i dosyć obrzydliwe.

To było zupełnie inne, bardziej świadome picie. Nie przekonałam się, co prawda, ciągle do czerwonego wina, za to białe... Tak, białe sprawiały mi naprawdę, dzięki tej wiedzy, większą przyjemność niż przedtem.

Ten alzacki gewürztraminer z późnych zbiorów naprawdę był znakomity, gęsty jak nektar, ciężki, jedwabisty... Może tylko powinnam go odrobinę mocniej schłodzić?

Schyliłam się szybko, żeby przekręcić gałkę termostatu w lodówce o jedno lub dwa oczka i nagle zaczęłam śmiać się sama z siebie.

Naprawdę, nie mogłam znaleźć lepszego momentu na zostanie wielką koneserką win! Ostatnie dni na wolności! Potem, w pierdlu, będę mogła przez resztę życia wspominać ich smak i szczycić się przed innymi więźniarkami znajomością poszczególnych szczepów i najlepszych winnic w wybranych regionach Francji. Na pewno zyskam dzięki temu uprzywilejowaną pozycję w więziennym świątku. Jedni grypsują, inni załatwiają darmowe papierosy, a ja będę opowiadać o tym, jak fałszuje się wina. Na przykład legendarne Romanée-Conti. Jedna butelka cennego rocznika 2005 kosztuje obecnie ponad piętnaście tysięcy euro, warto więc zadać sobie trochę trudu. Chociaż ryzyko jest

niemalé. Amerykański fałszerz trafił do więzienia na dwadzieścia lat... Tak, opowieści o tym mogłyby się spodobać moim współtowarzyszkom niedoli. Wpadł, bo sprzedawał butelki z roczników, w których w ogóle nie udało się wyprodukować ani litra wina...

– Słyszałaś o Romanée-Conti? – zapytałam Natalię, czując nagłą pokusę, by wypróbować na niej walory tej opowieści.

– *Jesteś nieosiągalna jak Romanée-Conti* – uśmiechnęła się, kiwając głową. – Tak pisał André Brink w powieści *Zanim zapomnę*, oczywiście nie o cennej butelce, lecz o kobiecie. To wino stało się prawdziwym symbolem, uczyłam się o nim już na studiach.

– Uczyłaś się o nim? Na botanice? – Przez moment myślałam, że to żart.

Ale nie.

– Nad winiarzami krąży od wieków widmo filoksery... – powiedziała. Brzmiało to jak początek jakiejś opowieści z dreszczykiem! – Słyszałaś na pewno o epidemii, która pod koniec XIX wieku wytlukła trzy czwarte europejskich winnic.

Pokręciłam głową. Fabien oszczędził mi rysu historycznego różnych gatunków win, skupiając się raczej na walorach smakowych i zabawnych historyjkach o fałszerzach.

– Filoksery? – powtórzyłam powoli to dziwne słowo.

– Filoksery winiec. Mszyca przywleczona do Europy z Ameryki Północnej. Nie lubi piaszczystych gleb, nie ruszyła więc winnic w Langwedocji. Ale Romanée-Conti nie leży w Langwedocji, lecz, o ile dobrze pamiętam, w Burgundii. Gleba nie jest tam zaś piaszczysta, tylko gliniasto-wapienna. Nikt dokładnie nie wie, jakim cudem właśnie ta winnica nie padła ofiarą filoksery. Niektóre krzewy mają tam po sto lat.

– Muszą być bardzo duże? Jak te pogięte wiatrem wielkie oliwki pamiętające czasy Chrystusa...

Natalia roześmiała się perliście, po czym wyjaśniła:

– Opiekun winnicy dba o to, żeby rośliny się nie rozrosły. Co roku obcina się pędy, zostaje tylko jeden na każdym krzaku...

– Opiekun? Rodzaj menedżera? – Sama nie wiedziałam, dlaczego tak mnie to zainteresowało. Czyżby odezwał się nagle jakiś głęboko uśpiony do tej pory gen?

– Cóż, normalni ludzie nazwaliby go właścicielem winnicy. Ale nasz profesor, który odwiedził kilka winnic, badając stare szczepy, twierdził, że to dla winiarzy określenie niedopuszczalne. Grzech ciężki. Nikt nie może być właścicielem wina, bo ono jest podmiotem, nie przedmiotem. Zmienia się, żyje, dojrzewa... Tak jak ludzie. Niektórzy winiarze mówią nawet wprost: wino jest człowiekiem.

Wino jest człowiekiem?! Tak daleko w swoich opowieściach nie zabrnął nawet Fabien.

To robiło się absurdalne.

Postanowiłam dać nauczkę temu „człowiekowi” w płynie. Pokazać mu, kto tu rządzi. Błyskawicznie nalałam sobie drugi kieliszek i wypiłam go duszkiem, niemal nie czując smaku.

A potem jeszcze jeden.

– Nina, wystarczy... – Natalia złapała mnie za nadgarstek. – Miałaś tylko odrobinę się zrelaksować, a nie...

Nie usłyszałam tego zdania do końca.

– Kręci mi się w głowie – jęknęłam żałośnie. – Muszę położyć się do łóżka, przepraszam. Naprawdę, tylko na momencik...

Wstałam z kanapy i zatoczyłam się gwałtownie.

– Połóż się tutaj. – Natalia jednym ruchem usunęła z kanapy swoją torebkę i rozłożone na niej papiery.

Z największym trudem zrobiłam krok w tamtą stronę i...

Nie pamiętałam już niczego więcej.

NATALIA

Ależ byłam na siebie zła!

Jak mogłam nie przewidzieć, że w napięciu i stresie wypije więcej niż powinna? Jak mogłam w ogóle dać jej wino bez jakiegokolwiek przekąski? Kto wie, czy Nina zeszła dziś rano do restauracji na śniadanie? W tym stanie ducha mogła równie dobrze nie jadać niczego od kilku dni...

Chciałam ją rozluźnić. Wiedziałam, że ta rozmowa będzie dla niej nieprzyjemna.

A teraz musiałam odczekać kilka godzin.

Jeszcze raz przejrzałam tamte zdjęcia z Maksem i z Hansonem, a potem swoje notatki.

Z punktem pierwszym, drugim i siódmym powinnyśmy poradzić sobie same. Ale w rozgryzieniu pozostałych zdecydowanie potrzebowałyśmy pomocy, i to profesjonalnej.

Ten adwokat... Zupełnie nie pamiętałam jego nazwiska... Nie dostrzegłam też nigdzie kartki z jego numerem, a nie chciałam grzebać Ninie w torebce ani w szufladach w sypialni.

Cóż, zadzwonimy do niego, kiedy moja „córka” poczuje się trochę lepiej.

A na razie... Zdecydowanym ruchem sięgnęłam po swoją komórkę i szybko znalazłam na liście kontaktów nazwisko, o które mi chodziło.

Szprot.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego siostry Niny nie sprowadziły go jeszcze

do Paryża.

Najdroższa N.

Zastanawiasz się na pewno, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Szukasz mnie może, choć minęło już tyle dni? Wiem, że tak. Czuję to niemal fizycznie. Znam ten twój upór. Chcesz stanąć ze mną twarzą w twarz, wyjaśnić wszystko do końca.

Nie próbuj.

Już za późno, nie wpadniesz już na mnie na żadnej ulicy ani w sklepie.

Piszę ten list z górnego pokładu promu płynącego do Szwecji.

To ma być tylko przystanek, pewnie jeden z wielu...

Odnajdę swoje miejsce jeszcze raz, zacznę wszystko od nowa.

Dzięki Tobie mam nawet pewien plan...

Ale o tym napiszę, kiedy znajdę się już tam, na miejscu. Jeżeli w ogóle uda mi się tam dotrzeć.

ROZDZIAŁ 14

OBIETNICA

Nasze tygrysy piją mleko.

Nasze jastrzębie chodzą pieszo.

Nasze rekiny toną w wodzie.

Nasze wilki ziewają przed otwartą klatką.

Wisława Szymborska, *Niespodziewane spotkanie*

NATALIA

Tak. To był jedyny człowiek, do którego mogłam zadzwonić w takiej

sytuacji. I błagać go, wbrew rozsądkowi, żeby przyjechał do Paryża.

Obrączka na jego palcu rozwiewała co prawda nadzieje matrymonialne, które z początku wiązałam z nim i z Niną. Lecz jeśli chodzi o szukanie przestępców i wyciąganie nas z więzienia, był po prostu nieoceniony.

– Słucham? – Po drugiej stronie, zamiast lepszej kopii Rhetta Butlera, odezwał się odrobinę nosowy, ale niewątpliwie damski głos.

Nieco speszona, wyjaśniłam, że dzwonię do komisarza Baltazara Szprota.

– Komisarz Szprot już tu nie pracuje – oznajmiła kobieta uprzejmie.

– Jest pani pewna? – zapytałam, nieco niemądrze.

Prychnęła, rozbawiona, ale odpowiedziała mi znowu bardzo grzecznie.

– Raczej tak. Przejęłam jego biurko i jego komórkę. Podkomisarz Katarzyna Kasperkiewicz-Kozodawska, czy mogę pani w czymś pomóc?

Pomogłabyś sobie, decydując się na jedno nazwisko – westchnęłam w duchu. Przy takim długim imieniu dwa czterosylabowe nazwiska były z pewnością prawdziwym utrapieniem. I dla niej, za każdym razem, kiedy podpisywała dokumenty czy musiała się komuś przedstawić (a przecież w takiej pracy przedstawiała się co chwilę!), i dla ludzi, którzy musieli to nazwisko zapisać lub szybko zanotować na skrawku papieru.

Wyobraziłam sobie, jak dokonuje zatrzymania:

– *Stój, bo strzelam!*

– *Kim pani jest?*

– *Podkomisarz Katarzyna Kasperkiewicz-Kozodawska, komenda wojewódzka policji w Bydgoszczy, wydział kryminalny.*

Litości, dziewczyno... Przestępcy z pewnością uciekliby ci, zanim skończyłabyś mówić!

– Czy mogę pani jakoś pomóc? – powtórzyła, chyba już nieco zniecierpliwiona. – Przejęłam od komisarza Szprota większość bieżących spraw...

– Tą sprawą komisarz jeszcze się nie zajmował – westchnęłam. – Ale może wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

Nie miałam dużej nadziei na uzyskanie odpowiedzi. Pewnie nie wolno im informować o takich sprawach obcych ludzi. Nawet tych, którzy znają numery komórek byłych funkcjonariuszy, a nie tylko te stacjonarne, dostępne na stronie komendy...

– To żadna tajemnica, pojawiały się nawet artykuły w lokalnych gazetach, jeden chyba ze zdjęciem... – Przysięgłabym, że się uśmiechnęła na to wspomnienie. – Pan komisarz awansował na nadkomisarza. I został przeniesiony do Warszawy.

– To świetnie! Dziękuję bardzo! – pożegnałam się, zanim zdążyłam sobie uświadomić, że Warszawa jest raczej rozległa i odnalezienie Szprota w stolicy zajmie z pewnością sporo czasu.

Łączenie się z Internetem w roamingu mogło być kosztowne i nie bardzo wiedziałam, czy w ogóle mam tę usługę wykupioną w swoim abonamencie. Na szczęście w saloniku przy lustrze leżała teczka z logo hotelu, a w środku były informacje o tym, w jakich godzinach można skorzystać z salonu piękności na poziomie -1, numery wewnętrzne do recepcji, dyrekcji, marketingu, menu restauracji i baru z dostawą do pokoju 24 godziny na dobę i wreszcie – bingo! – login i hasło do pięciogwiazdkowego wi-fi.

Błyskawicznie połączyłam się z siecią i odszukałam artykuł zamieszczony na trzech kujawskich serwisach informacyjnych zaledwie półtora miesiąca temu.

Znalezienie telefonu na stronie komendy głównej zajęło mi też tylko chwilę.
– Niestety, nadkomisarz Szprot jest nieobecny. Nie wiem, kiedy może pani zadzwonić, pan nadkomisarz pracuje głównie w terenie. Proszę zostawić swój numer, na pewno do pani oddzwoni...

Posłusznie zostawiłam więc numer wraz z krótką wiadomością.

Miałam nadzieję, że odezwie się niemal natychmiast. Że tak naprawdę jest w biurze, tylko nie odbiera telefonów od wszystkich, którzy chcieliby usłyszeć jego głęboki, niski głos.

Nie oddzwonił.

Poszłam więc do jednej z trzech wolnych sypialni, tej z największym oknem, zapaliłam wszystkie światła, wyjęłam z torebki te okulary, których używałam niemal wyłącznie do pracy przy retuszu. Na szczęście na dnie torby znalazła się i lupa filatelistyczna w miękkim, filcowym futerale. Co za ulga, że zawsze miałam ją przy sobie! Świetnie się sprawdzała nie tylko przy dopieszczaniu najmniejszych detali, zwłaszcza na zdjęciach nagrobkowych, ale i przy oglądaniu w czasie spaceru rzadkich okazów roślin. Pora roku nie była najlepsza, miałam jednak nadzieję, że i w Paryżu natknę się na coś, co uzasadni noszenie w torebce lupy!

Na razie jednak nie chodziło o żadne liście czy pędy godne szczególnej uwagi, lecz o zdjęcia, które rzucały na Ninę nieprzyjemne podejrzenia.

Obejrzałam je jeszcze raz, naprawdę bardzo dokładnie.

Niestety, te w ramionach Maksa, chyba najważniejsze dla sprawy, były tylko szarawymi odbitkami ksero, wykonanymi ze zdjęć leżących w policyjnych aktach. Adwokat Niny twierdził, że oryginałów nie da się wydobyć, nawet na kilka godzin.

Trudno, musiało wystarczyć mi ksero.

To, co najważniejsze, było widoczne nawet na nich.

A raczej niewidoczne... Tak wyraźnie, że od razu rzucało się w oczy.

NINA

Obudziłam się z potwornym bólem głowy. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem. Odnosiłam wrażenie, że musiałam gdzieś upaść i uderzyć się w skroń. To przecież niemożliwe, żeby aż tak łupało mi pod czaszką?

Do tego mój żołądek wykonywał jakiś dziwny taniec...

– Nie czujesz się chyba najlepiej... – Natalia pochyliła się nade mną z miną trochę zatroskaną, a trochę rozbawioną. – Chodź, zaprowadzę cię do łazienki...

Zdążyłam tam dosłownie w ostatniej chwili.

Taniec mojego żołądka zakończył się dość gwałtownie. Natalia dzielnie asystowała mi przez cały czas, a nawet pomogła posprzątać pobjowisko, które po sobie zostawiłam.

– Popłucz usta. – Podała mi kubek z wodą. – A najlepiej weź prysznic, to od razu poczujesz się lepiej.

Z wdzięcznością przyjąłm jej opiekę. Czułam się koszmarnie.

– Boże, naprawdę urwał mi się film? – westchnęłam, idąc do pokoju po czyste ubrania.

Nagle ktoś załomotał do drzwi.

Spojrzałyśmy na siebie zdumione.

– To twój pokój, więc to chyba ty powinnaś otworzyć – powiedziała Natalia niemal bezgłośnie.

Miała rację. Zapomniałam ją zameldować, kiedy przyszłyśmy z Bistrot Vivienne. A dyskretna obsługa oczywiście nie powiedziała ani słowa. Nie zwróciła mi uwagi, kiedy defilowałyśmy po lobby z walizeczką na kółkach. Zatem Natalia nie powinna raczej zachowywać się w apartamencie jak u siebie, przynajmniej dopóki nie dopełnię formalności... Był też Girard... Cholera, przecież miałam go zawiadomić, jak tylko odbiorę Natalię z lotniska. Chciał z nią zamienić kilka słów.

No i stanowczo powinnam zaraz wybrać się z rutynową wizytą na komisariat. Na razie, niestety, nikt mnie nie zwolnił od tych spotkań z policjantami, choć, moim zdaniem, kompletnie niczego nie wносиły do sprawy. Dawały tylko gliniarzom pewność, że nie uciekłam przez zieloną granicę w stronę Polski.

Co się ze mną działo, że zapomniałam o tylu rzeczach?

– Co się z tobą dzieje? – Natalia zrobiła krok w moją stronę. – Znowu będziesz wymiotować?

– Nie, nie, wszystko dobrze... – Odgarnęłam z twarzy pozlepiane włosy, obciągnęłam bluzkę ze zjawiskową plamą na samym środku i zerknęłam szybko na zegarek.

Na komisariacie powinnam być już czterdzieści minut temu.

Ale, cholera jasna, to chyba nie powód, żeby od razu przysłali tu cały pluton egzekucyjny?

Westchnęłam ciężko i otworzyłam drzwi z myślą: „Nie dam się aresztować, dopóki nie wejdę pod prysznic, choćby stał tam sam generał i oskarżał mnie o wymordowanie połowy francuskiego rządu”.

Na progu nie było generała.

Był za to Baltazar Szprot w długim czarnym płaszczu, z tym swoim

zabójczym uśmiechem George'a Clooneya.

Uśmiechem, który na mój widok w ułamku sekundy zastygł mu na twarzy.

NATALIA

Nie mogłam uwierzyć, że się tu zjawił!

– Czekałam, aż pan do mnie oddzwoni – roześmiałam się, kiedy już ucałował mnie szarmancko w obie dłonie. – A pan pojawia się *deus ex machina* kilkanaście minut po moim telefonie na komendę?

– Już tam nie pracuję – powiedział, oglądając się za siebie.

Nie zdążyłam wyjaśnić, że to już wiem... I że dzwoniłam do jego biura w stolicy, pod odpowiedni numer. Bo nagle w drzwiach, których nie domknęła zaskoczona Nina, pojawił się nieznany nam mężczyzna we wściekle fioletowej kurtce i żółtych adidasach. Doprawdy, oryginalny zestaw kolorystyczny...

– Mój kolega z paryskiej policji, Thierry Lefevre – przedstawił go Szprot. – Przepraszamy za strój, ale przyjechał tu prosto z urlopu, na prośbę swojego szefa...

Fioletowy mruknął coś pod nosem na powitanie, chyba po francusku, choć trudno było to stwierdzić na pewno.

– Moje siostry poprosiły pana o interwencję? Nareszcie! – Nina w desperacji narzuciła hotelowy szlafrok na brudną bluzkę i naciągnęła kaptur na głowę. Moim zdaniem jej wygląd rzucał się teraz znacznie bardziej w oczy. Kazał natychmiast zastanawiać się, co jest z nią nie tak... No ale nie miałam sposobności, by dyskutować z nią teraz na ten temat.

Szprot pokiwał głową.

– Pani Maria stanowczo zażądała, żebym włączył się w sprawę. A pani Marii, jak wiadomo, naprawdę trudno odmówić. Sprawdziłem więc szybko, czy koledzy z Paryża nie prosili komendy głównej o współpracę, jak to się zwykle dzieje, gdy ofiara... albo podejrzany o popełnienie przestępstwa... jest obywatelem naszego kraju.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Tu z Polski pochodzi i ofiara, i bezwzględny sprawca – syknęła Nina i zaraz złapała się za skroń.

Widać było, że cierpi.

Co mi przyszło do głowy, żeby akurat dzisiaj poić ją winem?!

– Faktycznie, w tym przypadku nasza komenda włączyła się do śledztwa już na bardzo wczesnym etapie... – Szprot uczestniczył w rozmowie z kamienną twarzą, ze wszystkich sił próbując omijać Ninę wzrokiem, żeby nie czuła się niekomfortowo ze swoim wyglądem. – Ale ja, rzecz jasna, nie uczestniczyłem w tej sprawie. Nie miałem pojęcia, że znowu panie coś narozrabiały.

– Wypraszam sobie liczbę mnogą – prychnęłam, puszczając do niego oko. – Absolutnie nie rozrabiałam! Byłam tak samo daleko od całej sprawy, jak pan...

Nina nie odezwała się ani słowem. W tej kwestii brakowało jej chyba

poczucia humoru – i nawet nieszczególnie jej się dziwiłam...

Lefevre w fiolecie powiedział coś szybko, wskazując na telefon. Szprot odpowiedział równie szybko, płynną francuszczyzną. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie tym zaskoczył. Wyglądało na to, że nasza polska policja naprawdę jest coraz lepiej wykształcona.

– Kapitan Lefevre proponuje, żeby zadzwoniła pani po swojego adwokata – wyjaśnił Ninie. – Powinien uczestniczyć we wszystkich formalnych czynnościach, zwłaszcza w przeszukaniu...

– Zamierza pan przeszukać moje rzeczy? – Nina roześmiała się z niedowierzaniem. – Rychło w czas, naprawdę. Zdążyłabym już usunąć z hotelu nawet zwłoki słonia, nie mówiąc o jakimś małym, niewinnym narzędziu zbrodni.

– Narzędzie zbrodni zostało zabezpieczone i nie musimy go szukać – odparł Szprot spokojnie. Po czym powtórzył: – Niech pani zadzwoni po adwokata.

Nie patrząc na siebie, nie konsultując się w żaden sposób, obydwie pokręciłyśmy głowami dokładnie w tym samym momencie.

Doskonale wiedziałyśmy, że Szprot nie da wsadzić Niny za kratki za niewinność. Nie zostawi tej sprawy, dopóki nie dotrze do prawdy. A więc jeżeli Szprot nie zdoła wyciągnąć Niny ze szlamu, w który ktoś usiłował ją wepchnąć, żaden adwokat, ani polski, ani francuski, ani międzynarodowy, nawet z dyplomem holenderskiej uczelni (bo podobno to właśnie Holendrzy kształcą najlepszych prawników w Europie), nie osiągnie nic więcej.

Skoro zjawił się tu Szprot, adwokaci nie byli już Ninie potrzebni.

– Nie potrzebuję Girarda – oświadczyła. – Chętnie odpowiem na wszystkie pytania, ale trochę później. Teraz muszę jak najszybciej stawić się na komisariacie.

– Tym proszę się nie martwić. Zapewniłem, że będę z panią w stałym kontakcie, częściej niż raz dziennie. A to zdejmuję z pani obowiązek tych codziennych wizyt.

Nina uśmiechnęła się z wdzięcznością i znowu złapała się za czoło.

Szprot odwzajemnił uśmiech, błyskając tymi swoimi idealnie równymi, lśniącymi zębami.

– Na początek muszę usłyszeć wszystko, od początku do końca, z pani ust – powiedział i spojrzał na nią znacząco. – Ale może, zanim zaczniemy rozmawiać, chciałaby się pani trochę odświeżyć?

NINA

Myślałam, że się spalę ze wstydu! „Trochę się odświeżyć”! Dobrze, że nie powiedział: „Śmierdzi pani jak kloszard, proszę iść pod prysznic”!

Nie marzyłam o niczym innym.

Wyszłam z łazienki po kwadransie, z wilgotnymi włosami i na bosaka – okazało się, że w popłochu nie zabrałam ze sobą z sypialni czystych skarpetek.

Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi.

Natalia, Szprot i ten cały Thierry Żabojad siedzieli na kanapach pograżeni w konwersacji po angielsku.

O tym, że Natalia świetnie sobie radzi z tym językiem, już się przekonałam. Teraz okazało się, że Szprot nie odstaje od niej ani trochę. Najbardziej dziwiło mnie jednak to, że kolejny paryski policjant, który się tu zjawiał, też był prawdziwym poliglotą. A tyle się mówiło o arogancji i ksenofobii Francuzów, nieuznających żadnych języków, poza własnym.

Natalia rozłożyła na kolanach moje zdjęcia z Maksem i z Hansonem. Pokazywała przez lupę jakieś szczegóły, a Szprot i Lefevre w skupieniu kiwali głowami.

Cichutko przysiadłam na krześle, naprzeciwko nich.

– Możemy zaczynać? – Szprot, nie przechodząc z powrotem na polski, obrócił się w moją stronę i otworzył czarny notatnik, taki sam jak ten, który miał przy sobie w Ciechocinku, gdy widzieliśmy się po raz pierwszy.

Nie wypadało chyba zapytać, czy dostaje je z przydziału, czy może kupuje sobie sam, od razu kilkanaście?

– Proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei – poprosił. – Zaczniemy od tego, dlaczego w ogóle przyjechała pani do Paryża...

To było najtrudniejsze pytanie. Wiedziałam, że odpowiedź brzmi dziwacznie i wcale nie stawia mnie w dobrym świetle: „Przyjechałam, żeby się zemścić na Maksie – chociaż nie miałam pojęcia, że po to tutaj jadę, bo tak naprawdę wydawało mi się, że chodzi o żwirki do kocich kuwet. No i proszę, Maks padł trupem tuż po spotkaniu ze mną. Czysty przypadek, w który nie uwierzył nikt, łącznie ze mną”.

Zanim otworzyłam usta, żeby powiedzieć to głośno, Natalia podniosła się z kanapy i ruszyła w stronę swojego pokoju.

– Proszę zostać – zawołał za nią Szprot.

Potrząsnęła głową.

– Osoby postronne nie powinny chyba uczestniczyć w przesłuchaniu, nawet biernie – oświadczyła. – Obejrzę te zdjęcia jeszcze raz, w lepszym świetle.

– Nie jest pani osobą postronną, a nasza rozmowa nie ma na razie charakteru ściśle formalnego – zaprotestował Szprot. – Bardzo się cieszę, że pani tu jest. Wiem, jak działa pani umysł, i chętnie skorzystam jeszcze raz z jego pomocy. Oczywiście wyłącznie nieoficjalnie. I tylko pod warunkiem, że nie robi pani nic poza słuchaniem i myśleniem. Żadnego zaglądania w niebezpieczne miejsca, żadnego nachodzenia i przepytывania ludzi. Zgoda?

– Zgoda – westchnęła, opadając z powrotem na kanapę.

Próbowałam nie patrzeć w jej stronę i nie spotkać się z nią wzrokiem. Bałam się, że Szprot zauważy, że coś knujemy. Natalia zamierzała przecież jeszcze dziś

późnym wieczorem wrócić do Bistrot Vivienne i zapytać kelnera z drugiej zmiany, czy już mnie kiedyś widział. I z całą pewnością żadna obietnica, nawet złożona Szprotowi, nie mogła jej odwieść od tego pomysłu. Na razie przyczała się cicho, jak tygrys, ale wiedziałam, że czeka tylko na odpowiedni moment...

ROZDZIAŁ 15

PODWÓJNY SZEW

żeby na jawie

uchwycić twój sen, twój

cień; tak, z tą właśnie

miną, w tej pozie;

tylko się cofnę może,

żeby nie za wyraźnie...

Stanisław Barańczak, *Zdjęcie*

NATALIA

Pierwszy raz słyszałam tę historię ze wszystkimi szczegółami. Szprot zadawał wiele pytań pomocniczych, Lefevre też od czasu do czasu wtrącał swoje trzy grosze, a Nina naprawdę bardzo się starała im pomóc i przypomnieć sobie nawet to, co wydawało się nie mieć najmniejszego znaczenia.

Czuła, że wszyscy obecni w tym pokoju są po jej stronie.

Szprot też się starał. Nie skomentował ani słowem dziwnego początku tej opowieści o tajemniczym planie zemsty, uknutym przez trzy siostrzyczki Drop, ani faktu, że Nina przyleciała do Paryża, nie mając pojęcia, po co tak naprawdę jest tu potrzebna. To było do niej kompletnie niepodobne.

Prezes Antonina Drop zawsze i wszystko starała się mieć pod kontrolą, nie tylko w firmie, ale i w życiu prywatnym. Jej współczynnik spontaniczności – gdyby ktoś oczywiście wymyślił taką jednostkę miary – był niższy niż u kontrolera lotów w porze największego ruchu nad Okęciem czy Balicami. Uważała, że wszystko musi być perfekcyjnie zaplanowane, sprawdzone, zapisane w punktach...

W firmie nie pozwalała nikomu podejmować decyzji bez jej akceptacji, nawet jeśli chodziło o zmianę dostawcy papieru do drukarek albo zakup nowego krzesła do sekretariatu.

Sama kiedyś powiedziała mi, że absolutnie nie potrafi delegować zadań i przenosić odpowiedzialności. Czuła się bezpieczna tylko wtedy, kiedy trzymała wszystkie sznurki w ręku. Ścisła je więc obsesyjnie, i to w obu dłoniach.

A tu nagle zostawia firmę i wyjeżdża do Paryża, nie bardzo wiedząc, po co?

Gdyby chodziło o kogoś innego, pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, ale Ninę Szprot znał już całkiem nieźle i na pewno też go to zastanawiało.

A Nina... Nina była na tyle inteligentna, że doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Przyleciałam tu z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na moją najmłodszą siostrę Kostkę, to znaczy, Konstancję – wyjaśniła szybko. – Bardzo bym chciała, żeby bardziej zaangażowała się w sprawy firmy. Próbowałam ją wciągnąć w różne projekty, ale zawsze się wycofywała. Raz nagle, raz stopniowo... Najbardziej obchodzą ją bezdomne zwierzaki. Poświęca im cały swój czas, ma sztab wolontariuszy, którymi kieruje, wspiera liczne fundacje, domy tymczasowe, osobiście sprawdza rodziny adoptujące takie znajdy... I cały czas fantazjuje o własnym schronisku, które przypominałoby prawdziwy dom. A żeby mieć na to pieniądze, hoduje rodowodowe, wściekle drogie koty z pyskami bez wyrazu i obojętnym stosunkiem do świata.

Szprot uśmiechnął się pod nosem.

– Znam tę pasję pani Konstancji – westchnął. – Kilka razy dzwoniła do mnie

z prośbą o zorganizowanie transportu jakiegoś kota... A raz nawet całego miotu uroczych dachowców z Bydgoszczy czy Torunia do Warszawy albo odwrotnie, już nie pamiętam.

Nina przewróciła oczami z niedowierzaniem, choć w gruncie rzeczy wcale nie powinna być zdziwiona.

– No oczywiście – mruknęła. – Kostka wykorzystuje wszystkie kontakty. Zadzwoiłaby nawet do ministra... albo i do papieża... gdyby chodziło o koty. W innych sprawach jednak stanowczo odmawia telefonowania do kogokolwiek, bo nie znosi mówić, kiedy nie widzi twarzy rozmówcy. Tylko dla kotów robi wyjątek.

– Wróćmy do sprawy. – Szprot najwyraźniej nie chciał już dłużej słuchać o kotach. – Wspomniała pani, że były dwa powody. Pierwszy to pani siostra... Miała pani nadzieję, że, kupując fabrykę, która tak ją zainteresowała, ściągnie ją pani na dobre do firmy. A drugi powód? Czy może go pani zdradzić?

Nina westchnęła i pogrążyła się na moment w milczeniu. A potem powiedziała, trochę wolniej niż zwykle:

– Zawsze unikałyśmy Paryża z powodów rodzinnych. Może to pan nazwać złymi wspomnieniami. Żadna z nas nie chciała się uczyć francuskiego, nie było mowy o wakacjach w Prowansji z kolegami ze studiów... Lutka do dziś omija szerokim łukiem nawet francuskie sieci supermarketów. Pomyślałam, że ten wyjazd może odczarować rodzinną klątwę.

– I odczarował? – zapytał Szprot, choć to chyba nie mogło dotyczyć gwałtownej śmierci Maksa.

Nina pokiwała głową, uśmiechając się jakoś tak miękko i ciepło, jak nie ona.

– Od wieków nie bawiłyśmy się tak dobrze, jak tutaj i... nie byłyśmy ze sobą tak blisko. Paradoksalnie przeżyłam tu jedno z najlepszych dni w moim życiu.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem, pozwalając jej przez moment cieszyć się wspomnieniami.

Nie trwało to długo. Nina wyprostowała się, wciągnęła ze świstem powietrze i zaczęła referować kolejne wydarzenia tym samym rzeczowym, chłodnym tonem, co poprzednio.

NINA

Nagle okazało się, że w pięciogwiazdkowym apartamencie najważniejszym elementem wyposażenia może być ekspres do kawy. Wciąż rozsadało mi głowę, trudno mi było zbierać myśli, wypiałam więc cztery filiżanki espresso, zanim udało mi się doturlać z tą opowieścią do samego końca.

Dyskretnie zerknęłam na zegarek. Miałam nadzieję, że Szprot i jego kolega w fiolecie niebawem schowają swoje notatniki i wyjdą, a ja będę mogła wybrać się z Natalią do Bistrot Vivienne, tak jak planowałyśmy.

Czułam, że spotkanie z tym kelnerem przybliży nas choć trochę do prawdy.

Może okaże się, że byłam pijana? Albo półprzytomna? Kto wie, czy nie dosypano czegoś do tego diabolo? Bardzo chciałam spojrzeć mu w oczy i usłyszeć, co zapamiętał.

Szprot jednak wcale nie zbierał się do wyjścia.

– Miała pani motyw i wcale tego pani nie kryje – powiedział, kartkując czarny notes i szybko zapisując w nim kilka słów. – Zemsta... To motyw silny, bardzo skutecznie popychający nawet do nadludzkiego wysiłku. W dodatku stary jak świat. Miała też pani możliwość popełnienia tego morderstwa. Pani alibi, o ile rozumiem, stanowią tylko siostry?

– Trzy osoby to chyba nie jest takie złe alibi? – westchnęłam. – Naprawdę nikt nie potraktuje ich zeznań poważnie tylko dlatego, że łączą nas rodzinne więzy?

– Nie była pani w ich towarzystwie przez całą noc, prawda? – wtrącił się Lefevre. – Każda z was spała w osobnym pokoju. Mogła pani bez problemu wyjść z hotelu i wrócić niezauważona. Już raz tak pani postąpiła, odwiedzając pana Łysaka o świcie w jego paryskim domu.

– Widać to chyba na hotelowym monitoringu? – zapytała Natalia rzeczowo. – Musi istnieć nagranie z korytarza, z holu przy recepcji, z podjazdu, gdzie Nina wsiadała do taksówki...

– Owszem, jest monitoring na dole, w lobby i na podjeździe. – Lefevre pokiwał głową. – Ale są jeszcze dwa boczne wejścia, gdzie nie ma żadnych kamer. Na korytarzach na piętrach i w żadnej z wind pasażerskich też ich nie zainstalowano, ze względu na prywatność gości. Można więc bez problemu wymknąć się bocznym wejściem...

– A w kamienicy Maksa? Tam musi być monitoring! – zawołałam. – Te zdjęcia z naszej rozmowy o świcie... Pochodzą z monitoringu, prawda?

– Zajmujemy się tym – zapewnił mnie Szprot, patrząc w stronę okna.

No jasne, nie mógł ze mną rozmawiać na ten temat.

Wkrótce okazało się, że jest znacznie więcej tematów, których nie wolno mu było poruszać.

– O której dokładnie zabito Ma... pana Maksymiliana? – Natalia trzymała swój zielony notesik cały czas otwarty i zapisywała kolejne strony drobnym maczkiem.

Szprot i Lefevre szybko wymienili niepewne spojrzenia. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

– Rozumiem, tajemnica śledztwa... – Natalia pokiwała głową, podkreślając zamasztywanym ruchem jakieś słowo. – Ale chyba trudno nam będzie rozmawiać, jeśli nie powiemy sobie wzajemnie wszystkiego, co wiemy.

Szprot, Lefevre i ja podnieśliśmy na nią wzrok jak na komendę.

Czyżby stawiała policjantom warunki? Próbowwała się z nimi targować?

– Naprawdę sądzi pani, że jest coś, o czym nie wiemy, choć powinniśmy? –

Szprot wyglądał na trochę rozbawionego. – Jeśli dobrze zrozumiałem, pani przyleciała do Paryża dopiero dzisiaj, zaledwie kilka godzin temu? I już wie pani więcej niż polska i francuska policja razem wzięte?

Znałam tę szelmowską minę Natalii.

Co ona knuła?

– Nie poświęcili panowie chyba zbyt wiele uwagi tajemniczym zdjęciom Niny... pani Antoniny Drop... z tym kanadyjskim biznesmenem o skandynawskim nazwisku.

– To nie należy do sprawy – uśmiechnął się Lefevre. – Państwa łączą przecież, jak rozumiem, związki czysto biznesowe.

– Nie mam z tym panem żadnych związków biznesowych! – Poderwałam się z miejsca, rozwścieczona. – Pracuję z jego największym konkurentem i jestem wobec niego całkowicie lojalna. Hans Hanson gra nieczysto i wszyscy o tym wiedzą. Spotkanie z nim naraziłoby na szwank moje dobre imię w tej branży... Imię, na które bardzo długo pracowałam. Nie spotkałam się z Hansem Hansonem, rozumieją panowie? Nie znam go i nie zamierzam tego zmieniać.

– Nie zna go pani? – Lefevre zmarszczył brwi. – Ale te zdjęcia...

– No właśnie! – Natalia uniosła je w górę. – Ktoś chciał podważyć to dobre imię, o którym mówi pani Antonina. I naprawdę zdobył się na duży wysiłek, żeby przygotować te fotografie.

– Uważa pani, że nie są autentyczne? – zapytał Szprot.

Natalia bezradnie wzruszyła ramionami.

– Próbuje się tego dowiedzieć – szepnęła. – Znalazłyśmy restaurację, w której zrobiono te zdjęcia, a za godzinę mamy szansę spotkać się z kelnerem, który obsługiwał rzekomo Ninę tamtego dnia. Może wybiorą się panowie z nami?

Nie do wiary! Naprawdę się przed nimi wygadała! Potraktowała poważnie obietnicę, którą wyciągnął z niej Szprot.

To było niepodobne do Natalii. Do tej Natalii, którą znałam.

NATALIA

Oczywiście, widziałam zaskoczony wzrok Niny. Czułam, że jest w szoku, że postanowiłam powiedzieć im prawdę.

Nie, nie zwariowałam. Oczywiście, tak naprawdę wcale nie miałam ochoty ciągnąć za sobą policjantów do Bistrot Vivienne. Uznałam jednak, że łamanie naszych ustaleń już pierwszego wieczoru nie byłoby w porządku. Zwłaszcza że stawką mogła być wolność Niny. Nie znałam szczegółów jej wyjścia za kaucją, nie rozmawiałam z adwokatem, nie czytałam dokumentów, które musiała podpisać... Ale skoro nie wolno jej było nawet dzwonić do sióstr („Proszę nie dać się namówić pani Drop i nie pożyczać jej komórki, jeśli nie chce pani, żeby miała jeszcze większe kłopoty” – ostrzegł mnie od razu Szprot, kiedy była pod prysznicem), to

próby przesłuchiwania na własną rękę kelnerów też pewnie niezbyt by się spodobały francuskim policjantom. Jeszcze tylko brakowało nam tego, żeby wsadzili ją za kratki na cały czas śledztwa i procesu, czyli Bóg jeden wie, na jak długo. Nie, naprawdę nie mogliśmy tak głupio ryzykować.

Poza tym obecność dwóch biegle mówiących po francusku funkcjonariuszy mogła nam się przydać, gdyby kelner zasłaniał się tajemnicą służbową i nie chciał zdradzić nam, kogo i w jakich okolicznościach obsługiwał przy okrągłym stoliku.

Oni na pewno zdołaliby wyciągnąć z niego potrzebne zeznania.

Swoją drogą, to nie do wiary, że policja nie przesłuchała do tej pory całej obsługi restauracji, a może i stałych klientów, którzy teoretycznie mieli szansę zobaczyć Ninę.

– Nie posiadamy tych zdjęć w aktach sprawy – tłumaczył Lefevre, kiedy zjeżdżaliśmy windą z jedenastego piętra. – Chyba faktycznie koledzy, którym pani Antonina wspominała o tym w czasie przesłuchania, nie potraktowali tematu dostatecznie poważnie... Uznali go za wątek poboczny, mniej istotny, skoro tyle jest spraw bezpośrednio związanych ze śmiercią pana Maksymiliana, wymagających pilnego wyjaśnienia.

Uśmiechnęłam się do niego krzepiąco, ale chyba niewiele to dało. Wyraźnie było mu głupio, że zaniedbali ten temat.

Późnym wieczorem w Bistrot Vivienne ruch był znacznie większy niż kilka godzin wcześniej, gdy byliśmy tu po raz pierwszy. Z trudem znaleźliśmy wolny stolik, i to nie w środku, ale tuż koło drzwi, w Galerii, dosłownie w przejściu, gdzie co chwilę zawiewał zimny wiatr z ulicy.

No cóż, trudno... Nie zamierzaliśmy przecież siedzieć tu godzinami, delektując się zupą rakową czy innymi przysmakami rekomendowanymi przez szefa kuchni.

Szczelniej otuliłam się szalem i niepewnie spojrzałam na Szprota.

– Chce pan iść oficjalnie do tego kelnera? Poprosić o pomoc w imieniu policji?

Pokręcił głową, nie konsultując się z Lefevrem.

– Intuicja podpowiada mi, że pani załatwi to znacznie dyskretniej, a zarazem skuteczniej niż ja. Już tu pani była... Proszę pójść i poszukać kelnera, który wniesie coś do sprawy. My włączymy się do rozmowy nieco później.

Poszłam więc z nadzieją, że wszyscy kelnerzy w Vivienne mówią po angielsku równie dobrze, jak ten z wąsikiem i blond grzywą, który obsługiwał nas przed południem.

NINA

Patrzył na mnie niepewnie, obszedł nawet stolik w kółko, odsunął się, po

czym wrócił...

– Nie wiem – westchnął w końcu bezradnie. – Okrągły stolik obsługuje od siedmiu lat Pierre Garignon, ale on jest teraz na urlopie w Tajlandii, więc podzieliliśmy się z kolegami jego rewirem. Tak robimy zwykle w przypadku krótkiej nieobecności jednego z nas. Ale o co właściwie...

Nie dałam mu dokończyć.

– Był pan w pracy, kiedy tu przyszedłam? – zapytałam, patrząc mu intensywnie w oczy.

Pokiwał głową.

– Przynajmniej dwa razy.

– Widział pan, jak rozmawiałam przy kawie z tym mężczyzną? – Wyciągnęłam przed siebie komórkę Natalii (moja przecież ciągle leżała w policyjnym depozycie!) z kolorowym, wyraźnym portretem Hansona.

– Poznaję go – przyznał kelner, nareszcie nieco pewniejszym głosem. – Ale z nim była pani w naszym bistro chyba tylko raz. Pamiętam, że bardzo pani smakowało diablo menthe...

No dobrze, robiło się coraz ciekawiej.

Natalia zabrała mi telefon i kliknęła szybko w wyświetlacz. A wtedy pojawiła się na nim profesjonalnie skupiona twarz Maksa. To zdjęcie umieszczał na wszystkich zawodowych profilach w sieci, jeszcze kiedy byliśmy razem. Wciąż wyświetlało się jako pierwsze po wpisaniu w wyszukiwarkę jego nazwiska.

– O tak. Ten pan był bardzo dobrym klientem. Stałym klientem. Przez ostatnie dwa miesiące przychodził bardzo często... – Twarz kelnera rozjaśniła się uśmiechem. – Czasami nawet dwa razy dziennie... Z różnymi osobami...

– Ze mną też? – zapytałam ze ściśniętym gardłem.

Znowu przyjrzał mi się uważnie i westchnął. Co to miało być? Jeszcze jedna mroczna tajemnica mojego eks? Bywał tu z kochankami? O, matko, pewnie ten kelner bał się o tym wspomnieć, przekonany, że jestem zazdrosną żoną Maksa...

– Ten pan nie żyje – wypaliłam, na wszelki wypadek nie patrząc w stronę Szprota i Lefevre'a. Zapewne nie byli zachwyceni faktem, że nie skonsultowałam się z nimi, tylko po prostu wyjawiałam kelnerowi całą prawdę. – Nie musi pan być wobec niego lojalny ani ukrywać faktu, że romansował w naszym bistro z różnymi kobietami. Nie jestem zdradzoną kochanką, tylko osobą podejrzaną o to, że wbiła mu nóż w serce. Chodzi mi tylko o ustalenie faktów.

Kelner zbladł nieco, słuchając mojego, mocno skondensowanego wyjaśnienia.

– Czy ten pan przychodził tutaj ze mną? – powtórzyłam, czując, że to pytanie naprawdę brzmi idiotycznie. Przeredagowałam je więc na odrobinę mniej absurdałne: – Czy widział pan nas tu razem?

Jego westchnienie tym razem było tak głośne, że aż dwie czy trzy głowy

odwróciły się zaciekawione od innych stolików w naszym kierunku.

– Nie wiem – jęknął w końcu płaczącym tonem. – Naprawdę nie wiem.

No dobrze. Czułam, że nie powinnam na niego naciskać. On przecież nie obsługiwał tego stolika, miał swoją pracę, swoich klientów... Trudno, żeby pamiętał wszystkich, którzy odwiedzali Vivienne.

Ale zaraz, chwileczkę, mieli przecież te swoje zeszyty! W nich powinno być wszystko na temat Maksa!

– Może sprawdzi pan w notatkach tego kolegi, który wyjechał na urlop? – podsunęła Natalia. Najwyraźniej jej myśli biegły podobnym torem, co moje.

Szprot uniósł brwi, zaskoczony. Nie wiedział przecież o zwyczajach panujących w Bistrot Vivienne...

– Nie chodzi o to – potrząsnął głową kelner. – Ja dobrze pamiętam, co ten klient jadł i z kim przychodził. Nie jestem tylko pewny, czy ta ruda kobieta... Czy to naprawdę była pani...

NATALIA

Prawdę mówiąc, spodziewałam się takiej właśnie odpowiedzi. Na zdjęciach Nina siedziała zawsze tyłem albo bokiem, tak że widać było tylko kawałek ucha.

Oczywiście, uszy też bywają różne, i – o ile dobrze pamiętałam z jednego z filmów dokumentalnych – na podstawie małżowiny usznej można było dokonać całkiem skutecznej identyfikacji, porównywalnej z tą z wykorzystaniem odcisków palców.

Na żadnym jednak zdjęciu ucho nie było widoczne w całości. Spod rudych loków wysuwały się zawsze tylko niewielkie fragmenty. Kilka milimetrów na górze, jeden czy dwa z boku... W dodatku cała ostrość poszła w szybę i stylizowany napis „Bistrot Vivienne”. Twarz Hansona, owszem, było widać w miarę wyraźnie. Cygańskie koło w lewym uchu Niny i spinka, którą zbierała włosy w niedbały wysoki węzeł, też dawały się rozpoznać. Twarz pozostawała jednak w cieniu. Nawet na tym jednym ujęciu, gdzie siedziała półprofilem i teoretycznie można byłoby zobaczyć przynajmniej zarys jej podbródka. Na drugim z kolei skutecznie zasłaniało ją ramię jakiegoś klienta, chyba nachylającego się nad większym stołem po półmisek.

Ktoś wyraźnie się postarał, żeby zdjęcia były zrobione właśnie w taki sposób. Widoczny miał być Hanson, a nie Nina.

– Pani zawsze siadała tyłem do baru i do innych stolików – mówił kelner, wciąż onieśmielony całą sytuacją. – I nigdy nie zdejmowała pani rękawiczek... Pamiętam, że raz usiadła pani nawet w płaszczu, choć było bardzo ciepło. Pierre zanotował to oczywiście w swoim zeszycie. Uznał, że może klientka była przeziębiona albo wróciła właśnie z jakiegoś tropikalnego kraju i zima we Francji była dla niej nie do zniesienia. Rozmawialiśmy o tym nawet przez moment przy

ekspresie do kawy.

Nina bezradnie pokręciła głową. Nie była w tropikach i nie zwykła siadać w restauracjach w odzieży wierzchniej. Nawet teraz, gdy tkwiliśmy w przejściu, co chwilę uderzani chłodnym powietrzem z ulicy, nie wyglądała na zmarzniętą.

– Czy to ten płaszcz? – zapytała, zdejmując swoje odzienie z wieszaka.

Kelner nie wahał się ani sekundy.

– Nie. Tamten był bardzo podobny, ale zieleń wydawała mi się jednak ciemniejsza. Uszyty był też z trochę innego, grubszego materiału. No i miał na plecach podwójny szew...

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

Podwójny szew? Jakim cudem to zapamiętał? Przecież ten stolik to nie był nawet jego rewir!

– Pana kolega także i to zanotował w swoim notesie? – zapytał Szprot.

– Nie musiał. Wspominałem przecież, że pani siadywała zwykle plecami do baru. Nie widziałem więc nic innego, tylko tył płaszcza... i ten szew.

Nagle kelner zastygł w bezruchu. Wyraźnie nad czymś się zastanawiał.

– Mogłaby pani się przesiąść? Tylko na chwilę? – poprosił Ninę, wskazując na okrągły stolik, od którego wstali właśnie klienci.

Zdumiona, posłusznie przeszła do zastawionego brudnymi naczyniami stołu i usiadła na krześle, które podsunął jej kelner.

Obserwowaliśmy z daleka tę pantomimę. Kelner poszedł za bar, potem cofnął się do drzwi, i znowu stanął za barem, tym razem na jego drugim końcu. Włączył boczną lampę i szybko ją wyłączył. Skręcił do ekspresu do kawy, a potem znowu pochylił się nad barem.

– Tamta kobieta to nie była pani – oświadczył krótko, wracając do nas z triumfalnym uśmiechem. – Nie mogłem się przyjrzeć jej twarzy, ale plecy widziałem przez cały czas. Była szersza w ramionach. I chyba trochę wyższa od pani.

Najdroższa N.!

Nie myśl, że Cię już nie kocham.

Kocham i zawsze będę. I wiem, że Ty też będziesz mnie kochać zawsze, do końca świata.

Tak bardzo chcę, żebyś zrozumiała, że to było jedyne rozwiązanie.

Powiedziałaś, że podzielił nas ten sekret. Że gdybyś wiedziała, pomogłabyś mi... i wszystko byłoby inaczej.

Nie byłoby. Wiem, że nie.

Sekret nie stał się zły przez to, że był sekretem. Zło zaczęło się dużo wcześniej.

Wiedzieliśmy, że robimy coś niewybaczalnego.

A jednak nie potrafiliśmy się zatrzymać, jak ćmy lecące do światła...

Wybacz mi, moja N.

A może wtedy i ja zdołam sobie wybaczyć to, co się stało.

ROZDZIAŁ 16

ÓSEMKA CZY ZNAK NIESKOŃCZONOŚCI?

trzeba się oprzeć na tym co wymyka się jak mokry kamyk

na sekundzie której już nie ma

na myśli której nie sposób dotknąć

na sile ciężenia co oddala tego kogo się kocha

ksiądz Jan Twardowski, Żeby się obudzić

NINA

Zamarłam, kiedy Szprot pokazał kelnerowi kolejno trzy fotografie... Kostki, Lutki i Mańki.

Mańka występowała nawet w dwóch wersjach – na jednym zdjęciu miała swoje czarne włosy i oczy jak węgielki, na drugim – rude włosy i nieobecne,

zielone oczy o dziwnym blasku. Wyglądała jak kosmitka.

– Program komputerowy jest niedoskonały – wyjaśnił szeptem Lefevre. – Ale musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Pani siostra mogła założyć przecież perukę i soczewki kontaktowe zmieniające kolor oczu. Są dostępne w aptekach i niemal u każdego optyka, choćby tu, za naszymi plecami.

Wskazał dłonią w głąb Galerii Vivienne, gdzie kilka godzin temu tak rozśmieszyła mnie wielka głowa Buddy w witrynie ekskluzywnego salonu optycznego.

Teraz już wcale nie było mi do śmiechu.

– Ale po co? – zapytałam, zaciskając pięści tak, by paznokcie wbiły mi się w delikatną skórę na wnętrzu dłoni. Dzięki temu mogłam zachować resztki zimnej krwi i nie wrzeszczeć na całą restaurację, choć miałam na to cholerną ochotę. – Po co Mańka... albo którakolwiek z moich sióstr miałyby się spotykać z Makssem w tajemnicy przede mną, z moją spinką we włosach i z moimi kolczykami w uszach?

– Ma pani ciągle te kolczyki? – zapytał sucho Lefevre.

– Tak. Nie. Nie wiem... – Nie mogłam skupić uwagi na tej sprawie. – Tu nie chodzi o głupie kolczyki ani o spinkę, którą przywiozłam z Hiszpanii, wieki temu. Chodzi o to, że moje siostry... że ja mam do nich naprawdę pełne zaufanie.

– Może to była część gry mającej ostatecznie pogrążyć Maksa? – podsunęła nagle Natalia. – Tej zemsty, w której szczegóły nie chciały cię wciągać... Czy rozmawiał pan z nimi na ten temat?

Szprot kiwnął głową, uciekając wzrokiem w bok.

A potem, chyba łamiąc procedury, szepnął:

– Oczywiście, że rozmawiałem. Zapewniają, że o niczym nie wiedzą i że żadna z nich nie spotykała się ani z Maksymilianem Łysakiem, ani z panem Hansonem podczas pobytu w Paryżu. Hansona nie widziały na żywo nigdy, Łysaka – od ponad roku, od momentu, gdy zniknął kilka dni po ślubie, którego nie było...

Kelner stał bez słowa, czekając, aż przypomnimy sobie o jego obecności.

Lefevre zrobił to jako pierwszy.

– Czy to mogła być któraś z tych kobiet? – zapytał.

– Naprawdę nie wiem... – Kelner westchnął, rozkładając ręce w teatralnym geście. – Nie obsługiwałem tego stolika. Nie zbliżałem się nawet do niego. W tych godzinach mamy bardzo dużo pracy. Pani siedziała zwykle tyłem, rude loki opadały pani na twarz. Proszę mi wybaczyć, ale...

– W porządku. – Obaj policjanci życzliwie uścisnęli mu dłoń, a potem wręczyli swoje wizytówki. – Dziękujemy bardzo za pańską pomoc. Proszę dzwonić bez względu na porę w razie, gdyby cokolwiek pan sobie przypomniał. Albo gdyby zobaczył pan jeszcze raz tę panią bądź tego pana...

– Ten pan nie żyje – przypomniałam uprzejmie.

I zaraz uświadomiłam sobie, że to właściwie niczego nie przesądza. Skoro ja, odwiedzając Bistrot Vivienne, nie byłam tak naprawdę mną, to może i Maks-nieboszczyk nie był wcale Maksem?

Ale w takim razie kim był? I, jeśli było ich dwóch, to który z nich tak naprawdę został dźgnięty nożem?

– To wszystko kompletnie nie ma sensu – jęknęłam.

I nagle poczułam, że nawet wbijanie sobie paznokci w skórę nie może już mi pomóc.

– Do cholery ciężkiej, co to wszystko znaczy? Po co ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby tu przyjść i udawać mnie przy stoliku? I jeszcze robić w tym czasie zdjęcia? – wrzeszczałam na całe gardło, a po policzkach płynęły mi łzy. – Do cholery, Natalia, czy to możliwe, że w tym momencie na moją korzyść świadczy jedynie głupkowaty podwójny szew z tyłu płaszcza?!

NATALIA

Wiedziałam, że sama myśl, że jedna z sióstr, a może nawet wszystkie trzy mogły być wobec niej nieuczciwe, musiała być dla Niny prawdziwym koszmarem.

Wszystko, co robiła, robiła dla nich. Czowała się za nie odpowiedzialna, jak to często mają w zwyczaju najstarsi z rodzeństwa – choć u niej ta odpowiedzialność przyjęła nieco wybujałą formę. Założyła firmę, żeby siostry miały pracę, utrzymanie i cel w życiu. Kupiła domki na Czarcim Cyplu, żeby miały gdzie odpoczywać. Zastępowała im matkę i ojca... I najwyraźniej nie zamierzała wyjść z tej roli aż do emerytury.

Najbardziej podobna do Niny była chyba Lutka. Bezwzględnie lojalna i oddana, przez wiele lat z uśmiechem na ustach pracowała jako jej asystentka.

Poświęcała dla SIS-4 weekendy i wieczory, znosiła najgorsze humory Niny, stała za nią murem. Nawet teraz, kiedy oficjalnie została drugim prezesem firmy, wciąż wydawała się nieco przezroczysta... gotowa w każdej chwili wypełnić się tym, co przyniesie ze sobą Nina. Jej emocjami, jej pragnieniami, jej lękami...

Nikt nigdy nie zastanawiał się, czego pragnie Ludwika. Zapytana o to, pewnie sama nie umiałaby odpowiedzieć. Chciała po prostu, żeby Nina była zadowolona. Tylko tyle... i aż tyle.

Żywiołem Marysi były emocje. Kipiała ze złości na cały świat, nawet na Ninę. I właśnie złość pchała ją nieustannie do działania. Nawet jej seryjne romanse, z którymi wcale się nie kryła, były podszyte złością. Jesienią przywiozła na Czarcim Cypel studenta zakochanego w niej po uszy. Wpadli do „Mewy” po baterie, zostali na kawę... Przez cały czas kpiła z niego tak, że aż przykro było słuchać... Zastanawiałam się, dlaczego tak się wścieka na wszystkich i przez cały czas. Dlaczego akurat ona.

Najmłodsza, Konstancja, cała składała się z lęku. Najchętniej zamknęłaby się

w domu ze swoimi kotami i odcięła od świata zewnętrznego. Bała się nawet rozmawiać przez telefon. Nie byłaby zdolna do knucia czegokolwiek za plecami Niny, z zimną krwią... Do spotkania się z Maksem...

Żadna z nich nie byłaby do tego zdolna.

Nina uważała tak samo.

– To niemożliwe – chlipała przez całą drogę.

Chyba nigdy nie widziałam jej w takim stanie, nawet wtedy, kiedy okazało się, że Maks zamierzał się z nią ożenić nie z miłości, lecz z czystego wyrachowania.

Najwyraźniej jego zdrada nie bolała tak bardzo, jak zdrada sióstr. Potencjalna zdrada, przynajmniej na razie.

– Niczego nie wiesz jeszcze na pewno – uspokajałam ją na tylnym siedzeniu peugeot na cywilnych numerach, którym Lefevre odwoził nas do hotelu.

– To tylko hipoteza, jedna z wielu – poparł mnie Szprot.

– Jedna z wielu? Ciekawe, jakie są te pozostałe? – mruknęła Nina żałośnie.

Szprot nie odpowiedział. Wyjął swój duży notes w sztywnej, czarnej oprawie i wertował go w milczeniu, w wątlym świetle ulicznych latarni i reflektorów samochodów, korkujących o tej porze wszystkie paryskie ulice.

I dopiero kiedy biały peugeot zatrzymał się pod głównym wejściem do hotelu, Szprot oderwał się od swojego notatnika i sięgnął z przedniego siedzenia po moją dłoń.

– Do zobaczenia jutro – powiedział, całując ją szarmancko, jak to on.

– Do zobaczenia – odparłam, robiąc ruch w stronę drzwi.

Szprot jednak nie puścił mojej ręki. Zastygł w bezruchu i widać było wyraźnie, że zastanawia się nad czymś bardzo istotnym.

– Przy okazji... – rzekł w końcu, wolniej niż zwykle. – Czy ten guzik... Pani Nino, czy pani go poznaje?

Podał nam kolorową odbitkę.

Guzik w delikatną, srebrną kratkę, ze stylizowaną ósemką na samym środku, miał na niej mniej więcej dziesięć centymetrów średnicy.

– Pan chyba też go poznaje – uśmiechnęłam się, unosząc zdjęcie do światła.

– Proszę spojrzeć, Nina ma przecież płaszcz z tymi guzikami przez cały czas na sobie...

NINA

Wydawało mi się, że osiągnęłam już maksymalny poziom wściekłości, załamania, dezorientowania i frustracji.

Okazało się, że to jeszcze nie było apogeum.

Zdjęcie guzika sprawiło, że zaczęłam się trząść jak jakaś... Jak brzmiało to porównanie, które słyszałam kiedyś od Natalii? Jak osika? Czy jak jakaś wierzba

na wietrze?

– Skąd pan to ma? – zdołałam wyszeptać przez ściśnięte gardło.

Cisza.

Sekunda, dwie, trzy...

Myślałam, że już nigdy mi nie odpowie!

– Chyba nie powinienem tego zdradzać. Ani nawet pokazywać paniom tej fotografii, przynajmniej na razie.

– Skąd pan to ma?!? – wrzasnęłam, podskakując tak, że uderzyłam głową w sufit tego klaustrofobicznego autka.

Czułam, że jeszcze chwila i przestanę nad sobą panować, byłam zdeterminowana, gotowa wyrzeć mu tę informację z gardła.

– Znaleźliśmy to zdjęcie w osobistych rzeczach pana Łysaka – wyrzucił z siebie w końcu Szprot. A ja poczułam, że nie mogę złapać oddechu i zaczynam widzieć potrójnie wszystko wokół siebie.

NATALIA

Szprot zgodził się od razu zostawić mi odbitkę. Pewnie była jedną z wielu kopii, które rozdano policjantom zaangażowanym w sprawę.

– Skąd on to wziął? Jakim cudem miał zdjęcie guzika z mojego nowego płaszcza? Co tu się dzieje? To jakiś cholerny matrix! – Nina była w stanie skrajnej hysterii, kiedy wsiadałyśmy do windy, i przez jedenaście pięter wcale jej to nie minęło. Trzęsa się jak galareta i co chwilę powtarzała: – Ja pierdolę, guzik! Guzik od mojego nowiutkiego płaszcza!

Płaszcz pochodził z autorskiej kolekcji jakiejś młodej projektantki.

– Kupiłam go w maleńkim butik, całkiem przypadkiem – chlupała. – Podobno uszyto tylko trzy takie płaszcze, z czego dwa sprzedano za granicę. Guziki ze znakiem nieskończoności też zaprojektowała ta dziewczyna... To nie są guziki Armaniego, Chanel czy nawet H&M... Nie można ich znaleźć w co drugim sklepie. To nie jest przypadek. Rozumiesz? To nie jest żaden pierdolony przypadek!

– Też tak uważam – powiedziałam, pomagając jej zdjąć ten nieszczęsny płaszcz ze srebrnymi guzikami w ósemki... to znaczy, w znaki nieskończoności... i szybko podając szklankę wody.

– Nie chcę pić! – Prawie wytrąciła mi ją z ręki. – Chcę tylko obudzić się wreszcie z tego koszmaru!

Zrzuciła buty, pobiegła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi tak mocno, że aż zadrżała wielka szyba w jednym z okien od strony tarasu.

Po chwili usłyszałam rozdzierający szloch.

Zrobiłam krok w stronę łazienki i zamarłam w pół ruchu.

Nagle coś przyszło mi do głowy.

Może uda mi się to sprawdzić, zanim Nina wyjdzie spod prysznicza?

Cichutki szum wody sugerował, że właśnie zaczęła się myć. Miałam więc co najmniej pięć minut. Powinno wystarczyć.

Czułam się jak złodziejka, zakradając się do jej sypialni.

Nie chciałam jednak niepotrzebnie jej denerwować. W końcu istniało spore prawdopodobieństwo, że się mylę... I w gruncie rzeczy naprawdę chciałam, żeby tak było.

Siedem minut później wiedziałam już, że się nie pomyliłam. I musiałam powiedzieć o tym Ninie.

NINA

Gończy prysznic pomógł mi odrobinę się uspokoić i pozbierać myśli.

Wyglądało na to, że policja wie dużo więcej niż my. Pewnie mieli to zdjęcie guzika od samego początku, a jednak wcale mi go nie pokazali. Ile jest jeszcze takich rzeczy? I która z nich przybliży nas choć trochę do rozwiązania zagadki śmierci Maksa?

Pojawienie się Szprota było jedyną dobrą wiadomością, no może oprócz zeznań kelnera. Przynajmniej on nie pogrzyżył mnie do końca. Właściwie byłam wdzięczna Natalii, że zabrała gliniarzy do Bistrot Vivienne, że mogli to wszystko usłyszeć i zobaczyć na własne oczy. Może Szprotowi jakimś cudem uda się złożyć tę całą układankę?

Ja na razie nie umiałam znaleźć żadnego sensu ani porządku w wydarzeniach ostatnich dni... A im bardziej próbowałam, tym ciemniejszy i bardziej chaotyczny stawał się obraz.

Musiałam przestać i zająć się czymś innym. Zabrać Natalię na spacer, pokazać jej...

Czy to możliwe?

Wciąż przecież nie dokończyłam tej opowieści, którą zaczęłam w Bistrot Vivienne. Nie pamiętałam dokładnie, na czym przerwałam. Na konfiturach z porzeczek dziurawionych piórkiem? Chyba tak. To z ich powodu Fabien uznał, że nasza znajomość nie rokuje jednak tak dobrze, jak mu się początkowo wydawało.

Zdałam Natalii relację z całej naszej znajomości, ze wszystkimi detalami... Opowiedziałam o każdym daniu, którym karmił mnie Fabien, o każdym odwiedzionym z nim miejscu. Ale wciąż nie zdradziłam jej najważniejszego.

– Natalia, słuchaj! – Wybiegłam z łazienki boso, w rozchylonym szlafroku, a woda kapiała z moich włosów na wykładzinę. – Natalia, ja ci jeszcze nie opowiedziałam, dlaczego wysłałam ten bilet! Dlaczego tak się uparłam, żebyś tu przyleciała. Przecież tak naprawdę mi wcale nie chodziło o Fabiena!

Nie odpowiadała.

Mocniej zabiło mi serce.

Nagle sobie przypomniałam, ile ma lat. Przed oczami stanęły mi wszystkie filmowe sceny z bohaterami umierającymi niespodziewanie, dosłownie w minutę, w pokoju obok.

W salonie nie było żywej duszy.

W sypialni Natalii też nie.

– Gdzie jesteś? – pisnęłam jakimś dziwnym, nieswoim głosem.

A potem zobaczyłam, jak wychodzi z mojego pokoju. I od razu zrozumiałam, że coś się stało.

– Powinniśmy chyba zadzwonić po Szprota – powiedziała głucho.

Jej głos brzmiał jeszcze dziwniej niż mój. Jakby dochodził z dna wielkiej, drewnianej beczki.

ROZDZIAŁ 17

OBSESJA

Zegar wytrząsał ze sprężynowych zwojów

Dłużącą się nutę w głąb sali.

W umeblowanym półśnie słonecznych pokojów

Wszyscy trwali i nie umierali.

Bolesław Leśmian, *Wspomnienie*

NINA

– Nie dzwoń do niego – powiedziałam, wpatrując się tępo w kamerę

zainstalowaną w ramie lustra.

Jak mogłam jej nie zauważyć?

I jakim cudem Natalia dostrzegła ją tak szybko?

– Nie dzwoń do niego – powtórzyłam, stukając w zegarek. – Jest już noc...

A ja tak bardzo chciałabym się wyspać i... trochę zebrać myśli. Zadzwonimy rano. Wcześniej rano. Dobrze?

Pokiwała głową i wyciągnęła w moją stronę dłoń, na której leżało miniaturowe urządzenie.

– Czy to wciąż działa? – Bałam się odezwać, nie wiedząc, kto i gdzie ogląda teraz obraz z mojego pokoju.

– Już nie – uśmiechnęła się Natalia szelmowsko i otworzyła drugą dłoń. Błysnęła w niej maleńka baterijka.

– Skąd wiedziałaś, jak ją wyjąć? – Spojrzałam na nią z niekłamanym podziwem. – Ja nie umiałabym w ogóle się do tego zabrać... I skąd wiedziałaś... Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, że trzeba czegoś szukać w moim pokoju?

Zarumieniła się i od razu zaczęła przeproszać, że weszła tam bez mojego pozwolenia.

– Nie chciałam ci nic mówić... denerwować cię tym pomysłem, bo przecież nie miałam żadnej pewności, że naprawdę...

– Przestań – przerwałam jej w pół zdania, chyba troszeczkę za głośno. – Nie mam żadnych pretensji, serio. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak na to wpadłaś. I nie mów, błagam, że to było coś absolutnie oczywistego.

– To było coś absolutnie oczywistego. Oczywiście, że tak.

Puściła do mnie oko, rozglądając się jednocześnie bardzo uważnie po pokoju. Zajrzała na szafę i pod szafę. Przejechała palcami po blatach, zlustrowała ramę okna, framugi drzwi między sypialnią a salonem.

– Natalia, co ty wyprawiasz? – Nie wytrzymałam mniej więcej w okolicy okna.

– Sprawdzam, czy nie ma ich więcej – mruknęła.

A ja poczułam, że bardzo chciałabym położyć się spać w jakimś zupełnie innym pokoju, z dala od kamer czających się w każdym kącie.

NATALIA

Chyba przez pół godziny musiałam ją przekonywać, że nie możemy tak po prostu zejść do recepcji i poprosić o inny pokój w środku nocy, nie informując Szprota. To oznaczałoby przecież wpuszczenie do apartamentu sprzątaczek i usunięcie wszystkich śladów.

Już widzę miny policjantów, kiedy by się o tym dowiedzieli. Tak naprawdę nie powinnam nawet rozmontowywać tego wszystkiego, wyciągać baterijki. Szprot bał się moich pomysłów i samodzielności... No i, niestety, okazało się, że

miał rację.

– Pamiętaj, ty nie miałaś z tym nic wspólnego – powtarzałam Ninie trzeci raz. – Byłaś w łazience i nie wiedziałaś, że przeszukuję twoją sypialnię. Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumiem. – Spojrzała na mnie z politowaniem. – Tak przecież było, nie muszę uczyć się twojej wersji na pamięć.

Tak było... Oczywiście, że tak. Bałam się tylko, że Nina postanowi wzięć część winy na siebie i wymyśli jakąś barwną historyjkę o tym, jak to wspólnymi siłami szukałyśmy tej kamerki, a potem odpinałyśmy ją od ażurowej ramy lustra.

– Ja nie wyszłam za kaucją – przypomniałam jej, nagle zniżając głos... Czyżbym zaczynała mieć paranoję i wszędzie widzieć kamerki i mikrofony, tak jak Nina? Właściwie, nie należało nam się dziwić. – Rozumiesz? Mogą się na mnie wściekać, w ostateczności ukarać mnie pouczeniem czy jakąś grzywną... Ale nie wsadzą mnie za kratki za złamanie warunków tego zwolnienia z aresztu za poręczeniem majątkowym, czy jak to się tutaj nazywa. A więc za wszystko odpowiadam tylko i wyłącznie ja. Zapamiętaj to, Nina, bardzo cię proszę.

NINA

Szprot nie był aż tak zaskoczony ani aż tak wkurzony, jak się spodziewałyśmy.

– Pani Natalio, nic się pani nie zmieniła – pokręcił głową.

A potem zadzwonił po ekipę techniczną i kazał mi dokładnie opowiedzieć o tym, jak trafiłam razem z siostrami do tego apartamentu i dlaczego właśnie ja zajęłam tę konkretną sypialnię.

– Nie pamiętam – jęknęłam. – Podzieliłyśmy się pokojami jakoś tak... automatycznie, zaraz po wejściu. To chyba był przypadek, że zajęłam właśnie ten, a nie inny. Równie dobrze kamera mogłaby więc oglądać Kostkę albo Czarną Mańkę, a nie mnie.

Na temat tego, dlaczego zamieszkałyśmy właśnie w tym hotelu i w tym konkretnie apartamencie, miałam do powiedzenia jeszcze mniej. Wszystko przecież załatwiły moje upiorne siostrzyczki. Wspaniały, wielki plan zemsty na niewiernym kochanku! Czy ja je prosiłam, żeby się mściły w moim imieniu?!

– Niech pan zadzwoni do Warszawy. Mnie niestety nie wolno, ale moje siostry na pewno chętnie wszystko panu wyjaśnią – mruknęłam. – Nie sądzę jednak, żeby miały jakiś szczególny powód. Chodziło o dobre położenie, o cztery sypialnie połączone salonem, co zapewnia niewiele hoteli, o wygodę... Żadna z moich siostr raczej nie szukała pokoju ze szpiegowską kamerką w ramie lustra!

Wiem, byłam niesympatyczna, ale miałam już serdecznie dosyć tego absurdu. I siedzenia w Paryżu z długą listą zakazów, uniemożliwiającą mi normalne życie. Słusznie unikałyśmy przez całe życie tego miasta... Nie mogło nas

tutaj spotkać nic dobrego.

– Skąd ta kamera właściwie się tu wzięła? – zastanowiłam się nagle. – To przecież pięciogwiazdkowy hotel, nie można wejść ot tak, do pokoju dowolnego gościa i zamontować jakiegoś urządzenia w ramie lustra.

Szprot znowu zawahał się na moment, zastanawiając się zapewne, na ile może być z nami szczerzy.

– Myślę, że to jest związane ze strzałami w pani okno – wydusił w końcu. – Na razie nie wiem jeszcze dokładnie jak, ale uważam, że te dwie sprawy muszą się łączyć.

To mogło mieć sens. Chyba nie opowiadałam mu dokładnie o tamtym wieczorze. Może powinien wiedzieć, że...

Nie zdążyłam otworzyć ust, bo nagle zegar za oknem zabił dziewięć razy, a Natalia zapytała bardzo poważnym tonem:

– Uważa pan, że Maks maczał w tym palce?

Szprot zastanowił się tylko przez moment, a potem wyjął zdjęcie mojego guzika i stuknął w nie palcem.

– Nie możemy wykluczyć, że zostało zrobione właśnie z ramy lustra i silnie powiększone.

Natalia przyjrzała mu się jeszcze raz i pokiwała głową.

– Kąt by się zgadzał... Jeżeli przeglądałaś się przed wyjściem w lustrze... A przecież przeglądałaś się, prawda? Zawsze to robisz, wciągając brzuch, poprawiając włosy i pokrywając usta grubą warstwą swojej bezbarwnej pomadki nawilżającej.

– Nie wciągam brzucha! – zaprotestowałam odruchowo.

Cała reszta faktycznie się zgadzała.

– Wciążasz, uwierz mi – uśmiechnęła się Natalia. – A więc, wciągałaś... A potem stałaś przez moment bez ruchu, wyprostowana. Wtedy guziki na pewno były nieźle wyeksponowane. To chyba ten środkowy, na wysokości talii? Zobaczcie, obok niego biegnie taki charakterystyczny skośny szew...

Skośny szew. Czy znowu szwy na moim płaszczu miały zostać kluczowym elementem tego śledztwa? To już robiło się śmieszne!

– Czy takich zdjęć było u Maksa więcej? – Natalia w skupieniu przerzucała kartki swojego notesika.

Szprot wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Pracujemy nad tym bardzo intensywnie, proszę mi wierzyć. Na dysku w komputerze pana Łysaka były tysiące folderów. Do tego w szufladach, kieszeniach i teczkach miał pendrive'y. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał ich aż tyle...

Pokiwałam głową. Maks wszystko przechowywał na dyskach zewnętrznych, już kiedy byliśmy razem. Miał je ponumerowane w jakiś niejasny sposób, ale

zawsze doskonale wiedział, że zdjęć z wakacji w Maroku trzeba szukać na tym zielonym z logo restauracji, a kopii umowy ubezpieczenia sprzed trzech lat na czerwonym z metalową ozdobną śrubką. Nie miałam pojęcia, jak on to robił!

– A chmura? – podsunęłam. – Przechowywał też kopie zapasowe w chmurze.

– Informatycy robią, co mogą – zapewnił mnie Szprot z niezbyt wesołą miną. – I tutaj, i w Warszawie, i nawet w Johannesburgu, gdzie spędził kilka miesięcy i pracował także na komputerze stacjonarnym swojego znajomego... Na razie jedyne zdjęcie, które możemy jakoś połączyć z tą sprawą, to guzik z pani płaszcza.

Nagle pomyślałam, że może skupiamy się nie na tym, co najważniejsze. Kamera to przecież nie tylko obraz, ale i dźwięk. Może wcale nie chodziło o żadne guziki?

– On po prostu chciał wiedzieć, co planujemy... Słuchać naszych rozmów – mruknęłam. – Dzięki temu mógł być zawsze o krok przed nami.

Szprot wyglądał, jakby chciał mi przytaknąć, ale Natalia pokręciła głową, bardzo skoncentrowana.

– To nie ma sensu. Gdyby chciał was podsłuchiwać, zrobiłby wszystko, żeby zainstalować podsłuch w salonie. Oczywiście, zaraz może się okazać, że tam też jest mnóstwo mikrofonów i kamer. Ale jeśli nie, jeśli kamera była tylko w twojej sypialni, to raczej nie chodziło o informacje. Nie rozmawialiście tam przecież o swoich planach, nie rozkładaliście się z dokumentami.

Miała rację. Cholera jasna, oczywiście, jak zwykle miała rację. W mojej sypialni naprawdę niewiele się działo. Właściwie tylko tam spałam...

Ale po co Maks miałby się gapić, jak przewracam się z boku na bok?

– Może pomylił okna? Strzelił nie w to, w które powinien? – powiedziałam bez większego przekonania.

Półokrągłe okno mojej sypialni wychodziło na zaułek między hotelem i sąsiadującym z nim salonem z eleganckimi tkaninami. Zajmował cztery piętra wąskiej, pięknie wyremontowanej kamienicy. Widziałam z okna bele materiałów i klientów kręcących się między nimi. Zajrzałyśmy nawet z Lutką do środka wtedy, w czasie naszego wspólnego spaceru. Nie do wiary, że to było tak niedawno... Wśród klientów przeważali małomówni kupcy z wielkich domów mody. Krążyli skupieni, przygarbieni. Unosili próbki tkanin do światła... A potem składali zamówienia na długich formularzach, w które wpisywali maczkiem numery poszczególnych materiałów.

Trzy pozostałe sypialnie i salon naszego apartamentu miały okna na inną stronę. Można z nich było zobaczyć wąską brukowaną uliczkę i małe bistro, pełne klientów do późnej nocy. Salon w dodatku miał balkon i okna od sufitu do podłogi. Trzeba byłoby Jasia Fasoli, żeby pomylić nieduże, zaokrąglone u góry okno mojej

sypialni z taflą szkła w salonie leżącym po przeciwnej stronie budynku.

Natalia też chyba nie uwierzyła w tę wersję.

– Moim zdaniem wiedział dokładnie, do którego pokoju przynależy to okno. I chciał patrzeć właśnie na ciebie, nie na twoje siostry.

Szprot nie powiedział ani słowa, ale widać było, że myśli tak samo jak ona.

– To brzmi jak jakiś pieprzony thriller. *Sypiając z wrogiem* albo coś podobnego. O facecie, który ma obsesję na punkcie swojej eks, śledzi każdy jej krok... – Aż przeszedł mnie dreszcz, kiedy powiedziałam to głośno.

Natychmiast jednak zrozumiałam, że to nie ten przypadek. Maks nie wariował na moim punkcie. Przeciwnie, miał mnie w dupie! Całkowicie i nieodwracalnie. Interesowała go moja firma i liczba zer na koncie. Oraz lista kontaktów, którą mógł przechwycić. Nie odeszłam od niego, nie zostawiłam dla młodszego, przystojniejszego czy bogatszego. To on uciekł. Przestał odbierać telefony, dosłownie zapadł się pod ziemię. Tak nie zachowuje się człowiek zakochany do szaleństwa! Nie musiał instalować kamer w hotelu. Mógł mieć mnie na żywo, obok siebie. Tulić się do mnie we śnie, zamiast obserwować moje łóżko na monitorze!

Myśli Natalii najwyraźniej biegły podobnym torem.

– Gdyby zadzwonił, przeprosił, padł na kolana i błagał o jeszcze jedną szansę, pewnie byś mu ją dała. Przynajmniej do pewnego momentu... – mówiła do siebie, zapisując coś szybko w swoim małym notesiku w zielonej okładce.

– Do momentu, kiedy włamał się do mojego komputera i ukraść projekt, nad którym siedziałam w domku na Czarcim Cyplu jak mniszka, przez sześć tygodni, dzień i noc – westchnęłam. – Zanim się o tym dowiedziałam, niemal wszystko było jeszcze możliwe. Gdyby przyjechał, porozmawiał, wiesz... Chyba faktycznie wtedy umiałabym mu wybaczyć. Nie miałam przecież pojęcia o tym, co wysledziły Lutka i Kostka zaraz po ślubie, którego nie było. O jego planach przejęcia SIS-4... Ja naprawdę wierzyłam, że Maks mnie kocha.

Nieoczekiwanie całkiem się rozkleiłam. Wspomnienia tych najlepszych chwil, jego oczu wpatrzonych we mnie na jachcie, pod rozgwieżdżonym niebem... Jego przyspieszonego oddechu na moim karku...

Szprot dyskretnie wycofał się z salonu. Rozmawiał o czymś półgłosem z technikami. Mogłam więc spokojnie sobie popłakać.

Natalia głaskała mnie po głowie, a ja chlipałam z żalu, ze złości i z tęsknoty za tamtymi chwilami przed wypadkiem, kiedy wszystko wydawało mi się takie proste.

Dość. Wystarczy. To wszystko była farsa. Chodziło o pieniądze, nie o miłość, od samego początku.

I do samego końca.

– Nie wierzę, że nagle zrozumiał, jak bardzo mnie kocha, i postanowił gapić

się przez całe noce, jak chrapię. – Wytarłam kącik lewego oka i wzięłam głęboki oddech. – On miał tylko jedną obsesję i nie byłam nią ja. Ta kamera, jak wszystko, co robił Maks, była związana z forszą, chociaż za diabła nie wiem, w jaki sposób. Przysięgam jednak, że się tego dowiem!

ROZDZIAŁ 18

PANDEMONIUM

*Odkamieniają się szare chimery
(fruwalne, niżły, małpierce i ćmięta,
grzaby, zniecki, głowy samonogie,
wieloractwo, gotyckie allegro vivace)*

Wisława Szymborska, *Clochard*

NINA

– Ten pomysł z przeprowadzką do mniejszego pokoju... To znaczy, do

innego pokoju... – zaplątał się Szprot. – On nie jest taki zły. Musimy sprawdzić cały apartament, wszystkie meble, urządzenia elektryczne... To trochę potrwa i, nie ukrywam, łatwiej by nam było poruszać się tutaj bez pań.

– I bez naszych rzeczy... – Natalia uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Nina? Załatwisz to z recepcją?

– Thierry, to znaczy kapitan Lefevre, już jest na dole i wszystkim się zajmuje – powiedział speszony. – Prosiłem, żeby postarał się o jak najładniejszy pokój. Mają dać paniom czas na spakowanie walizek i przysłać kogoś, kto pomoże wszystko przenieść.

Przysłać kogoś... No jasne! To właśnie o tym miałam mu powiedzieć, zanim zegar za oknem zaczął wybijać dziewiątą.

– Wtedy... Wieczorem... Kiedy okazało się, że ktoś strzelał do naszego okna – próbowałam wyrzucić to z siebie jak najszybciej, żeby nic mi nie przeszkodziło. – Dyrektor hotelu odwiedził nas wtedy osobiście, proponując nam inny pokój. Ale my wolałyśmy zostać tutaj. No więc obiecał, że ktoś zabezpieczy okno, a rano szyba zostanie wymieniona. Spałam tej nocy na kanapie...

– A następnego dnia ktoś wstawił nową szybę, tak? – Szprot nie bardzo wiedział, do czego zmierzam.

Mówiłam więc dalej, jeszcze szybciej:

– Tak, ale chodzi o wieczór. Dyrektor obiecał, że ktoś przyjdzie... No i faktycznie zjawił się człowiek z wielkim kawałkiem plastiku, żeby zakryć te dwie dziury w oknie. To był mężczyzna w czarnym kombinezonie. Z drugim, w takim samym stroju. Z logo hotelu.

Szprot i Natalia patrzyli na mnie bezradnie, nie widząc w tej opowieści niczego nadzwyczajnego.

– Zabezpieczyli szybę? – zapytała w końcu Natalia.

Pokiwałam głową.

– Tak, zabezpieczyli, i nawet pomogli mi przenieść wszystkie rzeczy do pokoju Kostki. To znaczy ja wzięłam część ubrań i rozwiesiłam je w szafie, a oni przynieśli mi resztę... wszystkie drobiazgi... chyba do salonu... Potem opieczętowali pokój i wyszli.

– To raczej standardowa procedura? – Mina Szprota mówiła: „Rozumiem, że twoje nerwy są w strzępach, ale akurat w tej historii naprawdę wszystkie klocki doskonale do siebie pasują. Gdzie widzisz problem?”

– Pewnie standardowa – zgodziłam się z nim bez protestu. – Tyle że potem przyszli jacyś inni... też z deską czy pleksi... Tym razem w bordowych hotelowych uniformach. I też chcieli zabezpieczać tę szybę.

Brwi Szprota i Natalii uniosły się jak na komendę.

– Dwie ekipy, jedna po drugiej? – Natalia upewniła się, czy dobrze mnie rozumiała.

– No właśnie, dwie! Oczywiście, to mógł być przypadek. Jakieś niedogadanie. Dyrektor postawił na nogi pół hotelu, nie codziennie w końcu ktoś strzela w szybę jednego z najlepszych apartamentów. No i w rezultacie miałyśmy za dużo ludzi do pomocy, zamiast czekać godzinami na kogoś, kto się tym zajmie.

– Mogło tak być – zgodził się Szprot bez przekonania.
I szybko wybrał jakiś numer.

NATALIA

Zamieszanie, które zapanowało po opowieści Niny, można było porównać chyba tylko z tym, jakie zdarza się na dworcu albo w centrum handlowym w przeddzień Wigilii. Drzwi trzaskały, telefony dzwoniły, co chwilę ktoś wpadał do naszego pokoju, to znów z niego wypadał... Nina zjeżdżała kilka razy na dół, żeby obejrzeć pracowników hotelu i ich uniformy...

Jednocześnie technicy ostukiwali ściany, a Lefevre wprowadzał kolejną ekipę, która miała sprawdzić wymienione okno i ocenić fachowość tej operacji.

– O, nawet pan się tu zjawiał! – mruknęła Nina na widok jakiegoś policjanta. I zaraz wyjaśniła mi szeptem: – To on przyszedł z technikiem wtedy, wieczorem, kiedy któryś z gości zgłosił, że strzelano w nasze okno. Miał prowadzić w tej sprawie śledztwo, ale chyba nie za bardzo się do niego przykładał, bo nie odezwał się do nas już ani razu...

Chciałam jej wytłumaczyć, że prawdopodobnie śledztwo dotyczące podziurawionej z wiatrówki szyby zostało połączone z dochodzeniem w sprawie śmierci Maksa. Skoro Nina była główną podejrzaną... Uznałam jednak, że lepiej nie poruszać po raz kolejny tego tematu, żeby dodatkowo jej nie denerwować.

Szprot podszedł do nas z bardzo skruszoną miną i oświadczył:

– Muszę niestety być obecny przy pakowaniu rzeczy. Bardzo mi przykro, ale takie są procedury. Jako gość z zagranicy nie mogę ich łamać. Proszę zrozumieć, policja francuska chce być pewna, że nie wyniosą panie z tego apartamentu niczego, co mogłoby posłużyć jako dowód.

– Na przykład jeszcze trzech mikrofonów? Czy oni naprawdę przypuszczają, że podsłuchiwałam samą siebie? – wściekła się Nina. – To jakieś szaleństwo, ale proszę bardzo, oczywiście, niech się pan gapi. Od czego zaczniemy? Majtki? Staniki? A może podpaski? Mogłabym nasaczyć je jakąś zabójczą cieczą, którą chcę usunąć z tego pokoju. Świetny plan, prawda?

– Nina, uspokój się, pan nadkomisarz naprawdę nie ma na myśli niczego złego... – Położyłam jej rękę na ramieniu, ale strąciła ją gwałtownie, po czym zatrzasnęła się w łazience.

Szprot uśmiechnął się do mnie niepewnie. Był jeszcze przystojniejszy z tym rumieńcem wstydu! Jaka szkoda, że nosił obrączkę. Byliby z Niną taką piękną parą...

NINA

Pakowanie się przy gliniarzu, nawet nie całkiem obcym, było jedną z najbardziej idiotycznych rzeczy, jakie przeżyłam.

Dobrze, że Natalia nie zabrała z Helu przynajmniej części tej swojej słynnej kolekcji wibratorów!

– Nie zabrałaś, prawda? – upewniłam się, kiedy na moment zostałyśmy same.

Uśmiechnęła się szelmowsko i otworzyła swoją torebkę.

No tak, oczywiście. Niewinna wibrująca szmineczka, która tak mnie zszokowała w Ciechocinku! Ciągłe nosiła ją przy sobie?

– Myślałam, że teraz, kiedy masz Wiktora, takie rzeczy już ci nie w głowie – jęknęłam z niedowierzaniem.

– Takie rzeczy? – roześmiała się tak głośno, że aż Lefevre zajrzał do pokoju, wyraźnie zdumiony tym nieoczekiwanym atakiem dobrego humoru. – Mówisz tak, jakbym robiła coś potwornego... A ja po prostu dbam o swoje zdrowie.

– Wiem, wiem... – Postanowiłam szybko zmienić temat. Pewnie zaraz zapyta, czy kupiłam już te kulki gejszy, które poleca wszystkim pacjentkom jej ginekolog. Nie chciałam o tym rozmawiać. Seks był ostatnią rzeczą, na jaką mogłabym mieć teraz ochotę. Wszystkie moje kłopoty zaczęły się przecież właśnie od tego. Gdyby Maks nie całował tak dobrze, nie wyglądał tak dobrze i nie pachniał tak jak pachniał, pewnie dziś w ogóle nie byłoby mnie w Paryżu w roli głównej podejrzanej!

Spojrzałam jeszcze raz na tę wibrującą szmineczkę Natalii.

– Wiesz, te kamery czy mikrofony mogły być dosłownie we wszystkim – powiedziałam. – Mogły udawać każdy przedmiot w apartamencie, jakąś lampkę, dyszę w prysznicu, gałkę przy szafce... Tu wszystko może być naszpikowane elektroniką, choć wygląda niepozornie. Jak ta niewinna pomadka z potężnym wibratorem!

– Wibrator w pomadce? Świetny pomysł – powiedział nagle zza moich pleców Szprot.

Co za wstyd! Jak mogłam nie zauważyć, że wrócił do pokoju i od jakiegoś czasu przysłuchiwał się naszej rozmowie!

– To mogłoby zostać fantastycznie wykorzystane... – myślał głośno, rysując coś w swoim notatniku. – Muszę podsunąć ten pomysł technikowi. Przepraszam, czy mogę na moment zobaczyć tę pani szmineczkę, pani Nino? – wyciągnął rękę, autentycznie zainteresowany.

– Ona nie jest moja! – pisnęłam trochę za głośno. – To własność Natalii! Ja nigdy... Ja...

Zrobiłam się czerwona jak burak i wybiegłam z pokoju.

Zanim zatrzasnęłam drzwi, zdążyłam usłyszeć jeszcze, jak Szprot i Natalia śmieją się zgodnie i – o zgrozo! – odpalają szmineczkę.

– Uwielbiam panią, pani Natalio – wyznał Szprot, podkreślając wibracje na pełną moc.

A ja poczułam, że płonę ze wstydu.

NATALIA

Pokój na trzynastym piętrze miał jeszcze piękniejszy widok niż apartament dwie kondygnacje niżej. Jego rozmiary też były znacznie lepiej dopasowane do naszych potrzeb.

– Prawie jak w sanatorium „Marzenie”... – Nina z westchnieniem położyła walizkę na kanarkowej kanapie.

– Nie przesadzaj – roześmiałam się, spacerując wzdłuż przeszklonej ściany, za którą rozciągała się ta bajeczna panorama. Niemal nie mogłam się doczekać wieczoru, żeby zobaczyć, jak rozbłyskuje kolejnymi światłami...

Pokój był z dziesięć razy większy od tego w Ciechocinku, gdzie – dość niefortunnie – zaczęła się nasza znajomość. No i tak naprawdę nie był pokojem, tylko małym apartamentem. Miał przecież osobną sypialnię z dwoma łózkami.

– Tu byś mnie nie budziła swoimi telekonferencjami w środku nocy – powiedziałam, zanim zdążyłam się ugryźć w język. – Mogłabyś spokojnie pracować w salonie, choćby do białego rana...

Nina głośno wciągnęła powietrze i zacisnęła usta.

Ten temat wyjątkowo ją denerwował. Nie była w stanie znieść bezczynności i braku kontaktu z firmą. Po poważnym ostrzeżeniu Szprota porzuciła już chyba myśl o dzwonieniu z mojej komórki lub z telefonu w kawiarni. W każdej wolnej chwili snuła jednak domysły na temat SIS-4, zwykle dosyć katastroficzne. Bo przecież bez niej nic nie mogło iść gładko, utartym rytmem...

– Ale słuchaj – ożywiła się nagle, wyjmując z walizki i odwieszając do szafy cudowną, kobaltową sukienkę. – Może ja już nie jestem główną podejrzaną? Może ta kamera jakoś mnie uniewinnia?

– Może... – mruknęłam bez przekonania. Moim zdaniem kamera tylko zaciemniała całą sprawę jeszcze bardziej i wcale nie zdejmowała z Niny ani odrobiny podejrzeń. – Porozmawiamy o tym wieczorem ze Szprotem.

Nina spojrzała z rozpaczą na zegarek. Do wieczora zostało jeszcze potwornie dużo godzin. I nagle...

NINA

Nie wiem, jakim cudem jeszcze jej tego nie powiedziałam! Ściągnęłam ją do Paryża przecież specjalnie po to! Drżałam z niecierpliwości! A teraz, choć była tutaj już od dwudziestu czterech godzin, ciągle nie miała pojęcia, po co tu

przyleciała. Naprawdę, niedobrze ze mną... Jeszcze chwila, a Natalia zacznie się zbierać do wyjazdu do Polski i w ogóle nie zdąży jej zabrać na wyspę Cité!

Opowiedziałam jej o spotkaniu z Fabieniem, spotkaniu, od którego wszystko się zaczęło, ale nie doszłam do sedna. Najpierw przeszkodził mi kelner, potem Natalia znalazła kamerkę w ramie lustra...

Gdzie ja miałam głowę? Zdarzało mi się zapomnieć portfela, przegapić kawę z koleżanką z liceum (z kontrahentem, na szczęście, nigdy) albo imieniny babci Krysi. Ale największą niespodziankę wszech czasów?! Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę zrobiłam coś takiego!

– Szprot powiedział, że możemy wyjść na spacer, prawda?

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, choć bardzo próbowałam ukryć przed nią swoją ekscytację.

– Chcesz się przejść? Świetnie, to znacznie lepszy pomysł niż siedzenie tutaj i czekanie na nowe informacje...

– Tak, słuchaj... – Nie zamierzałam zdradzać, jaka niespodzianka czeka na nią między Notre Dame a Conciergerie, ale jakoś jednak musiałam ją przygotować.

– Opowiadałam ci wczoraj o tym, jak poznałam Fabiena...

– Pod sklepem, po wyjściu z przesłuchania. Zabrał cię na kawę i próbował pocieszyć – wyrecytowała tonem grzecznej uczennicy.

– No właśnie... – Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam: – Prosiłam, żebyś tu przyjechała. Upierałam się przy tym, bo bardzo chciałam ci kogoś przedstawić...

Uśmiechnęła się, owijając szyję szalem w kolorowe kwiaty.

– A więc jednak z tym Fabieniem nie wszystko skończone? – zapytała. – Daliście sobie drugą szansę mimo wpadki z marmoladą?

– To były konfitury – sprostowałam. – Chociaż naprawdę nie mam pojęcia, jaka to różnica. Ale nie, nie, nie chodzi o Fabiena. Od niego wszystko się zaczęło, lecz potem...

– Zapoznał cię z kimś? Z jakimś innym mężczyzną, bez obsesji kulinarnej? To Francuz? Jak ma na imię? – wypytywała w windzie i potem, kiedy przechodziłyśmy przez długi hotelowy hol.

Nie powiedziałam ani słowa.

Byłam za to tak przejęta tym, co nas czekało, że pomyliłam drogę. Weszłyśmy na wyspę Cité nie tym mostem, co trzeba, źle skręciłam dwa razy i nagle znalazłyśmy się na tyłach katedry Notre Dame.

– Cudowna! – zachwyciła się Natalia, zadzierając głowę. – Absolutnie cudowna. Byłaś na wieży?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, że w ogóle można tam wejść.

– Musisz to nadrobić! – Natalia już była gotowa wdrapywać się na górę, choćby zaraz. – Byłam tam ze Stefanem najpierw w południe, potem o świcie

i wreszcie o zachodzie słońca... Wiesz, te maskarony i gargulce są znacznie większe, niż się wydaje. Każdy jest inny, każdy to małe dzieło sztuki... Czytałaś *Katedrę Marii Panny w Paryżu* Wiktora Hugo?

Znowu pokręciłam głową.

– To chyba to samo, co *Dzwonnik z Notre Dame*? – zapytałam niepewnie. – W takim razie oglądałam film... animowany. No wiesz, bajkę Disneya.

Natalia zaczęła się śmiać jak szalona. Aż łzy płynęły jej po policzkach.

– Co w tym śmiesznego? – Nie rozumiałam.

Westchnęła poważniejąc.

– Wiesz, w książce nie ma happy endu. Esmeralda zostaje powieszona, a Quasimodo i okrutny Frollo patrzą na to z dachu katedry. Frollo zaczyna się śmiać. Wtedy Quasimodo skacze i... łamie kark. To jedna z najpiękniejszych, najbardziej dramatycznych historii miłosnych, jakie kiedykolwiek napisano. A ty chcesz ją zastąpić bajką Disneya?

Nagle poczułam chęć wejścia na górę i spojrzenia w oczy tym wszystkim kamiennym paskudom, którymi ozdobiono katedrę.

Teraz jednak miałyśmy inną sprawę do załatwienia. Sprawę, która czekała już stanowczo za długo.

– Wejdziemy na wieżę później, dobrze? Dzisiaj, w drodze powrotnej... Albo jutro – powiedziałam, niecierpliwie ciągnąc Natalię za rękaw. – I pójdziemy na lody na Wyspę Świętego Ludwika. To kawałeczek stąd, wystarczy przejść tym mostkiem za katedrą. Fabien zawsze mówił, że jeśli jeść lody w Paryżu, to tylko tam, u Berthillona.

– A więc jednak wracamy do Fabiena? – uśmiechnęła się Natalia, z wyraźnym żalem zostawiając za plecami wszystkie niezwykle rzygacze i chimery z Notre Dame.

– Nie. – Przyspieszyłam kroku, bojąc się trochę, że zbyt wcześnie zdradzę jej, dokąd idziemy. – Sprawa Fabiena jest już zamknięta. Chcę, żebyś spotkała kogoś zupełnie innego...

CZEŚĆ III

SZARE KOPERTY

ROZDZIAŁ 19

WSZYSTKO PRZEZ TEN SUFIT

*Nie czekajmy ani chwili,
niebo z deszczu wieńce wije.*

Duszno tutaj od motyli.

Jeszcze żyjesz? Jeszcze żyję.

Joanna Kulmowa, *Chagall*

NINA
Wiedziałam, że się ucieszy. I zdziwi.

Nie sądziłam jednak, że aż tak.

– Jakim cudem znalazłaś to miejsce? – pytała raz po raz, ocierając łzy. – Skąd wiedziałaś, że należało właśnie do niej?

– Nie wiedziałam – odpowiadałam zgodnie z prawdą. – Na tej wyspie jest komisariat policji, tutaj poznałam Fabiena... Jego biuro mieści się zaraz za tamtym budynkiem. Przechodziliśmy przez targ kwiatowy razem, czasami kilka razy dziennie. Zawsze dziwiło mnie, że mały sklepik na rogu nazywa się „Natalia”. Nie „Nathalie”, ale właśnie „Natalia”. Kiedyś powiedziałam to głośno, a on wyjaśnił, że to pewnie dlatego, że tę zielarnię prowadzi pewna Polka. Wtedy coś mnie tknęło. Z początku bardzo małe i niejasne coś... Weszłam więc do środka i aż musiałam złapać się półki, żeby nie upaść. I to wcale nie przez ten mocny aromat mięty, szaławii i setek innych ziół. Ja po prostu... Natalia, ja naprawdę myślałam, że zwariowałam! Najpierw zobaczyłam wszystkie te miedziane puszki i białe ceramiczne moździerze, a dopiero potem ją. Czarnooką dziewczynę stojącą za ladą. Przecież ja ją znałam! Patrzyła na mnie ze ściany u ciebie w kuchni, z wypłowiałych odbitek oprawionych w te drewniane ramki. I była tak samo młoda, jak na twoich fotografiach.

NATALIA

– Jakim cudem pani babcia trafiła do Paryża? – Kompletnie zdezorientowana patrzyłam na tę drobną czarnooką dziewczynę... Dziewczynę o oczach Mariki. – Nie znała przecież nikogo we Francji, prawda?

– Nikogo. I proszę nie mówić do mnie „pani”.

Uśmiechnęła się inaczej niż moja przyjaciółka. Szerzej, weselej, bez tego sekretu, który całymi latami powstrzymywał ją od beztróskiego śmiechu... – Naprawdę się pani nie domyśla, dlaczego ze wszystkich miast na świecie wybrała właśnie Paryż?

Wysiliłam pamięć. Szukałam jakiegokolwiek tropu. Znajomi, znajomi znajomych, ukochany film albo książka. Bez skutku. Nie miałam żadnych skojarzeń.

Już prędzej wybrałaby Rzym. Uciekałyśmy ze szkoły i jechałyśmy do kina „Żeglarz” w Jastarni albo wypuszczałyśmy się do „Świtu” w Wejherowie... a potem nawet aż do Gdyni, żeby siedem razy w ciągu miesiąca obejrzeć *Rzymskie wakacje*. Obiecałyśmy sobie wtedy, że kiedyś pojedziemy razem do Włoch i wdamy się tam w ognisty romans.

Obie próbowałyśmy czesać się tak, jak Audrey Hepburn, i szyłyśmy z kwiecistego kretonu spódnice zbierane w szeroki pasek. Żadna z nas nie miała jednak aż tak szczupłej talii, jak filmowa księżniczka Anna. Chociaż Marika na tych starych zdjęciach, które przeglądałam tyle razy, naprawdę trochę ją przypomina. Drobna uparta buzia, pełne usta i wielkie, czarne oczy... Takie same

jak te, które wpatrywały się we mnie teraz, nieco rozbawione.

– Nie wie pani? – powtórzyła Alexandra. – Naprawdę nie domyśla się pani, dlaczego zawzięła się właśnie na Paryż?

Bezradnie wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia – wyznałam. – Opowiesz mi?

Znowu ten wyraz twarzy małej psotnicy, który tak dobrze znałam z naszych tajnych wypraw na wydmy.

– Marzyła o Paryżu przez panią. Pani tu była, prawda? Kilka lat przed... przed jej wyjazdem z Polski?

Pokiwałam głową. Byłam, owszem. Od tamtej podróży minęło pięćdziesiąt lat, ale ja pamiętałam wciąż każdą chwilę. Aromat wiosennych kwiatów w ogrodach królewskich. Zapach Sekwany i jej intensywnie zielony kolor o wschodzie słońca. Smak magdalenek kupowanych w małej piekarence w pobliżu Placu Wogezów. Widok z hotelowego okna...

– Spędziłam tu najpiękniejsze chwile mojego życia – westchnęłam. – Kilka dni, które miały być początkiem wszystkiego, a okazały się końcem. Wezwano mnie nagle do Polski i...

– Tak, wiem. Babcia wspominała mi o pani nagłym powrocie do Helu. O zmianie planów.

Ciekawe, co jeszcze jej opowiedziała o tamtych wydarzeniach? Próbowałam wyczytać to z tych oczu jak węgielki, ale nie umiałam. To też odziedziczyła po Marice. Umiała dochować tajemnicy... Nie pokazać po sobie ani radości, ani rozpaczy, jeżeli uznała, że nikt nie powinien jej widzieć.

Wciąż jednak nie rozumiałam, co mój pobyt w Paryżu miał wspólnego z decyzją Mariki, żeby rozpocząć nowe życie właśnie tutaj.

– Pewnie opowiadałam o tym mieście jak o prawdziwym rajku na ziemi – uśmiechnęłam się z dziwnym poczuciem winy wobec tej dziewczyny. – Wszystko wydawało mi się tu takie piękne, romantyczne, doskonałe. Byłam zakochana i... chyba niezbyt obiektywna. Nie przypuszczałam, że twoja babcia potraktuje te moje egzaltowane opowieści poważnie.

Potrząsnęła głową tak, że przydługa, gęsta grzywka gwałtownie podskoczyła w górę, po czym opadła – jeszcze bardziej asymetrycznie niż przed chwilą.

– Podobało jej się miasto, które pani opisywała – powiedziała. – Ale to nie był jedyny powód. W każdym razie nie najważniejszy. Tak naprawdę chodziło o operę.

– Co takiego? – Zamarłam w bezruchu, przez moment zastanawiając się, czy mnie z kimś nie myli.

– Była pani w paryskiej operze, prawda?

Byłam, owszem. Właściwie całkiem o tym zapomniałam w obliczu tego, co stało się później. A przecież tego wieczoru aż drżałam z radości, ekscytacji

i niedowierzania.

Tamta scena nagle stanęła mi przed oczami, tak wyraźna, jakby zdarzyła się wczoraj...

Był gorący, słoneczny, kwietniowy dzień. Wybiegliśmy ze Stefanem z konferencji na Sorbonie na przerwę obiadową. Nie po to, żeby jeść. Każdą przerwę w wykładach, odczytach, warsztatach, spędzaliśmy tak samo. Ciasno objęci pędziliśmy brukowanymi uliczkami do naszego hotelu. Witaliśmy się grzecznie z recepcjonistką, po czym wspinaliśmy się po ciemnych, stromych schodach, całując się jak wariaci. A potem, już w drzwiach, zaczęliśmy ściągać z siebie ubrania...

Tego dnia było tak samo. Po przerwie obiadowej wpadliśmy na salę nieco spóźnieni, zdyszani, zarumienieni. Nie pozwolono nam usiąść. Jakaś dziewczyna w fioletowej sukience... Boże, pamiętałam dokładnie odcień, fakturę... trzy złote guziczki i zaokrąglony kołnierzyk... Mogłabym ją narysować, gdybym tylko miała odrobinę talentu plastycznego...

Dziewczyna była zarumieniona tak jak my, ale z zupełnie innego powodu. Wyciągnęła nas na korytarz i zaczęła wyrzucać z siebie jakieś słowa, w których z początku nie mogłam się doszukać żadnego sensu. Opera? Bizet? Królowa Danii?

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dziekan dostał dla uczestników konferencji kilkanaście biletów do opery, na *Carmen* Bizeta. Trafiała się niezwykła okazja. Niezwykła tym bardziej, że tego samego wieczoru w łoży honorowej zasiadać mieli król i królowa Danii, razem z generałem de Gaullem i jego żoną.

Fioletowa sukienka drżała z emocji, kiedy jej właścicielka pytała, czy chcemy skorzystać z tej możliwości i czy mamy odpowiednie stroje.

Mieliśmy. Oczywiście nie był to smoking i długa suknia, bo i takich strojów wśród widzów nie brakowało, wyglądaliśmy jednak bardzo przyzwoicie. A wszystko dzięki naszej cudownej pani Ewie z dziekanatu. Kiedy okazało się, że jedziemy na konferencję odbywającą się na Sorbonie, stanowczo kazała nam zabrać stroje wieczorowe. Powtarzała: „Paryż to miasto światła. Tam życie zaczyna się po zmierzchu. Będziecie chodzić na bankiety, rauty, kolacje. Nie możecie przynieść wstydu naszej uczelni”. Chciała mi nawet pożyczyć jakąś sukienkę, ale na szczęście Dorota, moja przyjaciółka ze studiów, potrafiła szyć.

Uśmiechnęłam się do wspomnień.

Dorota w dwa popołudnia wyczarowała rubinowe cudo z naderwanej narzuty swojej ciotki. Szłam więc na podbój Paryża, na ten sam spektakl, co królowa Ingrid... w sukience z kapy z łoża małżeńskiego pani Szymczak. Prawie jak Scarlett O'Hara, podbijająca świat w zielonej sukni uszytej z matczynych zasłon, z piórami wyrwanymi z koguciego ogona.

Tamta noc była niezwykła. Pod każdym względem. Sala opery kapiąca

złotem, z czerwonymi pluszowymi fotelami... Z najniezwykłym sufitem, jaki można sobie wyobrazić. Tylko Francuzom mogło wystarczyć odwagi i fantazji, żeby w zabytkowym budynku opery umieścić takie malowidło... Nie mogłam oderwać od niego wzroku nawet wtedy, kiedy cała sala biła brawo parze królewskiej z Danii, a królowa Ingrid machała nam dłonią w białej rękawiczce i wdzięcznie schylała głowę, na której lśniła korona.

Żadna korona nie mogła się jednak równać z tym, co wydarzyło się, kiedy zgasły światła, a na scenie pojawiła się Jane Rhodes...

Do dziś przechodził mnie dreszcz na wspomnienie jej głosu, jej ruchów... Ona nie grała Carmen. Ona była Carmen. Naprawdę, była stworzona do tej roli. Lśniła na potężnej scenie jak czarna perła. Nawet w scenach zbiorowych, w chaosie, wśród wirujących, szeleszczących spódnic patrzyło się tylko na nią. Była wielką gwiazdą.

Słyszałam później *Habanerę* w najróżniejszych wykonaniach. Przez lata zebrałam wiele płyt, właśnie z ariami z *Carmen*. Maria Callas, Renata Tebaldi, Krystyna Szostek-Radkova... Żadna śpiewaczka nie trafiła do mnie tak mocno i szybko jak Rhodes. No, może poza Krystyną Jamroz. Choć ona przecież nie była mezzosopranem, tylko sopranem, i śpiewała przez lata partię Micaëli, nie Carmen. Na płycie jednak zrobiła wyjątek i zaśpiewała tę arię... Jedną z najpiękniejszych arii świata. Słuchałam jej potem setki razy. I zawsze potrafiła postawić mnie do pionu.

– Była pani w operze, prawda? – Wnuczka Mariki wciąż oczekiwała na odpowiedź. Z wysiłkiem oderwałam się od wspomnień i wróciłam do rzeczywistości.

– Tak, oczywiście – uśmiechnęłam się przepaszająco do Alexandry. – Ale ja nawet nie wiem, czy w ogóle opowiadałam twojej babci o tym wieczornym wyjściu. Wydaje mi się, że nie miałam do tego głowy. Kiedy wróciłam na Półwysep, było tyle innych ważnych spraw...

– Opowiadała jej pani. – Ona też uśmiechnęła się lekko, widząc moją dezorientację. – I wysłała pani pocztówkę. Nie pamięta pani, naprawdę? Babcia przechowywała tę wyblakłą widokówkę jak talizman. Przywiozła ją z Polski ze sobą i trzymała zawsze w szufladce przy łóżku.

Zmarszczyłam brwi z niedowierzaniem. Nie pamiętałam żadnej pocztówki. Kiedy ja zdążyłam ją napisać?

– Co było na tej kartce? – zapytałam.

– Sufit – odpowiedziała krótko. – Sufit sali operowej. To on sprawił, że chciała przyjechać właśnie tutaj. Na pewno znajdzie pani coś na ten temat w jednym z listów, których nigdy do pani nie wysłała...

Kochana N.!

Jestem w Niemczech. Ale to nie koniec mojej podróży. Choćby przez biegun północny, choćby przez Amerykę, dotrę do Paryża. To jest mój cel. Być może jedyne miasto na świecie, gdzie jest miejsce dla ludzi takich, jak ja.

Pamiętasz pocztówkę, którą mi wysłałaś? I swoją opowieść o wieczorze w operze? Wtedy, gdy byli tam król, królowa i długonosy generał z żoną? Znalazłam potem w gazecie zdjęcie królewskiej pary schodzącej po szerokich schodach po spektaklu, w szpalerze gwardzistów z wyciągniętymi w górę szablami. Nie do wiary, że byłaś tuż obok! Czy to nie wspaniałe miasto? „Carmen” brzmi tam tak samo dla królowej w diamentowej tiarze na głowie, jak i dla ubogiej doktorantki z Polski...

Ale nie to każe mi jechać do Paryża bez względu na wszystko.

To Twoja pocztówka, moja N. Twoja pocztówka ze zdjęciem sklepienia opery. Z niezwykłym freskiem stworzonym przez Chagalla. Nie mogłam uwierzyć, gdy zobaczyłam, że pozwolono mu namalować te wszystkie krzywe anioły o twarzach diabłów, pokraczne baletnice z wywichniętymi kolanami, koguta, krowę albo woła... A może to jest koń, a nie wół? Nie widzę dokładnie, pocztówka jest przecież mała i trochę wyblakła. Ale nie mogę przestać na nią patrzeć.

Kiedy jechałam tym pociągami... z każdą chwilą oddalając się od wszystkiego, co znam i kocham... przez moment wydawało mi się, że już nigdzie nie zaznam spokoju. Że nie ma na tym świecie miejsca, które mogłoby stać się domem dla żydowskiej dziewczyny, takiej jak ja. Skoro mój dom... mój polski dom, jedyne, jaki miałam... nagle stał się obcy i nieprzyjazny... Gdzie miałabym znaleźć szczęście?

I wtedy pomyślałam o tym suficie w najwspanialszej operze świata. Jeśli rosyjski Żyd z Witebska został wybrany spośród wszystkich wspaniałych artystów, by pokryć swoimi krzywymi, śmiesznymi, kolorowymi rysunkami sufit w takim miejscu, jak to... Jeśli wszystkie te królowe w diamentowych koronach zadzierają głowy, żeby podziwiać jego aniołki, ptaszki, woły i baletnice... to może i mnie Paryż przygarnie pod swoje skrzydła?

W tym mieście wszystko wydaje się możliwe.

Jeżeli muszę zacząć jeszcze raz, zrobię to właśnie tam. W mieście, w którym żydowskie aniołki przygrywiają na trąbkach nad głowami królów i generałów. A ich skoczne rytmy nie przeszkadzają w niczym primabalerinom i barytonom, stojącym na wielkiej scenie.

Módl się za mnie, jeżeli jeszcze się modlisz.

Jeżeli nie, po prostu trzymaj kciuki. Nie potrzebowałam ich tak bardzo chyba nigdy przedtem.

ROZDZIAŁ 20

SZARE MYDŁO I CYTRYNA

Jest coraz dalej, mży sufit echa,

w takcie wagonów upływa las.

Już za daleko smutek przejechał

w noce gwiaździste, noce bez gwiazd.

Krzysztof Kamil Baczyński, *Ballada o pociągu*

NATALIA

Trudno mi było zebrać myśli. Rozglądałam się po jasnym wnętrzu „Natalii”,

wzruszona tym, że Marika nadała jej moje imię.

Miałam tyle pytań. O to, jak wyglądało jej życie, kim był jej mąż... Skoro ma wnuczkę, to musiała mieć też jakiegoś mężczyznę. Miałam nadzieję, że to była wielka miłość, która zagoiła stare, helskie rany...

– Spóźniła się pani tylko o pół roku – mówiła tymczasem czarnooka Alexandra. – Czasami myślę, że babcia czekała ze śmiercią, aż skończę szkołę. Żebym mogła przejąć zielarnię, żebym już była pełnoletnia... Wie pani, ona umarła zupełnie nieoczekiwanie, przy pracy. Akurat przyjechała dostawa cebulek tulipanów. Babcia uparła się, że będzie je z nami wyładowywać. Poustawiała wszystko na półkach, wypisała ręcznie karteczki z cenami i nazwami odmian... Wciąż je tu trzymam. – Otworzyła szufladę i położyła przede mną małe kartoniki z beżowej tekturki zdobionej delikatnym kwiatowym deseniem. Zadrżałam, widząc cyfry wykaligrafowane czarnym mazakiem.

Wiedziałam już, dlaczego wybrała Paryż. Ale zielarnia? Wydawało mi się, że nigdy nie interesowała się roślinami.

– Zielarnię też założyła przez panią... czy raczej dzięki pani. – Dziewczyna zauważyła chyba moje zdumienie. – Zawsze mówiła, że to właśnie pani nauczyła ją kochać i rozumieć rośliny. Opowiadała o waszych wyprawach z lupą na wydmy, o tym, jak zbierałyście listki do starej metalowej puszkę po tytoniu.

– Puszka była po tabace – poprawiłam ją szybko.

Alexandra uśmiechnęła się przepaszająco.

– Tabace? – powtórzyła z wysiłkiem. – Nie znam tego słowa...

Jej polski był doskonały. Mówiła z niemal niezauważalnym akcentem.

– Byłaś kiedyś w Polsce? – zapytałam.

Potrząsnęła głową.

– W zielarni zawsze jest tyle pracy... Poza tym nie mogłam zostawić babci. Ale ona zawsze rozmawiała ze mną tylko po polsku. Chodziłam też za zajęcia do polskiej szkoły, a jeśli chciałam oglądać bajki, to tylko w tym języku...

– A twoja mama? Albo tata? – zapytałam niepewnie. Poruszałam się po omacku, nie miałam pojęcia, ile Marika miała dzieci, jakiej były płci... Nie wiedziałam zupełnie nic o tym, co działo się w jej życiu po wyjeździe z Helu. Myślałam, że pozostanie to dla mnie tajemnicą już na zawsze. A teraz nagle okazało się, że mogę dowiedzieć się niemal wszystkiego. Nie chciałam tracić ani chwili.

– Moja mama umarła przy porodzie. Miała na imię... Natalia.

Znowu zadrżałam... Nadała moje imię nie tylko zielarni, ale też córce.

Moja M., kochana M. Zawsze tak do siebie pisałyśmy w tych śmiesznych liścikach-niespodziankach, wtykanych do tornistra albo do kieszeni kurtki.

Moja M. Moja N.

Uważałyśmy, że nikt się nie dowie, kto je pisał i do kogo. Bo przecież nie

używałyśmy imion.

– Moja M. – szepnęłam, dotykając miniaturki szyldu znad drzwi wejściowych, przybitej do lady, na której stała staromodna kasa.

– Babcia sama namalowała te niezapominajki. Miała prawdziwy talent – uśmiechnęła się Alexandra. – Wszystko urządziła tutaj własnymi rękami.

Przez moment, dosłownie przez ułamek sekundy, czułam jej zapach.

Zawsze pachniała szarym mydłem i cytryną. Nie uznawała innych kosmetyków, wcierała sok z cytryny we włosy, myła nim ręce, żeby pozbyć się kuchennych aromatów cebuli, czosnku albo świeżych ryb.

– Niczego tu nie zmieniałam po jej śmierci – powiedziała Alexandra, otwierając kolejne szuflady. – Babcia kochała to miejsce. Kiedyś wspomniała, że pani bardzo by się ucieszyła, gdyby wiedziała, że znalazła swoją przystań właśnie w Paryżu, na targu kwiatowym. Podobno czuła się tu od pierwszej chwili jak u siebie, tak dokładnie jej go pani opisała. Pewnie i o tym coś pani znajdzie w którymś z listów... Pisała je przez wszystkie lata, ale nigdy nie chciała żadnego wysłać. Ani jednego. Twierdziła, że jeszcze nie czas...

W dużym metalowym pudełku leżały szare koperty. Na każdej widniała tylko jedna litera: N. I data, zapisana na dole małymi literkami.

Spojrzałam na cyfry. Pierwszy list Marika napisała dwa czy trzy dni po wyjeździe z Helu. Ostatni – kilka tygodni przed śmiercią.

Czekała mnie długa podróż przez jej życie. Nie mogłam się doczekać, aż usiądę w hotelu na tej śmiesznej, żółtej kanapie w naszym nowym pokoju na trzynastym piętrze i wyruszę w przeszłość z dziewczyną, z którą śmiałam się do łez i przy której płakałam tak bardzo, jak przy nikim innym. Ona jedna znała wszystkie moje sekrety... Ona potrafiła wyciągać mnie za włosy z najczarniejszego dna rozpaczy... Stojąc tutaj, z tymi listami w dłoni, czułam ulgę przemieszaną z żalem. Potwornym żalem, że pozwoliłam jej zniknąć. I że nie zrobiłam nic, żeby ją odszukać. Byłam pewna, że nie chce mnie już znać.

A ona pisała... Pisała i zaklejała szare koperty z tą jedną, małą literką na samym środku.

– Przepraszam, że od razu ich pani nie wysłałam. – Alexandra spojrzała na mnie spod grzywki trochę krzywo... Zupełnie tak jak Marika, kiedy czuła, że zrobiła coś, co mnie zezłości. – Nie wiedziałam jednak, czy pani... Czy pani wciąż mieszka tam, gdzie kiedyś.

– I czy w ogóle jeszcze żyję – uśmiechnęłam się ze zrozumieniem.

A ona zarumieniła się rozkosznie, przyłapaną na myśli, która zapewne, jej zdaniem, mogła sprawić mi przykrość.

– Przepraszam – szepnęła.

Objęłam ją, żeby powiedzieć, że to przecież zupełnie normalne, że w przypadku osoby po siedemdziesiątce naprawdę trudno nie zakładać takiego

scenariusza. Nie zdołałam jednak wydobyć z krtani ani słowa. Włosy dziewczyny pachniały cytryną, jak niegdyś włosy Mariki.

Nawet nie przypuszczałam, że tak zareaguję na ten zapach z dalekiej przeszłości.

NINA

– Jesteś za młoda, żeby pamiętać filmy z Bruceem Lee. Chodziłaś pewnie do przedszkola, kiedy całą Polskę ogarnęło szaleństwo na jego punkcie – powiedziała Natalia w drodze powrotnej. Niosła przed sobą dumnie metalową skrzynkę wypełnioną listami, ciężką i nieporęczną. Nie pozwalała sobie pomóc. I chyba nie powinnam się temu dziwić...

Bruce Lee?

Co niby jej się skojarzyło z tym mistrzem sztuk walki? Wariacka fontanna Strawińskiego, którą właśnie mijaliśmy na małym skwerku na tyłach Centrum Pompidou?!

Uśmiechnęłam się, kiwając głową.

– Faktycznie, byłam wtedy chyba w przedszkolu. Ale starszy brat mojej przyjaciółki miał cały pokój obwieszony plakatami z Bruceem i chodził po domu wyłącznie w stroju do karate, uszytym przez babcię ze starych obrusów.

To, że ja pamiętałam Bruce'a, nie było chyba wcale dziwne. Wariowały na jego punkcie wszystkie dzieciaki. Ale Natalia? Musiała być wtedy koło czterdziestki... Myślałam, że nie zdziwi mnie już żadna informacja na jej temat, ale tego się jednak nie spodziewałam. Czy naprawdę zaraz okaże się fanką kina akcji?

Podniosłam wzrok, chcąc o to zapytać, a ona – jak tyle razy wcześniej – natychmiast odgadła, o czym myślę.

– Mikołaj – odpowiedziała na pytanie, które nie padło. – Pamiętaj, że wychowywałam trójkę dzieci. Dziewczynki były już dorosłe, ale Mikołaj stracił dla tego drobnego Chińczyka głowę jak większość nastolatków w Polsce. Opuścił, razem ze swoim przyjacielem z klasy, rozdanie świadectw, żeby pójść do kina. Po raz trzeci w ciągu tygodnia! Stali w kolejce po bilety cztery godziny i po prostu nie mogli zrezygnować... Przynajmniej tak tłumaczyli to dyrektorowi szkoły.

Rzadko opowiadała o swoich bratankach. Wiedziałam, że jedna z dziewczynek (które, oczywiście, już dawno przestały być dziewczynkami) umarła kilka lat temu. Druga dzwoniła wyłącznie na Boże Narodzenie i imieniny Natalii, tak jakby miała o coś żal, choć nigdy nie dowiedziałam się, o co. Dobry kontakt moja przyjaciółka miała tylko z najmłodszym, Mikołajem. Odwiedzał ją nawet od czasu do czasu w Helu, ale nigdy na siebie nie wpadliśmy.

Przez moment wydawało mi się nawet, że chciała mnie z nim zeswatać. O ile dobrze zrozumiałam, nie miał żony ani dzieci...

Mogłabym o to zapytać, choćby zaraz, ale najpierw musiałam wyjaśnić inną

sprawę.

– O co chodziło z tym Bruce'em Lee? Dlaczego o nim wspomniałaś?

Uśmiechnęła się, obserwując przestrzeń za moim prawym uchem. Wpatrywała się w nią tak intensywnie, że aż zerknęłam przez ramię, czy nie dzieje się tam nic szczególnie interesującego.

Kolorową fontannę, przypominającą niekształtne, ulepione z plasteliny figurki jakiegoś przedszkolaka, zostawiłyśmy już daleko w tyle. Tryskała wodą we wszystkie strony, budząc salwy śmiechu japońskich turystów. Natalia jednak nie patrzyła w tamtym kierunku. Kawałek muru i niebo zaciągnięte gęstymi chmurami trudno chyba uznać za ciekawe? Nigdzie nie było też ani śladu żadnej roślinki, którą mogłaby chcieć zidentyfikować.

A więc... patrzyła w przeszłość.

– Słyszałaś o wibrującej pięści? – zapytała.

Wytrzeszczyłam oczy.

Jak nie wibrująca szminka to znowu wibrująca pięść???

– Nie patrz tak na mnie – zachichotała. – To nie jest to, o czym myślisz.

A skąd ona niby wiedziała, o czym myślę?!

– Słynny cios, zabijający z opóźnieniem – wyjaśniła. – Wracasz do domu, robisz sobie herbatę i dwie godziny później nie żyjesz. Podobno tak właśnie zabito Bruce'a Lee...

Co to miało wspólnego z Mariką?

– To był taki cios... Z początku właściwie go nie poczułam, ale po pewnym czasie zwałił mnie z nóg i niemal zabił. Całkiem dosłownie. Po jej wyjeździe naprawdę nie chciałam już żyć.

NATALIA

Moja N.

Wciąż od nowa wracam myślami do naszej ostatniej rozmowy.

Pytałaś mnie wtedy kilka razy, jak mogłam to przed Tobą ukrywać przez tyle lat. Dlaczego nigdy nie dowiedziałaś się wszystkiego? Chyba zwyczajnie nie chciałam Cię martwić. A może... Może po prostu nie mogłam Ci powiedzieć. Bo nie wiedziałam, jak to przyjmiesz, czy nie podzielisz się z kimś w złości moją tajemnicą. Nauczyłam się ukrywać ją przed wszystkimi. Bez wyjątku.

Inaczej nigdy nie byłabym pewna, czy kamień rzucony w moją szybę, kartka z obelgami wetknięta w szparę w drzwiach, połamane kwiaty na werandzie, podpalone śmieci na moim progu, wymazana smołą klamka... Czy to wszystko dlatego, że nagle komuś zaczęło przeszkadzać nasze pochodzenie, czy może jednak ktoś, choć to wydawało się niemożliwe, poznał mój, tak pilnie skrywany, sekret...

Oczywiście, wiedziałam o kłopotach rodziny Mariki. O jej wujku, który wyjechał z Warszawy już w marcu 1968 roku. O siostrze, która wróciła nagle na Półwysep, bo z dnia na dzień zabrakło dla niej w Gdyni i pracy, i mieszkania. Wreszcie i o tym, że ojciec nagle przestał być naczelnikiem poczty i zaczął chodzić po ulicach z szarą torbą listonosza, a potem zamiast tej torby nosił już tylko worki i paczki na zapleczu. Marika nie chciała o tym mówić, a ja nie pytałam. Naiwnie myślałam, że to tylko przejściowe problemy. Oni przecież nie byli obcy, nie byli dziwni...

Byli Polakami, tak samo jak my. Marika mieszkała w Helu o pół roku dłużej niż ja. Jej mama plotła mi misterną koronę i upinała wianek, kiedy szłam do pierwszej komunii. Nie chodzili do kościoła, ale obchodzili Boże Narodzenie, a nie Chanukę. Nie wiem, czy Marika w ogóle знаła to słowo. Była taka sama jak ja. Była dziewczynką z Helu. Być może jedyną żydowską dziewczynką w naszym miasteczku...

Nigdy się o tym nie rozmawiało. Każdy przecież skądś przybył, każdy miał jakieś korzenie. Czasami lepiej było nie wiedzieć, jakie. Niekiedy człowiek sam nie wiedział, co działo się z jego rodziną w czasie wojny albo zaraz po niej... Jak z moim ojcem. Zmarszczone brwi mamy, ciche syknięcie, kiedy ja albo Olek wspominaliśmy o jego nieobecności... Nie trzeba nam było mówić wprost, że lepiej nie ruszać pewnych spraw. Rozumieliśmy, że pytania są zabronione i nigdy nie próbowaliśmy tego zakazu łamać.

O tym, skąd przybyła Marika, właściwie nigdy nie myślałam. Była dla mnie po prostu Mariką z Helu. Moją sąsiadką i najlepszą przyjaciółką. Powierniczką wszystkich sekretów, rozumiejącą mnie niemal bez słów.

I nawet wtedy, w sześćdziesiątym ósmym, kiedy nagle dla wielu osób okazała się obcą i groźną Żydówką, kompletnie to do mnie nie dotarło. Skupiona na pracy, na opiece nad trójką dzieci, na walce o pieniądze i na swoim bólu, który wciąż ćmił pod czaszką oraz gdzieś w okolicy mostka dzień i noc, po prostu nie zauważyłam, że została wrogiem publicznym.

Może gdyby Żydów na Półwyspie było trochę więcej, jakoś rozeszłoby się to wszystko po kościołach? Ale my w Helu mieliśmy tylko rodzinę Mariki. Cała nienawiść, podsycana przez gazety, radio, telewizję i pierwszych sekretarzy w fabrykach, przetwórnich i urzędach, eksplodowała więc Marice, jej rodzicom i siostrze, prosto w twarz. Byli jedyni – a więc każdy, kto, zgodnie z najnowszymi trendami, chciał zamienić życie jakiegoś Żyda w piekło, trafiał na nich. Po prostu nie miał wyboru.

Ale ja nie miałam o niczym pojęcia. Byłam pewna, że to wszystko dzieje się daleko od nas. Że fala nienawiści omija senny półwysep. Pokazywane w telewizji pociągi ruszały przecież z Warszawy, a nie z Helu.

I nawet kiedy Marika wsiadła już do jednego z nich, niczego nie

podejrzewałam. Przez trzy dni stukałam do jej drzwi, zamkniętych na głucho, przekonana, że nie otwiera, bo jest na mnie wściekła... Że po prostu potrzebuje czasu po tej awanturze, którą rozpętałyśmy na środku mojej kuchni.

Dopiero czwartego dnia rano pan Roman, sąsiad Mariki, zawołał do mnie przez płot:

– Nikogo już nie ma, dziecinko. Spakowali się i wyjechali.

Jak to, wyjechali! To przecież nie był sezon na wakacje... Marika nie wspominała o żadnym wyjeździe, jej siostra znalazła właśnie nową pracę... Miała być sekretarką w przetwórnicy ryb. Nie porzuciłaby przecież takiej posady! No i mieli kurczaczki. Malutkie, żółte kuleczki, od których moje bratanice nie mogły oderwać wzroku. Zwłaszcza Bożenka potrafiła tam siedzieć i patrzeć, całymi godzinami...

Nie zostawiliby kurczaków!

Chwyciłam się desperacko tej szalonej myśli.

– Gdzie one są? – Podskakiwałam jak piłka, żeby zajrzeć przez płot. Nagle siedem puchatych kurcząt wydało mi się największym problemem na świecie. – Niech mi pan powie, co się stało z kurczakami!

Ojciec Mariki upierał się zawsze, żeby mieć kilka kur w komórce za domem. Sąsiedzi nawet się z niego trochę podśmiewali. Wielki pan naczelnik poczty i hoduje kury? Ale on niczym się nie przejmował. Chciał mieć swoje jajka i rosół co niedzielę.

Chociaż, prawdę mówiąc, tego rosółu za często u Mariki na stole nie widywałam. Ojcu za każdym razem robiło się żal ukochanych kurek. Wolał, żeby biegały wesoło po trawie i niosły się jak szalone. Nie miał sumienia zabijać ich na zupę.

Pierwszy helski wegetarianin...

Uśmiechnęłam się do wspomnień. I zaraz spoważniałam.

– Oddali kurczaki Wiśniewskim – oświadczył krótko pan Roman, wracając do podlewania grządek. – Idź i zobacz sama, jeśli mi nie wierzysz.

Pędziłam Wiejską jak szalona. Jakbym znowu miała piętnaście lat. Z rozpuszczonymi, potarganymi przez wiatr włosami. Z gołymi łydkami podrapanymi przez gałęzie. Tym razem nie na wydmach, jak tyle razy w czasie tajnych wycieczek z Mariką... Tym razem poranił mnie żywopłot koło jej domu... Nawet nie czułam, że mnie kaleczy, kiedy przez trzy długie dni usiłowałam zaglądać do środka.

Waliłam pięściami w drzwi Wiśniewskich.

– Pali się? – zapytał siwy jak gołąb mężczyzna, pojawiając się w oknie. – Nie wiesz, że o tej porze zawsze odsypiam nocną zmianę?

Nie miałam pojęcia. I nic mnie to nie obchodziło. Zamierzałam zadać tylko jedno pytanie.

– Dostał pan kurczaki od rodziców Mariki? – wydyszałam, zmachana po szaleńczym biegu.

Ściągnął i nastroszył krzaczaste, białe brwi.

– Chcesz mi je odebrać? Nie zgadzam się. Uczciwie je przejąłem, wszystko z panem Szymonem dokładnie ustaliłem...

A więc to była prawda. Żółte kuleczki zmieniły dom.

– One są u pana już... już na stałe? – Chwyciłam się resztek nadziei, że musieli wyjechać gdzieś nagle, tylko na chwilę. Do chorej ciotki, na pogrzeb stryjka... To musiało być coś poważnego, skoro Marika ruszyła w podróż z ojcem. Byli skłóceni od lat... Studiowałam wtedy w Krakowie, nie miałam pojęcia, o co poszło. Marika twierdziła, że sama już nie pamięta, że to była jakaś głupota... Nie wyjechałaby z nim na dłużej niż kilka dni.

Zaraz wrócą, odbiorą kurczaki, które dali na przechowanie Wiśniewskiemu, i znowu będzie jak zwykle. Usiądę z Mariką na wydmie, powściekamy się na siebie, któraś poryczy się ze złości... A potem przytulimy się i razem pójdziemy na Wiejską, do mojej „Mewy”.

– Dziewczyno, ty nic nie wiesz? – Wiśniewski zawsze mówił do mnie: „dziewczyno”. I teraz, i wtedy, kiedy miałam osiem albo dziesięć lat. Mówił tak nawet wtedy, kiedy moje skronie też przyprószyła biel, a on oglądał swoje kwiaty już tylko z okna... albo z fotela, na którym syn wystawiał go na próg w szczególnie słoneczne, bezwietrzne dni.

– Nic nie wiem. Chyba nic – przyznałam z niechęcią.

Bo kto by lubił przyznawać się do braku wiedzy?

– Dziewczyno, dziewczyno... – W jego głosie wyraźnie brzmiała nutka współczucia. Chyba nawet więcej niż jedna. – Pan Szymon z żoną od dawna chciał wyjechać. Mają swój rozum, wiedzieli, że tutaj nic dobrego już ich nie czeka. Kuzyn z Gdyni obiecał im we wszystkim pomóc... Tylko ta najmłodsza upierała się, że Hel to jej dom. Nawet jak im podpalili wycieraczkę, jak do butelek zamiast mleka nalali środka na przeczyszczenie...

Nie miałam pojęcia, że ktoś robił takie rzeczy! Marika nie wspominała o tym ani słowem. Chciała mnie chronić przed cudzą nienawiścią – choć wymierzona była w nią, a nie we mnie. Wiedziała, że nie siedziałabym spokojnie, gdyby ktoś mi o tym powiedział. Może bała się tej mojej reakcji bardziej niż podpalaczy?

Do dziś nie dowiedziałam się, czyja to była sprawka. Naprawdę, przez te wszystkie lata byłam wyczulona na złośliwości, na komentarze o Żydach... Bardzo chciałam znaleźć winnych, ale nie dałam rady. Hel wydawał się wolny od tego konfliktu. To nie była nasza wojna.

A jednak ktoś podpalił wycieraczkę... Ktoś zamienił mleko na środek przeczyszczający. Ktoś połamał kwiaty na klombie pod kuchennym oknem. Mama Mariki tak zawsze o nie dbała...

– Coś ją odmieniło ze cztery dni temu – mówił dalej Wiśniewski. – Sama wiesz, że niemal nie rozmawiała z ojcem... A teraz nagle oświadczyła, że wyjeżdża z nim i z matką. Nie chciała za nic zostać w Helu. Twierdziła, że ma tu wroga...

Spuściłam oczy. Marika mówiła wtedy o mnie. To ja stałam się jej wrogiem po tej pamiętnej kłótni...

ROZDZIAŁ 21

CHOLERNE MIĘTÓWKI

Dlaczegoż teraz nie mogę gdzieś z tobą,

w zaciszu siedząc, wieść cichej rozmowy?

Czemuż nie mogę ująć twych dłoni,

na mym ramieniu uczuć twojej głowy?

Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Z dawnej przeszłości*

NATALIA

Okazało się, że tego wieczoru nie spędzę raczej tak, jak planowałam, na

żółtej kanapie, popijając herbatę i ostrożnie otwierając kolejne spłowiałe koperty z literką N.

W hotelowym holu czekali Szprot z Lefevrem i nieznanym mi mężczyzną.

– Mecenasa Girard – szepnęła mi Nina, mocno wystraszona.

Ja też przeraziłam się na ich widok. Mieli poważne miny, najwyraźniej chcieli powiedzieć Ninie coś niezbyt przyjemnego.

– Znaleźli panowie kolejne przełomowe dla sprawy zdjęcie? Co na nim widać tym razem? Guzik od spódnicy? Czy raczej kawałek kołnierzyka? – Nie czekając, aż zaczną, Nina przeszła do kontraktaku.

Adwokat powiedział coś szybko do Lefevre’a po francusku. Tamten pokiwał głową, postukał palcem w zegarek, po czym odsunął się o krok.

Girard przeszedł na polski.

– Musimy rozmawiać. Sami, pani Drop i ja, na wyłączność – oznajmił, patrząc na mnie znacząco.

– Oczywiście, nie zamierzam państwu przeszkadzać. Pójdę na kawę. Na herbatę – poprawiłam się szybko. Dużą, mocną kawę wypiliśmy już w drodze z zielarni i chyba nie powinnam od razu zamawiać kolejnej. – Pójdę na herbatę i wrócę za...

– Za kwartał – uśmiechnął się lekko. – Za kwartał wyśmienicie.

Wyśmienicie? Nie podzielałam w ogóle jego optymizmu. Lubię powoli sączyć herbatę, ale kwartał to chyba jednak byłaby lekka przesada?

– Za kwadrans – westchnęła Nina, oswojona już z oryginalną polszczyzną mecenasa. – Za piętnaście minut, prawda?

Girard pokiwał głową.

– Piętnaście minut. Czyli kwartał. Dokładnie tak. Dziękuję pani.

– Proszę bardzo. – To naprawdę nie było wielkie poświęcenie. Po emocjach, które przeżyłam w zielarni nad Sekwaną, naprawdę przyda mi się chwila odpoczynku. I pyszny, cytrynowy croissant z tej uroczej pâtisserie z różową markizą, która kusiła kawałeczek stąd, przy fontannie z amorkiem. A może nawet pozwolę sobie na eklerkę? Widziałam je chwilę temu w witrynie, takie duże i ciężkie...

Próbowałam skupić myśli na ciastkach. Nie chciałam się zastanawiać, z czym przyszli do hotelu policjanci, w dodatku nie sami, lecz w towarzystwie adwokata. Za kwadrans i tak się tego dowiem. Zgadywanki już kilka razy sprowadziły kłopoty i na mnie, i na Ninę.

– Wróć jak najszybciej... – Jej głos brzmiał teraz żałośnie, a kąciki ust drżały coraz wyraźniej.

Przesłałam jej najbardziej krzepiący uśmiech, na jaki było mnie stać, po czym wolno skierowałam się do wyjścia.

– Może pani zostawi swój bagaż? – Szprot podbiegł do mnie, wyciągając

ręce, by przejąć metalowe pudełko, owinięte grubą foliową torbą. – Jakies pamiątki z Paryża, tak? Spokojnie mogą tu poleżeć kilka minut.

Pokręciłam głową.

Owszem, to były pamiątki z Paryża. Ale tak niezwykle i tak dla mnie cenne, że nie zamierzałam spuszczać ich z oka ani na minutę.

NINA

Nie miałam pojęcia, po co Girard prowadzi ze mną tę rozmowę ani – tak naprawdę – czego ona dotyczy.

Wyjął z teczki komputer, ale go nie włączył. Pokazywał mi tylko jakieś kartki zadrukowane drobnym maczkiem i zamierzał chyba tłumaczyć na polski, co tam napisano.

– Nie wolno mieć pretensji. Zgoda?

Zasadniczo, owszem, zgadzałam się z tym, że pretensje to nie najlepsze rozwiązanie. Mało konstruktywne, nieprowadzące do rozstrzygnięcia konfliktu... Nie zamierzałam chyba mieć żadnych pretensji, ale – zanim oficjalnie się na to zgodzę – wolałabym jednak poznać więcej szczegółów.

– Pretensji o co? I do kogo? – Pomyślałam, że z pytaniami pomocniczymi będzie mu trochę łatwiej.

– Pretensji o nic – oświadczył stanowczo. – I nikomu.

O nic i do nikogo. No jasne. Jak mogłam tego nie odgadnąć?

– Pani nie podpisze, pani nic nie zobaczy... – Robiło się coraz weselej.

– Czego nie zobaczę?

– Niczego. Prawo jasne tu jest. Musi być pani podpis.

Próbował podać mi długopis.

Nie. Nie i już. Za długo prowadzę firmę, żeby nie wiedzieć, że podpisywanie dokumentów, których dokładnie się nie przeczytało, może skończyć się katastrofą.

Pokręciłam głową.

Girard wzruszył ramionami.

– Ja mam czas, ja poczekam – zaśpiewał nieoczekiwanie.

Jęknęłam w duchu. Piosenki z płyty dźwiękowej zawsze wyprowadzały mnie z równowagi.

Do tej pory jakoś porozumiewaliśmy się bez większych trudności, teraz jednak sytuacja stała się patowa. Wiedziałam, że Girard będzie niepokojony, kiedy okaże się, że go nie rozumiem, ale jego uczucia w tej chwili jakoś niewiele mnie obchodziły.

Nie zamierzałam nic podpisywać, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

– *English?* – podsunęłam, hamując złość i przywołując na twarz coś na kształt uśmiechu.

– *English* zły – odparł adwokat.

Czekałam, że znowu coś zaśpiewa, ale on sięgnął po telefon i powiedział kilka słów szybko po francusku.

Minutę później w progu mojego pokoju stał już Szprot.

– Widziała pani to nagranie? – zapytał bez żadnych wstępów.

– Jakie nagranie? – Czyżby teraz on zamierzał bawić się ze mną w kotka i myszkę?

Girard znowu zaczął wyrzucać z siebie potoki francuskich słów.

– Spokojnie, spokojnie... – Szprot machnął rękoma i sięgnął po plik dokumentów zapisanych drobnym maczkiem. – Wreszcie dysponujemy nie tylko zdjęciami, ale i kompletem nagrań z budynku sąsiadującego z tym, gdzie mieszkał pan Łysak. Oraz z monitoringu wokół hotelu. Policyjni technicy maksymalnie je wyczyścili i powiększyli interesujące nas kadry. Chcemy, żeby uważnie obejrzała pani kilka ujęć, ale nie będzie to możliwe bez pani podpisu na tych dokumentach. Chodzi o poufność materiału stanowiącego dowód w prowadzonym śledztwie.

– Tylko o poufność? – Nie dowierzałam. Girard mówił przecież coś o pretensjach, których nie powinnam zgłaszać.

– Jest tu też klauzula, że nie będzie pani zgłaszać żadnych roszczeń w stosunku do administratorów budynków, w których zamontowano kamery, że aż do zakończenia postępowania nie będzie się pani z nimi kontaktować.

– Jak tak dalej pójdzie, w ogóle z nikim nie będzie mi wolno rozmawiać – westchnęłam. – Mam już szlaban na pisanie i dzwonienie do własnej firmy, do członków najbliższej rodziny, teraz dochodzą administratorzy budynków... Może prościej byłoby mnie po prostu zamknąć w pierdlu?

– Mam wezwać tłumacza? – zapytał Szprot. – Ja nie mam uprawnień, pan Girard też... Niestety, paryska policja nie posiada tych druków przełożonych na języki obce. Ale zaraz zadzwonię i poproszę, żeby nam kogoś przysłali...

– Chwileczkę. – Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam myśleć racjonalnie. – To są druki, które rutynowo podpisuje się w takim przypadku, tak? Jest pan absolutnie pewny?

– Absolutnie i stuprocentowo – uśmiechnął się Szprot. – Widziałem na własne oczy całą szufladę identycznych kartek...

Zawahałam się jeszcze przez moment. Spojrzałam mu w oczy. Nie uciekł wzrokiem, nie zarumienił się... Raz jeszcze uśmiechnął się do mnie i na sekundę przykrył moją dłoń swoją. Niezupelnie profesjonalnie.

– Znamy się nie od dziś – szepnął. – Nie wpakowałbym pani na minę... Dobrze pani o tym wie.

Wiedziałam. On był gliniarzem, a ja główną podejrzaną, a jednak – wbrew logice – naprawdę czułam, że mogę mu zaufać.

Zacisnęłam palce na długopisie tak, że aż zbielały mi kostki. A potem zaparafowałam wszystkie kartki i podpisałam się na dole ostatniej z nich pełnym

imieniem i nazwiskiem.

Drugi raz w życiu podpisywałam coś bez czytania.

Za pierwszym razem był to wielki błąd, za który zapłaciłam naprawdę bardzo słono. W pewnym sensie płaciłam tę cenę do dzisiaj. Miałam nadzieję, że tym razem nie skończy się to dla mnie równie kiepsko.

Wyobraźnia podsunęła mi demonicznie roześmianą twarz Szprota, który mówi: „Podpisała pani akt darowizny. SIS-4 to teraz moja własność”.

Odpędziłam tę myśl. Musiałby mieć podpisy całej naszej czwórki. Niemożliwe, żeby je zdobył.

A może jednak?

Spojrzałam mu jeszcze raz w oczy. Uśmiechał się, ale nie było to ani trochę diaboliczne. Raczej... smutne?

– Pokaże mi pan teraz te nagrania?

Pokiwał głową i szybko włączył komputer.

Pięć minut później bardzo żałowałam, że je obejrzałam.

NATALIA

Kiedy wróciłam do pokoju po siedemnastu minutach, Nina była kłębkim nerwów. Girard właśnie wychodził z bardzo dziwną miną, a Szprot siedział i czekał, nie bardzo wiedziałam, na co.

– Może ja jeszcze się trochę przejdę? – zaproponowałam. – Jeżeli chcą państwo dłużej porozmawiać...

– Zostań, proszę – chlipnęła Nina rozdzierająco.

Szprot pokiwał głową i przesiadł się z kanapy na krzesło, żeby zrobić mi miejsce.

Nie byłam pewna, czy powinnam zapytać, co się stało, czy raczej milczeć i czekać, co się wydarzy.

Nina wybawiła mnie z tego kłopotu.

– Możemy właściwie wracać do Polski – odezwała się pierwsza.

– Jak to, wracać... – W pierwszej chwili nie potraktowałam jej poważnie. –

Tak po prostu?

Szprot pokiwał głową, nieco rozbawiony moją zdumioną miną.

– I to ma być powód do płaczu? – Nic z tego nie rozumiałam. Złapałam Ninę za prawą dłoń i pochyliłam się tak, żeby musiała spojrzeć mi w oczy. – Oczyszczono cię z zarzutów? Możesz wracać do pracy i do swojego zwykłego życia?

– Tak – załkała.

– Ninka, to świetna informacja! Naprawdę, fantastyczna! – Chciałam objąć ją ramieniem, ale straciła moją rękę.

– Niech pan jej to wszystko opowie, proszę. Dokładnie wszystko. Ja... Ja nie

mogę już o tym mówić ani chwili dłużej – krzyknęła i wybiegła do łazienki, trzaskając drzwiami tak mocno, że odruchowo obejrzałam się przez ramię, czy nie wypadły z framugi.

Szprot wahał się przez moment.

– To raczej nie moja rola... – powiedział. – Ale chyba powinna pani wiedzieć, przynajmniej mniej więcej, co się ostatnio wydarzyło. Spróbuję więc streścić pani, na czym polegał nagły zwrot akcji.

– Dziękuję. Naprawdę będę wdzięczna – kiwnęłam głową.

– Pojawiły się dwa nowe elementy – skupił się, zerkając do swojego czarnego notatnika. – Po pierwsze, nagrania z monitoringu. Nie mogę ich pani pokazać... Bardzo mi przykro. Chociaż, właściwie, może mogę? Gdyby... Pani Nino? Pani Nino, słyszy mnie pani?

– Proszę jej wszystko pokazać – wrzasnęła zza drzwi łazienki.

Podpisałam bezmyślnie jakiś plik dokumentów, mających – jak wyjaśnił mi Szprot – zobowiązać mnie do zachowania wyłącznie dla siebie wszystkiego, co zobaczę.

– Bez tego podpisu nie mógłbym pani pokazać żadnego fragmentu. A teraz już oficjalnie ogląda pani te filmy jako świadek – wyjaśnił Szprot.

– Świadek? – Nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli. – Mnie przecież nie było w Paryżu w czasie tego... Kiedy umarł pan Łysak.

– Ma pani za zadanie rozpoznać osobę na kolejnych filmach – sprecyzował.

– Proszę się nie spieszyć, możemy odtworzyć je kilka razy...

Pierwszy film, bardzo nieostry i tonący w niebieskiej poświacie, pokazywał kawałek podwórka jakiejś zabytkowej kamienicy. Wysoki mężczyzna w garniturze wrzucał śmieci do wielkiego, chyba żółtego (tak przynajmniej wyglądał w tym świetle) pojemnika. Chwilę później przez kadr przemykał inny mężczyzna z nieforemną torbą, z której wystawał jakiś długi przedmiot.

Strzelba?!

Nie, raczej bagietka... W końcu to nie był Dziki Zachód, tylko Paryż, godzina 06:38, jeśli wierzyć cyferkom na dole ekranu.

– Wraca ze sklepu z zakupami – szepnęłam.

– Teraz, proszę patrzeć – syknął Szprot.

Na monitorze pojawiła się szczupła kobieca postać w rozkloszowanym płaszczu do kolan, z włosami w nieładzie. Nie widziałam dokładnie, ale mogły być upięte wysoko, złapane nonszalancko klamrą, tak jak robiła to Nina, kiedy nie nosiła ich rozpuszczonych.

– Nina? – zapytałam.

– To pani powinna mi to powiedzieć – odparł Szprot. – Czy rozpoznaje pani tę osobę?

– Tak. Nie. Nie jestem pewna... – Naprawdę nie byłam. – Nina zwykle nosi

spodnie, nigdy nie chodzi w mini. A ta kobieta tutaj ma chyba krótką spódnicę? Nie widać jej spod płaszcza, przynajmniej w tym ujęciu. Nie nagrało się nic więcej?

Szprot przewinął filmik. Godzina 06:44. Podwórko było puste. Nagle z prawej strony kadru wypadła ta sama potargana postać w płaszczu. Przebiegła przez cały kadr i zniknęła po lewej stronie.

– Chodzi jak Nina. Wygląda jak Nina. To chyba musi być Nina? – Spojrzałam na niego pytająco.

– Jest pani pewna? Potwierdza pani tożsamość tej osoby? – Tak oficjalnie Szprot nie zwracał się do mnie chyba nawet przy pierwszym spotkaniu.

– Nie – westchnęłam, patrząc na zatrzymany kadr. – Jakość tego filmiku... Kamera pod dziwnym kątem... I to bardzo daleko od osoby, którą próbujemy zidentyfikować. Nie da się niczego potwierdzić w takich warunkach. Nie widzę ani koloru włosów, ani płaszcza... Wszystko tonie w niebieskiej poświacie. Byłoby nieuczciwie powiedzieć, że kogoś poznaję, bez cienia wątpliwości.

Szprot pokiwał głową, po czym włączył kolejny filmik z tej samej kamery. Właściwie wszystko odbywało się tak samo – było też identycznie nieostre i dalekie.

Nowy element stanowiły tylko cyfry na dole ekranu. Tym razem wskazywały godzinę 16:51. Nie było też mężczyzny z bagietką. Zamiast niego przechadzała się kobieta z pieskiem na smyczy. Rasy jednak upiorna jakość nagrania nie pozwalała określić, nawet w przybliżeniu.

Pięć sekund po piesku na podwórku znowu pojawiała się domniemana Nina. Tym razem widać ją było tylko przez moment. Ponownie miała kloszowany płaszcz do kolan, żadnej spódnicy ani spodni... Szła nieco wolniej, jakby rozglądając się dookoła. A potem skręcała w stronę schodków i zniknęła z kadru. Wejścia do budynku nie było już na nim widać.

Bezradnie wzruszyłam ramionami.

Ani twarzy, ani spinki, ani nawet szwu na plecach, pojedynczego czy podwójnego, który przykuł uwagę kelnera z Bistrot Vivienne.

– Nie mogę potwierdzić na pewno, że to Nina – powiedziałam.

Szprot stuknął palcem w ekran.

– Proszę zwrócić uwagę na godzinę.

16:54.

– Zapamiętała pani? – upewnił się.

Pokiwałam głową.

Na monitorze pojawił się inny filmik, znacznie lepszej jakości.

– Nasz hotel! – Rozpoznałam natychmiast.

To było wejście główne. Duże obrotowe drzwi, stojący przy nich wyprężony jak struna mężczyzna w bordowym uniformie...

A potem Nina, w zielonym kloszowanym płaszczu, z rozpuszczonymi włosami, w szerokich czarnych spodniach i mokasynach.

Wybiegała z hotelu z portfelem w dłoni.

Godzina 16:51. A dokładniej rzecz biorąc, jeśli miało to jakiegokolwiek znaczenie, 16:51:23.

Nina zniknęła z kadru. Pojawiały się inne osoby.

16:52.

16:53:12.

W rogu kadru wyraźnie widać było Ninę biegnącą chodnikiem w stronę obrotowych drzwi, ciągle z portfelem w ręku.

Wydawało mi się, że w chwili, kiedy zwalniała, żeby przejść przez ciężkie, obrotowe drzwi, mignęły mi nawet gładkie plecy tego płaszcza. Bez szwu, który widział kelner w Bistrot Vivienne u rzekomej Niny, w czasie spotkania z Hansonem.

– Nie ma szwu, prawda? – sapnęłam.

Zatrzymał film i puścił ten moment jeszcze raz.

Z całą pewnością na płaszczu nie było żadnego podwójnego szwu.

– To jest bez wątpienia Nina – powiedziałam szybko. – I nie, naprawdę nie rozpoznałam jej po płaszczu. Przez kilka sekund doskonale widać jej twarz...

Szprot puścił film od nowa.

– Widzi pani, która była godzina?

Widziałam, oczywiście. 16:53.

– To jest ten sam dzień? – upewniłam się pro forma, bo byłam już pewna, że odpowiedź będzie twierdząca.

– Ten sam – zapewnił policjant drewnianym głosem. – I oba zegary działają prawidłowo.

– To chyba świetna wiadomość, prawda? – Nie rozumiałam, dlaczego się nie cieszy. – Nina, wychodź z tej łazienki. Widać cię w tych drzwiach hotelu zupełnie wyraźnie, a to oznacza, że nie mogłaś być wtedy w innym miejscu i mordować Maksa. Wychodź, słyszysz?

Nina pojawiła się posłusznie w progu pokoju, blada jak ściana, z drżącymi rękami.

– I co z tego? Co z tego, że nie mogłam zabić Maksa, bo poszłam do sklepiku na rogu po te cholerne miętówki z Vichy i zarejestrowała mnie hotelowa kamera? – chlipnęła. – Cholerne, ośmiokątne miętówki... Pochłaniałyśmy je całymi torebkami i koniecznie chciałyśmy mieć kolejną paczkę na wieczór. Są pyszne... Ale co z tego, skoro teraz policja jest przekonana, że Maksa zamordowała któraś z moich sióstr?

ROZDZIAŁ 22

SZKLANA SZKATUŁKA

Tu się zaczaj, tam się skryj,

Po rękojeść w serce wbij,

Po rękojeść w serce wwal,

W miękkie ciało twardą stal,

Dźgnij!

Julian Tuwim, *Na noże*

NATALIA

Nina po tym wybuchu znowu schowała się w łazience, a Szprot zamknął pokrywę laptopa i zagłębił się w notatkach.

– Przepraszam, ale... – Kręciło mi się w głowie od nadmiaru informacji. – Przepraszam, czy to prawda, że policja podejrzewa teraz o morderstwo siostry Niny?

Nie odpowiedział mi wprost, tylko wyłożył na stół jakieś zdjęcia.

– Jak wspominałem, na nagły zwrot w śledztwie wpłynęły dwie sprawy. Po pierwsze, nagrania z monitoringu, które wreszcie dostaliśmy i obrobiliśmy tak, by były choć trochę czytelne. Po drugie... Cóż, nie mogę podać szczegółów, ale znaleźliśmy pewną skrytkę. Miejsce, gdzie znajdowały się przedmioty, które najwyraźniej miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego...

– Co tam było? – zapytałam szybko.

– Zdjęcia. Mnóstwo zdjęć. – Szprot przesunął odbitki po stoliku w moim kierunku. – Kiedy spotkaliśmy się dziś w holu, pani Antonina chciała być złośliwa, mówiąc o kolejnych guzikach i kołnierzykach, ale przypadkiem odgadła całą prawdę. To są właśnie takie detale. Ogromne powiększenia paska, guzika, szala, kolczyków...

– I to ma obciążać pozostałe panie Drop? – Chyba nie nadążałam za jego tokiem myślenia.

– Nie tylko to... – Wyjął spomiędzy kartek notesu jeszcze jedno zdjęcie. – Czy rozpoznaje pani ten przedmiot?

Na zdjęciu widoczne było niewielkie szklane pudełko. W środku leżały cztery noże.

Każdy był inny. Jeden przypominał łopatkę, drugi kończył się dwoma zagiętymi szpikulcami, trzeci był złagodzoną obłymi krawędziami wersją diabelskiego trójzębu... Wszystkie jednak miały szerokie, szklane trzonki. Szklane czy może kryształowe. Naprawdę w dobrym guście.

– Bardzo eleganckie noże do sera – powiedziałam. – Ale obawiam się, że nigdy nie widziałam tego kompletu.

– Na dwóch z czterech trzonków znajdują się bardzo piękne odciski palców pani Antoniny Drop – westchnął Szprot. – Bardzo ładnie się zachowały, pewnie dzięki tej szkatułce, która nie dopuszczała do środka ani wilgoci, ani kurzu.

– Maksa zamordowano jednym z tych noży? – Nogi ugięły się pode mną, kiedy pomyślałam, co to może oznaczać. – Ale... Zaraz! Skoro są na nich odciski palców Niny, to dlaczego uznał pan, że to definitywnie uwalnia ją od podejrzeń i obciąża jej siostry? To przecież nie ma sensu! Powinien pan zamknąć ją w więzieniu na resztę życia. Taki nóż to chyba dosyć mocny dowód?

– Przypominam, że pani Antonina nie mogła być w mieszkaniu swojego byłego narzeczonego wtedy, kiedy go zabito – powiedział Szprot spokojnie. –

Widziała pani przecież nagrania z hotelowego monitoringu. Nie ma cienia wątpliwości, że to ona wychodziła po miętówki i wracała dwie minuty później. Nie mogła być w dwóch miejscach naraz.

Drzwi od łazienki uchyliły się cichutko i wyszła stamtąd Nina, jeszcze bledsza niż poprzednio.

– One były w apartamencie. Wszystkie trzy. Były, kiedy wychodziłam po miętówki, i były, kiedy wróciłam – wyrzuciła z siebie na jednym tchu. – Nie wymknęły się bocznymi drzwiami, tymi bez kamer... Nie zadźgały Maksa... Jestem tego pewna, ale dla policji moje zeznanie nie ma żadnej wartości. Ponoć jestem najbliższą rodziną i po prostu próbuję je kryć. Potrzebują innego świadka. Skąd ja im wezmę świadka w hotelowym apartamencie?!

Spojrzałam na Szprota, a on westchnął ciężko i pokiwał głową.

Naprawdę było tak, jak powiedziała.

Nina została oczyszczona z podejrzeń, ale jednocześnie podejrzewania zostały skierowane na pozostałe panny Drop. I żadne zeznanie Niny nie mogło im teraz pomóc.

Przez chwilę milczeliśmy w ciszy gęstej i ciężkiej od strachu i smutku.

– Nie rozwiążę tej zagadki bez pani – szepnął nagle Szprot, zwracając się w stronę Niny. – Wiem, że to ciężkie, ale musi mi pani pomóc.

Spojrzała na niego półprzymkniętymi oczami, a potem pokiwała głową.

– Niech pan pyta. Niech pan pyta o wszystko. Jestem gotowa.

NINA

– Czy ktoś dysponował kluczem do pani domu? – Szprot patrzył na mnie z napięciem.

Wzruszyłam ramionami.

– Lutka, Mańka i Kostka. No i Maks, kiedyś... Ale oddał mi klucze.

– Nie pomyślałaś, żeby zmienić zamki? – Natalia z niedowierzaniem pokręciła głową.

Kurwa, kurwa, kurwaaa, nie pomyślałam. Po prostu nie pomyślałam ani przez minutę.

Mieszkam przecież na strzeżonym osiedlu.

Tyle tylko, że Maks też na nim mieszkał przed naszym ślubem, którego nie było. I pewnie nie zgłosił nikomu, że już się tam nie pojawi.

A ja... Ja próbowałam go znaleźć, a nie ukryć się przed nim w mysiej dziurze. Wydzwaniałam, SMS-owałam, czekałam, aż wróci. Nie miałam powodów, żeby zgłaszać administracji jego nieobecność, przynajmniej do pewnego momentu.

Boże, Natalia naprawdę podejrzewała, że Maks włamał się do mojego mieszkania! Sama bym tak uważała, ale to przecież nie miało ani grama sensu.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zachichotałam nerwowo. – Zakradł się na moje

osiedle z dorobionym kluczem, ukradł komplet noży do sera, a potem pojechał na drugi koniec Europy i tam sam się zabił jednym z nich, nie zacierając moich odcisków palców? Serio, wyjątkowo prawdopodobna wersja wydarzeń!

Szprot, o dziwo, nie podzielał mojego nastroju.

– Nie zdaje sobie pani sprawy z powagi sytuacji? – zapytał, przerzucając kartki notatnika zapisane drobnym maczkiem. – To wszystko miało wskazywać na panią. Na jednym z noży są odciski wszystkich palców pani prawej dłoni! Wszystkich! Wyraźne, pięknie zachowane. Jedyne wątpliwości budzi ich układ. Jutro... Nie, przepraszam, nic nie mówiłem. I tak już przekazałem paniom stanowczo za dużo informacji.

– Jutro zostanie przeprowadzony eksperyment procesowy? – rzuciłam w nagłym przypływie jasnowidzenia. – Tak to się chyba nazywa? Ktoś będzie sprawdzał, czy mogłam zabić Maksa, trzymając nóż tak, jak wskazują odciski?

Nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Jego mina wystarczyła mi za odpowiedź. Francuscy policjanci naprawdę zamierzali dźgać jakąś kukłę nożem, który leżał miesiącami nieużywany w mojej szufladzie!

– Czy ktoś mógł włożyć Ninie ten nóż w rękę bez jej wiedzy? – zapytała nagle Natalia, marszcząc swoje cienkie brwi. – Na przykład... kiedy spała?

Szprot uśmiechnął się pod nosem, chociaż chyba próbował się powstrzymać.

– Minęła się pani z powołaniem – westchnął.

A potem spoważniał i dodał, znacznie ciszej:

– Tych noży nie użyto do zabicia pana Łysaka. Mamy narzędzie zbrodni... zupełnie inne i bez żadnych odcisków. Podejrzewamy jednak, że ktoś bardzo chciał wrobić panią w to morderstwo. I nie widzimy innych kandydatów niż pani siostry...

Wsiadłyśmy w samolot lecący do Polski jeszcze tego samego dnia. I przez niemal całą drogę żadna z nas nie odezwała się ani słowem.

Bo co miałybyśmy mówić?

Oczywiście, mogłyśmy zastanawiać się w nieskończoność, czy Maksa zadźgała Kostka, czy może Lutka. Albo Mańka w peruce? Mimo niebieskiej poświaty na filmikach z jego podwórka wyraźnie było widać, że kobieta, która tamtędy przechodzi, nie ma kruczoczarnych włosów. A więc, peruka... To było mniej prawdopodobne, ale przecież nie niemożliwe.

Nie powiedziałam tego nawet Natalii, ale tak naprawdę wcale nie byłam pewna, czy któraś z nich nie wyszła z hotelu tamtego popołudnia. To naprawdę był duży apartament. Po obiedzie każda z nas siedziała w swoim pokoju, drzemiąc, pracując na komputerze, przeglądając jakieś dokumenty albo szykując się do wieczornego wyjścia. Sama nie pamiętałam dokładnie, co wtedy robiłam. Chyba sprawdziłam maile, a potem przygotowałam sobie kąpiel. Nogi okropnie mnie

bolały po porannym spacerze... Jak długo siedziałam w wannie? Piętnaście minut? Dwadzieścia? Potem suszyłam włosy, to przecież też musiało mi zająć kilka chwil... Każda z moich sióstr zdążyłaby podjechać taksówką pod mieszkanie Maksa, zadać śmiertelny cios i wrócić.

Każda, naprawdę.

Tyle tylko, że dywagowanie, która z nich trzech zamordowała mojego eks, próbując z premedytacją zrzucić na mnie winę, nie miało żadnego sensu. Pewnie uknuły to razem, a potem wspólnymi siłami zwabiły mnie do Paryża.

Wciąż jednak nie miałam pojęcia, po co by to zrobiły.

Zemsta na Maksie? Zemsta nieograniczająca się wcale do przejęcia pieniędzy, które zamierzał wydać na fabrykę tekstyliów medycznych? Postanowiły go zabić? Od biedy mogłam to zrozumieć. Był wyjątkowo wrednym, wyrachowanym fiutem, który zasłużył na wszystko, co najgorsze.

Byłabym na nie wściekła, że tym morderstwem skomplikowały życie sobie, mi i firmie. Że zostawiły mnie z całym SIS-4 na głowie. Ale w głębi duszy w końcu pewnie zrozumiałabym, że po prostu musiały to zrobić. Bo tylko w ten sposób mogły mieć pewność, że ten typ już nigdy nie pokrzyżuje nam planów.

Ale zrobienie MNIE w to morderstwo? To po prostu nie miało sensu.

NATALIA

Gdybym nie znała Marysi, Ludwiki i Konstancji, pomyślałabym, że naprawdę połąkomiły się na majątek najstarszej siostry. Że miały dosyć jej rządów w SIS-4 i postanowiły wprowadzić swoje porządki w firmie. Trzymała twardą ręką wszystko, nawet ich trójkę. I mogło im się to nie podobać.

Dla policji i sądu byłoby to całkiem prawdopodobnym wyjaśnieniem.

Dla mnie też brzmiałoby logicznie i wiarygodnie... gdybym ich nie znała.

Ja jednak spotykałam siostrzyczki Drop regularnie, zwłaszcza od kiedy kupiły trzy śmieszne, kolorowe domki na Czarcim Cyplu. Wpadały na Półwysep czasami na jedną noc, czasami na cały tydzień, popracować w spokoju nad jakimiś dokumentami czy nowym projektem. Wiedziałam, że są jak muszkietierowie. Taka damska wersja „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Trudne dzieciństwo zahartowało ich relację. Mogły liczyć tylko na siebie. Nina, najstarsza z dziewczynek, wzięła na siebie odpowiedzialność. Wydawała się chłodna, nieczuła, czasami zbyt twarda. Pewnie nie mogła inaczej. Musiała być właśnie taka, żeby nie rozsypać się na kawałki, nie pogrążyć w żalu do losu...

A one naprawdę to doceniały. Widziałam, jak na nią patrzy, jak żartują z jej autokratycznych rządów, jak dumne są z tego, co razem osiągnęły.

Dla kogoś, kto nie znał siostrzyczek Drop, na papierze wszystko mogło układać się w idealnie logiczną całość. Ja jednak nie umiałam uwierzyć, że zaplanowały z zimną krwią wsadzenie Niny do więzienia na resztę życia.

– Opowiedz mi o Marice – poprosiła nagle Nina w połowie lotu. – Zwariuję, jeśli nie zajmę czymś myśli. A tylko ta historia wydaje mi się dostatecznie ciekawa, żeby mogła mnie wciągnąć choć na chwilę.

Z ulgą przyjąłem jej propozycję. W takiej sytuacji jak ta nie było nic gorszego niż cisza.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytałem, niepewna, od czego zacząć. – Opowiadałem ci już o niej całkiem sporo.

– Powiedz, z jakiego powodu się pokłóciłyście – szepnęła. – Co wydarzyło się między wami aż tak strasznego, że postanowiła uciec z Półwyspu raz na zawsze, nie mówiąc ci nawet „do widzenia”?

Ulgą, którą przed chwilą czułem, minęła mi jak ręką odjął.

To było właśnie to, o czym próbowałem zapomnieć od niemal pół wieku. Od dnia, gdy Marika ruszyła w swoją szaloną podróż do miasta, w którym pozwolono Chagallowi pomalować sufit w gmachu opery.

Dlaczego zapominałem o tym suficie? Dlaczego przez tyle lat ani razu nie przyszło mi do głowy, że moja przyjaciółka może żyć właśnie w Paryżu?

Nina zauważyła chyba moje wahanie. Nie zamierzała naciskać, ale jeszcze bardziej nie chciała milczeć i rozmyślać w nieskończoność o swoich siostrach. Spróbowała więc wciągnąć mnie w rozmowę jeszcze raz, z zupełnie innej strony.

– Dzwoniłaś do Wiktora? – zapytała. – Pewnie bardzo się cieszysz, że już wracasz?

Znowu trafiła kulą w płot.

Owszem, dzwoniłem. Chciałem go uprzedzić, że muszę zostać w Paryżu trochę dłużej. Nie odebrał. Zadzwoiłem jeszcze raz, nagrałem wiadomość. Nie oddzwonił, napisał tylko SMS: *OK*.

OK! Tylko tyle.

OK! Co to za odpowiedź?!

Nasza relacja stawała się coraz cięższa. Powinam się na niej skupić, porozmawiać z nim szczerze, wyjaśnić wszystko, co go trapiło... Ale to nie był dobry moment, żeby rozmyślać o Wiktorze i zastanawiać się nad tym, co będzie dalej.

Wolałem już mówić o Marice.

– Była kochanką Olka – po raz pierwszy powiedziałam to głośno. Może nawet za głośno? Siedząca przed nami blondynka odwróciła się raptownie i spojrzała na nas przez szparę między fotelami. – Romansowała z mężczyzną, na którego nie powinna nawet spojrzeć. Miał żonę i dzieci... A był... moim bratem. Rozumiesz? To było najgorsze ze wszystkiego. Była moją przyjaciółką, a jednak robiła coś takiego. Całymi latami krzywdziła moją rodzinę... Trzymała wszystko w sekrecie, nawet przede mną. A przecież ja nie miałam przed nią żadnych tajemnic! Co to za przyjaźń, kiedy ukrywa się coś tak istotnego?

– Właśnie to wyznała ci tamtego dnia, kiedy tak się pokłóciłyście? – Nina patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Pokiwałam głową.

– Zamierzała z nim uciec do Trójmiasta, a potem do Warszawy... – Coś dławiło mnie w gardle, kiedy o tym mówiłam. – Miał zostawić rodzinę, pracę... Zostawić wszystko i po prostu uciec z Helu jak najgorszy tchórz. Gdyby nie utonął razem z ojcem wtedy, w czasie burzy, złamałby serce rodzicom, żonie, dzieciom... Czasami myślę... Czasami myślę, że lepiej, że zginął... Że tak było lepiej dla wszystkich, nawet dla Mariki...

Było mi coraz trudniej mówić... coraz trudniej łapać powietrze.

Oparłam się o zagłówek i przymknęłam oczy. Za chwilę wyjmę z metalowego pudełka podróżującego w bagażu podręcznym nad moją głową jeden z listów Mariki i przeczytam Ninie kilka akapitów.

Za chwilę... Tylko odpocznę, dosłownie minutkę.

Za chwilę...

Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło mi się całkiem ciemno przed oczami.

ROZDZIAŁ 23

CZERWONY KAPELUSZ

I po co ci ta

długowieczna śmierć

gdy słońce w drodze

i biała biedronka.

Ewa Lipska, *I po co ci ta śmierć*

NINA

– Ależ mnie przestraszyłaś... – Stałam w drzwiach szpitalnego pokoju,

niepewna, czy powinnam wejść do środka.

Przez cały ten rok, od dnia, kiedy ją poznałam, Natalia była taka pełna życia, taka młodzieńcza, radosna, wyzwolona. Chwilami odnosiłam wrażenie, że jest młodsza ode mnie. Na pewno była odważniejsza, bardziej spontaniczna i bezkompromisowa.

Nie znałam nikogo w jej wieku... Nikogo młodszego od niej nawet o pięć czy dziesięć lat, do kogo tak bardzo, jak do niej, nie pasowałoby określenie „starsza pani”. A „staruszka”? O nie, staruszką Natalia nie będzie nawet w dniu swoich setnych urodzin, byłam tego absolutnie pewna.

A wtedy, w samolocie, nagle dotarło do mnie, że może nie być już żadnych urodzin. Że mogę ją stracić dosłownie w każdej chwili.

Przesiedziałam w szpitalu osiem godzin. Osiem godzin... pierwszy raz od lat, kiedy nie myślałam ani o SIS-4, ani o moich siostrach. Nie myślałam nawet o paryskiej policji i nagraniach z podwórka kamienicy obok Luwru. Myślałam tylko o niej.

– Jej płuca właściwie nie istnieją – powiedział Pawłowski, kiedy wpadłam do niego do gabinetu. Wiedziałam, że stary znajomy Mańki zrobi absolutnie wszystko, żeby pomóc Natalii. I naprawdę tak było. – Trzy razy sprawdzałem, czy mam właściwe zdjęcie i czy coś się nie zablokowało w komputerze. Kazałem powtórzyć wszystkie badania. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego... Ona nie ma prawa żyć w takim stanie, rozumiesz? To jest wbrew medycynie.

– Ale... – Musiałam oprzeć się o ścianę i odetchnąć powoli cztery razy. – Czy to znaczy, że... No, że... – Nie mogłam nawet wypowiedzieć głośno tego słowa. – Nie, nie zgadzam się na taką diagnozę. Natalia musi żyć! Po prostu musi! Jeżeli ty nie umiesz jej pomóc, powiedz mi, do kogo powinna się zgłosić. Pieniądze nie grają roli, zapłacę, ile będzie trzeba...

– Ninka, uspokój się! – Wstał zza biurka i złapał mnie mocno za ramiona. – Ona nie umiera. Nie umiem tego wytłumaczyć, bo w takim stanie nie miała prawa żyć dłużej niż rok. A ona żyje już ponad czterdzieści lat. Rozumiesz? Od tego wszystkiego minęło kilka dziesięcioleci...

– Od wypadku?

Natalia opowiedziała mi już o wielu ważnych wydarzeniach w swoim życiu, ale o żadnym wypadku nawet się nie zająknęła.

– Nie znam szczegółów. – Pawłowski zaczerwienił się, jakby próbował coś ukryć. – Jakaś głupia pomyłka... Chyba związana z turystami czy może ze studentami...

– Ze studentami? – Wytrzeszczyłam oczy, kompletnie zaskoczona.

– Zapytasz ją sama, za godzinę wypisujemy ją do domu – uśmiechnął się, stukając długopisem w biurko. – Jej płuca przechytrzyły system... Ale powinna trochę zwolnić, pojechać do sanatorium, pospacerować po jakimś pięknym parku.

Co myślisz o Ciechocinku?

O, nie. Nie. Byłam pewna, że Natalia nie chciałaby wejść jeszcze raz do tej samej rzeki i trafić do sanatorium „Marzenie” pod zwariowaną wieżyczką z zegarem. Znowu wiosną, ale tym razem beze mnie...

– Porozmawiaj z nią. Jeżeli te płuca mają nadal działać wbrew wszelkiej wiedzy medycznej, musi je regularnie zabierać na małe wakacje. Naprawdę powinna wyjechać jak najszybciej.

Wiedziałam, że Natalia nie będzie zachwycona tą perspektywą. Nie będzie chciała zostawić „Mewy”, no i swojego Maksa. Co do Wiktora, nie miałam już takiej pewności. Niewiele o nim wspominała w czasie pobytu w Paryżu, ale chyba nie wszystko układało się między nimi tak, jak powinno.

– Porozmawiasz z nią? Obiecujesz? – Pawłowski naprawdę przejął się jej losem.

– Obiecuję – mruknęłam. – Mogę wreszcie do niej wejść?

Odprowadził mnie pod drzwi małej salki na końcu korytarza.

– Naprawdę jest niesamowita. Tym razem nie przesadzałaś – uśmiechnął się, przytrzymując na moment moją rękę. – Opiekuj się nią...

Oczarowała go! Oczywiście! I chyba nie było w tym nic dziwnego. Niewiele znałam osób, które umiały się oprzeć jej figlarnemu uśmiechowi.

Uchyliłam drzwi.

Figlarny uśmiech już tam był. Popędził w moją stronę z niebieskiej pościeli, w której leżała Natalia.

– Ależ mnie przestraszyłaś – westchnęłam, nagle zauważając wszystkie zmarszczki na jej twarzy i dłoniach. Były pokryte całą siateczką zmarszczek. Drobnych, krzyżujących się i zbiegających pod różnymi kątami.

– Niepotrzebnie się denerwujesz – mruknęła, chociaż chyba moja troska sprawiała jej przyjemność. – Wszystko jest pod kontrolą. Mam tylko wrażenie, że chyba nadszedł już czas, żeby kupić czerwony kapelusz...

– Co takiego?!

Wszystkiego się mogłam spodziewać... Wszystkiego, łącznie z wyprawą po elegancką, minimalistyczną trumnę rzeźbioną w listki glistnika. Ale czerwony kapelusz?!

– Po co ci kapelusz? – zapytałam ostrożnie.

– Każda kobieta potrzebuje kapelusza – wyjaśniła, podciągając się na poduszkach. – A czerwony... Naprawdę nie znasz wiersza *Ostrzeżenie*?

Poszperałam chwilę w pamięci, bez zbytej nadziei. Nie czytałam poezji chyba od matury.

– Szymborska? – zaryzykowałam.

Kiedyś, jeszcze w Ciechocinku, obie przypomnialiśmy sobie ten sam wiersz, właśnie Szymborskiej. Okropnie smutny, o kocie, który zostaje sam w domu po

śmierci właściciela. I kompletnie nie rozumie, gdzie zniknął ten jego osobisty człowiek.

Natalia potrząsnęła głową.

– Jenny Joseph – powiedziała. – Nie dostała Nobla, i chyba jest znana głównie z tego jednego wiersza. Od kilku lat szukam dobrego tłumaczenia, ale żadne jeszcze mnie nie zachwyciło. Spróbuję, jeśli pozwolisz, przełożyć go dla ciebie sama.

Mogłam chyba zrozumieć wiersz bez tłumacza? Skoro kupowałam bez tłumacza fabryki i podpisywałam gigantyczne kontrakty... Chyba poradziłabym sobie i z wierszem?

Nie zaprotestowałam jednak ani słowem. Było coś wzruszającego w tym, że Natalia chce go przełożyć specjalnie dla mnie.

Wzruszającego? To musiała być przedwczesna menopauza! Ja przecież nie wzruszam się wierszami, zwłaszcza takimi, których jeszcze nie usłyszałam!

Natalia przymknęła oczy i zaczęła mówić powoli, niemal szeptem:

*Jak będę stara, zacznę nosić purpurę
I czerwony kapelusz, który nie pasuje ani do niej, ani do mnie.
Emeryturę będę wydawać na brandy i ażurowe rękawiczki
I satynowe sandały, a potem mówić, że nie starczy na masło.
Będę siadać na chodniku, jak się zmęczę
I brać garściami próbki w sklepach i uruchamiać alarmy
I tłuc laską w uliczne barierki
I nadrabiać za trzeźwą młodość.
Będę chodzić w kapciach po deszczu
I zrywać kwiaty w cudzych ogrodach
I nauczę się płuć.*

*Ty będziesz mógł nosić paskudne koszule i utyć
I jeść po półtora kilo kielbasek naraz
Albo tylko chleb z piklami przez cały tydzień
I gromadzić całe pudła piór, ołówków i podkładek pod kufle.*

*Ale póki co musimy mieć praktyczne ubrania
I płacić czynsz, i świecić dzieciom przykładem
I nie możemy kląć na ulicy.
Musimy zapraszać przyjaciół na kolacje i czytać gazety.*

*Ale może powinnam już zacząć ćwiczyć?
Żeby znajomi nie zdziwili się za bardzo*

Kiedy nagle się zestarzeję i zacznę nosić purpurę[1].

To na pewno była menopauza. Zryczałam się jak głupia przy tym wierszu. Natalia dwa razy musiała przerywać, żeby przeczekać moje chlipnięcia.

– Ćwiczyłam przez całe życie – westchnęła, kiedy wreszcie trochę się uspokoiłam. – Nie jestem w stanie już nikogo niczym zadziwić... Uchodzę za największą ekscentryczkę na Półwyspie i całkiem mi z tym do twarzy. Ale, prawdę mówiąc, chyba nigdy nie miałam czerwonego kapelusza. I wiesz, Nina, mam ogromną ochotę nadrobić to zaniedbanie. Poczekasz chwilkę? Wezmę tylko wypis od pielęgniarki... Wolę mieć takie papierki w domu w oryginałach, na wszelki wypadek... Podejdę po ten wypis, rozczeszę szybko kołtun...

– Co takiego?

– Kołtun... – Pokiwała głową z pełną powagą. – Czuję, że mam na głowie coś strasznego po tylu godzinach w łóżku... Poczekaj chwilkę na korytarzu, dobrze? I zaraz możemy iść na zakupy. Tobie też chyba przydałby się kapelusz. Tylko, niestety, jesteś jeszcze za młoda na czerwony...

– Za młoda na czerwony? – zawołałam do jej pleców.

Nie odpowiedziała. Popędziła już po wypis... albo do łazienki, rozplątać kołtun.

Wysłałam więc na korytarz i dla zabicia czasu wpisałam na ekranie komórki nazwisko tej poetki i tytuł jej wiersza.

Google natychmiast wyrzuciły tysiące stron, które powinnam przynajmniej przejrzeć. Jakies blogi, zbiorki poezji... Ale ani słowa o byciu za młodym na nakrycie głowy w krzykliwym kolorze. I wreszcie...

Tak, znalazłam!

Stowarzyszenie Czerwonych Kapeluszy! Z jego witryny patrzyły na mnie kobiety po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce... Nie brakowało i takich po osiemdziesiątce, albo i jeszcze starszych. Niejedna wyglądała co najmniej na setkę. Ale jaką setkę!

Każda z nich miała na głowie kapelusz, oczywiście czerwony. Były tam małe toczki, meloniki, cylindry, upinane nad uchem pióra i sztuczne kwiaty zastępujące nakrycie głowy... Zauważyłam nawet konstrukcje piętrowe jak torty jakiegoś szalonego cukiernika.

Przeważały jednak wielkie kapelusze z rondami szerokości bieżni na stadionie olimpijskim, udekorowane piórami, koronką, tiulem, lśniącoymi tasiemkami i kamyczkami, a nawet dziwacznymi wiklinowymi wyplatankami, rzecz jasna intensywnie czerwonymi... Był też kapelusz jak gigantyczna, w pełni rozwinięta róża z setką płatków. Na oko miał około metra średnicy... i metra wysokości.

Wszystkie te kobiety nosiły też suknie w najróżniejszych odcieniach fioletu

i purpury.

Zupełnie jak w tym wierszu!

A przede wszystkim: wszystkie były roześmiane, szczęśliwe i wyglądały trochę tak, jakby właśnie wybierały się na bal maturalny albo jakieś szalone wesele.

Przeleciałam wzrokiem informacje o Stowarzyszeniu. O tym, że działa w ponad trzydziestu krajach, ma ponad siedemdziesiąt tysięcy członkiń, a jego jedynym celem jest wspieranie przyjaźni między kobietami i dostarczanie im okazji do dobrej zabawy.

Tylko wciąż nie wiedziałam, dlaczego w moim wieku nie wolno nosić czerwonego kapelusza. Czyżby były zarezerwowane dla emerytek?

Zanim zdążyłam przeczytać coś na ten temat, Natalia pojawiła się znowu obok mnie, gotowa do wyjścia.

– Muszę zaraz zadzwonić do Szprota – oznajmiła, wsiadając do szpitalnej windy, której większą połowę zajmowało wysokie łóżko z poręczami, na którym leżał brodaty mężczyzna. Wciśnięta w kąt windy pielęgniarka przesunęła je jeszcze trochę, żebyśmy zmieściły się obok. Mężczyzna chyba spał, powiedziałam więc, ścisząc głos:

– Natalio, nie czujesz się najlepiej... Musisz odpoczywać, a nie prowadzić śledztwo. Policja poradzi sobie z tą sprawą, wcześniej czy później...

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć, jak zginął Maks? – Potrząsnęła głową ze zdumieniem. – I dlaczego ktoś włożył tyle wysiłku w to, żeby zrzucić winę na ciebie? Ja już to wiem... Wbrew pozorom to nie był drobiazgowo przygotowany plan morderstwa doskonałego, ale zbrodnia w afekcie, powodowana ogromnymi emocjami.

– Miłość? – wstrzymałam oddech. – Zawiedziona miłość? Ale kto... Kto oprócz mnie mógłby...

Czyżbym znowu awansowała na główną podejrzaną?

To już stawało się nudne. Jeśli nic się nie zmieni, spędzę w więzieniu resztę życia i będę mogła zrobić sobie najwyżej czerwony kapelusz z naleśnika i sosu pomidorowego, kiedy, rzecz jasna, osiągnę odpowiedni wiek.

Nie była to zbyt optymistyczna perspektywa.

– To nie była miłość – westchnęła Natalia. – Nawet zawiedziona. Maks zginął, bo kogoś zlekceważył. Oszukał, wykorzystał do swoich celów, potraktował jak idiotę.

– Zdaje się, że często tak właśnie traktował ludzi – uśmiechnęłam się krzywo, kiedy winda zatrzymała się na drugim piętrze. Trzy osoby próbowały się do niej wcisnąć, ale zrezygnowały, widząc brodacza na wielkim łóżku.

Winda z krótkim szarpnięciem ruszyła powoli w dalszą drogę.

– Doigrał się – powiedziała Natalia. – Nie docenił tym razem przeciwnika.

Był zbyt pewny siebie i dlatego skończył z nożem wbitym w brzuch aż po rękojeść.
Brodacz jednak nie spał. Gwałtownie otworzył oczy i dźwignął się z pościeli.
Winda zahamowała, wyjąc potępieńczo.
– Życzę dużo zdrowia... – Natalia uśmiechnęła się do mężczyzny i jego pielęgniarki od ucha do ucha i jako pierwsza wypadła z windy.
Najwyraźniej wracała do formy. Na przekór medycynie.
Z ulgi prawie ugięły się pode mną nogi.
Opanowałam się jednak i popędziłam za nią. Bardzo chciałam się dowiedzieć, co wymyśliła.

NATALIA

Od początku wiedziałam, że to musiał być ktoś z otoczenia Niny. Było to jasne chyba dla wszystkich, którzy choć przez moment zastanawiali się nad sprawą tego morderstwa.

I dlatego przez chwilę próbowałam nie angażować się w ogóle w szukanie rozwiązania, stać trochę z boku...

Nie powstrzymałam się jednak. Mój mózg pracował nawet wtedy, kiedy nie chciałam. Nawet za kierownicą, we śnie, w szpitalu...

Właśnie w szpitalu zobaczyłam jasno, w ułamku sekundy, jak to było.

Teraz musiałam tylko porozmawiać ze Szprotem.

I to raczej bez Niny.

Wciąż nie byłam pewna, kto wbił nóż w pierś, czy może w brzuch, Maksymiliana, wiedziałam jednak, dlaczego to zrobił. Zdjęcia guzików, noże, filmiki, wszystkie elementy nagle wskoczyły we właściwe miejsca.

– Chcesz mnie spławić? – Nina szybko zrozumiała, co próbuję zrobić. – Nie wydaje ci się, że to trochę jednak mnie dotyczy?

– Właśnie dlatego, że cię dotyczy, chciałabym oszczędzić ci kilku szczegółów... – Wiem, że nie brzmiało to przekonująco. – Uwierz mi, tak będzie lepiej. Uwierz mi, bardzo cię proszę.

Zmierzyła się ze mną wzrokiem. Wytrzymałam. To ona musiała spuścić te swoje zielone oczy jako pierwsza.

Mimo to nie zrezygnowała ze swojego planu.

– Idę z tobą – oświadczyła twardo. – Muszę wiedzieć wszystko, żeby się z tym zmierzyć i nie zwariować. Rozumiesz mnie? Wiem, że tak. Byłaś w podobnej sytuacji, prawda?

Byłam, tak. Zaledwie kilka miesięcy temu. Misternie spleciona intryga mogła mnie wsadzić za kratki na resztę życia. I też chciałam wtedy poznać całą prawdę, odkrywałam ją warstwa po warstwie, nie bacząc na ból, który mi to sprawiało.

Rozumiałam Ninę i faktycznie chyba nie mogłam jej odmówić.

– Nie mam żadnej pewności, że moje przypuszczenia są słuszne – zastrzegłam jeszcze, a potem wybrałam numer Baltazara Szprota.

Oczywiście, jak zwykle, był gotowy spotkać się z nami w każdej chwili. Bez względu na pozostałe zobowiązania.

– Taksówka już czeka – oświadczyła Nina, kiedy wychodziłyśmy z ponurego gmazyska. Najwyraźniej uważała, że nie powinnam prowadzić dwie minuty po wypisaniu mnie ze szpitala.

Pokręciłam głową.

– Proszę na lotnisko – powiedziałam taksówkarzowi, zanim Nina zdążyła podać mu adres komendy.

Oczywiście próbowała protestować, tym razem jednak nie zamierzałam jej ustąpić nawet na milimetr.

– Nie znoszę jeździć jako pasażer – oświadczyłam. – Zawsze mam wtedy mdłości. A czuję się zupełnie normalnie, ten twój doktorek na pewno powiedział ci to samo. Nic mi nie jest. Nic więcej niż rok, dwa, pięć czy dziesięć lat temu. Mogę więc spokojnie usiąść za kierownicą. Mój samochód stoi wciąż na parkingu przy lotnisku, to tylko kilka minut drogi ze szpitala...

– Ale...

Nie słuchałam już jej protestów. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do Szprota i zrzucić z siebie ten ciężar.

Dziesięć minut później pędziłyśmy już moim fiacikiem z Okęcia na Mokotów.

– Jedziesz jak pirat! – krzyknęła Nina na pierwszym zakręcie. – Zabijesz nas obie! Natalio! Natalio, na miłość boską...

Już dawno ze mną nie jeździła. I zapomniała, biedaczka, że moja podkręcana mandarynka 126p lubi czasami poszaleć. Zwłaszcza na takiej milej, prostej, idealnie wyasfaltowanej drodze, jak ta.

I szczególnie wtedy, kiedy muszę przemyśleć kilka istotnych spraw.

[1] Wiersz Jenny Joseph przetłumaczyła Julia Wolin.

ROZDZIAŁ 24

POZA PROTOKOŁEM

*Odkąd cię poznałam, noszę w kieszeni szminkę
to jest bardzo głupie nosić szminkę w kieszeni
gdy ty patrzysz na mnie tak poważnie,
jakbyś w moich oczach widział gotycki kościół.
A ja nie jestem żadną świątynią*

Halina Poświatowska, ***

NATALIA

Szprot zszedł po nas do biura przepustek, błyskawicznie załatwił formalności, po czym poprowadził nas korytarzem do swojego pokoju.

W środku stały trzy biurka, na jednym dostrzegłam nawet kubek z gorącą, parującą jeszcze herbatą. Osoby, która ją zaparzyła, nie było jednak w pomieszczeniu.

– Będziemy mogli tutaj spokojnie porozmawiać – uśmiechnął się Szprot, łowiąc moje spojrzenie. – Koledzy poszli przed chwilą do szefa, na zebranie...

Moim zdaniem szef nie zwołał żadnego zebrania. Pozostali policjanci wybiegli z pokoju w popłochu na prośbę Szprota. Chciał rozmawiać z nami bez świadków.

I bardzo słusznie.

– To nie mogła być jedna z sióstr Niny – oświadczyłam bez żadnych wstępów.

Szprot wskazał mi ręką krzesło, nie odzywając się ani słowem.

– To nie mogła być żadna z... – powtórzyłam nieco głośniejszym głosem.

– Słyszałem, co pani powiedziała – wyjaśnił. – I czekam na ciąg dalszy. Bo jeżeli przyjechały panie zapewnić mnie jeszcze raz, że nikt nie wychodził z apartamentu wtedy, kiedy zabito pana Łysaka, to... Cóż, wyjaśniałem już paniom, że takie alibi prawdopodobnie nie wystarczy, żeby przekonać sąd o niewinności wszystkich czterech pań. Zeznania członka najbliższej rodziny muszą być traktowane z pewną dozą nieufności.

– Nie chodzi o zeznania, tylko o racjonalne myślenie – wypaliłam, chyba niezbyt kulturalnie. Przez całą drogę układałam sobie w głowie tych kilka zdań, które chciałam powiedzieć. Zależało mi, żeby były jak najprostsze... żeby stanowiły ciąg logiczny, wypływały jedno z drugiego... i żeby Szprot natychmiast w nie uwierzył.

Nie chciałam żadnej długiej dyskusji... Nie teraz, nie z udziałem Niny. Samo słuchanie będzie dla niej wystarczająco bolesne. Niech potrwa więc najkrócej, jak to możliwe.

– Punkt pierwszy: strzały w okno sypialni – zaczęłam, zerkając do notesu. – Nikt chyba nie sądzi, że mogła to zrobić osobiście któraś z sióstr Drop. W czasie, gdy padły strzały, Marię i Konstancję widziało w hotelowej restauracji kilkudziesiąt osób, Ludwika i Nina zwiedzały zaś Luwr, co na pewno zarejestrowano na muzealnym monitoringu... i pewnie już to państwo sprawdzili.

– Mam wciąż w torebce bilety, a na nich jest chyba nadrukowana godzina wydania – przypomniała sobie nagle Nina.

– Poczekaj – poprosiłam. – To chyba nie będzie potrzebne... Mamy tutaj punkt drugi, czyli zamontowanie kamerki w ramie lustra.

– Ja na pewno nie umiałabym... – zaczęła znowu Nina.

Przysunęłam krzesło i położyłam jej rękę na ramieniu.

– Poczekaj. Posłuchaj spokojnie tego, co mam do powiedzenia...

Nina westchnęła ciężko i wyszeptała:

– Dobrze. Nie będę się już odzywać.

Mówiłam więc dalej:

– Nie wiem, co pokazał monitoring i czy udało się potwierdzić, że do pokoju przyszły dwie niezależne od siebie ekipy, jedna hotelowa, w bordowych uniformach, i jedna w czarnych kombinezonach, prawdopodobnie fałszywa... Nie wiem, czy da się udowodnić, że żadna z sióstr Niny nie posiada dostatecznych umiejętności technicznych, żeby taką kamerę zainstalować.

– Kostka dałaby radę – powiedziała żałośnie Nina. – Ona montuje klimatyzację i inne cuda tym swoim kotom...

– Nie protokołuje pan tego, prawda? – Spojrzałam podejrzliwie na Szprota.

Pokręcił głową.

– Ja już od dawna nie protokołuję niczego, co panie mówią... – uśmiechnął się ciepło, choć wyraźnie zaczynał się niecierpliwić. Nie wiedział przecież ciągle, do czego ma prowadzić ten mój wywód.

Postanowiłam jak najszybciej przejść do sedna sprawy.

– Nie chodzi o to, czy siostry Niny miałyby okazję i umiejętności, żeby założyć kamerkę. Chodzi o to, że one tego do niczego nie potrzebowały. Były w tym apartamencie, doskonale wiedziały, co Nina na siebie zakłada, miały dostęp do jej szafy... Jeżeli chciały się pod nią podszyć, mogły zdjąć z wieszaka dowolne spodnie, marynarkę albo płaszcz, zamiast knuć misterną intrygę ze strzelaniem w okno po to, żeby wdrzeć się do pokoju i zainstalować kamerkę. To naprawdę było im zbędne.

Szprot z uznaniem pokiwał głową.

– Też przyszło mi to do głowy – przyznał. – Ale ciągle nie znajduję innego wyjaśnienia.

– Zaraz do tego dojdziemy – mruknęłam niecierpliwie. – Na razie jest jeszcze coś, co potwierdza moją teorię. Osoba, która podszyła się pod Ninę, nie znała zbyt dobrze jej zwyczajów ani stylu. Podrabiała go automatycznie, mało finezyjnie. I dlatego zrobiła przynajmniej jeden naprawdę głupi błąd.

Spojrzał na mnie zdezorientowany. Pewnie przypuszczał, że mam na myśli jakieś szczegółły niezrozumiałe dla przeciętnego mężczyzny. Zestawienie, na które Nina nigdy by się nie zdecydowała: dwóch gryzących się ze sobą odcieni fioleto, kropek i kratki albo srebrnych kolczyków założonych do złotego naszyjnika.

– Nie jestem ekspertem w kwestiach mody – mruknął Szprot.

– Ja też nie – zapewniłam go szybko. – Ale odróżniam spodnie od gołych łydek. I wiem, że Nina chodzi w zasadzie wyłącznie w spodniach, poza wielkimi galowymi wyjściami. Na obu filmach zaś ma gołe łydki.

- Gołe albo w rajstopach – uściślił Szprot.
- Albo w rajstopach – zgodziłam się bez wahania.

Nina znowu otworzyła usta, żeby coś wtrącić, ale nie dopuściłam jej do głosu.

– Na pierwszym nagraniu z monitoringu, tym z wczesnego poranka, jest faktycznie Nina. Potwierdziła to swoimi zeznaniami, z pewnością policja przepytала też recepcjonistów i taksówkarza... no i obejrzała hotelowy monitoring.

Szprot pokiwał głową i oświadczył triumfalnie:

– Wszyscy zgadzamy się, że na tym filmie jest pani Antonina... i jej łydki. A więc dlaczego na drugim filmie łydki miałyby świadczyć o tym, że to nie jest pani Antonina? Przepraszam, ale nie nadażam za tym tokiem rozumowania.

– Piżama – szepnęłam.

I wyjaśniłam mu, tym razem dopuszczając już Ninę do głosu, że wybiegła z hotelu w płaszczu narzuconym na piżamę, bo wszystkie jej ubrania znajdowały się w pokoju Kostki.

– Bardzo się starałam nie obudzić żadnej z moich siostr – dodała Nina cicho.

– To była naprawdę zupełnie wyjątkowa sytuacja. Po południu raczej nie chodzę w piżamie, a innych, równie krótkich ubrań z Warszawy do Paryża nie zabrałam. Nie gustuję w spódniczkach mini, na szorty o tej porze roku też nie miałam ochoty...

Szprot zamyślił się na moment, a potem wypalił:

– Może więc poszła pani do byłego narzeczonego w samej bieliźnie... lub bez niej... okryta tylko płaszczem?

Przez ułamek sekundy byłam pewna, że Nina uderzy go w twarz...

NINA

Z prawdziwym trudem powstrzymałam się przed strzeleniem Szprota w pysk.

W bieliźnie! Albo i bez niej! Czy on zwariował? Po tym wszystkim, co zrobił Maks, ja miałabym latać goła po Paryżu?

Zwariował, naprawdę.

– Wyjaśnienie, które panie podały, jest tak głupie (to znaczy, przepraszam, zabawne) i... tak mało prawdopodobne, że chyba muszę je przyjąć – powiedział po chwili, wyraźnie rozbawiony. – Są panie przecież bardzo inteligentnymi osobami i z pewnością byłyby panie w stanie wymyślić coś znacznie lepszego niż ta piżama.

– Nasze wytłumaczenie jest tak złe, że aż dobre? – uśmiechnęła się Natalia.

Clooney w mundurze pokiwał głową, po czym stuknął długopisem w swój czarny notatnik.

– No dobrze. Powiedzmy, że wszystko, co pani powiedziała, pani Natalio, brzmi logicznie i prawdopodobnie. Panie Drop nie montowały kamery i nie

drukowały odbitek z powiększonymi guzikami i kolczykami, bo nie miały żadnego powodu, żeby to robić. Pani Antonina jest na pierwszym nagraniu, ale na drugim już nie, czego dowodzi fakt, że ma gołe łydki... bądź też cienkie rajstopy. Bo ktoś skopiował jej wygląd z pierwszego filmiku, nie mając pojęcia, że to nie była zamierzona stylizacja, tylko... Jak to panie nazwały? Szczególne okoliczności? Ale co dalej? Wyeliminowaliśmy wszystkich podejrzanych i co? Mamy uznać, że pan Łysak sam wbił sobie nóż w brzuch, a potem dokładnie go wytarł i posprzątał wszystkie ślady?

– Poniekąd tak właśnie się stało – powiedziała cicho Natalia. – Nie, nie zamierzam panu wmówić, że to było samobójstwo. Chcę tylko powiedzieć, że pan Łysak uknuł to wszystko... Wszystko oprócz własnej śmierci.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, ja czy Szprot.

Obydwoje wpatrywaliśmy się tępo w Natalię, nie bardzo wiedząc nawet, jakie pytanie pomocnicze moglibyśmy zadać.

Natalia mówiła więc dalej, starannie unikając mojego wzroku:

– Maksymilian dowiedział się, co chcecie zrobić. To znaczy, co chcą zrobić twoje siostry. Przejrzał ich plan. Nie pytaj mnie, jak... Może miał w SIS-4 kogoś, kto doniósł mu, że wyjeżdżacie do Paryża... Może znowu zyskał dostęp do zawartości komputera którejs z was, jak wtedy, na Czarcim Cyplu... Nie mam żadnych dowodów, to tylko przypuszczenia... Zresztą może on sam zaaranżował wasz przyjazd? Bo czy to nie dziwne? Przez tyle miesięcy nie dawał się wyśledzić, a teraz nagle miałby stracić czujność? Może pozwolił wam poznać swoje plany, zbliżyć się do fabryki, którą zamierzał przejąć...

– Każdy czasami popełnia błąd – powiedziałam bez przekonania.

Natalia pokiwała głową.

– Oczywiście, że każdy. Ale w tym przypadku... Nie mam pewności, lecz sądzę, że was do Francji zwabił. Podsunął wam z pełną premedytacją informacje o swoich planach, bo chciał, żebyście tu przyjechały. Żebyś TY przyjechała do Paryża i zaangażowała się w tę historię.

– Ale po co?! – Nie rozumiałam.

– Żeby cię wykończyć. Ostatecznie skompromitować. Skłócić z Hamishem, a może i z siostrami albo pozostałymi kontrahentami. Po to właśnie były te zdjęcia z Bistrot Vivienne. I noże z twoimi odciskami palców.

– No właśnie, noże... – Spojrzałam na Szprota, rozpaczliwie szukając u niego pomocy. – Po co mu były te noże?

Natalia odpowiedziała, zanim zdążył otworzyć usta:

– Chciał cię zrobić w coś grubego. Może nawet w morderstwo. Ale nie zdążył...

– ... bo ktoś go zabił – dokończył gliniarz.

Natalia pokiwała głową.

– Z nagrania wynika, że zamordowałam go ja – pisnęłam nerwowo. – Ja albo ktoś, kto włożył mnóstwo wysiłku w to, żeby się do mnie upodobnić. Czyli co? Najpierw ta kobieta pomagała mu we wszystkim, pozowała do zdjęć... a potem go zadźgała? Przebrana za mnie?

Natalia znowu przytaknęła.

– To tylko moje przypuszczenia – zastrzegła od razu. – Nie mam pojęcia, co ją tak zdenerwowało, ale odnoszę wrażenie, że to było morderstwo w afekcie. Wściekła się na niego, bo poczuła się oszukana.

– Pewnie chodziło o podział zysków – podpowiedziałam. I zaraz potrząsnęłam głową. – Ale przecież na razie nie było mowy o żadnych zyskach! A więc...

– A więc musiało chodzić o coś innego. Tego możemy się dowiedzieć wyłącznie od niej samej.

– Tylko kim ona jest? – westchnęłam.

Natalia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Być może to aktorka... obca osoba, wynajęta przez Maksa, żeby się w ciebie wcielić. Mam jednak przeczucie... Sama nie wiem, z czego ono wynika... Mam przeczucie, że ona była zaangażowana w tę sprawę emocjonalnie. I dlatego na końcu aż tak się wściekła.

– Musiała bardzo mnie nienawidzić – szepnęłam, przerażona myślą, która nagle zaległa mi się w głowie.

Konieczmie musiałam porozmawiać szczerze z moimi siostrami. Bez żadnych świadków. Chyba nareszcie już było mi wolno to zrobić?

Naprawdę musiałam z nimi pomówić. I to jak najszybciej.

NATALIA

Podwoziłam Ninę, bladą i dziwnie milczącą, pod siedzibę SIS-4, po czym ruszyłam moją mandarynką na północ.

Tęskniłam już za domem. Za moją pracą, za Makssem...

Za Wiktorem?

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

Ostatnie miesiące były dla nas trudne. Przyjazd Stefana, SMS-y, którymi mnie zasypywał, jego ogniste przemówienie w Sztokholmie... To wszystko zachwiało przekonaniem Wiktora, że kocham jego i tylko jego. Sprawilo, że na zmianę to wycofywał się, uciekał w sprawy swojej firmy, do Gdańska, Poznania czy na Kretę, to znowu niemal nosił mnie na rękach, nie odstępując na krok i próbując odgadnąć każdą moją myśl.

Sama nie wiedziałam, co było bardziej męczące.

Ja też, odczytując kolejne SMS-y, musiałam zadać sobie wiele pytań. Czy chciałabym wejść jeszcze raz do tej samej rzeki? Zatonąć w ramionach Stefana

choć na chwilę? Obudzić się, patrząc znowu w jego oczy? Jeszcze raz wdrapać się na wieżę Notre Dame i całować się tam do utraty sił, tak jak pół wieku temu?

Odpowiedź brzmiała: nie.

Zbyt wiele lat już minęło, za dużo wydarzyło się w moim i w jego życiu. Zbyt wiele spraw trzeba byłoby wyjaśnić, sprawiając ból, znowu i znowu.

Przez chwilę, po śmierci jego żony, wydawało mi się, że mogłabym podjąć jeszcze jedną próbę. Ale potem dowiedziałam się, że Dorota umarła z powodu naszej miłości... Naszego spotkania po latach, źle odczytanego sensu kilku słów...

Każde kolejne spotkanie jątrzyłoby jakieś rany. Nie chciałam tego robić.

Nasz czas po prostu już się skończył.

Wiktor jednak nie miał o tym pojęcia. Zamierzałam usiąść z nim wieczorem i wreszcie spokojnie porozmawiać. Zawalczyć o nasz związek, wyjaśnić nieдомówienia, rozwiązać lęki... Albo dać wolność sobie i jemu, jeśli uznamy, że tak będzie najlepiej.

ROZDZIAŁ 25

WRESZCIE U SIEBIE

Koledzy śmiali się ze mnie,

Że skrzydła sobie przypiąłem;

Nikt nie wie, jak nieprzyjemnie

Być dziś aniołem.

Jan Brzechwa, *Anioł*

NINA

Z wielką ulgą otworzyłam drzwi do SIS-4. Nareszcie w domu. Nareszcie

u siebie, tu, gdzie to ja dyktuję zasady, gdzie wszystko jest jasne...

Mogłam w końcu głęboko odetchnąć i zająć się znowu pracą.

Nie, stop.

Najpierw rozmowa z dziewczynami, a dopiero potem praca.

Ta sprawa musiała wreszcie zostać wyjaśniona do końca. Dziwna, straszna myśl, która dopadła mnie nagle w gabinecie Szprota, na szczęście już zniknęła. To było niemożliwe... Po prostu niemożliwe. Moje nerwy musiały być w strzępach, skoro wymyśliłam coś aż tak idiotycznego...

Zamierzałam więc poszukać innego wyjaśnienia. I dowiedzieć się, kim była kobieta, która nienawidziła mnie tak bardzo, że postanowiła zamienić moje życie w piekło, do spółki z Makssem.

– Dzień dobry – rzuciłam w stronę recepcjonistki.

Nie miałam pojęcia, czy widziałam ją już wcześniej. Wszystkie zlewały mi się w jedną, wystraszoną, nadmiernie wymalowaną twarz.

Dziewczyna poderwała się z miejsca.

– Dobrze, że pani wróciła – szepnęła, rumieniąc się po czubek głowy.

Przesłałam jej coś na kształt uśmiechu.

– Proszę powiadomić moje siostry, że już jestem i czekam na nie u siebie. – Ach, jak miło było znowu wydawać polecenia i mieć pewność, że zostaną niezwłocznie wypełnione. – Proszę też zadzwonić do Konstancji i poprosić, żeby natychmiast tutaj przyjechała.

– Pani Konstancja już tu jest. – Rumieniec stał się teraz buraczkowy. – Wszystkie panie Drop są tutaj, w pani gabinecie.

W moim gabinecie??? Moje siostrzyczki zajęły MÓJ gabinet tylko dlatego, że zostałam kilka dni dłużej w Paryżu? Nie z własnej woli przecież, tylko przez ten ich głupi pomysł z zemstą na Maksie!

Już ja im powiem, co myślę o takim zachowaniu!

Z impetem otworzyłam ciężkie drzwi z grubej tafli mlecznego szkła.

I przestałam rozumieć cokolwiek.

Na środku mojego gabinetu Lutka kręciła się w kółko, śmiejąc się perliście. A pod ścianą stały Kostka i Mańka z rozanielonymi minami.

– Cudownie wyglądasz – szepnęła Kostka.

I aż pisnęła, widząc, że stoję w drzwiach.

Lutka też mnie dostrzegła. Zastygła nagle, dosłownie w pół gestu, z jedną ręką uniesioną nad głową.

– Ożeż kurwa mać – syknęła Mańka. Po czym zamarła w bezruchu, tak jak siostry.

Przypominały kadr z jakiegoś starego filmu.

– Co ty masz na sobie? – zapytałam, nie wierząc własnym oczom. – To moja suknia ślubna... Moja cholerna suknia przynosząca pecha. Miałyście ją sprzedać!

Zapewniałyście, że się jej pozbyłyście raz na zawsze.

– Pozbyłyśmy się – wycodziła Mańka, miotając wściekłe spojrzenia. – Schowałyśmy ją głęboko w szafie Lutki i... właśnie wyjęłyśmy.

– Ona nie przynosi pecha. – Lutka zdołała znowu się poruszyć i opuścić tę głupio sterczącą prawą rękę. – Ja wezmę w niej ślub i będę najszczęśliwsza na świecie.

– Co zrobisz? – Nie rozumiałam. – Weźmiesz ślub? Ale z kim?

Żadna nie odezwała się ani słowem.

Czy to też był jakiś sekret? Najgorszy z możliwych?

– Niech zgadnę – jęknęłam...

Ale niestety, nie umiałam odgadnąć, kim jest szczęśliwy narzeczony. Lutka nie miała przecież życia prywatnego. Lutka miała firmę. Tylko firmę. Poświęcała jej każdą wolną chwilę...

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się znowu i w progu stanęła zarumieniona Agnieszka.

– Szczepan już tu jest! – szepnęła, podskakując z ekscytacji. – Powiedziałam mu, że musi pilnie iść do kadr, bo przecież nie może cię zobaczyć w tej sukni. To przynosi pecha, nie możesz mu się pokazać w niej przed ślubem!

– Słucham? – wycodziłam, przytrzymując się ściany. – Szczepan?

– Szczepan, no tak! Wrócił z urzędu celnego godzinę wcześniej. Ściągaj, Lutka, szybko tę kieckę... O, Ninka, cześć! – Agnieszka dopiero teraz mnie zauważyła. – Ninka? Cholera jasna...

NATALIA

W połowie drogi, mniej więcej w okolicach zjazdu z autostrady na Toruń i Bydgoszcz, przyszło mi do głowy rozwiązanie.

Pasowało do wszystkich faktów, które znałam. Do tego, co się stało w Paryżu. Do tego, co opowiadała czasami Nina, zawsze niechętnie i półsłówkami. I do całej mojej wiedzy o Maksie i jego bezwzględny knuciu.

Wszystko układało się w logiczną, kompletną całość. Było jednak tak okropne, że wołałam na razie uznać takie rozwiązanie za niemożliwe. Przemyśleć je jeszcze raz, po przyjeździe do domu.

Kiedy przekręciłam klucz w moich wypaczonych, drewnianych drzwiach, natychmiast zapomniałam jednak o Paryżu, Ninie i wszelkich zagadkach.

Powitała mnie bowiem złowroga cisza. Maks nie biegł po schodach, nie skakał na mnie radośnie, nie piszczał i nie kręcił młynków od ściany do okna i z powrotem...

– Maks? – zawołałam.

Znowu cisza.

– Maks?

Na schodach pojawił się Wiktor.

Wyglądał o dziesięć lat starzej niż kilka dni temu. Wyglądał, jakby przed momentem zabił kogoś, kogo naprawdę bardzo kochał.

– Nie ma już Maksa – powiedział niemal bezgłośnie. – Zawiodłem cię, przepraszam... Tak strasznie cię zawiodłem...

Serce stanęło mi w gardle.

– Wpadł pod samochód? – zapytałam głupio. Maks był najmądrzejszym psem na świecie. Nie mógł wpaść pod samochód. Słyszał każdy szelest, był uważny, skupiony... Nie wierzyłam, że tak po prostu zginął pod kołami. Nie on. Nie, nie, nie.

Wiktor pokręcił głową, po czym mocno przytulił mnie do siebie.

– Przyjechał jego właściciel – szepnął. – Szukał go od roku... Nie wypadało się z nim kłócić, nie mogłem zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Miał wszystkie dokumenty.

– Jakie dokumenty? Jakie do cholery dokumenty może mieć bezpański kundel, uratowany w ostatniej chwili przed rakerzem?! – Chyba krzyczałam. Chyba nawet było mnie słychać na ulicy. Ale w tej chwili nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Wiktor odczekał dłuższą chwilę, a potem kontynuował:

– Wiesz, to jest pies policyjny. Spod Zielonej Góry. Ukradziony i wywieziony w czasie jakiejś akcji...

– Pies policyjny? – Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. – Psy policyjne to owczarki albo inne sznaucery. Nie takie małe, łaciate kundelki jak Maks.

– Właśnie ten jego niepozorny wygląd, drobna sylwetka, fakt, że potrafi wszędzie się wcisnąć i pozostać niewidzialnym dla ludzi, stanowiły ogromny atut. Tak to przynajmniej tłumaczył tamten facet. Wyszkolenie go kosztowało fortunę. Pracował z wydziałem kryminalnym... Był jedynym takim psem w województwie, jeździł ze swoim przewodnikiem wszędzie, gdzie był potrzebny, pomagali straży granicznej, dostali medal od wojewody i...

– Wystarczy – jęknęłam, przywierając do niego jeszcze mocniej. Nie chciałam już słyszeć ani słowa o sukcesach Maksa. Chciałam po prostu przez moment pogрузić się w rozpacz. Straciłam przyjaciela.

Najmądrzejszego i najwierniejszego.

Wiedziałam, oczywiście, że nie należał tak naprawdę do mnie. Pojawił się nagle, pod tężniami i... równie nagle zniknął.

– Mam nadzieję, że to dobry człowiek... że Maks ucieszył się na jego widok – szepnęłam.

Wiktor nie przytaknął. I nie spojrzał mi w oczy.

A więc Maks wcale się nie ucieszył. Nie machał ogonem we wszystkie strony i nie kręcił młynków po całym domu, piszcząc radośnie.

On wcale nie chciał wyjeżdżać.

Chciał być mój. Wybrał mnie... A ja go zawiodłam.

– Gdybym tutaj wtedy była – zaczęłam, ale zaraz potrząsnęłam głową. – Co by to zmieniło? Nie mogłabym go zatrzymać. To cenny pies, wart ogromne pieniądze... Nie mogłabym....

Zaczęłam płakać, a Wiktor nie przeszkadzał mi w tym, nie pocieszał, tylko tulił mnie mocno do siebie, gładząc po twarzy.

– Nie mogłem odebrać telefonu wtedy, kiedy dzwoniłaś z Paryża – powiedział w końcu. – Rozumiesz? Nie chciałem, żebyś się dowiedziała o tym z dala od Helu... To dlatego pisałem zdawkowe SMS-y. Nie chciałem łamać ci serca, nie mogąc wziąć cię w ramiona...

NINA

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

Lutka uciekła przed moim spojrzeniem i zaczęła w wielkim skupieniu studiować rysę na okiennej ramie.

– Zamierzałaś W OGÓLE mi powiedzieć?

– Nie.

Czy ja się przesłyszałam?!

– Nie chciałaś mnie zaprosić na ślub?

– Chciałam... Oczywiście, że chciałam... – Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. – Ale uznałam, że to nie byłoby rozsądne. Bałam się, że rozpętasz piekło i zniszczysz całą ceremonię. Postanowiłam więc, że powiemy ci, kiedy już będzie po wszystkim, na jakimś obiedzie, z dala od ludzi...

– A co on... Co Szczepan sądzi o tej decyzji? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Od początku uważał, że powinnaś wiedzieć o naszym związku.

– Tylko że gdybym wiedziała, musiałby odejść z pracy... Jak wszyscy w SIS-4, którzy wiążą się z kimś z naszej firmy – powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał chłodno i profesjonalnie. – Nie robimy żadnych wyjątków, nawet dla tych, którzy są z nami od pierwszych dni... Dla tych, którzy są jak Sebastian, Aga, no i... Szczepan.

– Oczywiście, że o tym wiedział – mruknęła Lutka, zaciskając usta. – Widział wiele złamanych karier... Wiele par, które się rozpadały przez tę presję, przez te twoje niezłomne zasady. A jednak chciał ci powiedzieć. Kocha SIS-4 i ludzi się, że ten jeden raz zachowasz się po ludzku i nie każesz mu wybierać: firma albo miłość. To ja zmusiłam go do trzymania wszystkiego w sekrecie tak długo, jak się dało. Fatalnie to znosił... To ukrywanie się przez tyle lat.

Przez tyle lat???

– Od kiedy to trwa? – jęknęłam.

– Trzy lata. Trzy lata i dwa miesiące – wyjaśniła Lutka, upychając suknię w szafie na dokumenty. W MOJEJ szafie na dokumenty, w MOIM gabinecie!

Trzy lata i dwa miesiące.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, jaki to ogrom czasu. Policzyłam powoli, żeby się trochę uspokoić. Trzy lata i dwa miesiące. Trzydzieści osiem miesięcy. Sto sześćdziesiąt cztery albo sto sześćdziesiąt pięć tygodni. Czyli... ponad tysiąc dni.

– Jakim cudem ukrywaliście swój związek przed całym światem przez tysiąc dni?!

– Tysiąc sto sześćdziesiąt jeden dni – sprecyzowała Lutka, opierając się plecami o ścianę i zakładając ręce na piersi w obronnej pozycji. – To było całkiem proste. Nie ukrywaliśmy się przed światem, tylko przed tobą. A świat bardzo nas w tym wspierał.

Znowu musiałam przez moment przetrwać to, co powiedziała.

– Wszyscy wiedzieli? Wszyscy oprócz mnie? – zapytałam.

Moje siostry pokiwały głowami jak te cholerne gliniane aniołki siedzące na schodkach przy szopce. Pierdolone blond aniołki w niebieskich sukieneczkach. Babcia dawała nam przy drzwiach kościoła monety i kazała je wrzucić aniołkom w ofierze. I pomodlić się o to, na czym najbardziej nam zależy.

Złotówka za zdrowie dziadka... Bóg zapłać.

Dwa złote za same piątki w szkole... Bóg zapłać. Gliniana główka opada w dół i wraca na swoje miejsce, lekko podrygując.

No to podnosimy stawkę. Pięćzłotówka, żebyśmy wreszcie mogły mieć kolorowe buty i płaszczyki zamiast tej upiornej – szalenie eleganckiej – czerni i szarości.

Bóg zapłać.

Aniołek uśmiechał się smutno, jakby chciał powiedzieć: „Nie ma mowy, nie dostaniecie zielonych ani niebieskich butów jak inne dzieci”.

Nie to nie.

Bez łaski.

Babcia stuknęła w zegarek na znak, że już pora wracać do domu.

I wtedy każda z nas wciskała ciężką dwudziestozłotówkę w otwór w skrzyńce trzymanej przez aniołka na kolanach, szepcząc bezgłośnie swoją modlitwę.

Zawsze, przez te wszystkie lata, modliłyśmy się tylko o jedną rzecz.

Lecz nasza modlitwa nigdy się nie spełniła.

Pierdolone gliniane aniołki! To ich wspomnienie... Wspomnienie modlitwy, z którą zawsze stawałyśmy przed tandetną szopką w bocznej kaplicy, uświadomiło mi nagle, kto pomagał Maksowi.

Ponura wizja, która dopadła mnie w gabinecie Szprota, nie była tylko wytworem mojej znerwicowanej, wybujałej wyobraźni.

To była jedyna możliwość.
Pierdolone aniołki!

NATALIA

Siedemnaście czy osiemnaście lat temu, kiedy sprzątałam mój zakład, znalazłam kartkę z krzywo narysowanym serduszkim i napisem:

$R + M = WNM$

Domyśliłam się, że należy do Renatki. Dziewczynki, która przychodziła do „Mewy” po szkole, całymi latami, i błyszczącymi oczami podpatrywała moją pracę. Miałam wtedy nadzieję, że pójdzie do szkoły fotograficznej, a pewnego dnia przejmie mój zakład.

Stało się jednak inaczej. Renatka wyjechała do Gdańska do jakiejś ciotki. Poszła tam do liceum, skończyła inżynierię lądową i wróciła na Półwysep tylko na kilka dni, żeby wziąć ślub ze swoim oficerem tutaj, wśród najbliższych.

Robiłam im zdjęcia... Nie byłam z nich zadowolona. Coś mi się wtedy, w kościele, wymykało. Nie umiałam uchwycić radości, zakochanych spojrzeń państwa młodych. Każdy uśmiech wydawał się krzywy, każde ujęcie ich dłoni wymuszone, upozowane.

Może to była wina marnego światła? Nowego obiektywu, którego nie przetestowałam wcześniej w takich trudnych, deszczowych warunkach?

A może tej zimnej wojny między mną a proboszczem, przekonanym, że demoralizuję cały Hel swoim niesakramentalnym związkiem z Wiktorem? To właśnie wtedy, gdy Renatka i jej świeżo poślubiony mąż odjechali spod kościoła szarym renault, proboszcz zasugerował mi jednoznacznie, że powinnam jak najszybciej wziąć cichy ślub, w dzień powszedni, bez dawania na zapowiedzi, żeby nie wywoływać plotek...

Może już w czasie uroczystości, czując na sobie zimne spojrzenie księdza, nie umiałam skupić się na pracy i zawałam te zdjęcia?

Renatka nie narzekała. Teoretycznie przecież niczego im nie brakowało. Ostrość w porządku, kadrowanie też... Brakowało jedynie magii.

Magii, która powinna być obecna w każdym ujęciu.

$R + M = WNM$

Pamiętam doskonale tamto popołudnie. Stałam z tą karteczką w dłoni na środku zakładu, uśmiechając się pod nosem i myśląc, że to nie do wiary... Kto by pomyślał, że dzieciaki wciąż to robią... Wciąż wycinają serduszka na drzewach i używają skrótu WNM, tak jak moje bratanice dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat wcześniej.

Ciekawa byłam, kim jest tajemniczy M.

Przez moment myślałam naiwnie, że chodzi o moje atelier. Renatka plus „Mewa”, już na zawsze... Szybko jednak pozbyłam się złudzeń. Żadna

piętnastolatka, nawet najbardziej zafascynowana jakąś pracą i marząca o tym, żeby ją wykonywać, nie rysuje krzywych serduszek i nie wyznaje tej pracy miłości.

To musiał być inny M.

Pewnie kolega z klasy, którego nie znałam.

– Fajnych masz chłopców w klasie? – zapytałam dzień czy dwa później.

Wzruszyła ramionami.

– Same barany – odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. – Chłopaki to są barany, nie zauważyła pani? Oni kompletnie niczego nie rozumieją...

To była nasza jedyna rozmowa na tematy męsko-damskie.

Pół roku później Renatka przeprowadziła się do Gdyni. Karteczka została w szufladzie z pamiętkami, wpadała mi w ręce od czasu do czasu... W końcu od dnia, w którym pewna ósmoklasistka narysowała to serce, minęło kilkanaście lat. Sama nie wiem, dlaczego nie wyrzuciłam tego wypłowiałego i pogniecionego papierka. Może ciągle wzruszała mnie szczerłość pierwszego, szkolnego uczucia?

Ciekawe, czy Renatka pamięta jeszcze, kim był pan M.?

Miałam ochotę o to zapytać, ale... To chyba nie był dobry moment.

– Jak miło cię widzieć – powiedziałam po prostu, kiedy pojawiła się nagle w pochmurny wtorkowy poranek w drzwiach „Mewy”. Zmoknięta, zmarznięta, w kapturze zakrywającym drobną buzię.

Nie odpowiedziała.

Poszłam więc nastawić wodę. Życie nauczyło mnie niewielu rzeczy, ale o tym, że kubek ciepłej herbaty z cytryną najlepiej rozwiązuje języki, przekonałam się już nie raz.

Renatce wystarczył jeden łyk, żeby zaczęła mówić. A kiedy już zaczęła, słowa popłynęły szerokim strumieniem. Nie przerywałam jej. Zrobiłam tylko drugi kubek herbaty. A potem trzeci.

– On nie był taki, jak myślałam. Wydawało mi się, że spotkałam księcia z bajki. Jak ja mogłam być tak ślepa? Nie uwierzyłaby pani w to, jak mnie traktował. Wszystko chciał kontrolować. Naprawdę wszystko. Kazał mi zlikwidować konto w banku i zlecić przelew pensji na jego rachunek. Wydziałał mi z niej na zakupy po kilka złotych. Potem nawet to przestał robić. Zamawiałam zakupy przez Internet, a on płacił swoją kartą. Bułki i masło kupował, wracając z pracy. A jak zapomniał, to nie mieliśmy pieczywa...

Potem zaczął przychodzić pod budynek, w którym Renatka pracowała, żeby sprawdzić, czy z nikim nie romansuje. Raz zobaczył ją z szefem, gdy wychodzili razem na spotkanie z klientem. Podbił mu oko, a Renatka straciła pracę...

– Mnie też zaczął bić – powiedziała, pochylając się nad kubkiem herbaty i szepcząc te najtrudniejsze słowa gdzieś w jego wnętrze. – Oczywiście z miłości. Zawsze tak mówił... Ale ja przestałam mu wierzyć. Aż dziś rano... Dziś rano po prostu uciekłam, tak jak stałam.

– I bardzo dobrze. Bardzo dobrze... – Wzięłam ją w ramiona i kołysałam jak małe, bezbronne dziecko. – Tutaj nic ci nie grozi. Jesteś znowu u siebie.

– Jestem znowu u siebie... – powtórzyła, ale nie zabrzmiało to wcale wesoło.
– Myśli pani, że rodzice będą zachwyceni, kiedy się u nich pojawię?

– Nie wiedzą, że wróciłaś? – zapytałam z niedowierzaniem.

Potrząsnęła mokrymi włosami.

– Boję się. Na pewno bardzo ich rozczaruję. Rozwód to wstyd, zawsze tak mówili. Ale najgorsze, że nie mam ani grosza... Z trudem udało mi się nazbierać drobne na bilet autobusowy... Nie mam też pracy... A oni przecież nie zdołają mnie utrzymać.

– Pracę już masz. – Podjęłam tę decyzję w okamgnieniu, powiedziałam to szybciej, niż zdążyłam pomyśleć. – „Mewa” czekała na ciebie przez te wszystkie lata... Zawsze wiedziałam, że byłabyś idealna. Kochałaś to miejsce... Ty jedna kochałaś je prawie tak, jak ja. Możesz zacząć jeszcze dzisiaj. A rozwód...? Cóż, rodzice bardzo cię kochają. Kiedy usłyszą, że cię krzywdził, na pewno staną po twojej stronie. Jeżeli chcesz, porozmawiam z nimi, choćby zaraz...

Renatka podniosła znad kubka swoje wielkie oczy, a na jej twarzy pojawił się cień nadziei.

– Witaj na pokładzie – powiedziałam uroczyście, wyciągając do niej rękę.

– Dziękuję – szepnęła. – Jest pani prawdziwym aniołem...

I znowu zaczęła płakać, tym razem jednak chyba z ulgi, a nie z bólu.

ROZDZIAŁ 26

BAROKOWE OZDOBNIKI

... ale alkohol płynie:

strumyczek krwi.

Ja już wiem, co mnie nie ominie.

Drwij.

Władysław Broniewski, *Na odjezdne*

NINA

Zmieniłam zdanie.

Nie chciałam rozmawiać o tym z moimi siostrami. W ogóle o niczym nie chciałam z nimi rozmawiać, przynajmniej na razie.

Byłam wściekła, że ukryły przede mną związek Lutki i Szczepana, ich wszystkie ślubne plany... Że zamierzały wcale mnie na ten ślub nie zapraszać, żebym nie wywołała skandalu.

Mój Boże, czy to ja byłam teraz naczelną zakałą rodziny? Kłopotliwym gościem, który może zepsuć całą imprezę?

Przez lata rolę tę pełniła nasza kochana mamusia, Genowefa Drop, z domu Kozłowska.

Była oryginalna – powtarzali ci najżyczliwsi z życzliwych. Była wariatką – mówili wszyscy pozostali. Była monarchistką – twierdziła ona sama. Miłośniczką historii Francji sprzed rewolucji. I nie byłoby w tym nic naganego, gdyby tylko to uwielbienie dla epoki trzech kolejnych królów Ludwików nie przybrało nieco karykaturalnej formy...

Formy, która skutecznie zatrwała nasze dzieciństwo i sprawiła, że przez ponad trzydzieści lat omijałyśmy Paryż łukiem najszerszym z możliwych.

Kochana mamusia posłała nas do pierwszej komunii w sukienkach, które uszyła sama z firanek, na wzór tych, jakie nosiła Maria Antonina. Były oczywiście skrojone krzywo i niedbale pozszywane. Strasznie się wstydziliśmy, maszerując nawą główną wśród setek wpatrzonych w nas twarzy.

Kupowała nam marynareczki w stylu Króla Słońce i buciki ze srebrnymi klamerkami, których nie umiałyśmy same zapiąć, nawet mając dziewięć czy dziesięć lat.

Ściany naszego pokoju pokryte były od podłogi po sufit kiczowatymi dekoracjami, naśladującymi jedną z komnat w Wersalu, nieudolnie skopiowanymi z pocztówek.

Tak naprawdę nie przejmowała się rolą matki. Rozczarowałyśmy ją... Żadna nie przypominała Marii Antoniny, żadna nie chciała ćwiczyć tańców dworskich ani się ubierać na czarno... Tylko że w tej sprawie nie miałyśmy naprawdę nic do powiedzenia. Czerni, szarości i antracytu były w naszych szafach jedynymi obowiązującymi barwami. Mamusia nosiła przecież wieczną żałobę po monarchii, a w dodatku nie cierpiała dzieci i ich biegania, tupotu, beztroskiego śmiechu.

Dzieci w czerni wydawały się mniej beztroskie.

Byłyśmy więc dziećmi w czerni. I po pewnym czasie i my, i babcia Krysia, przestałyśmy z tym walczyć.

Historia francuskiej monarchii była jedynym, co interesowało naszą mamę – jedynym oprócz... alkoholu. Podobno kiedyś dużo czytała. Podobno była w Paryżu, i to właśnie tam zaczęło się jej szaleństwo. Ktoś napomknął, że jest podobna do Marii Antoniny. Zapytał żartem, czy jest jej praprapra... wnuczką.

Od tamtej pory nasza matka szukała dowodu na pokrewieństwo z królową.

Grzebała w archiwach, kontaktowała się z różnymi oszustami wyciągającymi z niej ostatnie pieniądze za rzekomy kosmyk włosów królowej, z którego, rzecz jasna, można by pozyskać jej DNA i udowodnić wspólne pochodzenie.

Uczyniła to celem swojego życia.

Nasz dom stał się jakimś cholernym muzeum monarchii.

A potem, stopniowo, zamieniał się w... melinę.

Mama nie wspominała już o tym, że pojedziemy na wakacje do Francji. Kupowała coraz mniej książek i coraz więcej butelek. Wpadała pijana do pracy do ojca, tańczyła na stole przed jego klientami... Wchodziła spóźniona – i, oczywiście, pijana – na zebranie rodziców w naszej szkole, po czym zaczynała pleść coś od rzeczy o Ludwiku XVI.

Nigdy nie wiedziałyśmy, w jakim nastroju będzie za godzinę. Żyłyśmy w ciągłym oczekiwaniu na katastrofę. Nie zawodziła nas. Katastrofa zawsze w końcu nadchodziła, wcześniej czy później.

Fakt, pomiędzy katastrofami starała się być dobrą matką. Na swój sposób, rzecz jasna. Do czasu, kiedy alkohol nie zmienił jej do reszty w osobę, której zaczęłyśmy się bać.

Wtedy do akcji wkroczyła babcia Krysia, czarnowłosa, energiczna, wściekła na cały świat... tak samo, jak dzisiaj Mańka. Były do siebie z babcią podobne jak dwie krople wody.

Na ojca nie mogłyśmy już wówczas liczyć. Wziął rozwód, po czym, dosłownie z dnia na dzień, wyjechał do Ameryki... Twierdził, że nie mógł tam zabrać ze sobą czterech córek – i pewnie było w tym sporo racji. Przysyłał nam pieniądze i wpadał na Wigilię... raz na trzy lata.

Czasami dzwonił na urodziny albo rozmawiał z nami na Skypie.

W gruncie rzeczy był poczciwym facetem. Nigdy nie miałam do niego żalu, nie myślałam, że nas zawiódł, że powinien bardziej się o nas troszczyć.

Nie musiałam się nad tym zastanawiać. Bo przecież miałyśmy babcie. To ona przywróciła naszemu życiu odrobinę radości i stabilizacji, przynajmniej na jakiś czas.

To, że nie rozmawiałam z matką od lat, nie było moją decyzją. Pomimo tego, że mnie okradła... Okradła nas wszystkie nie tylko z normalnego, szczęśliwego dzieciństwa, ale też całkiem prozaicznie, z pierwszych pieniędzy, które zarabiałśmy, z rodzinnych pamiątek... Pomimo tego, że wymusiła na mnie podpisanie dokumentu, którego nie mogłam przeczytać. Straciłam przez to moje pierwsze mieszkanie, małą kawalerkę po dziadku, jedyny majątek, jaki miałam...

Moje siostry też okradła ze wszystkiego. Na różne sposoby.

Rozbiła po pijanemu samochód Mańki.

Zagłodziła trzy koty Kostki, kiedy została z nimi na jedenaście dni...

Tamtego cudownego lata, gdy wydawało się już, że przestała pić – i że wszystko nareszcie będzie dobrze.

Lutce uwiodła narzeczonego. Wielką studencką miłość. Chłopaka, z którym tydzień wcześniej Lutka straciła swoją cenną, długo pielęgnowaną cnotę. Uwiodła go i przeleciała na podłodze w łazience. Ot tak, bo chciała sprawdzić, czy może się spodobać dwudziestotrzyletniemu chłopakowi zakochanemu po uszy w ślicznej, rudowłosej dziewczynie.

To właśnie po tej akcji... Po tym, jak Lutka postanowiła się zabić z rozpacz, powiedziałam matce o kilka słów za dużo.

Uniosła się honorem ten jeden jedyny raz i wyjechała z Warszawy.

Odzywała się regularnie tylko do Kostki. Jedynej, która nigdy nie umiała nikomu odmówić... Zawsze pisała krótkie wiadomości, prosząc o pieniądze. Nie pytała, co u nas słychać. Nie chciała się spotkać. Interesowała ją tylko nasza forsa.

Zadzwoiłam do niej dwa czy trzy razy... Wysłałam kilka SMS-ów... Ostatni raz po wypadku. Po tym, jak Maks wyjechał do Afryki w podróż, która miała być naszą poślubną. Odpowiedziała wtedy zdawkowo: „A nie mówiłam? Z takim imieniem on przecież musiał okazać się zdrajcą”. Myślała oczywiście o Maksymilianie Robespierre. Wróg monarchii był także jej wrogiem...

Piła coraz więcej.

Mańka zacisnęła zęby i załatwiła jej miejsce w jakimś luksusowym ośrodku odwykowym. Z prywatną pielęgniarką i eleganckim apartamentem urządzone w stylu Ludwika XIV.

Nie pojawiła się tam, nawet nie zadzwoniła. Żadna z nas nie wiedziała, gdzie jest. Nie rozmawialiśmy o niej. Byłyśmy pewne, że odezwie się znowu wcześniej czy później, kiedy zabraknie jej pieniędzy.

Nasza modlitwa o to, żeby się zmieniła, żeby przestała pić i stała się taka, jak inne, zwykłe mamy, nigdy nie została wysłuchana. Pierdolone gliniane aniołki kiwały apatycznie główkami, pożerając nasze dwudziestozłotówki i nie dając nic w zamian.

Nie zmieniła się ani trochę. Nie nauczyła się nas kochać.

Nie miała skrupułów, żeby wykorzystywać nas do własnych celów.

A więc... Jaki cel miała tym razem?

Musiałam się tego dowiedzieć. Odszukać ją jak najszybciej. Stanąc z nią twarzą w twarz. I zapytać, dlaczego nienawidzi mnie tak bardzo, że postanowiła zniszczyć mi życie, działając do spółki z Maksymilianem Łysakiem.

Co jej obiecał, że zgodziła się na ten jego chory, okrutny plan?

Musiałam to wiedzieć.

NATALIA

– O czym myślisz? – zapytał Wiktor, zastygając w progu z tacą w rękach.

Dwie filiżanki mocnej, parującej kawy, rogaliki drożdżowe i dwie kostki ptasiego mleczka. Po jednej dla każdego.

– Co to za okazja? – uśmiechnęłam się niepewnie. Ptasie mleczko nie gościło u nas na porannej kawie zbyt regularnie.

Nie odpowiedział. Powtórzył za to bez cienia uśmiechu:

– O czym myślisz?

– O tobie – odparłam szybko. Może za szybko?

Naprawdę myślałam o nim... W pewnym sensie. Nie w takim, w jakim by sobie życzył.

Myślałam o nich obu. I o tym, co wydarzyło się przez ostatni rok. Najdziwniejszy, najbardziej szalony rok w moim życiu.

Wiedziałam, że muszę porozmawiać z Wiktorem. Od mojego powrotu z Paryża chodziliśmy wokół siebie nieufnie, czekając, aż ktoś zacznie tę trudną rozmowę o przyszłości. O planach, oczekiwaniach, lękach i nadziejach.

Może nadszedł właśnie dobry moment? Z kawą i ptasim mleczkiem...

Jednak nie. Telefon zabrzączał natrętnie, przesuając się po stole.

Nina.

– Muszę odebrać – westchnęłam.

Pokiwał głową i wycofał się do kuchni ze swoją filiżanką. Znowu się usunął, czekając na lepszy moment.

Przez kilka sekund walczyłam z pokusą, żeby odrzucić połączenie, wyciszyć telefon i skupić się wyłącznie na rozmowie z Wiktorem. Naprawdę byłam mu to winna.

Nie mogłam jednak zawieść Niny. Nie teraz.

Posłałam w stronę kuchni skruszony uśmiech, po czym nacisnęłam zieloną słuchawkę na wyświetlaczu.

Głos Niny brzmiał histerycznie. Z trudem udało mi się odróżnić słowa.

– Natalia, przyjedź. Błagam. Jesteś mi bardzo potrzebna. Natalia... Przyjedziesz jak najszybciej?

NINA

Natalia pobiła chyba kolejny rekord w jeździe wściekle mandarynkowym podrasowanym fiacikiem z Helu do Warszawy.

Nie powinnam jej tutaj ciągnąć, przecież dopiero wyszła ze szpitala... Dopiero wróciła do domu.

Załatwię jej najlepsze sanatorium na świecie. Odpocznie i wróci do formy – obiecałam sobie w myślach. – Załatwię jej wszystko, kiedy zakończy się cały ten koszmar.

Poszukiwania mojej matki zajęły mi pełne trzy dni i trzy noce. Wreszcie musiałam skapitulować i odezwać się do moich siostr. Zapytać, czy wiedzą, gdzie

pomieszkiwała ostatnio.

Nie podzieliłam się z nimi swoimi podejrzeniami. Udawałam, że dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, że przekonałam Szprota o ich niewinności. I że chyba, tym sposobem, śledztwo utknęło na dobre w martwym punkcie. Odpowiadałam cierpliwie na wszystkie ich pytania, a potem próbowałam zagadnąć o matkę, ot tak, mimochodem...

– Nie mam pojęcia – oświadczyła Lutka. – I jeżeli chcesz mnie namówić, żebym zaprosiła ją na ślub, to nie. Odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam sprawdzać, czy zdoła uwieść Szczepana.

Lutka jako jedyna z nas od tamtego pamiętnego wydarzenia już nigdy nie odezwała się do matki ani słowem. Nigdy nie darowała jej akcji z chłopakiem ze studiów. Uznała, że będzie zdrowa psychicznie, tylko jeśli wymaże ją z pamięci – i całkowicie poświęci się pracy. I chyba ta metoda sprawdzała się u niej zupełnie nieźle. Tyle tylko, że oprócz firmy absorbował ją, jak się okazało, także Szczepan.

Kostka, jak zwykle, wysyłała matce pieniądze, gdy tylko poprosiła.

– Ostatnio chciałam jej wysłać też na gwiazdkę, ale nie miałam nowego adresu – odpowiedziała na moje pytanie. – To było nawet trochę dziwne... Pierwszy raz od lat nie poprosiła o przekaz na Boże Narodzenie...

Mańki nie zamierzałam nawet pytać. Była wściekła na matkę... i na cały świat. Ta jej wszechogarniająca złość mogła dotknąć każdego, wylewała się z niej, kipiała w najmniej spodziewanych momentach. Mańka boksowała, biegła, uprawiała seks z każdym, kto przyciągnął jej uwagę choćby na moment. Twierdziła, że w ten sposób rozładowuje napięcie.

Może i tak... Nie przypuszczałam więc, że to akurat ona powie mi, gdzie mam szukać Genowefy Drop.

– Przeprowadziła się do domku w Wołominie czy Legionowie. I, zdaje się, wróciła do panińskiego nazwiska... Poczekaj, gdzieś sobie to zapisałam... O, jest, Otwock! Mówiłam, że gdzieś pod Warszawą. Koleżanka tam mieszka, spotkała ją ostatnio na ulicy, całkiem przypadkowo... Ciekawe, skąd nasza mamuśka wzięła pieniądze na wynajęcie domku i dlaczego po sześćdziesiątce postanowiła zmienić nazwisko.

Ja, niestety, znalazłam już chyba odpowiedź na każde z tych pytań.

Nie znalazłam jednak w sobie odwagi, żeby pojechać tam samotnie.

I właśnie dlatego zadzwoniłam po Natalię.

NATALIA

Byłam przekonana, że znajdziemy tam zwłoki. Z każdym kilometrem nabierałam coraz większej pewności, że się zabiła.

O ile w ogóle wróciła z Paryża...

Może jej ciała należało szukać głęboko, na dnie Sekwany?

Poczułam ulgę, gdy zza drzwi małego, drewnianego domku usłyszałam jakąś barokową melodię, pełną melizmatów.

Muzyka dworska, bez cienia wątpliwości. Trafiliśmy pod właściwy adres. Zapukałyśmy raz. Potem drugi raz, nieco głośniej.

I jeszcze raz.

– *Oui, oui!* – zawołał cienki damski głos zza białych drzwi.

W progu pojawiła się kobieta w długiej sukni. Bardzo brudnej i bardzo strojnej długiej sukni.

– Czym mogę paniom... – zaczęła kurtuazyjnie, ale na widok Niny rozsypała się w okamgnieniu. – Mój Boże... Mój Boże, Antonino, to naprawdę ty?

Złapała ją w ramiona i zaczęła spazmatycznie szlochać.

Poczułam się nieswojo. Nie powinno mnie tu być. To przecież były sprawy rodzinne...

I nie byłoby mnie tutaj, gdyby to wszystko nie wiązało się z morderstwem. Morderstwem, które dla policjantów wciąż było dziwaczną zagadką, z niewyjaśnioną do dziś rolą Niny.

– Dlaczego postanowiłaś mnie zniszczyć? – zapytała rzeczowo. Oczy miała całkiem suche, tylko dłonie odrobinę jej drżały. Dzielną dziewczynka... Dopiero teraz rozumiałam, jak wiele musiała przejść. I co tak naprawdę skrywała pod tą swoją skorupą twardej i nieprzystępnej kobiety interesów.

– Ja nigdy... – zaszczębiotała Genowefa Drop, próbując znowu ją objąć.

Nina cofnęła się o krok.

– Mamo, dlaczego pomagałaś Maksowi mnie zniszczyć?

Od progu tego małego domku mocno uderzył mnie smród. Teraz zajrzałam głębiej do wnętrza i od razu zdołałam zlokalizować jego źródło. A właściwie... źródła.

Na każdym dostępnym skrawku blatu i podłogi stały butelki. W kącie, jedno na drugim, leżały pudełka po pizzy i styropianowe pojemniki po jedzeniu na wynos. Z resztkami wysypującymi się przez wszystkie szpary pod niedomkniętymi wieczkami. Zrobiłam jeszcze krok, zainteresowana tym, co zobaczyłam pod stołem. To były odbitki. Cała sterta wielkich kolorowych odbitek z fragmentami odzieży. Nie widziałam dokładnie z tej odległości, ale chyba... Tak, to był płaszcz Niny. I jej torebka, i buty...

– Pomagała pani Maksymilianowi – wtrąciłam łagodnie.

Mogła mnie wyrzucić, krzyknąć, żebyśmy się nie wtrącała. Nie zrobiła tego.

Usiadła na podłodze w tej swojej krynolinie sztywnej od brudu, przewracając jedną z butelek, i zanosła się płaczem.

– Pomagałam mu, tak – wyszeptwała w końcu. – Zgodziłam się na to, bo wierzyłam, że naprawdę chce cię odzyskać.

– Słucham? – Nina zeszywniała, słysząc coś tak absurdalnego. – Chciał

mnie odzyskać, robiąc te idiotyczne zdjęcia? Zdjęcia, na których przebierałaś się za mnie i zakładałaś rudą perukę?

– I twoje kolczyki – dodała jej matka z wyraźną dumą. – Nie zauważyłaś, że ci zginęły? A spinkę miałam niemal identyczną. Ci sprytni panowie bardzo dokładnie ją sfotografowali, kiedy wymieniali szybę w hotelu, a Maks znalazł podobną na targu Saint-Ouen. Kupiliśmy tam mnóstwo rzeczy.

– Spinka – jęknęła Nina. – Położyli mi ją na stole, wychodząc tuż przed opieczętowaniem pokoju.

Spinka była w tym wszystkim najmniej ważna. To, że matka współpracowała z Maksem, że dała mu się namówić na udawanie Niny, obie odgadłyśmy już dość dawno temu. Świetnie się nadawała do tej roli. Miała niemal identyczną sylwetkę, o ile, oczywiście, mogłam to ocenić w tej długiej sukni. Nos, podbródek... Wszystko było bardzo podobne. Pod grubą warstwą makijażu i lokami opadającymi na twarz z pewnością dawało się ukryć większość zmarszczek. Ruda peruka maskowała doskonale wytarte, rzadkie, siwe włosy, które chyba sama przycinała nożyczkami do paznokci. Tak przynajmniej wyglądały te zębki...

Tak, nawet ja zdołałabym zrobić z niej doskonałą Ninę. Pytanie tylko, po co?

– Maks chciał mnie zniszczyć. Pozbawić firmy. Skłócić z Kostką, Lutką i Mańką.

– Marią Teresą, Ludwiką i Konstancją – poprawiła ją matka, pociągając z butelki duży łyk.

– Niech ci będzie – westchnęła Nina. – Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego mu pomogłaś. Czy naprawdę tak bardzo mnie nienawidzisz?

Matka podniosła na nią przekrwione oczy pełne łez.

– Kocham cię, dziecko – powiedziała. – I wszystko zrobiłam z miłości do ciebie. Nie rozumiesz? On mnie oszukał... Oszukał tak samo jak ciebie... I musiał za to zapłacić.

NINA

Słuchałam tej całej historii tak, jakby dotyczyła kogoś innego.

To była moja stara sztuczka z dzieciństwa. Kiedy rodzice się kłócili... Kiedy mama piła albo ubierała mnie w najbrzydszą i najsztynniejszą ze wszystkich czarnych sukienek z falbankami, udawałam, że to nie jest moje życie. Zaczynałam patrzeć na nie jak przez szybę, myśleć o sobie w trzeciej osobie. Biedna mała dziewczynka w paskudnym ubranku musi czuć się okropnie, kiedy dzieci się z niej śmieją.

Wtedy to pomagało. Pozwalało zachować dystans.

Teraz też... Przynajmniej do pewnego momentu.

– Znalazł mnie, wynajął dla mnie ten domek, został ze mną przez dwa

tygodnie, doprowadzając mnie do porządku – opowiadała matka, wciąż siedząc na tej brudnej, lepkiej od brudu podłodze. Nie mogłam się zmusić, żeby usiąść obok niej. – Obiecał, że będę mogła tu zostać do końca życia, jeżeli tylko mu pomogę i jeśli nie skontaktuję się z wami, dopóki nie zrealizujemy do końca naszego planu.

Maseczki, masaże, dziwaczne koktajle zamiast wódki...

Postawił ją na nogi, a potem zabrał do Paryża. Specjalnie wybrał to miejsce, żeby mieć pewność, że się zgodzi. Za nic nie przegapiłaby darmowej wycieczki do miasta swoich marzeń.

Dbął o to, żeby nikt nie dowiedział się o jej wyjeździe... Decydując się na samolot, trzeba by się legitymować, nazwisko zostawało w komputerach linii lotniczych... Podróżowali więc samochodem.

– Przedstawiałam się wszędzie panińskim nazwiskiem, wiesz? Maks twierdził, że wszystkie nieszczęścia, które mnie spotkały, są winą waszego ojca...

No jasne, nazwisko też było niebezpieczne. Lepiej było przedstawiać się jako Kozłowska. Gdyby oczywiście ktoś o coś pytał...

Nikt nie pytał. Kompletnie nikt. Dojechali na miejsce bez przeszkód, zamieszkali razem w apartamencie koło Luwru...

Mój Boże, ona tam była przez cały czas! Była tam pewnie nawet wtedy, o świcie, kiedy go odwiedziłam w płaszczu narzuconym na piżamę. To dlatego tak bardzo nie chciał mnie wpuścić do środka...

– Na pewno tam byłam – potwierdziła. – Nie spuszczał mnie z oka ani na chwilę... Bał się, że kupię gdzieś wino i cały plan weźmie w łeb. Trzymał mnie pod kluczem. Wychodziłam z mieszkania minutę przed nim albo pięć minut po nim, bez rudej peruki. Czasami nosiłam inną, jasnoblond. Rudą wkładałam dopiero w mieście. W przebieralniach w centrach handlowych, w toaletach na stacjach metra.

Sprytne... Naprawdę cholernie sprytne. Tym sposobem na monitoringu nie było widać żadnej rudej kobiety... Poza mną, tamtego poranka... I poza nią ten jeden jedyny raz, wtedy gdy go zabiła... Nikt nie szukał siwej, krzywo ostrzyżonej kobiety ani blondynki wychodzącej samotnie z kamienicy.

Konsjerż nie znał większości mieszkańców. Całą klatkę schodową zajmowały mieszkania na wynajem. Dla bogatszych turystów i biznesmenów wpadających do Paryża na kilka dni.

Bez przebrania moja matka była tam bezpieczna.

Mogłyśmy ją rozpoznać tylko my cztery. Ale kto wpadłby na to, by kazać nam oglądać setki godzin filmików z monitoringu?

Plan Maksa właściwie nie miał luk. Realizowali go pomału, metodycznie. Kolejne miejsca, w których matka bywała w rudej peruce. Kolejne zdjęcia. Te, które zobaczyłam, były tylko wierzchołkiem góry lodowej. Fotografował ją w fabrykach, na obiadach z różnymi ważnymi ludźmi, z którymi umawiał się na

spotkania jako bogaty inwestor albo klient, a potem przysyłał ją, tylko na chwilę.

– Dosiadałam się do nich niby przypadkiem. Ćwiczył ze mną godzinami każde zdanie, które miałam wypowiedzieć. Nie zgadzał się na żadną improwizację, choć miałam tyle dobrych pomysłów. Ale on tak się upierał...

– Co miała pani mówić? – zapytała Natalia rzeczowo.

– Och, różnie... Maksymilian za każdym razem wybierał inny wariant. Czasami udawałam, że z kimś ich pomyliłam. Czasami mówiłam, że jestem żoną klienta, który niespodziewanie się rozchorował i bardzo przeprasza, że nie pojawił się na spotkaniu. Ważne było, żebym przez moment siedziała z nimi przy stoliku, tak, żeby dało się zrobić zdjęcie albo nakręcić krótki filmik, pod odpowiednim kątem.

– Ale dlaczego? Dlaczego się na to zgodziłaś? – pytałam, czując, że moja technika „patrzenia przez szybę” powoli przestaje działać. Łzy zaczynały już cisnąć się pod powieki. – Nie rozumiałaś, że on chce mnie zniszczyć? Zrobiłaś to dla pieniędzy?

– Ależ skąd, kochanie. Ależ skąd... – Próbowала mnie objąć, złapać za nogi, bo przecież wciąż siedziała na podłodze, a ja stałam nad nią, lekko pochylona.

Odsunęłam się, z trudem ukrywając obrzydzenie.

– On powtarzał, że chce się z tobą ożenić. Że ci wszyscy ludzie to wasi goście. Twoi kontrahenci, którzy nigdy nie widzieli cię na żywo. To miała być taka niespodzianka... filmik, który dowiedzie ci, jak bardzo mu na tobie zależy. Album ze zdjęciami. Zdaje się, chciał ci też podarować jakąś fabrykę... Rozumiesz, kochanie? On miał cudowny plan. Zrobiliśmy całą serię zdjęć, na których mnie obejmował... Mnie w twoim stroju, oczywiście. Miały otwierać ten album... Romantyczne ujęcia na moście, w restauracji, w wąskich uliczkach Montmartre. Tak bardzo chciałam pomóc. Odplacić ci za wszystko, co zrobiłam nie tak. Czy ty wiesz, że ślub miał się odbyć w Notre Dame? A ja miałam prowadzić cię do ołtarza? Wyobrażasz sobie? Wyobrażasz sobie, jak pięknie bym wyglądała, krocząc nawą katedry w długiej sukni?

No tak, Maks trafił w jej czuły punkt. Obiecał jej, że zostanie gwiazdą Paryża. Niemalże Marią Antoniną. Jeżeli tylko trochę mu pomoże...

– Miał dużo twoich rzeczy. Niektóre zabrał, kiedy leżałaś w szpitalu, a inne trochę później, kiedy montował kamerkę u ciebie w domu...

– Co robił?

– Montował kamerkę – wyjaśniła obojętnym tonem. – Myślałam, że już ją znalazłaś. Ty albo policja... Chciał wiedzieć, w co się ubierasz, co weźmiesz ze sobą do Paryża... Próbował zgromadzić jak najlepszy materiał. Miał różne drobiazgi... te kolczyki... jakiś pierścionek... Noże do sera...

No właśnie, noże do sera! Po co mu były te noże?!

Nie zdążyłam jej o to zapytać.

Bo nagle zaczęła płakać, cała się trzęsła...

– On mnie oszukał, wiesz? Po prostu mnie oszukał! Długo to trwało, ale w końcu się zorientowałam, że nie chodzi o żaden ślub. Nie będę szła nawą główną w pięknej sukni... Nie pojedziemy karetą pod Notre Dame, tak jak mi obiecał. Przejrzałam go. Powiedział o jedno słowo za dużo... On wcale nie chciał się z tobą żenić. On chciał cię wykończyć. Miał twoją torebkę, wiesz? Chciał przejąć twój dowód. Zapłacić twoją kartą w jakimś miejscu, w którym nie powinnaś się znaleźć... ale mu nie wyszło. Był taki wściekły, że wcale nie miałaś portfela w tej torebce! Wygadał się przy kolejnych zdjęciach. I wtedy po prostu uciekłam. Długo snułam się po ulicach w tej głupiej peruce... Nie miałam ani grosza, żeby kupić wino... Ani grosza na bilet. Szłam pieszo, w cholernie niewygodnych szpilkach, z gołymi nogami... W taki ziąb! Dotąd nie rozumiałam, dlaczego kazał mi wtedy paradować z gołymi nogami. Nie pozwalał mi zdejmować rękawiczek do żadnego ze zdjęć... Mówił, że mam stare dłonie i koniecznie muszę je ukryć. Ale nogi miałam mieć gołe! Gdzie tu logika? Doszłam do tego mieszkania koło Luwru wykończona i rozwścieczona. Wykrzyczałam mu, że jest kłamcą. A on... roześmiał mi się w twarz! Wycedził, że skończysz w więzieniu. Że... Nie uwierzysz... Nigdy mi nie uwierzysz, co planował...

– Chciał panią zabić i zrzucić winę na Ninę – szepnęła Natalia nieswoim głosem.

A moja matka, zdumiona, że tak łatwo było to odgadnąć, po prostu przytaknęła.

– Zamierzał się mnie pozbyć, kiedy nie byłabym już potrzebna. Zamordować...

– Całkiem słusznie – mruknęłam, wczuwając się w położenie Maksa. – Inaczej nie mógłby być pewny, że komuś o tym nie powiesz... Nie jesteś najbardziej godną zaufania osobą na tym świecie.

Matka prychnęła, urażona.

A potem wzięła oddech i opowiadała nam dalej:

– Powiedział mi, że ma noże z twoimi odciskami palców. Zaczęłam ich szukać... Chciałam mu je odebrać... Ale nigdzie nie mogłam ich znaleźć. Znalazłam za to inny nóż. Długi i ostry. I wtedy... Wtedy kiedy zaczął znowu mówić te okropne rzeczy, po prostu wbiłam mu go w brzuch. Żeby tylko zamilkł. Żeby już nie musiała słuchać jego śmiechu. Żeby nie skrzywdził ciebie... ani mnie. Nie przypuszczałam, że to jest takie łatwe, wiesz? Wszedł jak w masło, aż po rękojeść... Wszedł jak w masło...

Nagle Genowefa poderwała się z miejsca i zaczęła biegać po całym mieszkaniu.

– Nie umiałam cię uchronić... – krzyczała, wyraźnie pobudzona. – Wróciłam więc tutaj... Chciałam się zabić, ale nawet tego nie potrafiłam zrobić. Mogłam

tylko pić... Tylko to jedno potrafię robić naprawdę doskonale...

Miotła się między stołem a kanapą... Między oknem a drzwiami.

– Czego szukasz? – zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Ale nagle zobaczyłam nóż, długi i wąski. Szła z nim w moim kierunku, z łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Zniszczyłam ci życie, kochanie – mówiła powoli. – Jesteś nieszczęśliwa, ale możemy z tym skończyć. Nie bój się... Nie bój... Potrafię zrobić to szybko. Najpierw zabiję ciebie, a potem siebie, dobrze? Nie będzie bolało. Nóż wchodzi jak w masło, zobaczysz... Naprawdę potrafię to zrobić.

Stałam jak sparaliżowana, przez moment czując nawet ulgę, że zaraz wszystko się skończy. Nie potrafiłam zrobić ani kroku. Uciec w lewo lub w prawo. Patrzyłam jak przez szybę. Biedna ruda dziewczynka i jej szalona matka. Może faktycznie lepiej będzie, jeżeli obie umrą?

Nagle jakiś cień przesunął się od drzwi w stronę okna i szybkim, miękkim ruchem rzucił się na moją matkę. Błyskawicznie unieruchomił jej rękę swoim łokciem, wyłuskując z niej nóż, po czym zakuł ją w kajdanki.

Szprot?!

– Skąd pan się tu wziął? – wysapałam.

– Powiadomiłam pana nadkomisarza, dokąd jedziemy – szepnęła Natalia, blada jak ściana. – I chyba dobrze zrobiłam.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się policjant, wyprowadzając moją matkę z domku.

Ta odwróciła się jeszcze na progu i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Dlaczego nie pozwoliłaś, żeby to wszystko wreszcie się skończyło?

Nie odpowiedziałam ani słowem.

Cofnęłam się do pokoju i machinalnie wyłączyłam odtwarzacz płyt. Barokowe ozdobniki nagle wydały mi się zupełnie nie na miejscu.

Jeszcze raz rozejrzałam się po brudnym, brzydkim wnętrzu. Butelki, butelki, wszędzie butelki. A na szafce pod oknem, w metalowej ramce z ułamanym rogiem, stało zdjęcie. Cztery poważne dziewczynki w czarnych sukienkach.

Bo w czerni dzieci nie są tak beztroskie.

Szyba, przez którą patrzyłam na te wydarzenia, właśnie rozpadła się na kawałki.

Zaczęłam spazmatycznie szlochać w ramionach Natalii. Jak dobrze, że przyjechała tutaj ze mną...

NATALIA

W połowie drogi do Helu odebrałam SMS od Renatki:

Jakiś facet przywiózł psa. Twierdzi, że należy do pani. I że u niego nie chciał

jeść ani pracować. Mam go zatrzymać?

CZEŚĆ IV

OSTATNIA KOPERTA

ROZDZIAŁ 27

JEDYNKA

Mam jeszcze mydło po tobie,

Którym mydliłaś piersi –

Włosy mydliłaś gorące,

I nos mydliłaś – i nos.

Stanisław Grochowiak, *Wdowiec*

NATALIA

– Proponowałabym jednak pokój dwuosobowy. – Dziewczyna z drugiej

strony biurka uśmiechała się szeroko, pokazując zęby jak z reklamy pasty wybielającej albo gabinetu ortodontycznego.

– Poproszę jednak jedynekę... – Nie zamierzałam z nią dyskutować, wiedziałam swoje.

– Jedyнки są droższe. – Usta rozciągnęły jej się tak, jakby miały zaraz popękać w kącikach.

Najwyraźniej wyglądałam na emerytkę liczącą się z każdym groszem. Czyli dokładnie na tego, kim byłam. Ale nie tym razem.

– Chcę zrobić sobie mały prezent – zaczęłam tłumaczyć, nie wiadomo po co. – Proszę zarezerwować mi pokój jednoosobowy. Nie zmienię w tej sprawie zdania.

– Ma pani przykre doświadczenia? – Uśmiech zniknął, zamieniając się w okamgnieniu w minę Matki Teresy pochylonej nad łóżkiem umierającego.

– Wprost przeciwnie... – Byłam mocno zmęczona tą rozmową. – Mam bardzo przyjemne doświadczenia. Ale tym razem chcę być w pokoju sama. I chcę wyjechać jak najszybciej. Dlatego naruszam oszczędności gromadzone przez kilkadziesiąt lat i korzystam z pani biura, zamiast czekać spokojnie na sanatorium z przydziału, w listopadowe pluchy, i pokój dzielony z jedną albo dwiema kuracjuszkami. Zależy mi, żeby wszystko było tak, jak sobie wymyśliłam. Proszę uwierzyć, że naprawdę wiem, czego chcę.

Dziewczyna przez moment przeżuwała w milczeniu moje słowa, a potem pokiwała głową.

– W porządku. A więc Busko?

– Busko – odparłam bez wahania. – Zawsze chciałam tam pojechać.

Zmierzyła mnie wzrokiem i zaproponowała niepewnym tonem:

– Gdyby pani zechciała to przemyśleć... Ja wiem, wiem, że pani już podjęła decyzję, ale... Ja po prostu mam dużo lepsze oferty do Ciechocinka...

Roześmiałam się, potrząsając głową. Najwyraźniej nie potraktowała moich słów poważnie.

– Busko – powtórzyłam stanowczo, pochylając się nad stołem. – Najbliższy turnus. Pokój jednoosobowy z balkonem. Sanatorium...

– „Marconi”? – uśmiechnęła się promiennie. Wyraźnie wracała do formy. – Dobry wybór. Piękny, zabytkowy budynek w sercu parku, cudowny widok z okna, codzienne koncerty, pijania wody na dole... Chciałaby pani obejrzeć folder, czy zna już pani ten obiekt?

Nie odpowiedziałam na jej pytanie. Nie musiałam tłumaczyć jej swojej decyzji. A byłam absolutnie pewna, dokąd chcę jechać. Wiedziałam to już od bardzo dawna.

– Sanatorium „Krystyna” – oświadczyłam. – Jedyńska w odnowionej części. Na wyższym piętrze.

– Oczywiście, oczywiście... – Dziewczyna zerknęła na monitor, poruszyła

myszka... Najwyraźniej nacisnęła ikonkę „Print”, bo drukarka na stoliczku pod oknem zaczęła miarowo mrużyć, wypluwając z siebie kolejne kartki.

– „Krystyna”, oczywiście – uśmiechnęła się znowu szeroko, ale niezbyt przekonująco. – Doskonały wybór.

Gdybym się uparła, że chcę mieszkać w piwnicy urzędu miasta albo na jakimś opuszczonym dworcu, też usłyszałabym pewnie, że podjęłam najlepszą decyzję.

Postanowiłam sprawdzić, czy wie cokolwiek o tym, co sprzedaje. Ot tak, z czystej ciekawości...

– Dlaczego tak pani uważa? – zapytałam.

– Dlaczego? – Chyba nie zrozumiała pytania. – Dlaczego uważam... jak?

– No tak, jak pani powiedziała. Że dokonałam świetnego wyboru.

– Obiekt „Krystyna” to... – W panice klikała myszką, poszukując podpowiedzi na monitorze komputera. – To prawdziwy unikat. Perła w koronie buskiego uzdrowiska.

Musiałam naprawdę bardzo się postarać, żeby nie parsknąć śmiechem. Powinna sprzedawać biżuterię albo antyki, a nie pobyty w sanatorium.

– Perła? – uśmiechnęłam się zachęcająco. – Poda mi pani jakieś konkrety?

– Wszystko wyremontowane, świeże i czyste... dobudowane niedawno skrzydło, pachnące nowością... – Tym razem szła w zapachy jak sprzedawczyni w drogerii. Litościwie nie przerywałam tej tyrady. – No a przede wszystkim... – znowu szybki rzut oka na monitor – przede wszystkim fantastyczna baza zabiegowa... Basen, kriosaua, studio muzykoterapii, wanny do hydromasażu, które można przechylić tak, żeby wejść wygodnie, nawet jeśli jest się niepełnosprawnym ruchowo. Tu gdzieś powinno być zdjęcie, naprawdę niesamowite rozwiązanie...

– Bardzo dziękuję. Jestem stara, ale do wanny ciągle jeszcze potrafię wejść bez większego kłopotu. Ma pani dla mnie jeszcze jakieś informacje?

– Aparat, naprawdę unikatowy... – to chyba było jej ulubione słowo – który stymuluje zakończenia nerwowe i pomaga na przykład w leczeniu zaburzeń erekcji. To znaczy... Ojej, bardzo przepraszam...

– Wiem, co to jest erekcja – zapewniłam ją szybko. – Proszę się nie rumieniść...

– Naprawdę, bardzo przepraszam... – Była chyba zszokowana tym, co powiedziała. – Ten aparat ma szereg innych funkcji... Można z niego korzystać także w przypadku nietrzymania moczu.

Odetchnęła z ulgą. Znalazła coś odpowiedniego dla starszej pani!

Ugryzłam się w język, żeby jej nie poinformować, że kulki dopochwowe to równie skuteczna i w dodatku bardzo przyjemna profilaktyka problemów z nietrzymaniem moczu. Oczywiście jeśli zacznie się ich używać już w jej wieku.

Chyba jednak nie chciała tego ode mnie słyszeć.

– Na pewno będzie pani zadowolona – uśmiechnęła się z ulgą, że pozwoliłam jej wybrnąć z tej erekcyjnej niezręczności. – „Krystyna” to naprawdę obiekt zachodniej klasy...

Pokiwałam głową.

Niech myśli, że mnie przekonała tymi wannami i maszynką stawiającą do pionu najoporniejsze penisy. Nie musi wiedzieć, że tak naprawdę chcę zamieszkać w „Krystynie” z powodów czysto sentymentalnych.

Z powodu kobiety, której imię nosi to sanatorium.

Że od lat pragnę stanąć pod jej domem i złożyć pod nim kwiaty.

A ten dom, dziwnym trafem, stanowi dziś część sanatorium „Krystyna”... Obudowany ze wszystkich stron nowszymi i starszymi skrzydłami... Nie byłam pewna, czy jest na nim choćby mała tablica upamiętniająca Krystynę Jamroz.

Ale to tak naprawdę nie miało znaczenia. Ja przecież wiedziałam, że tam mieszkała. I bardzo chciałam zobaczyć to miejsce na własne oczy oraz oddać jej hołd.

Dwa tygodnie później znalazłam się w moim wymarzonym sanatorium „Krystyna”. Złożyłam kwiaty pod małą tablicą upamiętniającą śpiewaczkę operową, której głos pocieszał mnie w najtrudniejszych chwilach... Arii z *Carmen* w jej wykonaniu słuchałam w nieskończoność, pewnie po sto razy dziennie. Zwłaszcza wtedy, gdy wszystko waliło mi się na głowę, w pierwszych miesiącach po śmierci ojca i brata... po powrocie z Paryża...

– Dziękuję, pani Krystyno – szepnęłam.

A potem odebrałam z recepcji klucz i pojechałam windą do pokoju, na trzecie piętro.

Zapowiadał się naprawdę wspaniały wypoczynek dla mnie i dla moich płuc.

Po dwóch minutach znowu byłam na dole.

– Chyba zaszła pomyłka w mojej rezerwacji – oświadczyłam recepcjonistce tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. – Wykupiłam ten pobyt w biurze podróży, prywatnie, nie czekając na skierowanie z NFZ, głównie po to, żeby nie spędzać dwóch tygodni w towarzystwie nieznajomej osoby. To miała być jedyńka, a nie pokój z czterema łózkami!

– Nie ma mowy o pomyłce – zapewniła mnie słodkim głosem czarnowłosa dziewczyna. – Wszystko jest zgodnie z zamówieniem, nikt obcy nie zostanie do pani dokwaterowany. Po prostu nie mieliśmy małych pokoi... Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani obecność dodatkowych łóżek? To właściwie są dwa łóżka i dwie sofki wypoczynkowe. Gdyby chciała pani poczytać... Nie ma pani nic przeciwko nim?

– Absolutnie nie – zapewniłam z ulgą. Przywiozłam ze sobą listy Mariki... Kilkanaście wciąż jeszcze czekało na otwarcie. Dawkowałam je sobie, emocje były tak silne... Nie byłam w stanie czytać więcej niż dwa albo trzy dziennie. – Na tej sofce na pewno będzie bardzo miło pogрузыć się w lekturze. Oczywiście pod warunkiem, że łózko i obie sofki pozostaną wolne przez cały mój pobyt.

– Oczywiście, że będą wolne. Oczywiście – powtórzyła. – A teraz proszę już udać się do doktora... Czekam na panią, żeby zlecić badania i zaplanować zabiegi na pierwszy tydzień. No a potem może się pani wybrać do parku, zajrzeć do muszli koncertowej i skosztować jednej z naszych wód mineralnych w nowej pijalni na tyłach „Marconiego”...

– Tak właśnie zrobię – oświadczyłam z uśmiechem.
I dotrzymałam słowa.

Wróciłam z parku zrelaksowana, z dzbanuszkim z dzióbkiem w dłoni. Wyszłam z windy i ruszyłam szerokim, jasnym korytarzem, popijając małymi łykami uzdrawiającą, cudownie chłodną wodę.

Tak, doskonale wydałam te pieniądze. Wszystko tu było dokładnie takie, jak chciałam.

No, może oprócz pogody. Nie miałabym nic przeciwko kilku promieniom słońca...

Otworzyłam drzwi do swojego pokoju i... zatrzymałam się w progu.

Na łózku pod ścianą leżała walizka i kapelusz. Wielki, zielony kapelusz z długą wstążką.

– Czy to jakiś żart? – mruknęłam, odstawiając dzbanuszek z dzióbkiem na stolik przy oknie. – Zapłaciłam za jedynekę. Obiecano mi jedynekę. Recepcjonistka zapewniała, że nikogo mi tu nie wepchną! Nie ma mowy, nie będę dzielić pokoju z żadną damulką...

– Natalia, nareszcie! – Firanka poruszyła się lekko i w uchylonych drzwiach balkonu stanęła ona, roześmiana od ucha do ucha.

– Nina? – Nie wierzyłam własnym oczom. – Co ty tutaj robisz? Powinnaś być przecież w Kanadzie... czy może w Pekinie?

– W Moskwie – sprostowała. – Ale poleciała za mnie Lutka. Postanowiłam okazać jej jednak trochę zaufania i oderwać na chwilę od ślubnych przygotowań. A sama wziąć wolne.

– Na całe dwa tygodnie? – To naprawdę nie mieściło mi się w głowie. Nina nie robi przecież takich rzeczy!

– Na tydzień – przyznała po chwili milczenia. – Potem będę musiała wpaść na trzy dni do Warszawy, ale wrócę do ciebie na ostatni weekend.

Odetchnęłam z ulgą. To brzmiało już trochę bardziej prawdopodobnie.

Przyjrzałam jej się uważnie. Ostatnie ciężkie przeżycia nie zostawiły na jej

twarzy najmniejszego śladu. Mecenasek Gustaw Grotowski, przyjaciel rodziny i dawny kochanek Mańki, podjął się obrony ich matki. Był przekonany, że biegle orzekną niepoczytalność i trafi do szpitala, a nie za kratki. Właściwie to była dobra wiadomość. Ta kobieta naprawdę potrzebowała pomocy. Wiedziałam, że zniszczyła dzieciństwo Ninie i jej siostrom. A jednak było mi jej bardzo żal.

Na szczęście Nina, jak tyle razy wcześniej, strząsnęła z siebie szybko trudne doświadczenia i dziś znowu tryskała energią. Była taka zadowolona, że splątała mi psikusę tym swoim przyjazdem i nieoczekiwanym pojawieniem się w moim pokoju...

– A gdzie Pompon? – zapytałam, czując nagły niepokój.

Nina roześmiała się, widząc moją minę.

– Chyba nie sądzisz, że zostawiłam go samego w domu? Z maszyną dozującą wodę i karmę?

– Są takie maszyny? – Nie powinnam chyba się dziwić. Nina miała wszystkie wynalazki ułatwiające życie psom i ich właścicielom. Przede wszystkim właścicielom, zapracowanym tak jak ona.

– Mam dwie – potwierdziła moje przypuszczenia. – Nie, nie bój się, nie zrobiłabym tego Pomponowi. I samej sobie. Wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby moje mieszkanie, gdyby został sam choćby na pół dnia?

Wyobrażałam sobie aż za dobrze. Zdecydowanie nie była to miła wizja.

– A więc kto jest tym szczęśliwcem, który zajmuje się psem pod twoją nieobecność? Lutka poleciała do Moskwy, Kostka ostatnią wizytę Pompona przypłaciła załamaniem nerwowym i biegunką...

– Własną oraz trzech kotów – uściśliła Nina z ironicznym uśmiechem. Nie znosiła tych wymuskanych ragdoli i wcale jej się nie dziwiłam.

– Wrobiłaś Marysię? – Trudno mi było w to uwierzyć. – Jak tego dokonałaś? Szantażem? Groźbą? Bo na litość raczej jej nie wzięłaś...

– Ona nie zna słowa „litość”. Ma serce z kamienia – westchnęła Nina teatralnie. Po ostatnich wydarzeniach obie wiedziałyśmy przecież aż za dobrze, że Czarna Mańka mogłaby konkurować z Matką Teresą w kwestii empatii i bezinteresownej wspólnomyślności. Nie tylko sprowadziła Grotowskiego z wakacji na Kanarach i stanęła na głowie, żeby ich matka otrzymała wszelką możliwą pomoc, ale jeszcze zajęła się małym drewnianym domkiem w Otwocku. Ta sama koleżanka, która spotkała ich matkę na ulicy, opowiedziała Marysi o jakiejś wielodzietnej rodzinie, która straciła w pożarze cały dobytek. Marysia znalazła właściciela tej chatki, którą wynajął Maks, i przedłużyła umowę na kolejnych dziesięć lat.

Tak, najstarsza z młodszych sióstr Niny naprawdę umiała zaskakiwać.

Ale psem na cały tydzień chyba jednak by się nie zajęła.

– A więc? Jeśli nie Marysia, to kto zabrał Pompona do siebie?

– Szprot – mruknęła, wpatrując się w jakiś punkt nad moją głową.

Powstrzymałam się, żeby nie podążyć wzrokiem w tamtą stronę. I żeby nie odtńczyć szalonego tańca radości wokół stolika.

Głośnego okrzyku radości nie mogłam jednak sobie odmówić.

– Szprot! Ty i Szprot, nareszcie! A już myślałam, że nigdy się nie zejdziecie. Bałam się, że jakaś lalunia przesłuchiwana w charakterze świadka sprzątnie ci go sprzed nosa. Nie masz pojęcia, jak dziewczyny wzruszają się losami takich biednych, zabójczo przystojnych wdowców jak on.

– Nic nas nie łączy, on po prostu okazał mi wsparcie i... – zaczęła i nagle dotarło do niej, co powiedziałam. – Wiedziałaś, że jest wdowcem? I nic mi nie powiedziałaś?!

– Oczywiście, zorientowałam się, ale... nie od razu. Dopiero kiedy przełożył obrączkę z prawej dłoni na lewą, domyśliłam się, że zakończył jakiś etap... I znowu spojrzałam na niego z zainteresowaniem.

Nina westchnęła ciężko, zachichotała, po czym założyła zielony kapelusz... trochę krzywo, trochę zbyt mocno na czoło. Nie odbierało to jej jednak ani odrobiny uroku.

– Pięknie się komponuje z twoimi rudymi włosami. – Pokiwałam głową z aprobatą. – Nigdy wcześniej nie widziałam cię w kapeluszu...

– Kupiłam go na twoją cześć – przyznała. – Chciałam czerwony jak w tamtym wierszu, ale przeczytałam, że wolno je nosić dopiero po pięćdziesiątce. Młodsze członkinie tego wariackiego stowarzyszenia mogą najwyżej nosić różowe. Ale przy moich włosach nie wyglądałoby to najlepiej. Wybrałam więc zieleń...

– I słusznie. – Przytuliłam ją do siebie. – Bardzo, bardzo się cieszę, że tu jesteś. Jak znalazłaś mój pokój... Jak przekonałaś recepcjonistkę, żeby cię tu wpuściła?

– Detektyw Natalia Burska nie przejrzała mojej intrygi? – Spojrzała na mnie zaskoczona i wyraźnie zadowolona z siebie. – Właścicielka biura podróży, do którego cię wysłałam, to moja znajoma. Mańka bawiła jej dzieci jeszcze na studiach.

Jedna z wdzięcznych klientek Czarnej Mańki... No jasne. Gotowa zrobić wszystko dla siostrzyczek Drop.

– Zaskoczyłaś mnie trochę – przyznałam.

A potem zauważyłam paczkę leżącą na moim łóżku.

– Otwórz... – Nina niemal podskakiwała z niecierpliwości.

Posłusznie otworzyłam. W środku leżał czerwony kapelusz ozdobiony filcowymi listkami.

– Glistnik jaskółcze ziele? – Spojrzałam na nie z bliska, z daleka... i znowu z bliska. – Jesteś niesamowita...

– Nikt nie zasłużył na taki kapelusz bardziej niż ty – powiedziała. – A teraz

zawołaj już Maksa. Wiem, że siedzi pod którymś łóżkiem albo w szafie... Prosiłam, żeby wyszedł, wabiłam, szeleściłam papierkiem...

Szeleściła papierkiem! No nie, mój mądry pies nie nabrałby się nigdy na żaden papierek.

– Maks – powiedziałam po prostu, a on wyczołgał się spod szafki nocnej, trochę zakurzony i bardzo, bardzo szczęśliwy.

– Skąd wiedziałaś, że ze mną przyjechał? – roześmiałam się, kręcąc głową

– To było oczywiste – mruknęła. – Nie zostawiłabyś go w Helu po tym, co się stało w czasie twojego pobytu w Paryżu. Nie zostawiłabyś go nawet na kilka godzin. Przygotowałam się więc i zabrałam z domu na tę okazję wózek inwalidzki. Pamiętasz? Nie pozbyłam się go po Ciechocinku, kiedy już stanęłam na nogi. Uznałam, że bycie niewidzialną, nieatrakcyjną, nieco kłopotliwą osobą na wózku może być jeszcze przydatne. Chyba nadszedł znowu na to czas. Maks ma sporą praktykę w podróżowaniu pod kurtkami... i w ukrywaniu się przed recepcjonistkami na moich kolanach.

Roześmiałam się na całe gardło. Maks przebywał w „Krystynie” całkowicie legalnie. Nie miałam pojęcia, jak załatwiła to ta kobieta z biura podróży. Powiedziała mi tylko, że jedzie do sanatorium jako pies przewodnik, chociaż nikt chyba nie uwierzyłby, że jestem niewidoma.

Ale chyba nie musiałam tego mówić Ninie, przynajmniej na razie?

Jeśli naprawdę miała ochotę znowu przejechać się na wózku...

ROZDZIAŁ 28

KOLOROWE PTAKI

Jestem Julią

mam lat 23

dotknęłam kiedyś miłości

miała smak gorzki

jak filiżanka ciemnej kawy

Halina Poświatowska, ***

NATALIA

Buski park był rozległy, pełen starych drzew. I niespodzianek, takich jak ławeczka Wojtka Belona pod domem kultury. Stałam przy tej ławeczce, wpatrując się w odlanego w brzoje długowłosego mężczyznę z gitarą. Wolna Grupa Bukowina? Nie do wiary. Po tylu latach wspomnienie dosłownie zaparło mi dech w piersiach. Nie mogłam powiedzieć ani słowa...

Który to był rok? 1976? Chyba tak, zaraz po fali czerwcowych strajków i wprowadzeniu kartek na cukier. Niezłe się wtedy nagimnastykowałam, żeby upiec Bożence tort urodzinowy... Hel był tego lata pełen żołnierzy. Chyba nigdy wcześniej nie sprawdzano dokumentów na rogatkach miasta tak dokładnie, jak wtedy.

Turyści przyjeżdżali pociągami – to był jedyny sposób, żeby nie zostać skrupulatnie skontrolowanym przez chłopców w mundurach.

Właśnie z takiego pociągu wysiadła grupka bajecznie kolorowych, roześmianych młodych ludzi. Mieli długie włosy, dwie gitary i harmonijkę ustną. Siedzieli potem całymi dniami na placyku za szkołą albo na plaży nad Małym Morzem i śpiewali dziwne piosenki o górach i o miłości.

Po raz pierwszy usłyszałam, jak śpiewają, kiedy wracałam z zebrania w szkole Mikołaja i Bożenki. Najstarsza, Basia, uczyła się już wtedy w Gdańsku, w szkole z internatem. To był jej wybór... Chciała mieszkać w wielkim mieście, Hel był dla niej za ciasny, a ja... zbyt surowa. Złościła się, że musi wracać po szkole prosto do domu, opiekować się Bożenką i Mikołajem, obierać ziemniaki. I chyba bardzo się bała, że zechcę przekazać jej „Mewę”, że zmuszę ją podstępem, szantażem, łzami, żeby uczyła się fotografii i obsługiwała ze mną klientów...

Nigdy nie schodziła na dół, do zakładu. Nie pomagała mi dekorować witryny co roku wczesną wiosną. Każdy jej gest, każda mina, krzyczały: „Nie chcę mieć z tym nic wspólnego”.

Tak naprawdę odetchnęłam z ulgą, kiedy wyjechała... Staralam się jak mogłam, próbowałam się do niej zbliżyć, zaprzyjaźnić, zastąpić jej matkę i ojca... Nigdy jednak nie zdołałam się przebić przez gruby mur, którym odgrodziła się ode mnie i od reszty rodziny.

Nie chciała odwiedzać matki w domu opieki, kiedy jeszcze było to możliwe. Nie chciała palić świeczek dziadkowi i ojcu. Może w ten sposób miała wrażenie, że ciągle żyją? Że pewnego dnia staną w progu, zmoknięci, zmarznięci i szczęśliwi... i zawołają wesoło: „Co tutaj tak cicho?”. Zawsze tak wołali, wracając po pracy... Choć w naszym domu nigdy nie panowała cisza. Głośne szczekanie psa zwiastowało ich powrót długo przed skrzypnięciem drzwi. Maks uwielbiał mojego ojca. Najchętniej nie odstępowałby go na krok. Tamten pierwszy Maks... Tamten, który zginął z nimi na morzu w kwietniowy, zimny dzień.

Ten, po którym imię dostał w Ciechocinku mój najnowszy pies. Najnowszy

i... chyba ostatni. Pies, do którego przywiązałam się znacznie bardziej niż powinnam. Za którym tęskniłam tak bardzo, że aż kłuło mnie w piersiach, gdy okazało się, że jakiś policjant z Zielonej Góry odebrał go Wiktorowi pod moją nieobecność. A przecież zawsze uważałam, że po siedemdziesiątce nie powinno się już zaprzyjaźniać na śmierć i życie z żadnym psem ani kotem. Bo niemal na pewno będzie to przyjaźń krótka i dramatyczna. Jak u Szymborskiej... *Umrzeć – tego nie robi się kotu. Bo co ma począć kot w pustym mieszkaniu.*

Wtedy, na rozgrzanym słońcem placyku koło szkoły, nie myślałam jednak o przemijaniu. Zatrzymałam się w cieniu domów i słuchałam, zdziwiona, zafascynowana.

Miałam tylko chwilę. Dzieci zostały w domu same, naprawdę musiałam do nich wracać.

To był wrzesień. Po ulicach kręciło się już niewielu obcych. A tu nagle cała grupa bajecznych, barwnych ptaków...

– Wspomnienia? – zapytała cicho Nina, patrząc na mnie badawczo. – Jakiś zakochany przystojniaczek śpiewał ci łzawe piosenki Belona?

– Nie – roześmiałam się, myśląc o tamtych studentach. – Był dużo młodszy ode mnie i to nie była żadna miłość... Raczej marzenie o czymś, co mogłoby się stać, gdyby moje życie potoczyło się inaczej.

Zostali na Helu przez osiem długich dni. Drugiego przyszli do „Mewy”, zrobić sobie kilka zdjęć. Byli młodszy ode mnie o kilkanaście lat. Studenci... jak ja kiedyś, w Krakowie. Z całym życiem przed sobą... z marzeniami, które spełnią się, jeśli tylko człowiek zapragnie odpowiednio mocno.

Rozmawialiśmy wtedy długo przy tych zdjęciach. Zaproponowałam, żeby je zrobić na plaży, na wydmie, w lesie... Wszędzie, byle nie w atelier. Oni mieli w sobie taką energię, radość, która mogła wybić okna i przewrócić ściany. Nie powinno się ich zamykać w ciasnym, dusznym pomieszczeniu.

Zgodzili się od razu. Zabrałam statyw, aparat, kilka obiektywów – i ruszyliśmy przez las nad Duże Morze. Rozmawialiśmy z taką szczerością, jaka zdarza się ludziom podróżującym razem pociągiem albo samolotem. Świadomość, że nie spotkają się już nigdy, sprawia, że pozwalają sobie na więcej.

Oni też nie mieli w tamte wrześnie dni żadnych oporów. Nie krępowała ich moja obecność, byli tacy swobodni, radośni... Bez wahania opowiadali mi o sobie, zdradzali szczegóły, o które nigdy nie śmiałybym zapytać...

Byli studentami, grupką siedmiorga przyjaciół obu płci... Wśród nich była tylko jedna para. Jedna, ale za to niezwykła: płowowłosa Jagoda, delikatna jak rusalka, z ogromnymi błękitnymi oczami i niemal przezroczystą, białą skórą i... śniady Fryderyk. Miał długie palce pianisty... i chyba tylko to jedno pasowało do jego imienia. Nie miał w sobie nic dystyngowanego, eleganckiego... Jego czarne

oczy, krucze, opadające na ramiona włosy i szybkie miękkie ruchy przywodziły na myśl Indianina. W dodatku chodził bezszelestnie jak kot, rozpalał ogień jedną zapalką i... nie odstępował Jagody ani na krok.

Obserwowałam ich przez całą drogę na plażę. I potem, przy robieniu zdjęć.

Byli jak przyspawani do siebie. Jakby jakiś magnes trzymał ich razem, nawet kiedy stali w wodzie po kolana, a fale uderzały o ich łydki z coraz większą siłą. Pozostała piątka potykała się, przewracała, ich postrzępione dzinsy ociekały już wodą... Jagoda i Fryderyk stali przytuleni, niezachwiani, a piana morska powoli sphywała po ich nogach...

Mimo upływu lat pamiętałam każdy ich ruch. Błyskawiczny, miękki gest Fryderyka, kiedy odwrócił dziewczynę do siebie i przywarł do jej ust.

Zrobiłam całą rolkę zdjęć. Trzydzieści siedem klatek. A oni nie przestali się całować ani na sekundę.

Nie przeszkadzało im to, że przyjaciele patrzą, komentują, że obiektyw wysuwa ciekawską szyję w ich stronę...

Przez osiem dni spędzałam z nimi każdą wolną chwilę. Wpadali do atelier, zafascynowani zdjęciami upozowanych na ławeczce panien młodych w welonach, z tapirowanymi fryzurami i błękitnymi powiekami. Zaśmiewali się do łez, oglądając fotografie z chrzcin małej wnuczki Ceynowów. Haftowany gęsto becik, a wokół mężczyźni w czarnych marynarkach i kobiety w modnych brokatkach, przywiezionych z Niemiec.

Oni byli inni. Naturalni, radośni, pierwotni. Kiedy bolały ich nogi, siadali po prostu na środku chodnika i zdejmowali buty. Kiedy chciało im się pić, pukali do pierwszego mijanego domu i prosili o szklankę wody. Kiedy chcieli się kochać... Cóż, robili to bez względu na okoliczności. Raz wyszli u mnie w „Mewie” na zaplecze, żeby umyć ręce, i po chwili dobiegły mnie niedwuznaczne posapywania, westchnienia, jęki... Innego dnia te same dźwięki usłyszałam na wydmie, tuż za swoimi plecami, kiedy poszliśmy podziwiać razem wschód słońca.

Przyjaciele Fryderyka i Jagody przyjmowali to zupełnie naturalnie.

Nigdy przedtem i nigdy potem tak mocno, fizycznie, każdą komórką nie odczuwałam tęsknoty za Stefanem. Byliśmy niewiele starsi od Jagody i Fryderyka, kiedy los rozłączył nas na zawsze. Równie szczęśliwi, zakochani, szaleni.

To chyba właśnie po to, żeby choć na chwilę nie myśleć o Stefanie, nie wspominać paryskich pocałunków i westchnień, dałam się wciągnąć Fryderykowi w ten zwariowany plan. Plan, którego omal nie przypłaciłam życiem...

– Nigdy mi nie mówiłaś, co tak naprawdę stało się twoim płucem – zagadnęła Nina dwa czy trzy dni później. – To jakiś wielki sekret? Większy niż ta historia o romansie Mariki i twojego brata?

Rzadko żartowałam z Olka i z faktu, że... zdradził swoją żonę. Teraz jednak

po prostu musiałam się roześmiać, widząc jej poważną minę.

To był sekret, faktycznie, ale zupełnie innego kalibru niż to, że Marika zamierzała uciec z Olkiem z Półwyspu... i że nigdy, przez te wszystkie lata, nie odważyła się wyznać mi całej prawdy.

– Wiesz, nie lubię o tym mówić, bo po prostu jest mi wstyd. Zrobiłam coś bardzo głupiego... W całym Helu plotkowano potem, że trułam się z miłości do tego długowłosego studenta, Fryderyka. Że zakochałam się w nim – stara wariatka. Miałam wtedy trzydzieści cztery czy trzydzieści pięć lat. On – o kilkanaście lat mniej.

– Naprawdę oszalałaś na jego punkcie? – Nina patrzyła na mnie ze zgorznięciem.

To było zabawne... Znałyśmy się już od tak dawna, a ciągle udawało mi się czymś ją zbulwersować. Tym razem jednak nie miałam jej do opowiedzenia szokującej historii o starej pannie z pierwszymi siwymi włosami, tracącej głowę dla chłopca, który od niedawna nosi w kieszeni dowód osobisty.

Prawie żałowałam, że muszę ją rozczarować.

Tym razem nie chodziło o miłość.

– Widziałas te stare aparaty fotograficzne ustawione w „Mewie” na półce nad drzwiami? – zapytałam.

Zaskoczona nagłą zmianą tematu, niepewnie pokiwała głową.

– Chyba nawet pisali o nich w „Dzienniku Bałtyckim”. Twój ojciec i brat zebrali niezłą kolekcję staroci.

To prawda, w naszym atelier znalazło się kilka całkiem cennych eksponatów. Zupełnie przypadkiem. Ojciec kupował je za grosze, jeżdżąc po wsiach i robiąc ludziom zdjęcia. Nie mieli pojęcia, co przechowują w domach. On też nie wiedział, co jest tak naprawdę wartościowe, a co nadaje się tylko do wyrzucenia.

Zawsze sobie obiecywałam, że kiedyś załaduję to wszystko do mojej mandarynki i pojedę do jakiegoś muzeum techniki... do eksperta, który powie mi, co stoi na tej mojej półce. Ekspert pojawił się jednak sam, właśnie wtedy, kiedy robiłam zdjęcia Fryderykowi i Jagodzie.

Niski mężczyzna z Malborka, z aktówką pełną pieniędzy, jak w filmie.

„Widziałem pani kolekcję w gazecie. Kupię od pani wszystko albo tylko ten dagerotyp, jak pani woli” – oświadczył, nie bawiąc się w żadne uprzejmości. – „Proszę tylko podać swoją cenę”.

Nie miałam pojęcia, że mam dagerotyp! Prawdę mówiąc, z trudem w ogóle kojarzyłam tę nazwę. Skupiałam się raczej na zdobyczach techniki, które mogły mi pomóc w pracy i przyciągnąć do „Mewy” klientów, niż na grzebaniu w historii fotografii – zwłaszcza tej najstarszej, z pierwszej połowy XIX wieku.

– I co? Sprzedałaś mu ten dage... darego... no, ten aparat? – zapytała Nina

z wypiekami na twarzy.

Pokręciłam głową.

– Nie wiedziałam, ile może być wart, a ten mężczyzna nie budził mojego zaufania – wyjaśniłam jej zgodnie z prawdą. – Pomyślałam, że skoro jechał taki szmat drogi, to na pewno nie jest jedyną osobą w Polsce, które zechce odkupić ode mnie część kolekcji. Postanowiłam sprawdzić w wolnej chwili, jaką cenę mogłabym dostać. A poza tym... Cóż, ja naprawdę nie wiedziałam, czy w ogóle zamierzam cokolwiek sprzedawać. To przecież były pamiątki po moim ojcu i po Olku. Czułabym, że w pewnym sensie ich zdradzam, pozbywając się tego, co przywozili do „Mewy” z taką radością...

Gdybym nie miała co dać jeść dzieciakom lub gdyby brakowało mi na prąd... prawdopodobnie nie wahałabym się ani chwili. Ale to były dla mojego atelier naprawdę tłuste lata. Nie musiałam się niczego pozbywać – a już na pewno nie chciałam tego robić w pośpiechu, pod presją antypatycznego człowieczka z aktówką.

Odmówiłam mu. Ale Fryderyk...

– Fryderyk zwariował – zrelacjonowałam Ninie najkrócej jak umiałam. – Oszalał na punkcie tego dagerotypu. Opowiadał mi o wystawie, na której był w Dreźnie czy Lipsku... Musiała zrobić na nim naprawdę ogromne wrażenie. Przez kolejne dwa dni nie mówił o niczym innym, tylko o tym. Błagał, żebyśmy spróbowali.

– Żebyście spróbowali? Ale czego? – Nie rozumiała.

– Żebyśmy sprawdzili, czy działa. Spróbowali zrobić takie staroświeckie zdjęcie na metalowej płytce. Był bardzo przekonujący. Dałam się namówić na wyjazd do Gdańska w poszukiwaniu srebrzonych płytek z miedzi i odczynników.

– Odczynników? – Nina wiedziała o dagerotypii jeszcze mniej niż ja.

Nie było sensu wprowadzać jej w szczegóły, powiedziałam więc krótko i nie do końca fachowo:

– Para jodu, para bromu, potem wywoływanie w parach rtęci i utrwalanie w kąpieli z chlorkiem sodu.

– Udało się wam to zrobić? – Naprawdę wciągnęła ją ta historia.

Westchnęłam ciężko.

– Prawie. Niestety, te pary okazały się groźniejsze, niż myśleliśmy... Wylądowałam w szpitalu, a Fryderyk i jego przyjaciele uciekli z Helu w popłochu, przerażeni, że mnie zabili i teraz spędzą resztę życia w więzieniu.

– Przecież nie zmusili cię siłą do wdychania rtęci i jodu? – roześmiała się Nina. – Nie mieli się czego bać...

Spojrzałam na nią z ukosa i potrząsnęłam gwałtownie głową.

– Byłaś małą dziewczynką, kiedy skończył się w Polsce komunizm – westchnęłam. – Dlatego nie wiesz, że obwieszeni rzemykami hipisi podpadali

wtedy milicji od razu, z automatu... Nie musieli mieć niczego na sumieniu, żeby stać się głównymi podejrzanymi. W dodatku odczynniki chemiczne... Kto wie, do czego miałyby posłużyć... Słowo „narkotyki” elektryzowało wtedy wszystkich, choć niewielu widziało je z bliska. Na pewno dałoby się znaleźć na nich jakiś paragraf... Mądrze zrobili, że uciekli, zanim ktokolwiek postanowił ich przesłuchać.

– A ludzie w Helu, wszyscy ci twoi sąsiedzi, uznali, że próbowałam zabić się z miłości? – zapytała Nina z niedowierzaniem.

Pokiwałam głową. Bo przecież naprawdę tak właśnie było.

Kiedy ocknęłam się w szpitalu, usłyszałam, jak pielęgniarka szepce do koleżanki: „Próba samobójcza”. Musiałabym mieć nie po kolei w głowie, żeby próbować się zabić parami rtęci, ale plotka zaczęła żyć już własnym życiem. Jedna z salowych mieszkająca w Chałupach, napomknęła kuzynce z Juraty, że postanowiłam ze sobą skończyć z miłości... Następnego dnia kuzynka spotkała naszą rejestratorkę z przychodni, panią Halinkę... A pani Halinka rozgadała to, rzecz jasna, po całym Półwyspie... Kiedy wróciłam do domu, traktowano mnie jak wariatkę. Podobno ktoś zgłosił nawet pomocy społecznej, że należałoby mi odebrać dzieci, bo jestem niezrównoważona i nie daję im poczucia bezpieczeństwa.

Właściwie, przynajmniej w pewnym stopniu, przyznawałam im rację.

Czy zrównoważona, odpowiedzialna kobieta bawiłaby się rtęcią, żeby zrobić przyjemność studentom biegającym boso po głównej ulicy?

To właśnie wtedy moi sąsiedzi zaczęli mówić: „Natalio, w twoim stanie...”. To brzmiało jak obelga. Chodziło nie tylko o płuca, ale i o stan ducha... Może nawet przede wszystkim o niego? Kilka lat później „w twoim stanie” zaczęło chyba także oznaczać „w twoim wieku”. Uważali, że „stan” brzmi uprzejmiej niż „starość”.

– To przez tę rtęć i inne pary... czy opary... To przez nie lekarz mówił, że niemal nie masz płuc? – Nina spojrzała na mnie uważnie. – I że właściwie nikt nie rozumie, jak z nimi żyjesz tyle czasu, w takim stanie...

Zastanowiłam się przez chwilę nad tym, co powiedziała.

– Wiesz, chyba wtedy zmobilizowałam wszystkie siły, żeby wrócić do domu i... do pracy. Musiałam wychować Bożenkę i Mikołaja. Basia, mimo że mieszkała już w szkole z internatem w Trójmieście, też wciąż potrzebowała mojej uwagi albo przynajmniej pieniędzy. Nie mogłam ich zostawić i tak po prostu umrzeć. A potem, kiedy już dorośli i wyprowadzili się z domu, żyłam dalej... ot tak, wiesz... z przyzwyczajenia.

ROZDZIAŁ 29

CZTERDZIEŚCI OSIEM LAT

Ach zaśnijże już

i oczka swe zmruż

są czarne

a szkoda, że nie są niebieskie.

Wolałabym...

Agnieszka Osiecka, *Miasteczko Betz*

NINA

Kiedy wróciłam z masażu, nareszcie naprawdę zrelaksowana, Natalia siedziała na kanapie przy oknie obłożona listami Mariki, a po jej policzku wolno toczyła się łza.

Nie chciałam pytać, co wzruszyło ją tym razem. To mogło być cokolwiek... Przy tych listach nieustannie śmiała się, to znów płakała.

Marika zrobiła jej naprawdę niesamowity prezent. Tak bardzo żałowałam, że nie zdążyły się zobaczyć i porozmawiać. Że Marika nie zdołała żyć jak Natalia, z przyzwyczajenia, jeszcze odrobinę dłużej.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie wysłała do ciebie tych wszystkich listów – szepnęłam nieśmiało.

Natalia odpowiedziała dopiero po chwili, patrząc daleko w przestrzeń.

– Pokłóciłyśmy się... Pokłóciłyśmy się tak, jak żadna z nas nigdy wcześniej z nikim się nie pokłóciła. To było dwa dni przed jej wyjazdem.

Milczałam, niepewna, czy wolno mi zapytać o powody. Nie raz kłóciłam się z siostrami, wydawało mi się, że na zawsze... że nie chcę mieć z nimi już nic wspólnego. Wychodziłam, trzaskając drzwiami, a za kilka godzin wracałam i piłam z nimi kawę.

– Nie wiem, co musiałoby się stać, żebym nie odzywała się do kogoś przez prawie pięćdziesiąt lat – powiedziałam ostrożnie.

– Czterdzieści osiem – poprawiła mnie szybko.

– Czterdzieści osiem lat milczenia dlatego, że zakochała się w twoim bracie?

– Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. – Tak, ja wiem, że on miał żonę i dzieci... że to był twój brat... Miałaś prawo czuć się zraniona, zdradzona, oszukana. Ale wiesz... Sama wiesz najlepiej, że w życiu różnie się układa. Jesteś najnowocześniejszą, najbardziej otwartą kobietą, jaką znam. Nie mogłaś jej po prostu wybaczyć tego, co się stało? Los chyba ukarał ją już wystarczająco dotkliwie, została sama z tym strasznym sekretem...

– Nie chodziło tylko o Olka i o to, co ja sądziłam o tej całej sprawie... – Spojrzała w szybę, wyraźnie uciekając przed moim wzrokiem. – Było coś więcej...

Nie rozumiałam, ale postanowiłam jej nie przerywać. Czułam, że próbuje powiedzieć coś ważnego, że szuka w sobie siły.

– Marika zachowała się strasznie. – Jej głos brzmiał jakoś bezbarwnie. Jakby

odczytywała słowa zapisane dawno temu. Takie, które zna już na pamięć, które czytała setki razy, głośno i cicho... – Nie chodzi tylko o to, że miała romans z moim bratem... że była gotowa z nim uciec i wcale nie powstrzymywał jej fakt, że Olek miał żonę i małe dzieci. Chodziło o coś między nami. O kłamstwo, które wisało nad naszymi głowami przez te wszystkie lata. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, że wiemy o sobie naprawdę wszystko. Tymczasem ona miała sekret... okropny sekret! I nie zamierzała mi go zdradzić. Przeciwnie, robiła wiele, żebym się nie dowiedziała. A przecież wiedziała o mnie wszystko. Nawet najgorsze rzeczy. Potworne... Takie, o których nikt inny nie miał pojęcia.

Musiałam się roześmiać. Jakie potworne tajemnice mogła mieć Natalia? Zwłaszcza wtedy, w latach sześćdziesiątych... Co mogła zrobić okropnego w tym zapytaniem, małym Helu? Znievažyc pomnik rybaka? O ile w ogóle mieli taki pomnik... Albo napisać na wystawie apteki: „Kretyn”? Sama bym się pod tym podpisała. Nie znosiłam tego farmaceuty z misją zbawiania całego świata.

Ale chyba tym razem nie chodziło o helskiego aptekarza?

Natalia zajrzała do kilku kopert i wreszcie podała mi wygnieciony, wyjątkowo gruby list od Mariki.

Zawahałam się tylko przez moment, po czym oddałam go szybko, bez czytania.

– Chcę to usłyszeć od ciebie – zaryzykowałam. – Nie chcę wersji Mariki, tylko twoją.

– Tu nie ma żadnych wersji... żadnej szarości czy odmiennego punktu widzenia – westchnęła, odkładając list do pudełka. – Sprawa jest prosta. Mikołaj to mój syn.

– Co takiego?!

– Syn. Mój i Stefana – powtórzyła, głośno przelękając ślinę. – Ot i cała wielka tajemnica. Cała historia mojego życia, zawarta w jednym zdaniu.

Musiałam powtórzyć sobie to w głowie trzy razy, żeby zrozumieć, co tak naprawdę powiedziała.

Natalia miała dziecko.

Natalia. Stefan. Dziecko. Syn. Powtarzałam to sobie jeszcze raz, i jeszcze... aż w końcu słowa nabrały odrobiny sensu.

Jej bratowa wcale nie była w ciąży, kiedy Olek utonął razem z ojcem. Nie urodziła trzeciego dziecka siedem czy osiem miesięcy po śmierci męża.

W ciąży była Natalia.

Mikołaj, jej bratanek, nie był więc tak naprawdę bratankiem, tylko synem. Jej i Stefana. Synem, którego wychowywała... i któremu nigdy nie wyznała prawdy.

– Nie chciałaś go? – Musiałam wbić palce w fotel, żeby nie zacząć krzyczeć.

Milczała przez moment. Nie widziałam jej twarzy, odwróciła się w stronę

okna. Wydawało mi się, że cicho pociągnęła nosem, ale kiedy wreszcie znowu się odezwała, jej głos był całkowicie opanowany.

– Bardzo go chciałam. O niczym nie marzyłam mocniej niż o tym, żeby go zatrzymać. A jednak...

– A jednak oddałaś go swojej bratowej – westchnęłam z niedowierzaniem. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Musiałam. Nie obiektywnie, oczywiście, ale wtedy tak właśnie postrzegałam tę sytuację. Dziś wiem, że to było głupie... że nigdy nie powinnam na to przystać. Ale wtedy zwyczajnie nie widziałam innego wyjścia. Mama wmówiła mi, że uratuję w ten sposób całą rodzinę. Żona Olka zaopiekuje się maleństwem i przestanie rozpamiętywać swoje wielkie nieszczęście, a ja zajmę się „Mewą” i kiedyś, kiedy przyjdzie czas, znowu się zakocham i urodzę własne dziecko.

– Zgodziłaś się? – Wiem, nie powinnam się oburzać i oceniać jej postępowania. Nie mogłam się jednak powstrzymać.

Pokiwała głową.

– Moja bratowa umierała z rozpaczy po śmierci Olka, nie wstawała z łóżka. Myślałam, że to dziecko uratuje jej życie. I, co najważniejsze, wiedziałam, że ono będzie przez cały czas tuż obok. Żadna z nas nie zamierzała się wyprowadzać z Helu. Nawet gdyby bratowa wyzdrowiała i znowu zajęła się dziećmi, widywałabym Mikołaja każdego dnia. Mama powtarzała w kółko, że to najlepsze rozwiązanie. A potem przestała jeść, trafiła do szpitala... i nigdy już z niego nie wyszła. To była jej ostatnia prośba, niemal testament...

– Może to faktycznie było jakieś wyjście dla twojej bratowej, nawet dla Mikołaja. – Pokiwałam głową, wyobrażając sobie tamte rozmowy. – Ale nie mogłaś chyba uwierzyć, że to będzie dobre dla ciebie i Stefana?

– Ależ oczywiście, że w to wierzyłam. Najwięcej w tym wszystkim myślałam chyba o Stefanie... O naszym pośpiesznym paryskim pożegnaniu, obietnicach, które wtedy wyszeptaliśmy... Wiedziałam przecież, że Stefan nigdy nie zostawiłby mnie samej z dzieckiem. Gdyby o nim wiedział, natychmiast chciałby mnie zabrać z powrotem do Krakowa. A ja nie mogłam wyjechać, zostawić bratowej, dziewczynkę, ciężko chorej mamy... no i „Mewy”. Musiałam zająć się nimi wszystkimi, zarabiać...

– On by to zrozumiał – powiedziałam z przekonaniem.

– Naturalnie, że by zrozumiał. – Natalia pokiwała głową ze smutnym uśmiechem. – Bez wahania rzuciłby Kraków i swój doktorat i zamieszkałby ze mną w ciasnym pokoiku nad zakładem fotograficznym, przez ścianę z moją mamą, bratową, Bożenką i Basią... A ja uważałam wtedy, że nie ma niczego ważniejszego niż jego wspaniałe plany... jego kariera... że może osiągnąć naprawdę wielkie rzeczy.

No i osiągnął. Intuicja Natalii w tej sprawie była niezawodna. Nagroda Nobla dla profesora Wielowiejskiego naprawdę była nagrodą także dla niej, znacznie bardziej nawet niż rozumiał to sam profesor, mówiąc o tym głośno w grudniu, w Sztokholmie. Natalia poświęciła wszystko, żeby mógł tam stanąć w pełnej chwale, w świetle jupiterów...

– Nie myślałaś, żeby to po prostu przed nim ukryć? Zostać na Helu, urodzić Mikołaja, ale nie zawiadamiać Stefana, że został ojcem?

– Myślałam... dzień i noc – westchnęła. – Ale to byłoby trudne. Przez cały czas bałabym się, że przyjedzie i odkryje prawdę. A poza tym... Nina, musisz pamiętać, że to były inne czasy. Byłabym samotną matką. Mikołaj byłby bękartem. Panieńskim dzieckiem. Ludzie gadaliby, pokazywali go palcami, szeptali za jego plecami. Byłoby mu trudno w szkole... zawsze czułby się gorszy niż inne dzieci.

– I co z tego? Przecież ty nigdy nie przejmowałaś się tym, co o tobie mówią.

– O mnie? Nigdy, fakt... – Pokiwała głową. – Ale tu nie chodziło o mnie, tylko o Mikołaja. A dla niego chciałam wszystkiego, co najlepsze. Nie mogłam go narażać. Byłam pewna, że robię to dla niego. Mówiłam sobie: Niech myśli, że jego ojciec zginął na morzu... Niech ma starsze siostry i matkę...

– Matkę w psychiatryku – dodałam, niezbyt delikatnie.

Uśmiechnęła się lekko, wzdychając.

– Wtedy byłam pewna, że matka w zakładzie dla obłąkanych to lepsza matka niż ta, która rodzi dziecko bez ślubu i... odmawia podania synowi danych ojca. Pamiętaj, że byłam w żałobie. W prawdziwym obłędzie. Musiałam zająć się mamą, bratową, dziewczynkami, „Mewą”. Wyłam po nocach. Nie myślałam logicznie. Z początku w ogóle się nie zorientowałam, że wróciłam z Paryża w ciąży. A potem... Wiesz, obsesyjnie próbowałam wszystkich chronić. Stefana, żeby został w Krakowie i spełnił swoje wielkie marzenia. Bratową, którą nowe, śliczne i zdrowe niemowlę mogło pocieszyć i wyciągnąć z choroby. Moją mamę, dla której najważniejszy był honor i która mówiła o nim jeszcze w szpitalnym łóżku... No i Mikołaja. Jeśli dzięki małemu kłamstwu mógł zostać chłopcem z pełnej rodziny, dotkniętym tragedią... Chłopcem, któremu wszyscy współczują, a nie synkiem puszczalskiej, której wielkie miasto namieszało w głowie... Uznałam, że to niewygórowana cena. Że tak naprawdę to niczego nie zmienia. On przecież nawet nazwisko ma takie samo jak ja. Dostał je po Olku... jako prawowity syn.

– Nikt nie zauważył, że jesteś w ciąży? – To nie mieściło mi się w głowie.

– Nikt – westchnęła, uśmiechając się do siebie. – Niemal nie wychodziłam z „Mewy”. Siedziałam za wysokim kontuarem, owinięta ogromnym kraciastym szalem. Nikogo to nie dziwiło... Nie stać nas było na opał, chroniłam się przed zimnem... Miałam szal, rękawiczki, ciepłe buty... Mikołaj urodził się zimą, kilka tygodni za wcześnie. Był mały i drobny...

– A twoja bratowa?

– Leżała przez cały ten czas w łóżku. Nie zajmowała się dziewczynkami, nie wstawiała na posiłki, nie odpowiadała na żadne pytania. Sąsiedzi nie mieli szansy jej zobaczyć, zamienić z nią choćby słowa. Naprawdę miałam nadzieję, że dziecko przywróci jej chęć do życia. Ona chyba nawet uwierzyła, że to jej syn. Pokochała go... na swój sposób. Ale nigdy już nie zdołała dojść do siebie. Mieszkała w zakładzie przez trzydzieści lat. A Mikołaj... Widzisz, tak naprawdę wcale go nie straciłam przez to kłamstwo. Był przy mnie... ze mną, od urodzenia, przez cały czas.

– Jako bratanek.

– Tak, jako bratanek. – Pokiwała głową.

– Nikt nie znał prawdy? Nawet lekarz? – Wciąż nie rozumiałam, jak udało im się zachować w sekrecie taką sprawę.

– Nie rodziłam z lekarzem, tylko z... Mariką. – Spojrzała w okno, a jej oczy na moment zmieniły kolor, stały się jaśniejsze i większe niż kiedykolwiek. – Ona jedna wiedziała o wszystkim od samego początku. I cały czas była przy mnie.

Moja N.!

Zastanawiam się, jak sobie radzisz. Z dziećmi, z atelier, z żoną Olka... Wciąż się upierasz, żeby odwiedzać ją w zakładzie trzy razy w tygodniu?

Nie tak miało wyglądać Twoje życie. Jesteś dzielna, bardzo dzielna. Chciałabym Cię przytulić, odprowadzić do łóżka, a potem nakarmić dziewczynki i Mikołaja, ugotować Wam obiad i posprzątać... tak jak kiedyś. Pomóc Ci, tak jak Ty pomagałaś mi tyle razy.

Wiem, że jest Ci trudno. Że nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby Ci niczego zazdrościć.

A jednak ja Ci zazdroszczę. Jednej, jedynej rzeczy. I będę Ci jej zazdrościć już zawsze.

Tak naprawdę to nie rzecz. To osoba.

Tak, już wiesz. Zazdroszczę Ci Mikołaja. Tego, że mogłaś nosić go pod sercem. Że patrząc w jego oczy, każdego dnia, widzisz oczy Stefana. I Waszą miłość. Że coś zostało z tej miłości już na zawsze.

To nic, że Mikołaj o niczym nie wie. Że nie wie Stefan. Że podzieliłaś się tym sekretem tylko ze mną. To nic. Liczy się to, że Ty wiesz. Że masz go przy sobie każdego dnia. Patrzysz, jak rośnie. Możesz przytulić go do siebie. Wdychać zapach jego włosów. Pogłodzić po policzku, kiedy śpi.

Jakże bym chciała też nosić dziecko Olka. Urodzić je, kiedy go już nie było. Okłamać cały świat, że ojcem jest jakiś marynarz z Gdyni. Albo zabłąkany turysta. Znajomy. Nieznajomy. Wszystko jedno. Mogłabym wywołać skandal. Albo wyjechać z dzieckiem na koniec świata. Dlaczego nie? Przecież i tak w końcu wyjechałam, tyle że całkiem sama.

Nic nie zostało z mojej miłości.

I coraz mniej pamiętam oczy Olka. Każdego dnia coraz mniej.

Jego córki, które układałam do snu u Ciebie w domu, którym plotłam warkocze i prasowałam fartuszki do szkoły... one nie mają oczu po ojcu. Mają blade, zielonkawe, trochę szare oczy swojej matki. Kobiety, która życzyłaby mi śmierci, gdyby tylko wiedziała... Gdyby wiedziała...

Jakże bym chciała urodzić jego dziecko.... mimo problemów, które by mnie czekały. Piekła, które przeżyłabym w Helu, przed którym musiałabym uciekać... Widzę we śnie to niemowlę. Miałoby zadarty piegowaty nos Olka i jego błękitne oczy... Jego, nie moje. Moje są czarne jak piekło. Błękitne oczy zaoszczędziłyby temu maleństwu wielu problemów...

Nikt na tym świecie nie ma już oczu Olka. Nie ma człowieka, w którym mogłabym ujrzeć cień tamtego szczęścia... Nie ma niczego, co powiedziałoby mi: „To nie był sen. On naprawdę cię kochał i chciał z tobą uciec”.

Ty patrzysz w oczy Stefana każdego dnia. Masz dowód, cudowny, niezaprzeczalny dowód Waszej miłości.

Dlatego Ci zazdroścę.

Ta zazdrość kłuła mnie coraz bardziej. Tak bardzo, że w końcu nie wytrzymałam i powiedziałam o kilka słów za dużo. Wiem, że mi ich nie wybaczysz.

Nie chciałam Cię zranić. I bałam się, że zrobię to znowu. Z bólu i zazdrości. Dlatego wyjechałam.

Może uda mi się uciec od wspomnień? Jeśli tylko będę jechała dostatecznie szybko, dostatecznie daleko...

NINA

Byłam w szoku. Tak, byłam naprawdę w cholernym szoku. Wydawało mi się, że Natalia już niczym nie zdoła mnie zaskoczyć. A jednak znowu jej się udało. Tyle że tym razem to zaskoczenie nie było ani trochę przyjemne.

Zawsze myślałam, że jest odważna. To był pierwszy przymiotnik, który przychodził mi do głowy, kiedy miałam ją jakoś określić. Tak bardzo mi tym imponowała. Tymczasem teraz...

– Uważasz, że jestem tchórzem – szepnęła. To nie było nawet pytanie, po prostu stwierdzała fakt.

– Nie, ja tylko... – Chciałam zaprzeczyć. Skłamać, żeby nie zrobić jej przykrości.

Ale kim byłam, żeby ją oceniać?

Czy to, co robiłyśmy z Lutką, Kostką i Mańką, a raczej to, czego nie zrobiłyśmy przez te wszystkie lata, udając, że temat naszej matki właściwie nie istnieje, nie było jeszcze większym tchórzostwem?

Nie powiedziałam już ani słowa.

Po prostu przytuliłam Natalię do siebie i płakałyśmy razem... każda nad sobą i nad swoimi decyzjami.

ROZDZIAŁ 30

JESZCZE JEDNA TAJEMNICA

Lecz nie może minąć nas,

Minąć coś co komu zapisane.

Jeszcze przyjdzie taki czas,

Gdy się sypną z oczu łzy skrywane.

Wojciech Młynarski, Żal mi nadziei

NINA

Przez wszystkie te dni w Busku mówiliśmy właściwie o jednym.

O rodzinnych sekretach. O małych tabu, które potrafią zniszczyć niejedno życie.

Gdyby Natalia mogła zdecydować jeszcze raz, na pewno wychowałaby Mikołaja jako swego syna. Stefan przeniósłby się na uczelnię w Trójmieście albo sprzedaliby „Mewę” i wyjechali razem do Krakowa. Bratanice pojechałyby z nimi. I pewnie ich kontakty z Natalią ułożyłyby się znacznie lepiej. Nie byłoby tej bariery, o której mówiła tyle razy. Ściany, zbudowanej z tajemnicy...

I wszyscy byliby szczęśliwi.

Gdyby nasz ojciec i babcia Krysia powiedzieli kiedykolwiek głośno: „Wasza mama jest alkoholiczką”, też byłoby prościej. Powiedzenie tego wyraźnie mogłoby stać się początkiem czegoś nowego. Babcia i tata musieliby się zastanowić, jak jej pomóc, poszukać fachowca, a nawet zawalczyć w sądzie o ubezwłasnowolnienie – gdyby uznali, że matka może nam zagrażać swoimi decyzjami podejmowanymi w pijanym widzie albo... z chorej miłości do monarchii.

Nikt jednak tego nie powiedział. Kryliśmy mamę wszyscy, za wszelką cenę. Że niedysponowana, że wesoła, że spontaniczna... Nawet wchodzenie na stół u taty w pracy i awantury na zebraniach w szkole dawały się jakoś uzasadnić bądź – w ostateczności – obrócić w żart.

Wszystkie cztery czułyśmy się winne. Mama na pewno zachowywała się tak dlatego, że byłyśmy niegrzeczne, zdenerwowałyśmy ją, zawiodłyśmy, okazałyśmy się nie takie, jakich pragnęła.

Dopiero dzisiaj rozumiałam, jaki to miało wpływ na naszą psychikę.

Kostka, która przepraszała, że żyje, uciekała w towarzystwo kotów, płakała z byle powodu... Mańka, wściekła na cały świat i potwierdzająca swoją wartość w łózkach kolejnych przystojniaków. Lutka, pracownik roku, idealna, zawsze dyspozycyjna... Firmowa prymuska ukrywająca narzeczonego przed własną siostrą. I wreszcie ja, biorąca na siebie całą odpowiedzialność za los moich sióstr. Bo taką rolę musiałam wypełniać od dzieciństwa.

Przez te cholerne rodzinne sekrety wszystkie nadawałyśmy się na terapię...

Nawet nie zauważyłam, kiedy minął ten tydzień...

– Muszę jechać – szepnęłam do Natalii, gdy miałam już wychodzić z naszego pokoju o szóstej rano. – Wrócę na weekend, tak jak się umawialiśmy.

– Lecisz do Londynu? Albo do Szanghaju? – zapytała, wychylając się spod kołdry.

Maks siedział już na swoim posłaniu z przekrzywioną głową, czekając, co mu powiem.

– Do Paryża – uśmiechnęłam się, zerkając na zegarek. – Lecę na kilka dni, spotkać się z Fabieniem.

– Z kim? – Natalia gwałtownie podniosła się na łóżku. – Myślałam, że ty i Szprot... że ta sprawa wreszcie was do siebie zbliżyła.

– Zbliżyła – przyznałam, przysiadając na sofce. – Zbliżyła jak cholera.

Chociaż jeszcze nie wiem, czy wyjdzie z tego coś poważnego... Ale zaczęło się miło, przyznaję. Bardzo się przejął moją sytuacją, codziennie dzwonił i pytał, czy czegoś nie potrzebuję... Zabrał mnie na obiad, bo wyglądałam, jego zdaniem, jakbym nie jadła nic od tygodni... No i zajął się Pomponem. Za samo to należy mu się, moim zdaniem, milion punktów.

Natalia pokręciła głową z dezaprobatą.

– Skoro tak, to po co jedziesz do Fabiena? Zateśniłaś za smakiem żabich udek?

Roześmiałam się, kiedy zrozumiałam, co ma na myśli.

– Nie jadę z nim romansować – wyjaśniłam szybko. – Jadę przejąć tę fabrykę ekożwirków... Tę, której dokumentację zabrała do Paryża Kostka jako przykrywkę do planu wielkiej zemsty na Maksie.

– A co Fabien ma wspólnego z fabryką żwirków!? – Natalia patrzyła na mnie z rosnącym zdumieniem. – Nie w mówisz mi, że spotkałaś całkowicie przez przypadek akurat właściciela tej fabryki... Zaczynam się ciebie bać. Przypadkowo trafiasz na zielarnię Mariki, niespodziewanie wpadasz na człowieka, którego fabrykę zamierzasz przejąć... Nie za dużo tych wszystkich zbiegów okoliczności?

– Fabien nie jest właścicielem fabryki... – Pokręciłam głową. – A co do zielarni... Wiesz, też się nad tym zastanawiałam kilka dni temu. I nagle dotarło do mnie, że to wcale nie był przypadek... Marika trafiła do Paryża z twojego powodu. To ty opowiedziałaś jej o tym mieście. Nie tylko o suficie w operze, ale też o kwiatowym targu nad brzegiem rzeki. To nie przypadek, tylko twoja sprawa... To ty sprawiłaś, że właśnie tam zapragnęła rozpocząć wszystko od nowa...

– Ale potem trafiłaś tam także ty... I ta „Natalia” na szyldzie od razu wydała ci się podejrzana?

Westchnęłam.

Znalazłam się tam, bo dwie minuty od targu kwiatowego była komenda policji. Ale... To chyba była tylko część prawdy. Gdyby nie Natalia, nie poszłabym raczej na spacer po targu kwiatowym, nawet będąc tuż obok... Mijałabym go bez zainteresowania, nie przejmując się zupełnie tym, że ktoś nazwał zielarnię polskim imieniem... i namalował na szyldzie niezapominajki.

A przecież Marika krzyczała tymi kwiatkami: „Pamiętam o was”. Krzyczała do Aleksandra, do wielkiej miłości, która nie mogła zakończyć się happy endem. Do dzieci, których nigdy mu nie urodziła. Do swojej jedynej prawdziwej przyjaciółki, Natalii. Do Polski, którą musiała opuścić i do której nigdy już nie wróciła.

– Miałam szczęście, że trafiłam tam, gdzie Marika – powiedziałam do Natalii. – Ale to nie był całkowity zbieg okoliczności. To ty popchnęłaś na ten targ najpierw Marikę, a potem mnie...

– A później Fabiena? – uśmiechnęła się Natalia.

Wróciłam myślami do tamtej chwili, kiedy, wracając z komendy policji, zatrzymałam się przed sklepem z artykułami dla zwierząt. Stałam i tępo gapiłam się na worki z karmą, żwirki i sztuczne roślinki do akwariów. I myślałam, że Kostka mogła wybrać coś ciekawszego... bliższego temu, czym zajmuje się SIS-4. I właśnie wtedy z tego sklepu wyszedł Fabien. Zobaczył, że potrzebuję pomocy, i zaproponował mi kawę.

– Był właścicielem sklepu zoologicznego? – zapytała Natalia, kiedy już skończyłam opowiadać.

– Nie, nie. Po prostu ma dwa koty norweskic. Albo szwedzkie? Nigdy nie byłam mocna w rasach kotów... Oba są alergikami i szuka dla nich możliwie naturalnych produktów. Zaczęliśmy o tym rozmawiać i... Wiesz, okazało się, że przejście tej fabryki to może być strzał w dziesiątkę. Jest bardzo duży popyt na takie towary eko, właśnie dla zwierząt. Lecę więc przyjrzeć się tej ofercie nieco bliżej. Jeżeli moje przypuszczenia się potwierdzą, podpiszę w środę dokumenty, fabryka wejdzie do portfolio SIS-4 i... najpóźniej w czwartek wieczorem znowu będę tutaj, razem z tobą. O ile nie zatrzymają mnie na lotnisku za to, co będę miała w walizce.

– A co zamierzasz mieć w walizce? – Natalia przyglądała mi się uważnie. – Mam nadzieję, że to nie będzie nic nielegalnego?

Nie, to zdecydowanie nie było nielegalne. Nie miałam tylko pewności, czy wolno przewozić to w bagażu podręcznym, z którym zamierzałam podróżować do Paryża, żeby nie tracić czasu na czekanie przy taśmie na walizkę.

– Wymarzyłam sobie klocek do sera – wyjaśniłam. – Prawdziwy, marmurowy, o wadze, tak na oko, mniej więcej trzech kilogramów. Fabien ma taki w domu... Jedyne chyba naprawdę pożyteczny francuski gadżecik.

– Klocek do sera? – powtórzyła. – Marmurowy?

No właśnie. Ci, którzy będą sprawdzać na lotnisku zawartość mojej walizki, też mogli być tym nieco zaskoczeni.

– Wiesz, opiera się go o ser... taki miękki, z płynnym wnętrzem, jak camembert... I wtedy nic nie wypływa ze środka, ser zachowuje świeżość. Naprawdę bardzo mi się to podoba. Poprosiłam Fabiena, żeby kupił dla mnie taką marmurową kosteczkę.

– Można byłoby nią pewnie kogoś zabić, nawet nie biorąc specjalnego zamachu ręką – westchnęła Natalia. – Bardzo jestem ciekawa, czy pozwolą ci ten cudowny wynalazek zabrać na pokład w podręcznej walizeczce.

Ja też byłam tego ciekawa.

– Dowiesz się w czwartek – obiecałam. – Przyjadę tu, do ciebie, prosto z lotniska...

NATALIA

Leżał na dnie pudełka przez całe te dwa buskie tygodnie. Nie mogłam się zdecydować, żeby go otworzyć. Trochę ze strachu, co tam zobaczę... Marika zaznaczyła na kopercie, że mam go przeczytać jak najpóźniej. Tylko ten jeden jedyny list oznaczyła w taki sposób, czymś więcej niż literką N. i datą. Musiała mieć ważny powód... A ja obawiałam się go poznać.

Ale było coś jeszcze... coś poza strachem. Otwierając listy Mariki, czułam się niemal tak, jakby była tuż obok.

Nie miałam ochoty wracać do tej pustki bez niej... Dopóki w starym, metalowym pudełku leżała przynajmniej jedna nieotwarta koperta, miałam wrażenie, że rozmawiam z Mariką.

Odwlekałam to więc, jak tylko mogłam.

Aż w końcu poczułam, że nie sposób czekać dłużej. Musiałam przeczytać ten list. I zamknąć nareszcie tę historię, bez żadnych niedopowiedzeń.

Kochana N.

Minęło wiele lat. Te listy prawdopodobnie nigdy nie trafią w Twoje ręce. Ale jeśli jednak znajdę w sobie siłę, by zaadresować koperty... lub jeśli ktoś wyjmie je z szuflady i wyśle do Ciebie, kiedy mnie już nie będzie.... Może moja piękna wnuczka, Ola...

Moja córka, też piękna i mądra, dostała imię po Tobie. Tak jak i moja zielarnia. Chciałam Ci kiedyś je pokazać. Obydwie... Zielarnia radzi sobie nieźle. Natalii, niestety, już Ci nie przedstawię.

Nie zdążyła nawet wybrać imienia dla swojej małej córki.

Umarła, za szybko, za młodo.

Mojej wnuczce dałam imię po Olku. Już się domyśliłaś?

Jeżeli ktoś miałby nas znowu połączyć... odnaleźć Cię i przekonać, żebyś zamieniła ze mną kilka słów, to będzie to Ola. Kiedy trochę podrośnie... Pewnie od razu, widząc ją w drzwiach, domyśliłabyś się, że to moja wnuczka. Czasami mam wrażenie, jakbym widziała obok młodszą i weselszą wersję siebie.

Ale nie chciałam mówić dziś o Oli. Jest coś... Coś, o czym muszę Ci napisać.

Mam tylko jedną prośbę, jeszcze zanim zacznę: ten list przeczytaj jako ostatni. Odlóż go, proszę, jeżeli zaczęłaś czytać wcześniej. Pozwól, by zwieńczył tę historię.

To, o czym tutaj przeczytasz, to koniec mojej opowieści. Nie będzie więcej listów. Bo po tym, czego się dowiesz, nie będziesz chciała ich czytać. Nie będziesz chciała mnie znać.

A może byłoby dobrze, żebyś nie czytała go aż do mojej śmierci?

Tak. Tak byłoby najlepiej. Tylko czy wolno mi poprosić Cię jeszcze o cokolwiek?

Myślisz, że opowiedziałam Ci już wszystko. Że poznałaś już całą historię.

Mój romans z Twoim bratem... To, że chcieliśmy razem uciec, zostawić jego żonę i dzieci z wieczną niepewnością... Mieli nie wiedzieć, co się stało. Olek tak postanowił. Pragnął oszczędzić im cierpienia. Plan był prosty: zniknąć, nie zostawiając żadnych wyjaśnień i żadnych śladów.

Jeśli niewiedza jest mniej okrutna niż wiedza o tym, co się stało, to jego plan powiódł się w stu procentach. Nikt nie dowiedział się całej prawdy aż do dzisiaj, aż do tego listu.

Mogłabym zabrać sekret do grobu. Może tak zrobię?

Ale muszę napisać... napisać wszystko. Przynajmniej dziś czuję, że nie wolno mi tego zataić. Może jutro znowu zmienię zdanie? Waham się codziennie, od tylu lat...

Kocham Cię, N. Zawsze kochałam i zawsze będę kochać. Widzę Twoje oczy w wystawach sklepów, w twarzach przechodzących obok mnie kobiet.

Jaka teraz jesteś?

Czy spotkałaś kogoś, kto pomógł wyleczyć ranę i zapełnić pustkę po Stefanie?

Czy wyjawiałaś Mikołajowi, że jest Twoim synem? Powinien to wiedzieć. Naprawdę powinien. I on, i Stefan... Mają prawo do tej wiedzy.

Powiedz im. Powiedz im jak najszybciej, jeżeli jeszcze tego nie zrobiłaś.

A jeśli jesteś naprawdę zdecydowana, by zabrać swój sekret do grobu, spal tę kartkę i... wszystko, co może Cię zdemaskować. Nie zostawiaj im listu, który by mogli przeczytać dopiero po Twojej śmierci. To byłoby najgorsze. Mieliby tyle pytań... wątpliwości... i z nikim już nie mogliby ich rozwiązać.

Powiedz im prawdę teraz albo zamilknij na wieki.

Niejeden raz przez te lata myślałam, żeby napisać do nich obu. Żeby Cię wyręczyć... Żeby powiedzieć Stefanowi to, co powinien usłyszeć dawno temu, tamtego letniego dnia, kiedy przyjechał na Półwysep, gotowy rzucić dla Ciebie wszystko.

Pamiętasz? Oczywiście, że tak. Schowałaś się przed nim, żeby nie zobaczył Twojego zaokrąglonego brzucha. Wiedziałaś, że wtedy żadna siła nie zmusiłaby go do wyjazdu z Helu. Rzuciłby uczelnię i został z Tobą.

Wysłałaś mnie, żebym przekazała mu, że nie chcesz go więcej widzieć.

Dlaczego się na to zgodziłam? Dlaczego nie wykrzyczałam mu w twarz całej prawdy?

Często zastanawiam się, jak potoczyłoby się Twoje życie, gdybym to zrobiła.

Też o tym myślisz każdego dnia. Wiem, że tak.

Ale nie o tym... Nie o tym chciałam dziś Ci opowiedzieć.

Chcę wrócić do tamtego dnia, gdy byłaś w Paryżu, szczęśliwa i beztroska. A tutaj wszystko się stało...

Opisz to krótko. Najkrócej jak potrafisz.

To nie był wypadek. Twój brat i ojciec nie wypadli z kutra za burtę. Oni... Muszę to napisać. Mój ojciec i jego kuzyn pobili ich... Pobili tak, że nie dało się już ich uratować.

Dowiedziałam się tego przypadkiem. Myśleli, że już śpię. Słyszałam wszystko przez uchylone drzwi. Każdy szczegół.

Oszczędzę Ci tych szczegółów. Wystarczy, że ja widzę je za każdym razem, gdy zamykam oczy. Już od tylu lat.

To nieprawda, że nikt nie wiedział o mnie i o Olku. Bardzo się staraliśmy. Naprawdę bardzo. Czasami nie widywałam go przez osiem, dziesięć dni tylko dlatego, że warunki nie sprzyjały naszym schadzkom. Że jego żona kręciła się zbyt blisko, że córeczki miały gorączkę, że Twój ojciec potrzebował jego pomocy przy pracy w „Mewie”. Byliśmy tacy ostrożni... a jednak ktoś nas przejrzał.

Mój ojciec...

Nie przyszedł z tym do mnie. Nie poszedł do żony Olka.

Namówił kuzyna, żeby zaprosił Waszego ojca na swój kuter. Wiedział, że nie odmówi. To była prawdziwa gratka, zrobić zdjęcia rybakom przy pracy... towarzyszyć im przez cały długi dzień. Był pewien, że fotograf będzie potrzebował pomocy i zabierze ze sobą Olka.

Gdybym wiedziała! Gdybym tylko zorientowała się, co planuje, zdołałabym go powstrzymać. Ale on nie zdradził się ani słowem, a Olek... On chyba dowiedział się w ostatniej chwili, że musi z nimi płynąć i nie zdążył mi powiedzieć. Na pewno nie miał ochoty, może nawet podejrzewał jakiś podstęp... Jak jednak mógłby odmówić, nie wybudzając podejrzeń? Popłynął... i nigdy nie wrócił.

Pewnie mi nie uwierzysz, uznasz, że ich bronię, ale ojciec i wujek nie chcieli, żeby to się tak skończyło. Chcieli tylko porozmawiać, trochę ich wystraszyć... Tak, żeby Olek nigdy już nie śmiał się nawet do mnie zbliżyć. I żeby Twój ojciec na pewno tego dopilnował. Ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie będę Ci tego opisywać... Znam każdy szczegół i wiem, że nie zamierzali ich zabić.

Zabili jednak i ich, i psa. Dzielnego Maksa, który tak bronił Twojego taty...

A potem dopłynęli kutrem do plaży na Dużym Morzu, daleko za ostatnimi domami, pogrzebali ich głęboko w tym zasypanym tunelu na pustej wydmie i przeczekali tam do wieczora. Los im sprzyjał... Zerwał się wiatr, rozszalał się sztorm... Gdy trochę zelżał, wrócili do portu ze straszną wiadomością o wypadku na morzu.

Wszystkie kutry ruszyły na poszukiwanie ciał w zatoce... Nie wiedzieli, że ofiary tak naprawdę leżą głęboko w piachu, po drugiej stronie Półwyspu.

Wybacz mi, moja N.

Bo ja sama nie umiem sobie wybaczyć...

Tego, że nie wyznałam prawdy Stefanowi, wbrew Twojej woli.

Że pozwoliłam, by Mikołaj nie miał ojca, którego tak pragnął. By nigdy nie

powiedział do Ciebie: „mamo”.

Przede wszystkim jednak tego, że milczałam, zamiast powiedzieć Ci, co się stało tamtego kwietniowego dnia na łodzi. Że milczałam, zamiast biec na milicję. Zamiast odszukać ich ciała. Powinnam to zrobić, moja N., choćbym je miała wygrzebać gołymi rękami z najgłębszego piasku.

Przez moment nie mogłam złapać oddechu. Siedziałam i patrzyłam tępo w ścianę, próbując po prostu robić wdech, a potem wydech. Ręce drżały mi tak, że nie umiałam utrzymać telefonu.

A przecież musiałam zadzwonić...

Musiałam zadzwonić jak najszybciej.

Straciłam już ponad pięćdziesiąt lat. Nie mogłam czekać dłużej.

Wdech, wydech, wdech...

Skupiona bez reszty na tej prostej czynności zdołałam uspokoić przynajmniej rękę. Szczęki bolały mnie od zaciskania ich mocno, z całej siły...

Wdech, wydech... Jakimś cudem wybrałam w końcu numer pana Władysława, dyrektora Muzeum Obrony Wybrzeża. On wiedział o wszystkim, co dzieje się w bunkrach i ich okolicy. Ten tunel...

– Ten tunel, który pokazał się nagle po ostatnich sztormach... – zaczęłam bez zbędnych wstępów, z najwyższym trudem opanowując szczykanie zębami. Miałam nadzieję, że go nie słyszy, że nie zorientuje się, co dzieje się w tym momencie z moim ciałem... i z moim mózgiem. – Ten, z powodu którego zjechały się wszystkie telewizje... Czy znaleziono w nim czyjeś zwłoki?

Cisza po drugiej stronie wystarczyła mi za odpowiedź.

– Skąd pani wie? – wyjąkał w końcu pan Władysław. – Informacja nie przedostała się do mediów, nie chcieliśmy wywoływać niepotrzebnej sensacji. Te szkielety leżały tam bardzo długo.

– Mniej więcej pół wieku? – szepnęłam z zaciśniętym gardłem.

– Skąd pani wie? – powtórzył dyrektor zaskoczony.

– Dwaj mężczyźni... – Już nie pytałam, stwierdzałam tylko fakt. – Dwaj mężczyźni i pies?

Cisza. Cisza, która krzyczała: „Tak”.

– Dziękuję – powiedziałam, po czym szybko się rozłączyłam.

Wdech, wydech, wdech...

Musiałam zaraz się spakować, wsiąść do samochodu i wrócić na Półwysep jak najszybciej. I zająć się formalnościami, które powinny zostać załatwione ponad pięćdziesiąt lat temu.

– Nareszcie nie będę palić zniczy przy ścianie portu wojennego. Będziecie mieli prawdziwy grób – powiedziałam głośno.

A potem rozplakałam się, jednocześnie z rozpaczony i z niewysłowionej ulgi.

EPILOG

NINA

To było wyjątkowo długie popołudnie.

Leżeliśmy w tym małym uroczym pensjonacie na skraju ciechocińskiego parku... W wielkim łóżku pod skośnym sufitem, rozmawiając, całując się, śmiejąc... i znowu rozmawiając. Pomarańczowe słońce schodziło za oknem coraz niżej, a my ciągle nie mieliśmy tego dość.

– Nina, Ninka, Nineczka, Ninulka – próbował zdrabniać to imię na wszystkie sposoby, po każdym słowie obsypując pocałunkami moje ramię, szyję, policzek albo brzuch. – Która wersja podoba ci się najbardziej?

– Chyba powaham się jeszcze trochę – szepnęłam. Jeżeli miał wybierać właśnie w taki sposób, to mogło to trwać... Czy ja wiem? Do jutra?

Nagle coś mnie zaniepokoiło.

Natychmiast to wyczuł i spojrzał mi w oczy.

– Złe wspomnienia? – zapytał, ciaśniej obejmując mnie ramionami. – Pomogę ci je odpędzić, obiecuję.

Potrząsnęłam głową.

Tego popołudnia do małego pokoju na poddaszu nie miały wstępu żadne wspomnienia.

– Zastanawiam się tylko, czy można jakoś zdrobnić twoje imię? – powiedziałam niepewnie. Nie będę przecież mówić: „Kocham cię, Baltazarze” albo: „Baltazarze, podaj mi masło”.

– Oczywiście, że można – uśmiechnął się szeroko i zaraz wymienił jednym tchem: – Baltek, Balt, Tazek albo Zarek... Tak mówili do mnie kumple w podstawówce.

– Zarek?

– No, większość tak, po prostu Zarek. Chociaż chłopak, z którym siedziałem w ławce, wołał zdrobnienie Tazek. A Ty?

– Co ja?

– A ty jakie zdrobnienie uważasz za najlepsze? Tazek, Zarek czy może Balt? Balt? O, mój Boże! Tylko ktoś niespełna rozumu mógł uważać to za zdrobnienie.

Z tego wszystkiego najlepiej brzmiał... po prostu Szprot. Tylko czy on się nie obrazi, jeśli będę mówiła do niego po nazwisku?

– Chciałabyś je wypróbować? – zapytał.

Nie zrozumiałam, o czym mówi.

– Co miałabym wypróbować?

– No, te zdrobnienia... Może wypróbujemy je przy kolacji?

Oparł głowę na moim brzuchu i pocałował mnie w pępek tak delikatnie, że niemal tego nie poczułam.

A potem jeszcze raz. Już nieco mocniej.

Wyprężyłam się, przymykając oczy i wplatając palce w jego ciemne, szorstkie włosy... zsuwając dłonie na jego kark, na ramiona...

– Nie jesteś jeszcze głodna? – zapytał, odrywając usta na moment od mojej skóry.

– Nie – wyszeptałam.

Kolacja tego dnia zdecydowanie nie znajdowała się na szczycie listy priorytetów.

– Nie jesteś jeszcze głodna? Naprawdę? – zapytał kwadrans później, rysując leniwie kciukiem coraz mniejsze kółka na mojej piersi.

Potrząsnęłam głową.

– Nie mam chyba ochoty ubierać się i schodzić na dół.

– A kto mówi o ubieraniu? – Z wyraźnym wysiłkiem odsunął się ode mnie i usiadł na brzegu łóżka. – Przygotowałem się na taką ewentualność... Choć, oczywiście, nie będzie to nic wykwintnego.

– Nie mam wykwintnego gustu, przysięgam – szepnęłam, a przez moją głowę przeleciała w ułamku sekundy cała galeria potraw serwowanych mi swego czasu przez Fabiena.

Szprot (wciąż nie miałam dla niego zdrobnienia!) owinął biodra ręcznikiem, jakby wybierał się do sauny, po czym otworzył lodóweczkę pod oknem i wyjął z niej duże, okrągłe, plastikowe pudełko pełne warzyw.

– Przywiozłeś paprykę i ogórki? – Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. – Oraz... Co to jest? Por?

– Seler naciowy, ignorantko – mrugnął do mnie tym swoim magnetyzującym, czarnym okiem.

Seler naciowy, jasne...

Szprot sięgnął do kieszeni spodni, rzuconych kilka godzin wcześniej w pośpiechu na kanapę, i wyciągnął z ich kieszeni czerwony szwajcarski scyzoryk. Szybkim ruchem przekroił paprykę na kilka wąskich pasków.

– Oczywiście, są dokładnie umyte – zapewnił, krojąc ogórka.

Wszystkie warzywa trafiły do miski, w którą, po zdjęciu pokrywki, zamienił się plastikowy pojemnik.

Z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. A to jeszcze nie był koniec...

W lodówce, jak się okazało, ukrywał się też kubek jogurtu naturalnego. Nie miałam pojęcia, kiedy to wszystko tam schował!

W walizce z kolei czekała przełamana na pół bagietka, szczelnie zawinięta w folię aluminiową, i kilka woreczków z przyprawami. Szprot otworzył jogurt, wsypał do niego trochę pieprzu, curry i słodkiej papryki, starannie wymieszał i przesunął naczynie po kołdrze w moją stronę.

– Gotowe – uśmiechnął się szeroko tym cholernym uśmiechem George'a Clooneya. – Czemu tak na mnie patrzysz? Zamocz w sosie kawałek papryki albo bułki. Nie jest to żaden luksus z tego twojego paryskiego hotelu dla bogaczy, ale smakuje całkiem nieźle.

Postawił na szafce nocnej butelkę wina.

– Czerwone chyba bardziej by pasowało, ale wiem, że za nim nie przepadasz. Zdecydowałem się więc na białe, oczywiście francuskie... – Znowu błysnęłam zębami jak z reklamy pasty, po czym wysunął korkociąg ze swojego scyzoryka. Ciekawe, co jeszcze się w nim kryło? Otwieracz do konserw? Lupa? Miniaturowy aparat fotograficzny?

Zmarszczyłam brwi i już chciałam zapytać, skąd pochodzi to wino. Nie rozpoznałam butelki. Nie była wysmukła i wysoka jak te z Alzacji, nie miała ramion jak typowe butelki win z Bordeaux... Na burgunda też nie wyglądała...

– To na pewno francuskie? – szepnęłam i zaraz pokręciłam głową. – Nie odpowiadaj. Nieważne. Kompletnie nieistotne, skąd pochodzi i jaki to rocznik... To, w którym miejscu skali znajduje się ta papryka, też mam gdzieś. Naprawdę.

– Jest jakaś skala, na której oznacza się papryki? – Patrzył na mnie jak na wariatkę. – Mogę zapytać, po co się to robi?

– Skala Scoville'a – wyrecytowałam jak wzorowa uczennica. Fabien na

pewno byłby ze mnie dumny! – Pozwala określić ostrość papryki. Czyli po prostu zawartość kapsaicyny...

Przez moment wpatrywał się we mnie bez słowa, a w kącikach jego idealnie wykrojonych ust błąkał się dziwny uśmieszek. Zatrzymał wzrok na moich nagich piersiach i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

I kiedy byłam już pewna, że roześmieje się na cały głos, nagle spowaźniał i zapytał:

– Umiałabyś dzielić życie z kimś, kto nie ma pojęcia, co to jest kapsaicyna?

– Wiesz to na pewno! Musiałeś uczyć się o tym w liceum albo na studiach, może nawet na kryminalistyce. Mieliście przecież taki przedmiot, prawda? – Radośnie rzuciłam się do wyjaśnień. I nagle dotarło do mnie, co tak naprawdę powiedział. – Pytasz, czy chciałabym dzielić życie z kimś... z kimś takim jak ty?

– Z wiecznie zajęтым ignorantem, który nie odróżnia magdalenek od klementynek i wina z Bordeaux od wina z Burgundii...

– I który trzy razy uratował mnie przed spędzeniem kilkunastu lat w ciemnej, więziennej celi – dokończyłam. – To chyba trochę ważniejsze niż magdalenki. Zresztą, już chyba zapamiętałeś, jak one wyglądają.

– Z jednej strony kształt muszelki, a z drugiej apetyczna górka – westchnął. – Zdałem egzamin?

– Zdałeś. – Pokiwałam głową. – Na szóstkę.

– A więc nadaję się na męża?

Na męża?

Czy on zamierzał poprosić mnie o rękę? Czy on właśnie to robił? Teraz, tutaj, w ciasnym pokoju małego hoteliku w Ciechocinku, częstując mnie kawałkami papryki z jogurtem, z plastikowej miski, wprost na pościeli?

Przypomniałam sobie oświadczyzny Maksa na jachcie jego przyjaciela, z najlepszym szampanem w wiaderku z lodem, pod gwiazdami, w upalną noc. Pierścionek z brylantem na dnie mojego kieliszka...

Przypomniałam sobie też oświadczyzny Fabiena, zaledwie po tygodniu znajomości, nad tą cholerną wieprzową nóżką gotowaną przez dwie doby. Bez pierścionka, bo przecież w jego rodzinie pierścionek był przekazywany z pokolenia na pokolenie. A więc dostałabym go po jego matce...

Być może przesłała go razem z konfiturami? Gdybym wzruszyła się tym darem bardziej przekonująco, pewnie dziś nosiłabym jej pierścień.

Rozejrzałam się niepewnie po ciasnym wnętrzu.

Czy Szprot oświadczył się spontanicznie, czy wszystko to zaplanował z najdrobniejszymi szczegółami? Mam nadzieję, że nie połknęłam pierścionka ukrytego w jogurtowym sosie? Skoro Maks mógł wrzucić tamten, z brylantem, na dno kieliszka...

– Mówisz poważnie? – zapytałam, próbując zebrać myśli. – Zaskoczyłeś

mnie trochę i...

– Mówię bardzo poważnie – zapewnił, przyklękając przy łóżku i przyciągając mnie do siebie. Frotowy ręcznik opadł miękko z jego bioder na dywan. – Ale... Jeżeli nie jesteś pewna, jaką podjąć decyzję, to może... może chciałabyś się przekonać jeszcze raz, czy jestem dobrym kandydatem?

Delikatnie rozsunął moje uda i zastygł, czekając na decyzję.

– Bardzo bym chciała się o tym przekonać – szepnęłam, zapominając o wszystkich pierścionkach świata.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał znowu następnego dnia rano, na szczycie tężni. – Miałaś już chyba trochę czasu, żeby to spokojnie przemyśleć?

– Nie nazwałabym tej nocy spokojną – uśmiechnęłam się, patrząc mu w oczy. – Ale faktycznie, myślałam o tym w tych nielicznych wolnych chwilach i... Tak. Nie. Nie, absolutnie nie. Nie ma mowy.

– Myślałam, że... – Mina zbitego kundla na tej doskonałej twarzy George'a Clooneya wyglądała tak, że po prostu musiałam się roześmiać.

– Wyobraź sobie nasze zaproszenia ślubne – prychnęłam. – Antonina Drop i Baltazar Szprot... Cały urząd stanu cywilnego pokładałby się ze śmiechu.

– Możemy to załatwić bez gości.

– Bez gości? – Skąd on wiedział, że po tym całym ślubie z Maksem... ślubie, którego nie było... przysięgam sobie, że kolejny ślub, jeśli kiedykolwiek będę go brała, odbędzie się bez tłumu ludzi. Gdzieś daleko od domu, ze świadkami zgarniętymi przypadkowo z ulicy. Bez całej tej szopki z welonem, naszyjnikiem z muzeum, sesją zdjęciową u Wardeckiej i tą nieszczęsną drabiną.

– Bez gości? – upewniłam się. – I bez zaproszeń?

– Bez zaproszeń – obiecał.

– Nie będziesz oczekiwał, że zmienię nazwisko? – Wizja małżeńskiego pożycia stawała się coraz bardziej interesująca. Dla Maksa sprawa tego, że nie przyjmę jego nazwiska, była wielkim dramatem. Jeśli Szprot i pod tym względem okaże się normalny...

– Nazwisko? Nigdy w życiu! – zapewnił. – Za to ja poważnie rozważam przyjęcie twojego... Obcokrajowcy mają duże problemy z wymową mojego SZ, w dodatku zbitego z kolejną spółgłoską... Warto by to było uprościć.

Bez zaproszeń, bez wesela, bez zmiany nazwiska...

– I bez sesji próbnej?

– Bez żadnej sesji – obiecał, biorąc mnie za rękę. – Nina, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Ja chcę ciebie, a nie jakiejś ślubnej szopki.

To mi się podobało. Naprawdę.

Potem jednak zrozumiałam, że nic nie będzie takie proste.

– Słuchaj, moje siostry muszą być na ślubie. W komplecie. I Natalia. Bez

niej przecież to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. A skoro będzie tam Natalia, to będzie też na pewno kilka ślubnych zdjęć...

NATALIA

– To chyba najdłużej pisany doktorat na naszym wydziale – powiedział dziekan, gratulując mi po obronie.

Pokiwałam głową, uśmiechając się od ucha do ucha.

Pięćdziesiąt dwa lata? Tyle mniej więcej mi to zajęło. Może nawet pięćdziesiąt trzy? Ale chyba właśnie dlatego sukces smakował naprawdę wyjątkowo.

Przez całą drogę z Krakowa na Półwysep uśmiech nie schodził mi z twarzy.

Na fotelu obok mnie leżał Maks, zapięty w swoje podróżne szeleczki i pochrapujący przez sen. Mój nieodłączny towarzysz podróży.

– Dobrze, że do mnie wróciłeś – szepnęłam, zjeżdżając w stronę Helu na rondzie we Władysławowie.

Zerknęłam przez ramię na bukiet leżący na tylnym siedzeniu, zawinięty w mokrą chusteczkę...

Ach, ten Stefan. Zawsze, o każdej porze roku, był w stanie znaleźć dla mnie konwalie.

Tym razem sezon konwaliowy właśnie powoli się zaczynał, zadanie było więc ułatwione.

Wręczył ten mały bukiet po obronie, już na schodach, przytrzymał moją rękę nieco dłużej niż powinien i szepnął tylko: „Czekam. Daj znać, kiedy zechcesz wypić ze mną kawę”.

Pokiwałam głową, nie mogąc wydusić żadnych słów.

Na razie ciągle nie byłam na to gotowa.

Od razu po wejściu do „Mewy” zobaczyłam na blacie dwa wazony z kwiatami i płaskie pudełko z żółto-niebieskim logo i napisem „La Poste”.

A obok stała filiżanka kawy.

– Wiktor? – zawołałam w kierunku schodów.

– Już pani wróciła, pani Natalio? – Renatka wychyliła się zza drzwi do składziku. – Zaraz przyjdę panią wyściskać i pogratulować, tylko skończę z tymi półkami. Zabrałam się za odkurzanie na samej górze, mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

– Ależ skąd! Już dawno powinnam to zrobić.

Dobrze było mieć ją tutaj... po tylu latach.

Dobrze było mieć kogoś, komu zależało na „Mewie” prawie tak samo jak mnie.

– Listonosz zostawił dla pani tę paczkę. – Renia znowu wychyliła się zza

framugi. – Oj, przepraszam, zapomniałam o mojej kawie... To przez te kwiaty! Najpierw kurier przyniósł róże od pana Wiktora, a potem ten wielki bukiet... od Mikołaja.

Zarumieniła się uroczo. Czyżby... $R + M = WNM!$ Mikołaj??? Renia wyjechała z Helu, mając piętnaście lat. On był wtedy już po trzydziestce. Czyżby zakochała się w dorosłym mężczyźnie – i uciekła przed tym uczuciem? Czy on... Czy on o tym wiedział? Czy choćby podejrzewał? A może to z powodu Reni nigdy nie ułożył sobie życia z żadną kobietą?

Stop. Zajmę się tym za moment – postanowiłam i szybko otworzyłam pudełko.

W środku znajdował się kartonik z przezroczystym wieczkiem, a w nim małe, okrągłe, różnokolorowe ciasteczka. Makaroniki! Cudowne, paryskie makaroniki, których nie zdążyłam skosztować w czasie pobytu z Niną we Francji.

Makaroniki, które smakowały rajem wtedy, o świcie, w ramionach Stefana...

Na dnie pocztowego pudełka leżała koperta. Gruba, szara, z czarną literą N. na samym środku.

I jeszcze krótki liścik:

Pani Natalio,

znalazłam w pokoju babci coś jeszcze. Chyba chciała, żebym to Pani przekazała. Mam nadzieję, że niedługo znowu odwiedzi Pani Paryż. „Natalia” znad Sekwany ciągle na Panią czeka.

Ja też czekam. Pójdziemy razem na najlepszą kawę i najśodsze makaroniki. Póki co przesyłam kilka z cukierni Berthillona na Wyspie Świętego Ludwika. Babcia jadła co rano jednego, tuż przed otwarciem zielarni. Najbardziej lubiła te pistacjowe.

Bardzo się cieszę, że mogłam Panią poznać,

Alexandra

Z szarej koperty wysunął się gruby brulion Mariki w spłowiałej brązowej okładce. Kiedy chodziłyśmy do siódmej klasy, zaczęła w nim zapisywać fragmenty wierszy i złote myśli znanych ludzi, które szczególnie jej się spodobały. Potem, w liceum, sięgała do niego na polskim, wyszukiwała jakieś celne zdanie, dwa wersy sławnego poety, i szybko dopisywała do wypracowania. I już, ocena natychmiast szła w górę.

Kiedy ostatnio widziałam ten zeszyt, był wypełniony może w dwudziestu procentach. Teraz wolnych było tylko kilka stron, pod sam koniec.

– Pójdę na chwilę na górę – zawołałam do Reni, z całej siły przyciskając zeszyt do piersi prawą ręką. W lewej ostrożnie trzymałam paczuszkę paryskich makaroników.

Mijając pokój, w którym jeszcze niedawno na centralnym miejscu stała klatka Adeli, westchnęłam lekko. Przez moment poczułam smutek i tęsknotę za Wiktorem, za zapachem kawy z cynamonem, a nawet – o dziwo – za tą paskudną krzykliwą papugą wydającą z krzywego dzioba głos jego zmarłej żony i za każdym razem wywołującą niechciane emocje u mnie i u niego. Bez nich było w domu tak pusto i cicho...

Ta tęsknota trwała jednak tylko krótką chwilę. Tak naprawdę wiedziałam, że tak jest lepiej. Kiedy się spakował i wyjechał, poczułam lekkie ukłucie smutku i... dużą, dużą ulgę.

– Więc jednak go nie kochałaś? – pytała zdumiona Nina kilka tygodni temu, kiedy usłyszała o mojej decyzji.

Nie umiałam jej tego wyjaśnić. Kochałam, naprawdę... Kochałam go tak, jak umiałam, najszczerzej i najmocniej, jak mogłam. Przez moment wydawało mi się, że to wystarczy.

Potem stopniowo przekonywaliśmy się, że miłość po siedemdziesiątce bywa trudniejsza niż ta, którą się przeżywa, gdy ma się osiemnaście albo dwadzieścia pięć lat. Że każdy z nas pielęgnuje wiele przyzwyczajzeń, ograniczeń, lęków i wspomnień, które mocno trzymają człowieka w ryzach i nie pozwalają ot tak, po prostu, oszaleć z miłości.

Ale może nie zawsze trzeba oszaleć z jej powodu?

– To była inna miłość niż ta do Stefana, pół wieku temu – tłumaczyłam Ninie z wysiłkiem. – Nie była gorsza, tylko inna. I wspaniale, że nam się przytrafiła.

– A jednak nie chciałaś wyjść za niego za mąż. – Ona naprawdę mnie nie rozumiała! Poza tym cały czas błyskała mi przed nosem tym swoim pierścieniem od Szprota, uśmiechając się od ucha do ucha. Bardzo się cieszyłam, że wreszcie są razem... tak jak planowałam od samego początku.

W swoich własnych sprawach planowanie niestety nie poszło mi równie dobrze.

A może poszło? Dowiedziałam się przecież czegoś bardzo ważnego o sobie... i o uczuciach.

I teraz próbowałam przekazać to Ninie.

– Wiesz, w pewnej chwili zrozumiałam, że prawdziwa miłość nie musi wcale trwać przez całe życie. Że może być wspaniała, wielka, szczęśliwa... i po prostu się skończyć. Bo coś się zmieniło, bo mamy inne potrzeby albo plany...

– Jeżeli się kończy, to znak, że nie była prawdziwa. Gdyby była prawdziwa, trwałaby wiecznie – wyrecytowała Nina formułkę ze starych romansów, powtarzaną tak często w całkiem współczesnych komediach romantycznych.

Też w to wierzyłam przez wiele lat. Uważałam, że wielka miłość wymaga wielkich poświęceń, że warto dla niej zrezygnować z siebie, pójść na każdy kompromis...

Teraz jednak zmieniłam zdanie.

– Czasami najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest danie wolności drugiemu człowiekowi. I samemu sobie – powiedziałam.

Tak. Wiktor jest fantastycznym facetem. Nikt nigdy nie dbał o mnie tak bardzo, jak on. A jednak jego pierścionek zaręczynowy na palcu dziwnie mnie uwierał. Może dlatego, że nasze oczekiwania rozeszły się w pewnym momencie w dwóch przeciwnych kierunkach?

On chciał pływać po ciepłych morzach, doglądać swoich jachtów – i trudno było mieć mu to za złe. Ja nie mogłam mu towarzyszyć z powodu „Mewy”. Rozumiał to, ale nie do końca chyba akceptował.

Moje wyjazdy do Krakowa drażniły go też coraz bardziej.

– Chyba mu się nie dziwisz? – Nina popatrzyła na mnie wtedy, kręcąc głową. – Tam był świat, do którego on nie należał i do którego nawet go nie zapraszałaś. On marzył o tym, żebyś pojechała z nim do Chorwacji albo do Grecji na łódki. Ty nie chciałaś raczej zabierać go do Krakowa. Miałaś tam swoje życie, swoich dawnych znajomych i... Stefana.

Stefan, no oczywiście. Znowu ten Stefan. Wiele razy zadawałam sobie pytanie, czy nie udało mi się z Wiktorem właśnie z jego powodu. W najgłębszym zakamarku serca chyba zawsze należałam do Stefana. Nawet wtedy, gdy nie rozmawialiśmy przez pół wieku, miałam wrażenie, że łączy nas jakaś nierozzerwalna, niewidzialna nić.

Nigdy potem nie czułam niczego równie intensywnego, czystego, obezwładniającego jak przy Stefanie.

I właśnie ta niewidzialna nić... i to, że przy nim wszystko było zawsze takie cudownie proste i naturalne, właśnie to sprawiało, że nie związałam się z nikim innym przez tych pięćdziesiąt lat.

A potem pojawił się Wiktor.

– Pasowaliście do siebie – powiedziała Nina płaczącym tonem. – Myślałam, że wam się uda.

– Udało nam się wiele rzeczy – uśmiechnęłam się, automatycznie próbując ją pocieszyć. – Daliśmy sobie wzajemnie wiele radości i jeszcze więcej odwagi. Gdyby nie wsparcie Wiktora, no i twoje, pewnie nie napisałabym tego doktoratu. I nie zrobiłabym kilku innych rzeczy.

– Jakich rzeczy? – Spojrzała na mnie zdumiona.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić:

– Wiesz, kiedy miałam dwadzieścia lat, wydawało mi się, że świat jest u moich stóp i mogę osiągnąć wszystko, co tylko zechcę. Gdy miałam lat trzydzieści, byłam przekonana, że wszystko już za mną. Dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat później myślałam, że pewnych rzeczy nigdy już nie zrobię. Że jest za późno, że się nie odważę. Ale wiele innych wciąż pozostawało w zasięgu ręki.

– A dziś? – zapytała Nina bardzo cicho. Zupełnie jakby się bała, że powiem, że za późno jest już na wszystko.

– A dziś myślę: a właściwie, dlaczego nie? Co może być nieodpowiedniego w całowaniu się na środku deptaku albo w robieniu patentu żeglarskiego po siedemdziesiątce?

– Zamierzasz zrobić patent? – Gwałtownie poderwała się z krzesła. Chyba naprawdę myślała, że postradałam zmysły.

Pokiwałam głową.

– Owszem, znalazłam już instruktora i kurs teoretyczny w Pucku...

– Ale... – westchnęła, kręcąc głową. – Ale przecież powiedziałas, że rozstałaś się z Wiktorem!

– Powiedziałam, że się wyprowadził. Nie wyjdę za niego za mąż. Nie mieszkamy już razem. Ale wciąż jesteśmy przyjaciółmi... Zaprosił mnie na krótki rejs. Teraz, kiedy mam do pomocy Renatkę, mogę sobie na to pozwolić, zwłaszcza w maju, zanim na dobre zacznie się na Półwyspie sezon. A więc pomyślałam, że spróbuję. Dlaczego nie? Przecież nie widziałam jeszcze Chorwacji...

– Nie będzie ci głupio?

– A dlaczego? – Nie rozumiałam. – My naprawdę się nie pokłóciliśmy. Nadal lubimy spędzać razem czas...

– Wiesz, na takiej małej łódce może ci być niezręcznie... – Zarumieniła się słodko.

Ach, moja urocza, pruderyjna Nina.

Przytuliłam ją do siebie i szepnęłam:

– Uprawialiśmy seks już po rozstaniu. I nie mam nic przeciwko temu, żeby zrobić to jeszcze raz... albo kilka razy. Wiesz, w łóżku idzie nam razem lepiej niż w poważnym związku. Dlaczego więc mamy sobie tego odmawiać?

Jeszcze zanim skończyłam to mówić, poczułam, że robię błąd. Nina była teraz purpurowa i chyba nie mogła złapać tchu.

– Uspokój się – szepnęłam. – On nie ma żony ani konkubiny, ja też jestem sama. Nikogo nie krzywdzimy, ufamy sobie, cieszymy się każdą wspólną chwilą, zwłaszcza teraz, kiedy się wyprowadził. Dlaczego więc nie możemy być kochankami? Albo, jak to się teraz mówi: *friends with benefits*?

– *Friends with benefits*? – powtórzyła zbulwersowana. – Natalio, ty naprawdę nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać...

Od tej rozmowy z Niną minęły jakieś trzy tygodnie. Miałam na koncie jeszcze jedno spotkanie z Wiktorem, przy okazji jego wizyty u producenta żagli w Trójmieście.

Spędziliśmy razem uroczy wieczór w winiarni, a potem w jego hotelowym pokoju z widokiem na port.

Od kiedy się wyprowadził, jakoś lepiej nam się rozmawiało i lepiej

milczało... i zasypiało pod jedną kołdrą. Przez moment chciałam nawet opowiedzieć mu o Mikołaju i o Stefanie... O wszystkim, co wiedziała już o mnie Nina.

Ten moment minął jednak bardzo szybko.

Nie chciałam psuć wieczoru wyznaniem. Wolałam po prostu zatopić się na chwilę w jego ramionach.

Friends with benefits. Tak było dobrze, naprawdę. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta. Z portowymi światłami za oknem, bez upiornej Adeli mówiącej głosem jego żony... Z cudownym poczuciem bliskości i z pełną świadomością, że po śniadaniu każde z nas pójdzie w swoją stronę, wolne, pełne swoich planów.

Do bycia kochanką bez zobowiązań czasami człowiek też dorasta dopiero po siedemdziesiątce.

Z wysiłkiem oderwałam się od wspomnień tamtej trójmiejskiej nocy. Siedziałam przy kuchennym stole, patrząc na wszystkie te zdjęcia wiszące na ścianach. Z Basią i Bożenką, z Mikołajem, z Mariką... I po raz kolejny kartkowałam jej brulion, czytałam fragmenty wierszy. Jej ukochanej Poświatowskiej, Pawlikowskiej -Jasnorzewskiej, Tuwima, Gałczyńskiego, ale i nowszych autorów, takich jak Osiecka czy Młynarski, dodanych do zeszytu na pewno już w Paryżu.

Dopiero za trzecim czy czwartym razem zauważyłam jedno krótkie zdanie zapisane na ostatniej stronie wyjątkowo starannie, zielonym atramentem.

Marika wykaligrafowała między linijkami takie słowa:

*Nic nie jest rozstrzygnięte,
dopóki nie jest rozstrzygnięte właściwie.*

Rudyard Kipling

Zielony atrament? Marika nigdy go nie używała. „Zielone pióro z zielonym atramentem ma tylko zielona Natalia” – śmiała się czasami, sięgając po swojego parkera piszącego zawsze na czarno.

Czy ten zielony był dla mnie? Ostatnia wiadomość od Mariki? Może ta najważniejsza?

Nic nie jest rozstrzygnięte, dopóki nie jest rozstrzygnięte właściwie.

Nic nie jest rozstrzygnięte...

Ugryzłam zielonego, pistacjowego makaronika. Smakował rajem i tamtym porankiem sprzed pół wieku.

Ugryzłam jeszcze raz. A potem chwyciłam komórkę i szybko sprawdziłam stan konta. Tak, jak myślałam, było mnie stać na to szaleństwo. Jeśli naprawdę

miałam to zrobić, musiałam to zrobić właściwie.

Miał pan rację, panie Kipling.

Miałaś rację, Mariko.

Jeszcze tego samego dnia zaadresowałam dwie seledynowe koperty. Do każdej z nich włożyłam bilet. I krótki liścik, napisany – oczywiście – zielonym atramentem.

Pierwszy brzmiał:

Bardzo chciałabym, żebyś kogoś poznał.

Paryż jest piękny w kwietniu, tak samo jak pół wieku temu.

Drugi wyglądał niemal identycznie, tyle że kończył się na słowach: „jest piękny w kwietniu”.

O tym, że mój pobyt w tym mieście pięćdziesiąt dwa lata temu miał z nim coś wspólnego, że właśnie tutaj, nad Sekwaną, został powołany do życia z wielkiej, szalonej miłości, Mikołaj miał się dowiedzieć dopiero na miejscu. Spacerując późną nocą po opustoszałym targu kwiatowym i placyku przy Notre Dame.

OD AUTORKI

I to już naprawdę koniec...

Trzeci i ostatni – przynajmniej na razie – tom przygód Natalii i Niny.

Nie zamykam wszystkich wątków, nie wyjaśniam wszystkich zagadek. Kto wie, może kiedyś wrócę do tej historii? Może bohaterki spotkają się jeszcze raz, by wywołać kolejne trzęsienie ziemi?

Na razie jednak żegnam obie panie N. – i wcale nie przychodzi mi to łatwo. Spędziłam w ich towarzystwie prawie półtora roku. Kilkakrotnie odwiedziłam z nimi i dla nich Ciechocinek, Hel, Busko-Zdrój, przez dwa tygodnie snułam się po Paryżu, szukając idealnego miejsca na zielarnię „Natalia”...

Pilnie notowałam na uniwersyteckich wykładach dotyczących roślin w religii i sztuce. I gdyby nie cudowna, pełna humoru i niezwyklej wiedzy doktor Halina Galera, moja Natalia nie byłaby botanikiem i na pewno nie zajmowałaby się glistnikiem jaskółczym zielem, namalowanym tak pięknie przez Wita Stwosza.

Nie poradziłabym też sobie bez wykładów z kryminalistyki... To pan Daniel Mańkowski nauczył mnie, że da się przestrzelić szybę na 11. piętrze z wiatrówki i że odciski palców na szklanej powierzchni mogą przeleżeć naprawdę długo, zwłaszcza zamknięte w pudełku, a policja będzie miała duże trudności z ustaleniem, czy zostawiono je na narzędziu zbrodni przed tygodniem czy

sześcioma miesiącami.

W ostatnim semestrze z wypiekami na twarzy słuchałam wykładów o kulturze i kuchni francuskiej. Obłądne pomysły Fabiena zawdzięczam właśnie pani doktor Ewie Kalinowskiej z Uniwersytetu Warszawskiego! Było naprawdę bardzo, bardzo inspirująco!

Czytałam też oczywiście o tym, co i jak jadają Francuzi, największą przyjemność czerpiąc z książek *W mojej francuskiej kuchni* Susan Herrmann Loomis i *Anglik w Paryżu* Michaela Sadlera. A przy pracy pochłaniałam ośmiokątne miętówki z Vichy w ilościach naprawdę hurtowych. Szczęśliwie są już dostępne w supermarketach w Polsce.

Ale ta książka to nie tylko tematy lekkie, łatwe i przyjemne. Relacje między siostrami, zwłaszcza z tak trudną przeszłością, jaka stała się udziałem Niny, Czarnej Mańki, Lutki i Kostki, wymagały szczególnej uwagi i wiedzy. Bardzo pomogły mi rozmowy z terapeutką, Dorotą Markowską, a także książka Hanny Olechnowicz *Dziecko własnym terapeutą*, o strategiach, które rozwijają dzieci, żeby przetrwać w kryzysowych sytuacjach. Sięgnęłam także po pozycję Deborah Tannen *Mama zawsze wołała ciebie. Rozmowy siostr* oraz poradnik Tommy'ego Hellstena *Wsparcie dla dorosłych dzieci alkoholików. Hipopotam w pokoju stołowym*. Pozwolę sobie zacytować króciutko tego ostatniego autora: *W rodzinie dotkniętej alkoholizmem obowiązują trzy zasady, których przestrzeganie staje się życiową koniecznością: Nic nie mówić! Niczego nie odczuwać! Nikomu nie ufać! Mówi się, że główny pokój w rodzinie dotkniętej alkoholizmem zajmowany jest przez hipopotama, którego istnieniu wszyscy zaprzeczają. Milcząc, zostawia się hipopotama w spokoju, a elementem tego milczenia jest udawanie, że wszystko jest w porządku...*

Prawie cztery miliony Polaków żyje z takim hipopotamem – jednym lub dwojgiem rodziców nadużywających alkoholu. Nawet wiele lat później, w swoim dorosłym życiu, wciąż się zmagają z dawnym lękiem, wstydem... Próbują jak Nina obsesyjnie kontrolować wszystko wokół siebie (w dzieciństwie bowiem każdy dzień był nieprzewidywalny i mógł zakończyć się katastrofą). Boją się własnego cienia jak Kostka. Kipią złością na cały świat jak Mańka. Uciekają w pracę albo ukrywają swoje uczucia, przekonani, że nie zasługują na to, co najlepsze – tak jak Lutka. I ciągle udają, że to nie z powodu hipopotama są tacy, a nie inni.

Pisanie książek to zajęcie samotne i raczej statyczne. Najlepiej pracuje mi się na własnej kanapie, z wtulonym we mnie, pochrapującym psem. Chociaż *Zielarnia nad Sekwaną* powstawała także w kilkunastu warszawskich kawiarniach, jednej poczekalni stomatologicznej, w Helu, we Wrocławiu i w małym domku na południu Szwecji. A ostatnią kropkę postawiłam tam, gdzie wszystko się zaczęło, czyli w Ciechocinku... Zanim jednak autor zacznie pisać, musi dać pożywkę

wyobraźni. Jedni w tym czasie czytają, inni leżą, patrząc w sufit, a ja wychodzę z domu – w miejsca zupełnie niezwiązane z fabułą, nad którą pracuję. I zwykle szybko okazuje się, że jednak są one z nią związane i to bardzo mocno.

O wyjeździe Mariki do Paryża i spotkaniu Natalii z jej wnuczką w zielarni nad Sekwaną wiedziałam od samego początku. Ale o tym, że pojechała tam z powodu sufitu w operze, dowiedziałam się dopiero we Wrocławiu, kiedy poszłam się zrelaksować na wystawie *Marc Chagall i artyści europejskiej awangardy*. To właśnie we wrocławskim muzeum, podczas oglądania obrazów, ale i filmu o życiu malarza, rozległo się w mojej głowie głośne „klik”. Bo skoro w Paryżu pozwolono Żydowi z Witebska namalować te krzywe kolorowe obrazki na suficie pełnej przepychu opery, to młoda zdesperowana Żydówka z Helu mogła zapragnąć właśnie tam poszukać swojego miejsca na ziemi... I wszystko wskoczyło na właściwe tory.

Spacerując po Busku-Zdroju, zobaczyłam z kolei tablicę z informacją o Krystynie Jamroz. I znowu rozległo się to „klik” (uwielbiam je!). Dyrektor sanatorium „Krystyna”, doktor Grzegorz Gałuszka, odniósł się do kliknięcia z pełnym zrozumieniem i pozwolił mi zajrzeć we wszystkie kąty. Po budynku i jego otoczeniu oprowadziła mnie precudowna pani Magda Zapart. Przy okazji ucięłyśmy sobie pogawędkę o Krystynie Jamroz i ariach operowych, co idealnie połączyło się potem z historią Mariki, sufitem w gmachu Opéra Garnier i *Carmen* oglądaną przez Natalię w towarzystwie królowej Ingrid. Bo wcale tego nie wymyśliłam! Szóstego kwietnia 1965 roku duńska para królewska, w towarzystwie generała de Gaulle’a i jego żony, naprawdę zasiadła na widowni paryskiej opery. Zdjęcie, na którym schodzą po szerokich schodach, w szpalerze z szabli trzymanyh przez gwardzistów, można znaleźć w starych gazetach i agencjach prasowych. Natalii i Stefana na fotografii niestety nie widać, ale na pewno kryją się gdzieś tam, w cieniu... Może nawet, o zgrozo, znowu całując się ukradkiem, tym razem pod okiem samej królowej?

Czasami okazuje się, że coś, co wymyśliłam i co wydawało mi się z początku mało prawdopodobne, wydarzyło się naprawdę. Tak było z Mikołajem, którego Natalia oddała swojej bratowej. Ten sekret Natalii był jedną z pierwszych rzeczy, których się o niej dowiedziałam. Po napisaniu *Werandy na Czarcim Cyplu* odpoczywałam w moim ukochanym Helu. Pewnego dnia wpadłam na poranną kawę do Cafe Classic (naprawdę nikt na Półwyspie nie ma takiej kawy Borgia i takiego tortu ananasowego jak pani Teresa Ceynowa!). Z głośnika cicho sączyły się francuskie piosenki (już samo to było niezwykle, bo nikt przecież nie wiedział, że kolejna książka przeniesie moje bohaterki nad Sekwanę). I nagle zaczęła się rozmowa o tym, jak to kiedyś w Helu bywało – o kobietach, które po porodzie oddawały dzieci krewnym lub sąsiadkom, by nie komplikować sobie życia, a niemowlętom dać lepszą przyszłość. Zamarłam! Okazało się, że wymyśliłam –

całkiem niechcący – czyjeś prawdziwe życie.

Odwiedziłam i sfotografowałam większość miejsc w Paryżu, które znalazły się w tej książce. Mieszkałam, podobnie jak moje bohaterki, w cudownej drugiej dzielnicy i niemal codziennie przemierzałam jeden z mostów, żeby zajrzeć na targ kwiatowy. Nie spędziłam jednak nocy w celi na wyspie Cité i nie jadłam (przyznaję z ręką na sercu) chyba żadnego z frykasów, którymi karmił Ninę szalony Fabien. Moja paryska dieta była mniej skomplikowana: dużo naleśników, dużo serów, cydr, eklerki, croissanty, makaroniki z falbanką (oczywiście od Berthillona, choć znawcy twierdzą, że lepsze robi Pierre Hermé – przy następnej wizycie sprawdzę, czy to prawda), no i oczywiście kawa. Bo Paryż jest najpiękniejszy, kiedy patrzy się na niego przez okno kawiarni, znad dużej filiżanki café au lait.

Czas na ostatnie podziękowania. W całej tej przygodzie z Natalią i Niną towarzyszyło mi kilka kobiet.

Marylka, moja mama, anioł cierpliwości. To ona brała na siebie gotowanie zupy, wychodzenie z psem i ratowała ultradźwiękami mój nadgarstek, mocno nadwerężony na finiszu *Zielarni*... A w dodatku jeździła ze mną w te wszystkie miejsca, które koniecznie chciałam zobaczyć, żeby trafiły do książki. Zawsze uśmiechnięta, zawsze gotowa wyruszyć w nową podróż...

Jola Sławska z Wrocławia, kobieta, o której pewnego dnia napiszę całą książkę... Jola motywowała, wspierała i czytała jako pierwsza z pierwszych. Podpowiadała też, jak działa korporacja i jakich sformułowań wolno mi użyć, a jakich niekoniecznie.

Natasza Socha, moja przyjaciółka i niedościgły ideał (ta kobieta naprawdę pisze codziennie, i to założoną z góry liczbę znaków! Nawet w czasie trzęsienia ziemi i ataku ufoludków, serio!). Czytała, podpowiadała, rozśmieszała, a przede wszystkim pytała codziennie: „Piszesz?”. Bez niej nie dałabym rady!

Moja siostra Koala, zawsze gotowa wyciągnąć mnie z domu i reanimować po postawieniu ostatniej kropki.

Pani Teresa Ceynowa z Cafe Classic w Helu i jej kuzynka, wiecznie roześmiana Ola Górecka z Juraty. Obie wspierały mnie opowieściami o przeszłości i teraźniejszości Półwyspu, podsuwały ciekawe historie, przynosiły książki... Ostatnio do tych kobiet dołączył też mężczyzna, pan Władysław Szarski, dyrektor Muzeum Obrony Wybrzeża, miłośnik Helu i psów... Uraczył mnie informacją o tunelu odkrytym na plaży od strony Dużego Morza po gwałtownych sztormach, musiał więc pojawić się na moment na kartach książki. Z opowieści pani Teresy, Oli i pana Władysława mogłaby powstać jeszcze niejedna powieść. I pewnie powstanie... Bo ja do Helu wracam jak bumerang...

Za to, że jest, nawet kiedy ja znikam w kolejnej fabule, i za tłumaczenie

wiersza *Ostrzeżenie* dziękuję najserdeczniej Julii Wolin. Wiersz miał już wiele przekładów, ale te, do których dotarłam, zawsze zawierały jakiś feler. Albo były niewierne i wypaczały sens słów Jenny Joseph albo wierne, owszem, ale trochę... niepoetyckie. Julia jest nie tylko tłumaczką, ale i poetką, i to doskonale połączenie sprawiło, że przełożyła *Ostrzeżenie* naprawdę przepięknie.

Największe podziękowania należą się jednak mojej redaktorce, Krysi Sadeckiej, która przetrwała pracę nad wszystkimi trzema książkami, wydierała mi ostatnie rozdziały dosłownie z gardła, poświęcała weekendy z rodziną dla *Zielarni...*, a wszystko to z uśmiechem, koncentracją bez względu na porę dnia (lub nocy) i fantazją. Dzięki Krysi ominęłam kilka raf fabularnych, nie zdradziłam przedwcześnie kilku tajemnic... Naprawdę mam nadzieję, że nie jest to nasza ostatnia wspólna praca!

Tradycyjnie, muszę też podziękować mężczyźnie (jak zawsze temu samemu), który nie chce, żebym mu dziękowała. Za cierpliwość, poczucie humoru, chińskie żarcie bez pałeczek i wafelki w czekoladzie. I za ogarnianie wszystkich małych, domowych spraw, których podobno nie dostrzegam, zwłaszcza na finiszu książki.

Wiele osób poczuje się pewnie rozczarowanych zakończeniem, które nie pozwala Natalii nacieszyć się szczęściem ani ze Stefanem, ani z Wiktorem. Długo się nad tym zastanawiałam i uznałam, że to najlepsze, co mogę jej podarować. Ona nie zostaje sama – ona wybiera wolność. Bo przecież Natalia to wolny ptak, w dodatku taki, który wciąż ma do załatwienia najważniejszą sprawę w życiu.

W zeszycie Mariki jest wiele cytatów. Gdybym miała wybrać ten jeden jedyny, pasujący do obu moich bohaterek, byłyby to chyba słowa Edwarda Stachury: *Pamięć jest częściej kulą u nogi niżli żaglem łopocącym...*

Nina – bardzo boleśnie – zdołała odciąć ciężki łańcuch swojej kuli. Natalia zrobiła pierwszy krok, żeby i jej żagiel załopotał mocniej i radośniej niż kiedykolwiek.

Trzymam kciuki za tę trudną rozmowę nad Sekwaną...

Wznoszę toast alzackim winem w wysmukłej butelce bez ramion...

A żeby nie kończyć aż tak refleksyjnie, pożegnaj się jeszcze jednym cytatem, tym razem z *Anglika w Paryżu* Michaela Sadlera. To fragment przepisu na tête de veau, czyli głowiznę cielęcą (dotyczący sprawdzania, czy jest już ugotowana):

Tradycyjna metoda wymaga szpikulca lub szydła (z którego przedtem należy zdjąć sweter). Szydło należy wbić w głowiznę niczym wiertło w powierzchnię ziemi i przebić na wylot, przesywając po drodze różne tekstury i stopnie oporu: elastyczną skórę, miękkie mięso, gęsty język i, najgorsze, coś jakby lepką masę żelatynową, zwykle kojarzoną z ektoplazmą znaną z filmów science fiction klasy B.

(...) Pomyślcie o czymś innym. Na przykład o czymś całkowicie niezwiązanym z tematem – o aniołach, o seksie lub o kwartetach smyczkowych Bartóka – albo (...) o kimś, kogo nienawidzicie.

To mógłby być początek kolejnej kryminalnej zagadki z Francją i muzyką poważną w tle. Brzmi kusząco... Ale ja mam już w głowie następną, zupełnie inną historię. I nie mogę się doczekać, kiedy zacznę ją pisać...

